

Hunter Denise

Chapel Springs 01

Boskie lato



Siewca wyszedł siać swoje ziarno. A gdy siał, jedno padło na drogę i zostało podeptane, a ptaki podniebne wydziobały je. Inne padło na skałę i gdy weszło, uschło, bo nie miało wilgoci.

Inne znowu padło między ciernie, a ciernie razem z nim wzrosły i zagłuszyły je. Inne w końcu padło na ziemię żyzną i gdy wzrosło, wydało plon stokrotny¹.

Łk 8,5-8

Nie zwleka Pan z wypełnieniem obietnicy - jak niektórzy są przekonani, że Pan zwleka - ale On jest cierpliwy w stosunku do was. Nie chce bowiem niektórych zgubić, ale wszystkich chce doprowadzić do nawrócenia.

2P3,9

1 Wszystkie cytaty z Pisma Świętego podano za Biblią Tysiąclecia.

Madison McKinley omiotła wzrokiem tłum wypełniający ratusz, zastanawiając się, ilu przyjaciół i sąsiadów będzie musiała pokonać, by zdobyć to, po co przyszła. Połowa miasteczka Chapel Springs zjawiała się tu dziś po to, aby wesprzeć straż pożarną. Poprzedniego wieczoru odbyło się spotkanie członków lokalnego klubu służebnego Rotary; nikły zapach popcornu i kawy unosił się jeszcze w powietrzu, a podniecenie i napięcie wydawały się wręcz namacalne.

Gdy wreszcie doczekała się na swoją kolej do rejestracji i odebrała swój lizak aukcyjny, rozejrzała się w poszukiwaniu mamy. Zauważyła Joannę McKinley siedzącą po lewej stronie, pod starą ceglana ścianą.

Zanim zdążyła się ruszyć, w zatłoczonym przejściu zjawiała się Dottie Meyers.

- Madison! Witaj, kochana! Nie pogniewasz się, jeśli zapytam o coś związanego z Ginger? Na jej nóżce pojawiło się niepokojące zgrubienie, boję się, że to może być coś poważnego.

Poprzednio był to zwykły rzep, ale Madison spokojnie położyła dłoń na ramieniu kobiety.

- Na pewno nie, ale poproszę Cassidy, żeby zadzwoniła do pani jutro i zaproponowała szybki termin wizyty, dobrze?

- Uwaga, drodzy państwo! - prowadzący przemówił do mikrofonu. - Czas zaczynać!

- Dziękuję ci bardzo, kochana - powiedziała Dottie. - Jestem ogromnie podekscytowana tegoroczną sztuką. Nosi tytuł *Miłość na krawędzi*. Mam nadzieję, że się zjawisz! Będiesz świetna w roli Eleanor.

Do przesłuchań zostały jeszcze całe dwa miesiące.

- Nie mogę się doczekać. Do zobaczenia jutro.

Madison każdego roku brała udział w spektaklu wystawianym w miasteczku. Uwielbiała teatr, a dochody z biletów na przedstawienie zasilaly kasę lokalnego schroniska dla zwierząt, któremu była bardzo oddana.

Odwróciła się w stronę mamy i uderzyła prosto w ścianę.

- Uuups!

Nie, nie w ścianę, tylko w czyjś tors. Umięśniony tors.

Spojrzała w górę i ujrzała twarz mężczyzny, którego za nic w świecie nie chciała oglądać, a co dopiero na niego wpadać. Odskoczyła, patrząc prosto w jego głębokie czarne oczy. Kiwnęła głową na powitanie.

- Beckett.

- Madison. - Odwzajemnił ukłon.

Jego czarne włosy były zmierzwione, na twarzy miał kilkuniedniowy zarost i był ubrany w roboczą koszulę firmy Dewitt Marina. Jego dolna warga drgnęła. Madison nie rozmawiała z nim od czasu kłótni sprzed dwóch tygodni, która i tak niewiele pomiędzy nimi zmieniła.

- Proszę zająć miejsca - zagrzemiał głos prowadzącego. *Z dziką chęcią.*

Zrobiła krok w lewo w tym samym momencie, w którym zrobił to Beckett. Był wielki jak goryl i dwa razy bardziej niebezpieczny - tak przynajmniej zawsze o nim myślała. Incydent z jej młodszą siostrą utwierdził ją tylko w tym przekonaniu.

- Przepraszam - powiedziała.

Przesunął się płynnym ruchem w prawo i wykonał ramieniem gest mówiący: *Pani przodem, wasza wysokość.*

Posłała mu mordercze spojrzenie, po czym pospiesznie ruszyła przejściem, by wreszcie wśliznąć się na metalowe siedzenie obok swojej mamy.

- Cześć, skarbie, miałaś dobry dzień? - Jasne włosy mamy i jej niebieskie oczy lśniły w świetle jarzeniówek, ale tak naprawdę to jej uśmiech rozjaśniał salę.

- Dwanaście psów, siedem kotów, dwa króliki i kuropatwa na gruszy.

Beckett minął jej rząd i zajął miejsce z przodu, obok swojej siostry. Layla miała długie brązowe włosy i twarz super-modelki. Ich mama musiała być bardzo piękna, ale Madison jej nie pamiętała. Beckett pochylił się i szepnął coś do siostry. Szybko oderwała od nich wzrok i rozluźniła dłonie, którymi miażdżyła lizak aukcyjny w śmiertelnym uścisku. Postanowiła nie myśleć dzisiejszego wieczoru o Beckettcie O'Reillym.

Prowadzący zajął podium i mówił o tym, jak ważna jest remiza straży pożarnej i jakie są jej potrzeby finansowe, po czym przedstawił licytatora - co było całkiem zbędne, gdyż

był to człowiek, który prowadził lokalną stację benzynową. Chwilę później rozpoczęła się licytacja.

Oczy dziewczyny powędrowały w stronę czarnej głowy Becketta. Mogłaby przysiąc, że w ostatnim czasie mężczyzna ją prześladował. Był wszędzie tam, gdzie tylko się pojawiała. A przecież powinien jej unikać. Powinien się wstydzić tego, co zrobił Jade. Cokolwiek to było.

Madison śledziła listę przedmiotów wystawionych na aukcję i odhaczała je po kolei, gdy tylko zostały sprzedane. Ręcznie szyta kołdra, lekcje gry na pianinie, najpyszniejsze ciasto miesiąca, pobyt w chatce nad jeziorem Patoka i dziesiątki innych rzeczy podarowanych na aukcję przez hojnych mieszkańców miasteczka.

Ktoś wykonał ręcznie miniaturową replikę herbu miasta. *Witamy w Chapel Springs w stanie Indiana* - głosił napis - *Najpiękniejszym mieście nad rzeką w całej Ameryce*. Pewien autor z pisma *Midwest Living* użył tego sformułowania dwanaście lat temu i od tego czasu miasto używało go przy każdej możliwej okazji, aż do znudzenia.

Evangelina Simmons, która miała pewnie z osiemdziesiąt pięć lat, zabawiała wszystkich, podbijając ceny. Nie było żadną tajemnicą, że strażacy uratowali w zeszłym miesiącu jej ukochanego persę, zdejmując go z drzewa. Z wdzięczności kupiła już dwa przedmioty, z których pewnie nie będzie miała żadnego użytku. Ale pieniądze nie były dla Evangeline najważniejsze.

Ludzie opuszczali salę w miarę postępowania aukcji. Zawiedziony Beckett wyszedł po tym, jak przegrał licytację zestawu narzędzi. Ponad godzinę później Madison ogarnęło napięcie. Rozpoczęła się aukcja wybranego przez nią przedmiotu. Licytator przeczytał opis z kartki.

- Panie i panowie, a teraz nie lada gratka! Dewitt Marina ofiarowała pod młotek pakiet żeglarsko-regatowy! Lekcje

udzielane przez prawdziwego pasjonata - Evana Higginsa, który nauczy zwycięzcę żeglugi po rzece Ohio, jeszcze zanim rozpoczną się Czterdzieste Piąte Doroczne Regaty na Rzece, a potem weźmie go do swojej załogi na czas zawodów, które wygrał już dwa razy z rzędu! Cena: pięćset dolarów. Kto da pięćset?

Madison zacisnęła dłoń na lizaku, czekając, aż licytator obniży cenę. Oddech zamarł jej w piersi. *Cierpliwości, dziewczyno.*

- Dobrze, sto. Kto da sto?

Madison spokojnym ruchem podniosła lizak.

- Mamy sto! Sto pięćdziesiąt, kto da sto pięćdziesiąt?

Kątem oka dostrzegła mamę, która spojrzała na nią, jak tylko Evangeline podniosła lizak - i tym samym cenę przedmiotu.

- Sto pięćdziesiąt! Kto da dwieście?

Madison uniosła lizak, patrząc wprost przed siebie.

- Dwieście! Kto da dwieście pięćdziesiąt? Dwieś... Jest dwieście pięćdziesiąt! Czekam na trzysta...

Madison westchnęła, odczekała chwilę i kiwnęła głową.

- Trzysta! Kto da trzy i pół stówki? Trzysta pięćdziesiąt! Evangeline spojrzała w kierunku Madison błyszczącymi oczami. Uniosła lizak.

Evangeline! Madison nie chciała wydać aż tyle pieniędzy. Staruszka mogłaby się już wycofać. Wyobraziła sobie maleńką babcie na wielkiej łodzi, usiłującą poradzić sobie z tymi wszystkimi linami, żaglami i takimi tam... Kuszące.

Madison mogła przejść się do przystani i wykupić lekcje, ale wtedy nie miałyby pewności, że wygra zawody. Do tego potrzebowała Evana Higginsa.

- Trzysta pięćdziesiąt! Czy dobrze widziałem? Trzysta pięćdziesiąt? Jest! Teraz czter...

Po sali przebiegł szmer, który wskazywał na to, że obecni zaśmiewają się pod nosem z wyczynów Evangeline. Staruszka uniosła lizak.

- Mamy czterysta pięćdziesiąt, kto da pół tysiąca? Madison zacisnęła zęby. Spiorunowała wzrokiem siwą głowę Evengeline. *Szczytny cel. To na szczytny cel.*

- I mamy pięćset! Kto da pięćset pięćdziesiąt?

Rumor wzmógł się, choć sala była już w połowie pusta, gdyż aukcja zbliżała się ku końcowi. Ci, którzy zostali na miejscach, otrzymali nagrodę w postaci niezłego przedstawienia.

- Pięćset pięćdziesiąt? Czekam na pięćset pięćdziesiąt!

Evangeline odwróciła się do Madison i ich oczy się spotkały. Jej wąskie wargi ułożyły się w serdeczny uśmiech, a dłonie spoczęły na odłożonym lizaku.

- Sprzedane Madison McKinley za pięćset dolarów!

Madison odetchnęła głęboko. Jej portfel był lżejszy o pięćset dolarów, ale wykupiła wymarzone lekcje. Teraz nauczy się żeglarstwa i wygra regaty. I zrobi to dla Michaela.

- Ze co niby chcesz zrobić? - Tata przerwał kozłowanie i wyprostował się. Jego krótkie siwe włosy były zmierzwione i wilgotne od potu.

Ryan porzucił pozycję gracza i stanął nagle twarzą w twarz z Madison, z rękami opartymi na wąskich biodrach i miną wyrażającą niezadowolenie. Pierworodny McKinley był ich opoką. Był tym, do którego zawsze przychodzili po pomoc w trudnych chwilach.

Madison nie chciała jeszcze mówić rodzinie, zbyt zestresowanej tym, co przydarzyło się Jade, ale i tak sami by się dowiedzieli.

- Mówi, że chce łódź Michaela. - PJ, najmłodsza córka w rodzinie, przerzuciła swój kasztanowy koński ogon przez ramię. Po ojcu odziedziczyła brązowe oczy, a po matce znie-
walający uśmiech, którego teraz jednak brakowało na jej twarzy.

- A więc to po to są te całe lekcje żeglarstwa - powiedział Ryan.

- Bo nie wiem, czy wiesz, ale te łodzie pływają po wodzie
- dodała PJ. Madison trzepnęła siostrę w ramię.
- Jo! - zawołał ojciec ze wzrokiem utkwionym w Madison.
- Domyślasz się, co planuje twoja córka?

Joannę kładła właśnie miskę z sałatką ziemniaczaną na przykryty obrusem stół piknikowy.

- Mówisz o regatach? Przecież byłam na aukcji. Co, nie pamiętasz? Burgery stygną. Daniel, skarbie, skoczysz po sztućce?

- Oczywiście, Mamo Jo! - Daniel Dawson był honorowym członkiem rodziny McKinley, odkąd Ryan przyprowadził go do domu w czasach gimnazjum. Wychowywała go majątna babcia, podczas gdy jego rodzice byli zajęci innymi, *ważniejszymi* rzeczami. Daniel poszedł w ślady swojego dziadka, wygrywając ostatnie wybory na burmistrza Chapel Springs.

Na wzmiankę o burgerach ojciec od razu rzucił piłkę, która potoczyła się po betonie, gdy odchodzili z boiska.

PJ szturchnęła Ryana w bok, ot tak, bez powodu, na co on w odpowiedzi przerzucił ją przez swoje szerokie ramiona, bo tak mu się spodobało. PJ wrzeszczała, uderzając pięściami w jego plecy, ale on odstawił ją na ziemię dopiero przy stole.

- Ty brutalu! - PJ zaserwowała bratu kolejnego kuksańca.
- Ty smarkulo!

Ryan ratował ludzkie życie, a PJ umiałyby wykarmić całą armię, ale gdy się spotykali, mogłoby się wydawać, że mają znowu po dwanaście lat. Najmłodsza z sióstr wróciła do domu na weekend ze szkoły kucharskiej.

Rodzina zajęła miejsca za stołem piknikowym. Zmierzch

ogarnął podwórko domu rodziców, ale białe światła zawieszane nad patio i wzdłuż posiadłości mrugały jasno. Wiosenne ciepło wywabiło McKinleyow z domu na cotygodniową rodzinną kolację. Świerszcz grał swoją melodię w znajdującej się nieopodal grządce, która zaczynała już rozkwitać nowym życiem.

Po drugiej stronie podwórka, na porośniętym dębami pagórku, widać było gospodarstwo z białym domem, stojącym niczym pulchna ciotka rozkładająca ramiona na ciepłe powitanie. Za domem, na dwustu czterdziestu akrach gładko opadającego pola, przez sześć miesięcy w roku rosła kukurydza. W stanie Indiana było sześćdziesiąt jeden tysięcy farmerów - jej ojciec był dumny ze swojego miejsca w tym gronie, jednak nigdy nie zmuszał dzieci, by poszły w jego ślady, zostawiając im wolną rękę w odnalezieniu własnych ścieżek. A oni wciąż nad tym pracowali.

Gdy już siedzieli na miejscach, ojciec odmówił modlitwę i wszyscy rzucili się na jedzenie. Burgery z grilla, sałatka ziemniaczana, zielona fasolka z zeszłorocznych zbiorów i oczywiście kukurydza. W domu McKinleyow zawsze była kukurydza.

- Jak idzie siew, tato? - Ryan pacnął muchę. - W przyszłym tygodniu mógłbym ci pomóc, jeśli chcesz.

- Miło to słyszeć. Pomoc się przyda. - Ojciec nałożył sobie kopiastą łyżkę sałatki. - Ona chce żeglować tą starą rozklekotaną krypą, Jo.

Madison dokładnie rozłożyła serwetkę na kolanach, zerkając na mamę. Pomimo uśmiechu, który stale gościł na jej twarzy, z jej niebieskich oczu przebijał smutek - ten z kolei pojawił się w nich po nagłym wyjeździe Jade.

- Ach tak? - Spojrzenie mamy wyrażało więcej niż słowa. Znała Madison najlepiej ze wszystkich. Doskonale wiedziała, jakich cierpień przysporzyła jej utrata Michaela i jakich wciąż jej przysparza, chociaż córka nie uroniła ani jednej łzy i rzadko o tym rozmawiała. Gdy traci się brata bliźniaka, zawsze odbija się to na psychice.

- To dla Michaela - powiedziała Madison. Rodzina zamarła, nawet PJ, a to zdarzało się naprawdę rzadko. - To dla mnie ważne.

Michael był świetnym żeglarzem, chociaż nie żył dość długo, by móc wziąć udział w regatach. Jego marzeniem było zostać najmłodszym zwycięzcą w historii - obecny rekord należał do dwudziestosiedmiolatka. A ponieważ ich dwudzieste siódme urodziny zbliżały się wielkimi krokami, czasu było coraz mniej.

- I ty myślisz, że uda ci się wygrać? - spytał tata. Madison nie chciała go wytrącać z równowagi.

- Przepraszam, tato. Nie chciałam cię zdenerwować.

- To kupa spróchniałego drewna!

W jego ustach brzmiało to o wiele gorzej, niż wyglądało w rzeczywistości.

- Odnowię ją.

Jej ojciec stłumił wybuch śmiechu.

No dobrze, może łódź była rzeczywiście w kiepskim stanie, ale Michael oszczędzał na nią dwa letnie sezony. U progu siedemnastych urodzin kupił właśnie ją, a nie samochód. Madison pamiętała błysk dumy w jego oczach, kiedy pokazał jej wymarzony nabytek.

- Jest moja, Madders - powiedział wtedy, gładząc dłonią złuszczoną białą farbę na dziobie. - Zostanę najmłodszym

zwycięzcą w historii, zobaczysz.

- W tym czymś? - spytała wtedy.

- Potrzebuje tylko kosmetyki. Bebechy ma sprawne.

- Jest nadal w szopie, skarbie - powiedziała teraz mama, kładąc dłoń na zaciśniętej pięści taty.

- Dzięki, mamó. To pewnie nie będzie najszybsza łódź w regatach, ale wyścig jest handicapowy, więc mam jakąś szansę.

- Ona nie umie pływać, Jo.

- Od tego są kamizelki ratunkowe, tato - wtrąciła delikatnie PJ.

Ojciec wydał usta. Madison wiedziała, że czuje się rozdarty. Chciałby ją wspierać, ale drżał o jej bezpieczeństwo.

- Nic mi nie będzie. Przygotuję się na każdą ewentualność. Przecież po to biorę lekcje.

- Daj znać, jeśli będę mógł pomóc - powiedział Ryan -dołączyć do załogi czy coś...

PJ trąciła go łokciem.

- Nie odróżniłbyś żagla od ręcznika.

- Ach tak! A ty byś odróżniła?

- Dzieci! Jedzcie kolację.

Kilka minut później PJ rozwiła ponury nastrój opowieścią o sufletowej katastrofie. Gdy mama stawiała na stole szarlotkę, tata miał już pogodniejszy wyraz twarzy, ale Madison zauważyła, że Daniel był tego wieczora wycofany. Przyłapała go, jak patrzył na puste krzesło obok niej. Zrozumiała. Bez Jade było tu jakoś dziwnie.

Po kolacji Madison pomogła mamie umyć naczynia, podczas gdy pozostali grali w osła, próbując rzucać piłkę do kosza na różne wymyślne sposoby. Szorowała półmisek po

burgerach, a mama łądowała naczynia do starej, brązowej zmywarki.

Madison uwielbiała wynajmowany przez siebie domek, który jeszcze dwa tygodnie temu dzieliła z Jade, ale dom rodziców dodawał jej otuchy. Było coś niepowtarzalnego w przewidywalnym skrzypieniu starej drewnianej podłogi, w rozbrzmiewającym co godzinę kurancie dziadkowego zegara, w znajomych zapachach: cytryny i krochmalu. Było coś takiego nawet w tym starym wężyku, który, zamiast pryskać, sączył wodę cienką stróżką, gdy płukała półmisek.

Gdy kuchnię wypełnił szum włączonej zmywarki, mama oparła się o krawędź zlewu. Światło wiszących lamp rozjaśniało jej twarz i wdzierało się w zmarszczki rysujące się wokół uśmiechniętych oczu.

- Czy ty dobrze sypiasz, skarbie? Wyglądasz na przemęczoną.

- Nic mi nie jest. - Madison nigdy nie powiedziała mamie o dręczących ją koszmarach i teraz też nie zamierzała tego robić.

Joannę posłała jej długie, wyrozumiałe spojrzenie, które powiedziało córce, że choćby zamknęła serce na cztery spusty przed całym światem, ona i tak wiedziałyby, co się w nim kryje.

- Wiesz, Madison... jeśli szukasz ukojenia, nie znajdziesz go na regatach.

Madison odłożyła półmisek do starej skrzypiącej szafki. Czy tego właśnie szukała? Ukojenia? Czy to w ogóle możliwe, by je odnaleźć po tym, jak straciło się kogoś, kogo się tak kochało? Kogoś tak niewinnego i niezasługującego na śmierć?

Zaczęła nerwowo miętosić kuchenny ręcznik. Mama wzięła jej dłonie w swoje.

- Chciałabym ci pomóc. Nie wiem jak, ale znam Kogoś, kto wie.

- Tak, wiem, mamó. - Madison słyszała to już dość dużo razy. Od rodziców, pastora Adamsa, nawet od Ryana. Gdyby

chodzenie do kościoła miało uzdrowicielską moc, już dawno byłaby uleczona. Jako organistka uczęszczała do niego regularnie. Jak wszyscy McKinley'owie zresztą.

Oczy mamy posmutniały.

- Nie martw się o mnie. Nic mi nie jest. Naprawdę. Nauka żeglarstwa będzie... - Zaciśnęła usta. - ...dobrą zabawą.

- Nie wiem, jak chcesz jeszcze znaleźć czas na sztukę. Sama wiesz, że latem zwykle jesteś bardzo zajęta przez próby do spektaklu.

- Będzie tego dużo, ale dam radę. - Przecież nie miała męża i dzieci. Ani nawet chłopaka.

Przewiesiła ręcznik przez uchwyt piekarnika, po czym obie wyszły na ganek i przysiadły na betonowym schodku. Mama wzięła garść nasion słonecznika z torebki stojącej obok i sypnęła na ziemię, w pobliżu znajdującej się na podwórku fontanny.

- Mogłam ci kupić na Dzień Matki karmnik dla ptaków. Mama rzuciła kolejną garść.

- Po co? Przecież tak jest prościej.

- Dziwne, że nie rośnie tu jeszcze słonecznikowy las. Przez te wszystkie lata wyrzuciłaś tyle nasion!

- Ziemia jest zbyt twarda. Poza tym ptaki wydziobują je, jak tylko je rozsypię. - Jak na zawołanie przyfrunął wróbel, zabrał do dzióbka ziarenko i odleciał. - Widzisz?

Z boiska dobiegł okrzyk PJ.

- Litera I! Każdy z was jest teraz O-S-I! - Dziewczyna była niskiego wzrostu, ale do kosza rzucała świetnie. Panowie wymamrotali coś pod nosem, a PJ wymyśliła kolejne wyzwanie do niecodziennego rzutu.

- Jade się wreszcie odezwała - powiedziała mama. Madison odwróciła się gwałtownie.

- Czemu nic nie powiedziałaś? - Joannę wzruszyła ramionami. - Mówiłam pozostałym, zanim przyjechałaś. Zostawiła tylko wiadomość. Nie powiedziała, gdzie jest. Nie sądzę, żeby prędko wróciła.

Madison zacisnęła usta. *Beckett!* Co on jej zrobił?

- Nie powiedziała ci, co się stało?

- Nie. Ale zanosilo się na to, że prędzej czy później nas opuści. Zawsze była niespokojnym duchem. Przeczewałam, że tak się stanie. Żałuję tylko, że nic nie powiedziałam. Nie mogę znieść myśli, że jest gdzieś tam zupełnie sama.

Madison objęła mamę ramieniem.

- Jest już dorosła, mamo. Umie o siebie zadbać.

Żadna z nich nie powiedziała tego, co obie pomyślały. Jade może i była dorosła - nie była nawet najmłodsza z rodzeństwa - ale ze wszystkich McKinleyow to ona była najbardziej delikatna.

Beckett O'Reilly podprowadził sześciometrową motorówkę Bayliner Caroline do kei. Po późnym wiosennym deszczu nurt rzeki zrobił się rwący, ale niebo było już bezchmurne, a zachodzące słońce świeciło jasno, z wolna chowając się za pagórkami.

Szef podszedł do niego w doku, gdy cumował łódź. Carl Dewitt był niskiego wzrostu, a jego wystający brzuch rozchyłał koszulę w odstępach pomiędzy guzikami.

- Hej, naprawiona? - spytał.

- Mhm.

Carl pokiwał głową i uniósł swoje siwe, krzaczaste brwi, marszcząc przy tym wysokie czoło.

- Dobrze, dobrze. Klient będzie zadowolony. Jego mechanik w Tampie nie dał temu rady.

Beckett wzruszył ramionami i podał mu kluczyki.

- Siedzę w temacie od lat.

Naprawiał silniki, jeszcze zanim mógł zostać legalnie zatrudniony - bardziej z konieczności niż dla przyjemności.

Rozstali się przed wejściem do sklepu. Carl wszedł do środka, żeby zamknąć interes na noc, a Beckett poszedł do auta i zapalił silnik, który zamruczał spokojnie. Już piątek, Bogu dzięki! Cichy, spokojny wieczór z Rigsbym i ESPN, jutro krótka dniówka, a potem dzień wolnego.

Kilka minut później wjechał na żwirowy podjazd przed posesją na drugim końcu miasta. Podwórko było tak małe, że ciężko byłoby tu zaprosić choćby pchłę. Budynek był niewiele większy. Ciasny, ale własny - odkąd Beckett był małym chłopcem, to właśnie tutaj był jego dom. Działka na tyłach była trochę większa. Za oszczędności uskładane przez kilka lat udało mu się postawić tu budynek gospodarczy, który zajął większą część podwórka, ale przynajmniej teraz było na nim mniej trawy do koszenia. Był ogrzewany, przestronny i dobrze oświetlony. Nadawał się świetnie na warsztat do budowy łodzi.

Gdy Beckett otwierał drzwi, usłyszał dzwonek domowego telefonu. Rigsby, czarny mieszaniec labradora wpadł na niego w progu.

- Cześć, olbrzymie. - Mężczyzna podrapał psa za uchem, a następnie sięgnął po słuchawkę, jednocześnie ściągając z siebie roboczą koszulę.

- Halo?

- Cześć, Beckett. Tu Evan Higgins. - W głosie starego przyjaciela wyczuł niepokój.

Wymamrotał suche powitanie, jednocześnie włączając kanał ESPN.

- Jest sprawa. Mógłbyś mi pomóc? - zapytał Evan.

- Dawaj. - Evan prowadził firmę zajmującą się budownictwem ogrodowym. To on pomógł Beckettowi postawić budynek gospodarczy.

- Wystawiłem na aukcję tydzień temu lekcje żeglarstwa, ale właśnie się dowiedziałem, że będę musiał pracować w soboty. Nie wszystkie, ale większość. Ekipa z apartamentowca w Louisville wycofała się i mają spore tyły. Zostawili po sobie niezły bajzel i właściciel się wścieka. Mógłbyś mnie zastąpić jutro... i może przez kilka kolejnych sobót? Twój szef ofiarował na aukcję wynajem łodzi.

Rigsby szczechnął, spoglądając na drzwi i merdając czarnym ogonem tak mocno, że o mało nie przewrócił kubła na śmieci. Beckett wypuścił go na zewnątrz i zapalił światło na ganku.

- Jasne, nie widzę problemu. Jeśli tylko Dewitt zgodzi się, żebym się na ten czas zerwał, mogę cię zastąpić kiedy tylko trzeba.

- Jego spytałem najpierw. Ucieszył się, że może wesprzeć tak szczytny cel.

- No to świetnie. O której jutro?

- O pierwszej, w przystani. Słuchaj, wielkie dzięki. Pakiet obejmuje lekcje i udział w wyścigu z profesjonalistą. Nie bardzo miałem do kogo zadzwonić. Ta dziewczyna, która wygrała aukcję, chyba jest początkująca, więc będziesz musiał zacząć od podstaw. Na regatach płyniemy razem, więc naucz ją porządnie.

No proszę, Evan na pokładzie z amatorką. To tylko podnosiło szanse Becketta na puchar. Zachichotał na samą myśl. Evan mówił dalej.

- Hej, tylko nie ucz jej celowo, jak popełniać błędy! Beckett otworzył drzwi i wpuścił Rigsbyego z powrotem do środka.

- Bez obaw. Chętnie wygram regaty uczciwie i całkiem fair. A więc o pierwszej w przystani. Z kim mam się tam spotkać?

- Z jedną z córek McKinleyow. Tą, która jest weterynarzem. Bardzo chce się uczyć i jest bystra, więc szybko wszystko opanuje.

Dłoń Becketta zamarła na kłamce.

- Madison?

Oskarżenia, którymi zasypała go dwa tygodnie temu, wróciły, kłując go teraz ze zdwojoną siłą. Godziny sam na sam na łodzi z Madison były ostatnią rzeczą, której teraz chciał. Ona pewnie też nie będzie zadowolona z takiej zmiany planów. Ale przecież już się zgodził. Tylko czemu najpierw nie dopytał Evana o szczegóły?

- Ona o tym wie? - spytał.

- Nagrałem się na jej pocztę głosową. Na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu. Jesteś w końcu prawie tak dobry, jak ja.

Beckett zazgrzytał zębami. Wszystko, co było bezpośrednio związane z Madison, szło w złym kierunku. Najpierw randkowa pomyłka z jej siostrą, a teraz to.

- Żartowałem - powiedział Evan.

- No, wiem, tylko... zamyśliłem się. - Zacisnął mocno powieki i uszczypnął palcami nasadę nosa. Nie mógł uwierzyć, że to działa się naprawdę. Na ile lekcji właściwie się zgodził?

- Dobra, muszę już kończyć. Daj mi znać, jak wam idzie, i jeszcze raz ogromne dzięki.

- Nie ma sprawy.

Gdy się pożegnali, Beckett szybko odłożył słuchawkę na

blat i uderzył czołem o siatkę na wewnętrznych drzwiach wejściowych. Lekcje z Madison. Świetnie. Po prostu wspa-
niale! Jak będzie w stanie znieść przebywanie z nią w łodzi
sam na sam, patrzenie na nią, wdychanie jej zapachu, do-
tykanie jej?

*Boże, dlaczego to się dzieje? Przyrzekałem, że będę się trzy-
mał od niej z daleka, a teraz... Sam widzisz!*

Po raz tysięczny zbeształ sam siebie za swoją porywczą de-
cyzję sprzed dwóch tygodni. Co sobie myślał, kiedy zjawił się
w domu Madison z bukietem kwiatów w ręce tego wieczoru,
gdy miasteczko wyprawiało Bankiet Wiosennych Siewów?
Ależ to było głupie!

Przygotował sobie nawet specjalną kwestię, którą chciał
wygłosić przed Madison, ale zamiast niej to Jade otworzyła
drzwi. Spojrzała na bukiet różowych róż i jej twarz rozjaśnił
nieśmiały uśmiech. Sześć srebrnych pierścionków
zabłyszczało w świetle zachodzącego słońca, gdy jej dłoń
powędrowała w kierunku piersi.

- A więc to ty? - powiedziała.

Nie rozumiał, o co jej chodzi i nie bardzo wiedział, co
odpowiedzieć. Popatrzyła na jego koszulę i ciemne džinsy i
uśmiechnęła się, a jej oczy zaiskrzyły.

- Bankiet...?

Poczuł się jak skończony palant.

- Jade, ja...

Ale ona nagle odsunęła się od drzwi.

- Nie byłam na Bankiecie Siewów od wieków. Zaraz wracam,
tylko się przebiorę.

Była już w holu, gdy zorientowała się, że Beckett wciąż stał
na ganku. Wróciła i wpuściła go do środka.

- Przepraszam cię, wejdź proszę. Pozwól, że... A może ty mógłbyś znaleźć jakiś wazon w kuchni? Jakież one śliczne, dziękuję! - Jej policzki lśniły czerwienią.

- Jade, słuchaj, to chyba nie...

- Spokojnie, to zajmie tylko minutkę. - A potem już jej nie było.

Kuchnia Madison była perfekcyjnie wysprzątana, pachniała cytryną i drewnem sosnowym. Beckett otwierał po kolei wszystkie szafki w poszukiwaniu wazonu. I co teraz? Nie miał serca powiedzieć Jade prawdy. Nie po tym, jak zobaczył jej radość. Nie po tym, jak pobiegła do swojego pokoju, żeby się przebrać tak, jakby czekała na tę randkę całe życie.

Dureń. Czemu nie zadzwonił do Madison i nie zaprosił jej jak normalny człowiek? Albo lepiej - czemu nie schował uczuć do niej głęboko w sobie, tam gdzie ich miejsce?

Przypomniawszy sobie dokładnie reakcję Jade. Zachowała się tak, jak gdyby na niego czekała. No cóż, teraz już nie było odwrotu. Czy mu się to podobało, czy nie, szedł na randkę z siostrą Madison.

Trzasnął drzwiczkami szafki. Otworzył kolejną. Przez lata powtarzał sobie, że Madison nie była dla niego. Bo jakie niby szanse miał syn Waynea O'Reillyego u córki najbardziej znamienitej i szanowanej rodziny w Chapel Springs? Takie rzeczy się nie zdarzały. Zawsze to wiedział. A dzisiaj, ni z tego, ni z owego, dał się ponieść szaleństwu i przekonał sam siebie, że warto spróbować. I proszę, stał teraz w kuchni w domu Madison, czekając na randkę z jej siostrą. Ile ona w ogóle miała lat? Dwadzieścia jeden? Dwadzieścia dwa? Żegnajcie na zawsze, szanse na uczucie Madison.

Nie, żebyś kiedykolwiek jakieś miał, O'Reilly. Czy mogłoby w ogóle być gorzej?

- Pomóc ci w czymś?

Uniósł głowę nad stojącą szafkę, w której właśnie grzebał, i ujrzał obiekt swoich myśli. Widok Madison wchodzącej do kuchni sprawił, że usta wyschły mu na wiór. Miała piękną, ciemną karnację, puszyste włosy i wielkie brązowe oczy. Jedną z jej równiutkich brwi uniosła się.

Odzyskał mowę.

- Szukam wazonu.

Jej oczy powędrowały na leżący na blacie bukiet róż, a potem z powrotem na niego. Wstał z kolan, zacisnął zęby, a ona przeszła obok i otworzyła szafkę wiszącą nad lodówką. Miała na sobie obcisłe dzinsy i biały T-shirt, co wskazywało na to, że planuje spokojny i wygodny wieczór w domu. Czyli informacje, jakie posiadał, były prawdziwe - nie wybierała się na bankiet. Zwłaszcza z nim.

Stała na palcach, wyciągnęła szklany wazon i podała mu.

- Jestem gotowa. - Jade wśliznęła się do kuchni po tym, jak dokonała chyba najszybszej modowej metamorfozy w historii. Miała na sobie czarną zwiewną spódnicę, legginsy i top odsłaniający ramiona. - O, znalazłeś wazon. Przyniósł mi kwiaty - powiedziała do siostry.

- Właśnie widzę.

Beckett wił się pod spojrzeniem Madison. Nagle zapragnął uciec stamtąd jak najprędzej. Gdy nalewał wodę do wazonu, błagając w duchu, by leciała szybciej, słyszał, jak Jade szepce coś do siostry, ale szum zagłuszył słowa. Zresztą i tak nie chciał ich słyszeć.

Wsadził kwiaty do wazonu i postawił na blacie.

- Musimy już iść.

Rigsby szczerknął ostro. Beckett nalał mu wody do miski. Jego serce wciąż mocno biło na te wspomnienia. Próbował ocalić uczucia Jade, ale w rezultacie zrobił coś całkiem odwrotnego. I był pewien, że Madison nie pozwoli mu o tym zapomnieć, bez względu na to, czy udzieli jej tych lekcji, czy nie.

Madison stawiała się przy kei punktualnie o pierwszej. Rozejrzała się dokoła, byle tylko nie patrzeć na półtorakilometrową szerokość rzeki Ohio. Gdzieś daleko po drugiej stronie rozciągały się zielone pagórki Kentucky jaśniejące w południowym słońcu. Pomiędzy nią a odległym drugim brzegiem przewalały się setki metrów głębokiej, mrocznej wody.

Zatrzęsła się na samą myśl i przełknęła nerwowo ślinę, choć jej usta były suche jak papier. Postanowiła poszukać w torebce butelki wody. Świetnie. Została na blacie. Ziewając, wyciągnęła paczkę kawowych cukierków i wzięła dwa do ust, smakując ich czekoladową polewę, zanim je rozgryzła.

Nieopodal woda uderzała miarowo w łodzie zacumowane w porcie. Metalowe elementy dzwoniły, uderzając o siebie, a luźny materiał furkotał na wietrze.

Spojrzała na zegarek. Gdzie ten Evan? Nie znosiła spóźniania, a jej nerwy były dziś napięte jak struny gitary, co bynajmniej nie pomagało cierpliwości.

- Gotowa?

Odwróciła się na to nieuprzejme burknięcie i zobaczyła Becketta O'Reillyego. Przeszedł obok niej tak, jakby się bardzo spieszył i miał tysiąc rzeczy do zrobienia.

- Co ty tu robisz? Ledwie na nią spojrział.

- Udzielam ci lekcji żeglarstwa.

Madison otworzyła usta, ale nie znalazła słów, które mogłaby wypowiedzieć. Jej serce waliło tak, jakby podążało do jakiejś niewidocznej linii mety.

- Gdzie Evan?

- A więc jednak nie odsłuchwałaś poczty głosowej. - Beckett wszedł do łodzi. - Wskakuj! Musiał iść do pracy.

Madison skrzyżowała ramiona na piersi.

- Nie, dzięki. Poczekam do przyszłego tygodnia. Odwrócił się i obdarzył ją jednym z tych swoich uśmieszków, w który najchętniej trzasnęłaby pięścią.

- Jak tam chcesz. Ale będzie pracował teraz przez większość sobót i prosił mnie, żebym go zastępował, gdy będzie trzeba. Jeśli rzeczywiście jesteś początkująca, to będziesz potrzebowała każdej pomocy.

- Zastępujesz go?

- Jeśli trzeba.

To nie mogło się dziać naprawdę. Odwróciła wzrok i spojrzała na rzekę. Woda była dość okropna, nie mówiąc już o godzinach sam na sam z Beckettem. Zawsze doprowadzał ją do szału, jeszcze przed incydentem z Jade. Przez całą szkołę średnią robił wszystko, by ją ignorować, jakby była nosicielem jakiegoś rzadkiego wirusa. A po tamtym wieczorze w drugiej klasie ich stosunki stały się jeszcze bardziej napięte.

Beckett skrzyżował ramiona na piersi.

- To jak będzie?

Był wyraźnie zły. Może przez ten telefon dwa tygodnie temu. Może przez jej dzisiejszą nieufność. Może z obu tych powodów. Ale w jednej rzeczy miał rację: żeby przygotować się do regat, będzie potrzebowała całego lata. A *musi* się do nich przyszykować.

- No dobra. - Przyjrzała się łodzi. Była o wiele większa, niż się spodziewała. - To na pewno ta żaglówka?

- A jakiej się spodziewałaś?

- No... nie wiem. A czy żeglarstwa uczy się tak samo na każdej łodzi?

- Nie do końca. Są różne rodzaje olinowania, takielunku. Różne rodzaje łodzi w każdej kategorii.

- Takielunku?

Chciał wywrócić oczami, ale tylko spojrzął w górę.

- A czym chcesz płynąć?

- Mam siedmioipółmetrowy Folkboat.

- Gdzie?

- E... jeszcze nie gotowy.

- A więc ten słup tutaj będzie w sam raz.

Nie chciała się przyznać, ale wszystkie żaglówki wyglądały dla niej tak samo. Musiała trzymać go za słowo. Był w końcu doświadczonym i wykwalifikowanym żeglarzem. Kilka lat temu nawet wygrał regaty.

Beckett ruchem głowy zaprosił ją na pokład. Madison zasalutowała mu. *Tak jest, kapitanie!*

Łódź zakołysała się pod jej stopami. Przysiadła i chwyciła się kurczowo ciepłej barierki. Jej serce waliło jak młot, wybijając synkopowany rytm.

Pokazał Madison, jak odwiązać cumę, a potem wszedł na pokład i rzucił w jej kierunku kamizelkę ratunkową. Złapała ją niezgrabnie. Gdy zapinała klamerki, wiatr zaczął targać jej włosy. Powinna była je związać, ale teraz było już na to za późno. To było jednak najmniejsze zmartwienie. Wysłuchiwała uważnie wyjaśnień Becketta, jak uruchomić łódź, próbując wszystko dokładnie zapamiętać. Ale gdy zaczęli odpływać od kei, Madison nie umiała skupić się na niczym innym oprócz ogarniającego ją zewsząd bezmiaru wody, która z każdą sekundą robiła się głębsza i bardziej pomarszczona przez wiatr.

Dasz radę, Madison. W końcu jesteś jedną z Mckinleyów. Ulepiona z twardej gliny. Dopingowała samą siebie, aż znaleźli się na otwartej rzece.

Beckett zwolnił, a łódź zaczęła wytracać prędkość i wreszcie osiadła na wodzie.

- Będziesz tak siedzieć cały dzień czy chcesz się nauczyć wciągać żagle?

Madison uniosła podbródek, zwolniła uścisk, w którym trzymała barierkę i zaczęła powoli kroczyć w jego kierunku z nogami drżącymi na chyboczącej się łodzi. Gdy była już blisko niego, złapała najbliższą barierkę.

- Przy ustawianiu żagla ważna jest siła i kierunek wiatru. Zasadniczo można płynąć w każdym kierunku, tylko nie pod wiatr. Wtedy mówimy, że żaglówka jest w łopocie. -Potem przeszedł do objaśniania, czym jest wiatr rzeczywisty i pozorny, i omówił różne pozycje żagli.

Madison trudno było skupić się na jego słowach. Przepęłniał ją paraliżujący strach, jakiego doświadczyła już kiedyś, dawno temu na szkolnej wycieczce. Podchodził jej teraz do gardła, wypełniając ją od środka niczym ołowiana kula. Chciała jak najszybciej zejść z łodzi i znaleźć się na stabilnym, suchym lądzie. *No dalej, dziewczyno! Dasz radę!*

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? - spytał Beckett.

- No jasne - odpowiedziała automatycznie.

- To co właśnie powiedziałem?

Próbowała przewinać w głowie niewidzialną taśmę z nagraniem jego słów. Nic. Wróciła więc do ostatniego wątku, który zapamiętała.

- E... mówiłeś o baksztagu. I fordewindzie.

- To było pięć minut temu.

- Ach tak? Wybacz, że przysnęłam w trakcie twojego fascynującego wykładu. To wciągamy wreszcie te żagle czy nie? Beckett zacisnął wargi.

- No dobra. - Podeszedł do masztu i zaczął pracę. Po minucie nagle przerwał i odwrócił się gwałtownie. - A ty co?

Madison zmusiła się do tego, aby puścić barierkę. Idąc w jego stronę, łapała się, czego tylko mogła. Patrzyła, jak szarpał te wszystkie wihajstry nerwowymi ruchami z zaciśniętymi zębami i ściągniętymi brwiami, niezadowolony i obrażony na cały świat. Widać było jak na dłoni, że wcale nie chce tutaj być. W tym przynajmniej się zgadzali.

- Załapałaś? - spytał, gdy skończył wyjaśniać. Powinna była już do tego przywyknąć. W czasach liceum

jego gburowate zachowanie raniło jej uczucia, nawet trochę przerażało, zważywszy na jego nienajlepszą reputację. I chociaż szczenięce lata miała dawno za sobą, Beckett i tak wyprowadzał ją z równowagi.

- Słuchaj no - wypaliła. - Mnie też się wcale to nie podoba. Licytowałam lekcje z Evanem Higginsem, a nie z tobą.

Ale muszę nauczyć się żeglować i popłynąć w regatach, zapłaciłam uczciwie, więc może spróbujesz wreszcie dorosnąć i czegoś mnie nauczyć!

- Może nawet by mi się to udało, gdybyś przestała w końcu zaciskać ręce do białości na wancie.

Automatycznie zwolniła uścisk. Palce bolały ją od tak długiego wysiłku.

- Słuchaj, to nie ma sensu - powiedział. - Nie dasz rady stać na pokładzie i prowadzić dwutonowej łodzi, jeśli boisz się wody.

Czyli nie udało jej się tego przed nim ukryć.

- A właśnie, że dam. Muszę się nauczyć.

- Zrobisz krzywdę sobie albo komuś innemu. Wystarczy, że stracisz koncentrację na sekundę, bom przeleci przez łódź i już po tobie.

- Dobra, czaję. Naprawdę, rozumiem. Spróbuję jakoś przezwyciężyć... mój strach. - Nie chciała użyć słowa *lęk*.

Wskazał gestem na jej zaciśnięte dłonie.

- Tak niczego cię nie nauczę. - Jej palce znowu otaczały wantę. Najwyraźniej cały czas się bała. Zwłaszcza teraz, gdy przepływająca obok motorówka wprawiała ich łódź w kołysanie. Oddech zamarł jej w płucach, ramiona zeszywniały, a ona sama znieruchomiała, choć serce waliło jej jak oszalałe.

Beckett odwrócił się i zaczął demontować to wszystko, co przed chwilą instalował.

- Co robisz?

- Zabieram nas z powrotem.

- A co z moją lekcją?

- Skończona.

Pomyślała o swoich koszmarach sennych, które nasiliły się w ostatnim roku. Budziła się przez nie zlane potem. Była wykończona. Pomyślała o regatach: o Michaelu i jego już raz zaprzepaszczonym marzeniu. Drugi raz na to nie pozwoli. Przyrzekła sobie, że da radę wygrać.

- Jak chcesz. Zaczekam na Evana.

- Nikt niczego cię nie nauczy w takich warunkach, moja droga. Evan powie ci to samo.

Puściła wantę i gdy Beckett przechodził obok niej, złapała go za ramię. Było twarde i mocne.

- Proszę. Muszę wziąć udział w regatach. Muszę. - Dla Michaela. Dla siebie. Nie umiała zebrać się na to, by powiedzieć o tym Beckettowi. Nie chciała jego litości, tylko pomocy. Potrzebowała jej. Coś zakłuło ją w oczach, które wypełniły się łzami. Głupi wiatr. Mrugnęła powiekami, wściekła na to, jak krucha i bezbronna się poczuła.

Wzrok Becketta nieco zmiękł, ale brwi wciąż pozostały złączone.

- Nauka żeglarstwa to najmniejsze z twoich zmartwień, Madison. Musisz przezwyciężyć lęk przed wodą, a to zajmie trochę czasu. A jeśli chodzi o wygraną... Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, ilu doświadczonych żeglarzy weźmie udział w regatach i jakie oni mają łodzie?

- Ale to wyścig handicapowy...

- Spróbuj za rok.

- Nie! - Puściła jego ramię i znowu złapała wantę. - W *tym* roku. Muszę to zrobić w tym roku.

Przed ich dwudziestymi siódmymi urodzinami. Poza tym nie mogła dłużej żyć z tą olbrzymią, zionącą pustką dziurą w sercu. Jeszcze jeden rok pełen koszmarów i tego okropnego... niepokoju. Ile to już lat utrata Michaela nie dawała jej

spokoju? Nie, zamierzała wreszcie położyć temu kres i ukoić ból raz na zawsze.

O nie, tylko nie to, tylko nie łzy. Beckett odwrócił wzrok. Płaczące kobiety zawsze sprawiały, że czuł się bezbronny. A łzy Madison... były jak mocny cios prosto w brzuch. Popatrzył z powrotem na jej twarz i natychmiast tego pożałował. Między gęstymi rzęsami drgała łza. Zacisnął pięść, by powstrzymać się przed jej otarciem.

- Dam radę. Na pewno. Tylko potrzebuję pomocy. - Jej głos drżał. Zupełnie jak gdyby należał do innej Madison. Nie tej, którą znał: silnej i...

Weź przestań, O'Reilly! Pomyśl. Jesteś jej to winien. Dobrze o tym wiesz.

Ale tutaj nie mógł jej pomóc, tego był pewien. Z tym niebezpieczeństwem to nie był żaden żart. Nie wybaczyłby sobie, gdyby coś jej się stało.

Beckett wiedział co nieco o lęku przed wodą. Był znany z tego, że uczył pływania własnego dziadka. W wieku sześćdziesięciu dwóch lat dziadzio O'Reilly uznał, że najwyższy czas pokonać strach. W wakacje po trzeciej klasie liceum Beckett sprawił, że dziadek pływał jak ryba - na rok przed tym, jak zdiagnozowano u niego Alzheimera.

- Zrobię wszystko - powiedziała Madison. - Tylko powiedz, co.

Jej mokre brązowe oczy wytrąciły mu oręż z ręki. *Boże, to nie fair. Nie zniosę tego. Muszę być jakieś granice.* Popatrzyła na niego z nadzieją. Pokładała ją w nim - cóż za błąd. A jednak poczuł, że dzięki temu serce mu rośnie. Bardzo chciał sprostać jej oczekiwaniom, a poza tym był jej to winien. Nigdy nie spłaci długu, który u niej zaciągnął, ale może przynajmniej spróbuje. Przykrył żagiel, ominął ją i odszedł.

- Beckett? - zawołała za nim z nutką desperacji w głosie. Zamknął oczy i zgrzytnął zębami. Jutro będzie tego bardzo żałował. Cholera, już tego żałuje.

- Przyjdź w przyszłą sobotę nad zatoczkę Boulder Creek. Koło Trailview Lane, przy rozjeździe. Wiesz gdzie?

- Boulder Creek?

Rozluźnił się nieco, zanim się odwrócił.

- Jeśli mam cię nauczyć żeglować, najpierw musisz się nauczyć pływać.

Madison przetrząsała gorączkowo zagracony pokój, ale nigdzie nie mogła tego znaleźć. Krople deszczu waliły o dach. Nie - to Michael, to jego pięści uderzały o szybę w oknie. Miał na głowie białą czapkę żeglarską i wołał Madison po imieniu. Nie słyszała go, tylko dostrzegała ruchy jego warg. Jego twarz widziana przez szybę była blada i rozmyta. Musiała to znaleźć zanim nadejdzie burza. Ale w pokoju był taki bałagan! Szukała pod stołem, w szufladach i pod krzesłem. Gdzie to jest?

Teraz rzeczywiście rozpadał się deszcz i krople stukały w dach.

- Pospiesz się! Nadchodzi! - odczytała z ust brata.

Po szybie płynęły strużki wody, ale nie zamazywały widoku jego twarzy. Krew intensywnie pulsowała w jej żyłach, gdy rozglądała się po pokoju. W życiu nie znajdzie tego w tym bałaganie. I nagle usłyszała huk. To ściana wody zbliżała się z łoskotem.

- Pomocy! - Madison krzyknęła, ale Michael jej nie słyszał.

Nikt nie mógł jej usłyszeć, bo usta miała zakneblowane tak mocno, że aż się dławiła. Przebiegł ją dreszcz paniki. - Ratunku!

Otworzyła gwałtownie oczy i ujrzała ciemność. Jej serce waliło tak, że aż drżały sprężyny w materacu, oddech był płytki i szybki. Przymknęła powieki i przetrzała dłonią spocone czoło. Tylko nie to, znowu to samo. Kiedy to się skończy? Cały czas, w kółko i od nowa. Czego ona tam szuka? To bez sensu. *Niech to się skończy. Boże, spraw, żeby to się skończyło. Błagam, już dość!* Gdy tylko wypowiedziała słowa modlitwy, od razu zapragnęła je cofnąć. Przecież to wszystko przez Niego. Mógł powstrzymać taki bieg wydarzeń, gdyby tylko zechciał. Ale nie chciał!

Madison obróciła się na bok i zrzuciła kołdrę, chłonąc świeże powietrze. Na podłodze u jej stóp dało się słyszeć delikatne chrapanie. To Lulu - jej suczka rasy border collie. Przynajmniej ona spała dziś spokojnie.

Madison nie miała nawet kostiumu kąpielowego. Nie zamoczyła stopy w niczym głębszym niż wanna, odkąd ukończyła dwanaście lat. Nie było więc nic dziwnego w tym, że jej serce dudniło niczym silnik działający na najwyższych obrotach, a nogi miała jak z waty, gdy szła przez gęsty iglasty zagajnik w sobotnie południe. W oddali na wprost błyszcziała w popołudniowym słońcu tafla wody.

Zamiast walczyć z drżeniem nóg, postanowiła, że rozłoży ręcznik dobre trzy metry od brzegu i zatopi się w trawie. Evan dzwonił do niej wcześniej w tym tygodniu, by

dowiedzieć się, jak poszła jej pierwsza lekcja. Objąsniła mu, że ma niewielkie opóźnienie, a on kazał jej zadzwonić, jak tylko będzie gotowa wrócić do nauki.

Spoglądała na usłaną świetlistymi iskrami wodę, a jej nerwy zdawały się wystrzeliwać ostrzegawcze race. Co ona tu robi? I, co ważniejsze, dlaczego Beckett to dla niej robi? To pytanie chodziło jej po głowie przez cały tydzień. To wykraczało znacznie poza warunki pakietu, który wygrała na aukcji. I jeszcze bardziej poza zwykłą koleżeńską przysługę oddaną zapracowanemu przyjacielowi. Za ofertą Becketta mogło stać tylko jedno: poczucie winy. Cokolwiek zrobił Jade, miał w sobie na tyle przyzwoitości, by czuć się winnym. Po raz setny Madison zastanawiała się, gdzie jest jej siostra, jak daje sobie radę, czy ma pracę? Stłumiła ziewnięcie. Z powodu tego nocnego koszmaru nie mogła zasnąć przez ładnych kilka godzin. Śpiąca, ale zbyt przestraszona, że sen powróci, wstała, włączyła telewizor i wykończyła przed nim kubek lodów orzechowych.

Podciągnęła kolana pod brodę, zastanawiając się, jak głęboka jest woda, jak to jest, gdy otacza cię i napiera ze wszystkich stron, jak to jest w niej tonąć. Przeszedł ją dreszcz.

Kiedyś już chciała nauczyć się pływać. Tata uczył ją, gdy była mała, a potem Michael próbował drugi raz, kiedy mieli po dwanaście lat.

Wciąż miała go przed oczami, jak stoi w wodzie i nakłania ją, by weszła za nim.

- No chodź, Madders, tu nie jest nawet głęboko.

Posłuchała. Uczucie wody liżącej jej kostki, a potem łydki, było okropne. Ale zmusiła się, by iść dalej, aż do kolan, potem do bioder. Dzień wcześniej padało i woda była mętna.

Nie widziała swoich kolan, a co dopiero dna.

- Nie chcę tego robić. - Jej niepokój był nieracjonalny, dobrze to wiedziała, ale ta wiedza nie sprawiła, że ją opuścił.

Brat wziął ją za drżącą rękę.

- Przyjemne, nie?

Tego dnia było ponad trzydzieści stopni i w głębi duszy wiedziała, że Michael ma pewnie rację.

- No chodź - powiedział. - Przecież nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

Zawsze ją chronił. W szkole i przed pozostałym rodzeństwem. Był jej bratem bliźniakiem, częścią niej samej. Ale strach, który odczuwała, był silniejszy niż rzeczywistość.

Wyrwała się i zawróciła w kierunku suchego brzegu.

- Nie mogę. Po prostu nie mogę.

Szła, gwałtownie rozpryskując wodę, złakniona znajomego uczucia twardej ziemi zamiast paskudnego, śliskiego błota pod stopami. Gdy była już na brzegu, pospiesznie chwyciła swoje dżinsowe szorty i próbowała założyć je na mokre biodra. Nawet nie spojrzała na brata, który też wyszedł z wody.

- W porządku, Madders. Spróbujemy innym razem.

Z zamyślenia wyrwał ją szmer silnika. Wspomnienia sprawiły, że stała się jeszcze bardziej podenerwowana. Musiała stoczyć walkę z własnymi ograniczeniami. Jej spojrzenie wróciło na taflę wody, która w dole rzeki obijała się o skały i docierała aż tutaj, do szerokiej zatoczki w kształcie misy. Po przeciwległej stronie zamykała ją wklęsła ściana skalna. Uwięziona tam stojąca woda miała barwę krystalicznego błękitu, a na drugim końcu przedzierała się między głazami, tworząc wąski strumień, dołączający dalej do nurtu rzeki.

Już chciała zrezygnować, ale było za późno. Usłyszała kroki Becketta na ściółce za swoimi plecami.

- Cześć - powiedział, mijając ją i rzucając ręcznik na ziemię przy brzegu. Madison zmarszczyła brwi. Beckett miał na sobie dżinsy i robocze buty. A wyobrażała sobie, że wejdzie razem z nią do wody. Choć ta myśl była dość przerażająca, jeszcze gorsze byłoby wchodzenie do wody całkiem samej.

- A ty... ty nie wchodzisz?

- Przyjechałem prosto z pracy - mówiąc to, ściągnął buty i skarpety, a potem dżinsy. Madison odwróciła głowę. Poczowała falę ciepła, która nie miała nic wspólnego z promieniami słońca palącymi jej policzki. Gdy przysiadł na trawie, zebrała się na to, by podnieść wzrok. Miał czarne kąpielówki i białą koszulkę. Wsadził stopy do wody i wskazał miejsce obok siebie.

Madison wstała, zsunęła sandały i opuszczała się na półkę skalną w bezpiecznej odległości.

- Zaczniemy powolutku - powiedział Beckett. Był dzisiaj podejrzenie miły.

Zanurzyła stopy po kostki w wodzie. No proszę. Nie było to takie złe. Woda była tu głęboka tylko na jakieś trzydzieści centymetrów. Madison dostrzegała piaszczyste dno i wijące się nad nim kijanki. Zamknęła oczy i wzięła głęboki wdech. Sosny. Ziemia. Męski, piżmowy zapach.

- Jestem pod wrażeniem. Mój dziadek potrzebował trzech lekcji, by dojść tak daleko.

- Serio? - Pewnie tylko próbował podnieść jej pewność siebie.

- Niedługo będziesz pływać.

Prychnęła. Chyba nie wiedział, z jak ciężkim przypadkiem miał do czynienia. Nie miał pojęcia, ile razy już próbowała.

- Jak ci idzie w lecznicy? Zapracowana?

Przejrzała jego zamiar odwrócenia jej uwagi, ale skorzystała z tej szansy tak, jak gdyby rzucił jej koło ratunkowe.

- Nie jest źle. Tym bardziej, że to jedyna lecznica dla zwierząt w mieście. Dawno nie przyprowadzałeś Rigsbyego. Chyba już pora go zaszczepić.

- Nawet chciałem go zabrać dzisiaj ze sobą. Uwielbia wodę, ale...

Posłała mu cierpki uśmiech. Rigsby był bardzo żywiołowym psem. Zachowywałby się jak słoń w składzie porcelany.

- No, to nie najlepszy pomysł.

- Pielęgniarka mojego dziadka mówiła, że przyniosłaś mu w tym tygodniu kota.

Raz w tygodniu, wieczorem, Madison zabierała ze schroniska jednego zwierzaka i zanosila go do domu Countryside Manor. Starsi ludzie cieszyli się na widok psiego lub kociego pyszczka, a zwierzętom też dobrze robiło to, że ktoś poświęcał im uwagę.

- On chyba woli psy, za kotami nie przepada.

- Przez wiele lat miał basseta. Dziadek czasem mnie nie pamięta, ale jakaś część jego umysłu wciąż pamięta Bosco.

Dziadek Becketta praktycznie wychował jego i Laylę. Ich ojciec co rusz wracał za kratki, zwykle za drobne przewinienia. Beckett, rzecz jasna, wdał się w niego. Mieszkając w tak małym miasteczku, jak Chapel Springs, po prostu wie się takie rzeczy.

- Alzheimer musi być uciążliwy.

- Tak, dla wszystkich. - Stał w wodzie i zdjął koszulkę. Madison odwróciła wzrok, ale zbyt późno, by umknął jej widok napiętych mięśni jego brzucha. Jego koszulka upadła na trawę obok niej. Zrobił kilka kroków naprzód, a woda zamoczyła mu nogawki spodenek kąpielowych. Jego szerokie barki zwężyły się w dół do wąskiej talii, a skóra nabrała w słońcu miedzianego odcienia.

- Masz ochotę stanąć?

Madison popatrzyła w dół. Woda sięgałaby jej tu do łydek, ale dalej dno opadało coraz głębiej. O nie, nie miała ochoty stawać.

- Jasne. - Podsunęła się do krawędzi. - Tylko powolutku, dobrze? - Jej głos drżał i wcale jej się to nie podobało.

- A myślisz, że umiałbym cię zmusić, żebyś zrobiła coś, czego nie chcesz?

Madison stała już na nogach. Palce jej stóp zatapiały się w pochyłe dno. Woda chlupała o jej kolana.

- Jak... jak głęboko jest o, tam? - Wskazała podbródkiem środek zatoczki.

- Nie bardzo. Może do klatki piersiowej.

- Twojej czy mojej?

- Twojej. Ale dzisiaj nie pójdziemy dalej, zostaniemy przy brzegu.

Madison rozluźniła się na tę myśl. Tutaj nie było dużo głębiej niż w wannie. Gdyby tylko umiała zapomnieć o tej całej wodzie... o, tam!

Beckett nabrał wody w dłonie i zmoczył ramiona, a potem przeskoczył do przodu na głębokość brzucha. Ugiął kolana i zniknął pod powierzchnią, po czym wynurzył się z pluskiem. Tani popis.

- To opowiedz mi o tej swojej żaglówce.

- Jest stara. W kiepskim stanie.

Beckett podszedł kilka kroków w jej stronę. Stróżki wody spływały po jego karku i ramionach. Zastanawiała się, czy trenował, czy nabrał takich mięśni przez ciężką pracę. A potem zastanowiła się, dlaczego właściwie się nad tym zastanawia.

Gdy się zbliżył, odwróciła wzrok. Z któregoś z pobliskich drzew dał się słyszeć krzyk lelkowca. Lekka bryza zaszumiała w gałęziach i wywołała gęsią skórę na jej ramionach.

- A propos regat. - Oczy Becketta zwęziły się. - Tak na serio to chyba nie sądzisz, że wygrasz, co nie?

- Tak właściwie to... właśnie na to liczę.

- To będzie niesamowicie trudne, nawet z Evanem. Będzie silna konkurencja. W tym na przykład ja.

- Ty mnie tylko naucz wszystkiego, co sam wiesz, i nie martw się o resztę.

Usiadł na dnie jakiś metr od niej, a woda sięgała mu do żeber.

- To taki jest mój następny krok? Beckett wzruszył ramionami.

- Jeśli chcesz.

Że niby co - miała przed nim stchórzyć? Przykucnęła, a jej serce przyspieszyło. Woda otuliła jej biodra. Zmoczyła ręce, przeciągając tę chwilę. Czowała suchość w ustach i oddychała płytko. Kiedy zabrakło jej wymówek, usiadła w wodzie, która sięgała jej do piersi, naciskając na płuca z miążdżącą siłą.

Jestem w domu, siedzę w wannie. To tylko kąpiel.

Tylko że tutaj woda wydawała się być żywym, oddychającym organizmem. Lizała jej ramiona i ciągnęła za włosy.

Zmusiła się, by wciągnąć powietrze do płuc i potem je wypuścić. I jeszcze raz. I jeszcze...

- W porządku?

Z całej siły starała się zachowywać normalnie i była na siebie wściekła za to, jak kiepsko jej to wychodziło. Zwłaszcza na oczach Becketta.

- Maddy?

- *Madison* - wycodziła przez zęby.

W jej żyłach buzowała adrenalina, która sprawiła, że zaczęła drzeć na całym ciele. Nienawidziła tego uczucia. Z całego serca. To dlatego przestała próbować. Czowała, że się dusi.

- Oddychaj. Jestem przy tobie.

Skupiła wzrok na skale na przeciwległym brzegu, z której jakimś cudem wyrastało drzewo. Do lelkowca dołączyła swoim głośnym i ostrym krzykiem modrosójka błękitna.

Wszystko w porządku. To tylko woda.

Czowała delikatne kołysanie fal, które ciągnęły ją to w przód, to w tył. Wbiła dłonie w dno w poszukiwaniu czegoś, czego mogłaby się złapać, ale jej palce zaczęły zatapiać się w piasku.

I wtedy na jej ramieniu spoczęła dłoń, której dotyk sprawił, że poczuła się stabilniej.

Miała wrażenie, że Beckett ją pogania. Powiedział, że zostaną przy brzegu, ale gdy sobie to wyobrażała, nie sądziła, że będzie siedzieć po pachy w wodzie.

- Powiedziałeś, że nie będziemy się spieszyć. - *Madison* zaczęła szczekać zębami, więc złapała się za usta.

- Idzie ci świetnie. Po prostu oddychaj.

Najchętniej by mu powiedziała, żeby się odwalił. Chciała zabrać jego dłoń ze swojego ramienia, ale potrzebowała jej, a to tylko bardziej ją denerwowało. Czemu to się dzieje?

Dlaczego z nim? Nigdy w życiu nie czuła się taka krucha, ale była zbyt przerażona, by to ukrywać. Przy Michaelu było zupełnie inaczej niż teraz z Beckettem, który pewnie śmieje się w duchu z jej słabości. Wielki, nieustraszony Beckett, ryzyko to jego drugie imię. A ona tu przy nim siedzi w kałuży i traci zmysły z przerażenia. Chłopak musi mieć niezły ubaw.

Poczuła, jak łzy napływają jej do oczu i zacisnęła zęby.

O rety, przecież nie pozwoli, żeby patrzył, jak płacze. Przełknęła nerwowo ślinę.

Beckett ścisnął jej ramię.

- Spokojnie. Nic ci się nie stanie. Obiecuję. Zorientowała się, że znalazł się bliżej niej. Czy przez to

czuła się gorzej, czy lepiej? Już sama nie wiedziała. Wdech, wydech. I jeszcze raz. Ciepło jego dłoni przechodziło przez jej skórę i wypełniało ją aż do kości, a jej ciężar pewnie przyciskał ją do dna. Rozluźniła palce, wypuściła z nich piasek i wyciągnęła ręce przed siebie. Podkuliła kolana tak, że wystawały ponad powierzchnię wody. Udało się jej! Udało się tak po prostu siedzieć i odprężyć.

Beckett zabrał dłoń.

- Widzisz? Nic ci nie jest.

Nie wyglądało na to, żeby się śmiał. Miał głęboki i ciepły głos, który był dla jej uszu niczym aksamit. Jej serce wciąż waliło, ale już trochę słabiej. Może rzeczywiście jej się uda i będzie coraz łatwiej. Ośmieliła się spojrzeć na Becketta. W jego rzęsach widać było kropelki wody, przez co surowa twarz nabrała nieco chłopięcego wyglądu. Odwzajemnił jej spojrzenie swoimi wielkimi czarnymi oczami, tajemniczymi niczym bezksiężycowa noc. Nie było w nich ani krzty

rozbawienia. Raczej coś przypominającego troskę. Ale to przecież nie mogło być to. Bardziej bał się, że wyleje na niego zaraz kubek zimnej wody. I to dosłownie.

Odwróciła wzrok, bo zdała sobie sprawę, że serce znowu wali jej o żebra, ale tym razem z całkiem innego powodu. Co się z nią dzieje? Przecież to Beckett O'Reilly. Powinna się bać, że sam ją utopi, a teraz patrzy na jego długie rzęsy i... umięśnione ciało. Pewnie strach miesza jej w głowie. Wspomnienie tamtego wieczoru sprzed wielu lat nagle do niej powróciło. To chyba wtedy coś jej się pomieszało. Wcisnęła tę myśl pod wodę i trzymała tam, dopóki ostatni bąbelek nie wypłynął na powierzchnię.

Patrzyła w taflę zatoczki, przyglądając się, jak chłodne fale uderzają o jej skórę. Chciałaby być w domu. Albo na spacerze z Lulu. Ale była tutaj, w wodzie, i zastanawiała się, co gorszego jeszcze się wydarzy. Zerknęła w stronę Becketta.

- To co, O'Reilly, jakie atrakcje jeszcze dla mnie przygotowałeś? Chińskie tortury wodne? Przytrzymywanie mojej głowy pod powierzchnią, aż stracę oddech? A może wrzucisz mnie na środek zatoki i sprawdzisz, czy utonę, czy może jednak nie?

Odpowiedział jej krzyk modrosójki, który sprawił, że poczuła się paskudnie.

- Nie jestem potworem, Madison.

Beckett często wpadał w kłopoty, ale prawdą było, że nigdy nikogo nie skrzywdził. Przynajmniej Madison nie słyszała, żeby tak się zdarzyło. Tak właściwie to przez ostatnie kilka lat do jej uszu dotarło niewiele plotek o nim. Wiedziała tylko, że próbował ułożyć sobie życie od nowa. Poza tym przyszedł tu po to, żeby jej pomóc. Przygniotło ją nagle poczucie winy.

Przełknęła dumę. Kiedy któryś z McKinleyow się mylił, umiał się do tego przyznać.

- Przepraszam cię. Ten strach wyzwała we mnie najgorsze instynkty.

Nazwała rzeczy po imieniu. I tak nie dałby się nabrać.

Poczuła na sobie jego wzrok i zalała ją aż po szyję fala ciepła wywołana przez podziw w jego oczach. Zastanawiała się, o czym myśli. Czy wspomina ten wieczór, kiedy ją pocałował, czy było to tak niewiele znaczące wydarzenie, że dawno o nim zapomniał.

- Każdy się czegoś boi - powiedział miękko.

Tylko nie on. Beckett nie bał się nauczycieli ani dyrektora w szkole średniej. Nie bał się policji ani poprawczaka. Nieraz patrzyła, jak ścigał się ślizgaczem po rzece z prędkością, która przyprawiała ją o zawroty głowy. A już na pewno nie bał się tego, co powiedzą ludzie. Odwróciła się w jego stronę, nagle zdając sobie sprawę z tego, jak niewiele wie o dorosłym Beckettcie.

- A ty czego się boisz?

Zawiesił na niej wzrok. Przez moment coś zabłyszczało w jego oczach, coś, co sprawiło, że chciała zajrzeć w nie głębiej. Coś, co bardzo zapragnęła zrozumieć. Ale wtedy mrugnął i to coś zniknęło. Gdy się odwrócił, na jego usta padł cień. Wstał, a krople wody kapały na jej ramiona. Fala wody, którą wytworzył, uderzała o jej klatkę piersiową, ciągnąc ją w przód, a potem w tył. Objęła się ramionami.

Beckett patrzył w czyste, błękitne niebo. Zmrużył oczy, by dojrzeć jastrzębia pikującego i lądującego na gałęzi wysokiego dębu.

- Na dziś wystarczy - powiedział i wyszedł na brzeg. Madison podniosła się szczęśliwa, że może wreszcie wyjść z wody. Beckett zarzucił sobie ręcznik na ramiona i podniósł z ziemi ubranie. Nie powinna była zadawać mu tak osobistego pytania. Ale sama czuła się krucha i potrzebowała towarzystwa. Czy to takie straszne?

- Słuchaj - powiedział. - Może nic z tego nie będzie. Nie będzie? A co z lekcjami, za które zapłaciła? Przecież powiedział, że nie nauczy jej żeglować, dopóki nie przełamie strachu przed wodą. *A to przecież jasne* - pomyślała, oglądając się przez ramię - *że ja ciągle się jej boję.*

Kto inny mógłby nauczyć ją pływać? Jej najlepsza przyjaciółka Cassidy pewnie powiedziałaaby: *Wskocz do tej wody i przestań jęczeć!* Mama bała się tak samo, jak ona; tata miał ręce pełne roboty; Ryan już pomagał jej w każdej wolnej chwili. PJ wróci do domu na wakacje, ale ona była żywiołowa i impulsywna - Madison nie chciała, by jej życie zależało od kogoś takiego.

- Wiem, że proszę cię o wiele... jeśli nie chcesz, to... pewnie znajdę kogoś innego. Ale wydaje mi się, że wiesz, co robisz, i naprawdę będę ci wdzięczna, jeśli przez kilka tygodni poświęcisz mi czas. Wtedy dam radę się tego nauczyć.

Nie była do końca pewna, czy przekonuje jego, czy samą siebie. Beckett przyglądał się jej uważnie. Jego spojrzenie wywołało w niej falę ciepła. Owinęła ręcznik wokół ramion, zmuszając się, by wciąż patrzeć mu w oczy. Gdyby tylko umiała odłożyć na bok przeszłość i skupić się na tym, czego pragnęła w tej chwili. To było przecież najważniejsze. Cały czas mieć przed oczami cel tego wszystkiego.

- No dobra. - Beckett popatrzył w bok i westchnął. - To do przyszłej soboty. - Okej.

Zniknął w zagajniku, zostawiając po sobie ślady bosych stóp odbite w ściółce z sosnowych igieł.

Beckett był w ostatniej klasie, gdy pierwszy raz zauważył Madison. Był chłodny wrześniowy wieczór, a drużyna Chapel Springs High podejmowała u siebie Columbus Bulldogs. Beckett stronił od ludzi i nigdy nie chodził na mecze. Ale tego wieczora zaciągnął go tam kumpel, zadurzony w jednej z trzecioklasistek.

Siedzieli z Pruittem za trybunami, zastanawiając się, czy po meczu urządzą imprezę, czy może odmalować staremu Weineckerowi dom niebieską farbą, którą mieli w bagażniku. Tuż przed końcem pierwszej połowy doszli do porozumienia, że najlepiej byłoby coś przekąsić. Tym dopingował rozgrywającego, zadzwonił dzwonek. Powietrze przepięknie było zapachami - jesiennych liści i skoszonej trawy - ale to woń popcornu pobudzała zmysły Becketta.

Wypatrzył ją w kolejce, kilka osób przed sobą. Stała z przyjaciółką i śmiała się z czegoś tak melodyjnie, że zapragnął, by dziewczyna znowu powiedziała coś zabawnego. Jej szeroki uśmiech odsłaniał rząd idealnie białych zębów otoczonych pełnymi wargami, które były wprost stworzone do tego, by je całować.

Zarzuciła głową, a jej lśniące brązowe włosy opadły na smukłe ramiona. Czerwony sweter otulał ciasno jej sylwetkę, a modne dzinsy uwydatniały długie nogi.

- Kto to jest? - Wskazał ją podbródkiem. Pruitt podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Ta brunetka? Znasz ją. To Madison McKinley. Jest w drugiej klasie. Niezła laska z niej wyrosła, nie?

Beckett zmarszczył brwi. Ostatnim razem, gdy widział Madison, nosiła dziewczęce buciki i aparat na zębach. Od tego czasu dojrzała. Rety, i to jak!

Nie mógł odwrócić od niej wzroku, zwłaszcza gdy zaśmiała się znowu. Miała najpiękniejszy uśmiech ze wszystkich jakie kiedykolwiek widział. Kiedy podeszła do okienka i oparła łokcie na ladzie, jego gardło wyschło na wiór. Teraz będzie musiał kupić też colę.

- Nawet o tym nie myśl, stary. Ona jest z McKinleyow. Wzorowa uczennica, samorząd, wiceprzewodnicząca... Nie masz u niej szans.

- A ty co, wykułeś jej życiorys na pamięć? Pruitt wzruszył ramionami.

- Tylko ci mówię.

Beckett może i miał kiepską reputację, ale dziewczyny do niego lgnęły. Głównie jednak te o buntowniczej naturze, czyli nie całkiem w stylu Madison. Jej rodzina była silna i stabilna, a ojciec był w Chapel Springs kimś takim, jak Charles Ignalls z *Domku na prerii*.

Odeszła od lady, sącząc colę przez słomkę. Kiedy mijala Becketta, jej wzrok przebiegł po jego twarzy, a potem się na niej zatrzymał. Wypuściła słomkę z ust i patrzyła na

niego, co sprawiło, że przebiegł go dreszcz od czubka głowy aż po dziury w skarpetkach. Pruitt miał rację, Madison była z innego świata, ale nie potrafił zmusić się, by przestać na nią patrzeć. Wytrzymała jego spojrzenie przez długą chwilę, a potem przyjaciółka szturchnęła ją i szepnęła jej coś do ucha. Madison odwróciła się i odeszła, nie oglądając się więcej.

Po tym, jak Beckett ją zauważył, widział ją dosłownie wszędzie. Mijała go na przerwie między trzecią i czwartą lekcją przed salą od biologii. Przed lunchem przechodził obok jej szarki, a jeśli spędził odpowiednio dużo czasu pod swoją szafką przed siódmą lekcją, mógł zobaczyć, jak wchodzi na salę gimnastyczną. Czasem ona też go zauważała i wtedy na jej twarzy pojawiał się śliczny rumieniec.

Nie wiedział za bardzo, dlaczego właściwie nie chce do niej zagadać. Dziewczyny rzadko dawały mu kosza, ale nawet jeśli to się działo, to nie przejmował się tym. Jednak sama myśl, że Madison mogłaby go odesłać z kwitkiem, mroziła mu krew w żyłach.

Pewnego wrześniowego wieczoru ojciec Becketta oznajmił, że znalazł im dodatkową pracę. Jako przestępca musiał brać taką robotę, jaką mu oferowano, a Beckett się dostosowywał. Latem czasami pracował przy naprawie silników, ale ostatnio mieli problem ze znalezieniem tymczasowego zajęcia. Najwyraźniej reputacja O'Reilly ego szła zawsze o jeden krok przed nim.

Beckett zamarł, gdy w następną sobotę ojciec podjechał pod farmę McKinleyow.

- To tutaj mamy pracować?

Ojciec wbił w niego wzrok.

- A co, może do takiej roboty jesteś za dobry?

Beckett przyjrzał się budynkowi na końcu podjazdu. Takie domy oglądało się w filmach, a bohaterowie żyli w nich długo i szczęśliwie. Zbudowany z białego drewna, stał na zielonym pagórku, miał dwa piętra i werandę, która otaczała go ze wszystkich stron. Była tu nawet drewniana huśtawka i paprotki. Na podwórzu przed domem rosły drzewa o grubych, niskich gałęziach, uginających się jakby pod ciężarem jesiennych liści.

Błagam, oby nie było jej w domu.

Pracowali cały dzień w prażącym słońcu, ale Beckett mógłby to robić nawet całą dobę, gdyby tylko ktoś dał mu pewność, że Madison nie zobaczy go tu pośród imigrantów, pracującego za minimalną stawkę.

Gdy po skończonej dniówce wsiedli z ojcem z powrotem do samochodu, Beckett drwił sam z siebie. Czy naprawdę myślał, że wpadnie na nią tutaj? Miałaby pracować ramię w ramię z najemnymi robotnikami ojca, czy jak? Pewnie siedziała w domu i malowała paznokcie albo dopracowywała mowę, którą miała wygłosić z okazji przyjęcia do jakiegoś zaszczytnego towarzystwa ludzi wielce zasłużonych.

Chwilę później ojciec niespodziewanie skręcił w kierunku domu na wzgórzu.

- Gdzie ty jedziesz?

- McKinley'owie stawiają pracownikom kolację. Taka umowa. Fajnie, co?

Becketta zmroziło.

- Gdzie, w domu?

- Chyba w ogrodzie. Nie zmieścilibyśmy się wszyscy, nawet w takim pałacu.

Beckett zacisnął nerwowo pięści.

- Ale ja muszę do domu. Ojciec popatrzył na niego.

- Dom nie zajac, kolacja ważniejsza. Nie przegapię domowego żarcia, a McKinley'owa podobno zna się na garach.

Beckett wiercił się w siedzeniu. Pocił się na dziesięć sposobów. Otworzył lusterko. We włosach miał włókna kukurydzy, na litość Boską. Wyciągnął je, przetarł twarz brudnymi dłońmi i klapnął lusterko z powrotem, oddychając nierówno.

Kiedy weszli na podwórze za domem, rozejrzał się w poszukiwaniu Madison, ale zobaczył tylko mężczyzn, z którymi pracował przez cały dzień. Dwa stoły piknikowe, nakryte kraciastymi obrusami i plastikową zastawą, zajmowały centralną część ogrodu. Dookoła rosły kwiaty, winorośl i drzewka iglaste, a pomiędzy nimi wiła się wybrukowana ścieżka. Nawet na podwórku czuł się niezręcznie w zabłoconych butach i brudnym ubraniu.

Opadł na ławkę między swoim ojcem a wielkim, cichym kolesiem, którego poznał dziś rano. Drzwi skrzypnęły i pojawiła się pani McKinley z garnkiem w rękach. Za nią z domu wypłynęli pozostali członkowie rodziny. Ryan, najstarszy, niósł większy garnek. Za nim szły dwie młodsze siostry, których imion nie pamiętał: cyganeczka i ta wesolutka z końskim ogonem.

Błagam, nie. Tylko nie Madison. Nie tutaj. Nie w taki sposób.

Zaklinanie nic nie dało - Madison pojawiła się następna, a w krok za nią - jej brat bliźniak. Beckett zauważył tylko jej granatowy T-shirt i białe szorty, zanim odwrócił wzrok, usiłując się skurczyć i ukryć za swoim ojcem.

Może tylko postawią jedzenie i sobie pójda. Patrzył spod rzęs

na Madison. Postawiła na drugim stole kosz z pieczywem. Pan McKinley wstał, odchrząknął i odmówił modlitwę, po której rodzina zaczęła nakładać jedzenie. Ku przerażeniu Becketta, Madison szła w kierunku jego stołu. Położył na blacie łokieć i przykrył dłonią czoło. Może go nie zauważy. Okrążyła stół, proponując każdemu jedną albo dwie bułeczki.

Stała teraz za ojcem Becketta. On był następny. Serce biło mu mniej więcej na wysokości gardła. Ktoś coś powiedział, a Madison odpowiedziała swoim melodyjnym śmiechem. Potem stanęła tuż przy nim, ocierając się łokciem o jego ramię.

- Proszę się częstować.

Beckett zacisnął zęby. Świetnie. Po prostu wspaniale. Opuścił dłoń i odwrócił się, ale nie umiał zdobyć się na to, by spojrzeć jej w oczy. Po jego karku wspinało się coś gorącego.

- Poproszę dwie - jakimś cudem jego głos brzmiał normalnie. Bez śladu drżenia, które wypełniało jego wnętrze.

- Cześć! - powiedziała, wzdychając.

Kiwnął głową, mając nadzieję, że brud na twarzy ukrył jego rumieniec. Zamarła na jedną niezręczną sekundę, po czym poszła dalej. Przez resztę posiłku patrzył tylko na swój talerz, ale cały czas doskonale wiedział, gdzie jest Madison.

To, jak go częstowała, było urocze, ale tylko utwierdziło go w przekonaniu, że byli od siebie zbyt różni. Byłby durniem, gdyby próbował się z nią umówić. Durniem i idiotą.

Od tamtego momentu usiłował jej nie zauważać. Ale im bardziej się starał, tym częściej ją widywał. Patrzył, jak śmieje

się z przyjaciółmi, jak pomaga komuś z zadaniem, jak zagrzewa szkolną drużynę do gry. A im więcej widział, tym bardziej się zakochiwał.

Rok później przypieczętował swój los. Jeśli wcześniej była choć isierka nadziei na jakąś przyszłość z Madison, zgasił ją raz na zawsze tamtego gorącego, letniego wieczora.

Madison podała przerażonego cocker spaniela kobiecie w średnim wieku, gdy ta zapłaciła za wizytę przy biurku Cassidy.

- Pa, pa, Princesso! - powiedziała do psa, a potem zwróciła się do właścicielki: - Proszę pamiętać o wacikach podczas kąpieli.

- Oczywiście. Chodźmy, skarbie. - Kobieta ruszyła w kierunku drzwi.

- Tylko nie zapomnij o tym - szepnęła Cassidy, podając Madison krople do uszu.

O rety, jak mogło jej to umknąć? Dogoniła kobietę i wręczyła jej lekarstwo.

- Proszę dać znać, jeśli nie poprawi się jej w ciągu kilku dni.

Pani Princessy pożegnała się, po czym wyszła z lecznicy, cały czas szepcząc czule do zwierzaka. Jej rude włosy zlewały się z lśniąca sierścią psa, gdy oddalała się chodnikiem kaczym krokiem.

Madison zwróciła się do Cassidy:

- Dzięki. Ostatnio ciągle coś wylatuje mi z głowy. - Zniżyła głos. - Doktor Richards prosił mnie, żebym zastąpiła go jutro, a ja zapomniałam!

-Ups!

- Dziś rano zobaczył mój grafik i domyślił się, że zawałam. Mogłabyś przenieść kilka moich wizyt na inne terminy?

- Jasne.

Cassidy Zimmerman była jej najlepszą przyjaciółką, odkąd tylko Madison pamiętała. Jej włosy, na co dzień poddane rządowi prostownicy, podniosły dzisiaj dziki bunt z powodu dużej wilgotności powietrza. W przerwie na lunch związała je w kucyk, który teraz tworzył na jej głowie coś w rodzaju ogona puszystego psa rasy chow chow.

- Aha, a mój dziadek ma wizytę w piątek, o dziesiątej -powiedziała Madison - więc jak będziesz do niego dzwonić z potwierdzeniem, to nie zapomnij odjąć jednej godziny.

- Ty i ta twoja szalona rodzina...

- Nigdy nie twierdziłam, że jesteśmy normalni.

Kiedy w stanie Indiana wprowadzano czas letni, dziadek McKinley postanowił, że mu się nie podporządkuje. Wszyscy inni przestawiali zegary o godzinę do przodu wiosną, ale on nie ruszał wskazówek swojego. Zimą wszyscy chodzili na wieczorne nabożeństwo, ale latem dziadek przychodził w samą porę na poranne. I z jakiejś przyczyny wszyscy, w tym lecznica, dostosowali się do jego zwyczaju.

- Masz pacjenta w dwójce. - Cassidy włożyła paragon do szufladki i zamknęła kasę, unosząc brwi. - Zgadnij kto to?

- Tylko nie Bernie Schmidt! - szepnęła Madison. Bernie miał z pięćdziesiąt lat, ale to nie przeszkadzało mu w tym,

by podrywać Madison za każdym razem, gdy przyprowadzał do niej Flossy, czyli o wiele za często.

- Nie.

- W takim razie nieważne kto to, byle nie on. - Wzięła kartę od Cassidy i poczuła na sobie spojrzenie uśmiechniętej przyjaciółki, gdy skanowała wzrokiem notatki.

- Aha!

Przywołała na twarz uśmiech, który miał wyrazić pewność siebie.

- No i dobrze! Rigsby miał zaległości w szczepieniach.

-Ruszyła do gabinetu.

- Mnie nie oszukasz, panno McKinley! - zawołała za nią Cassidy.

Za zakrętem Madison wzięła głęboki wdech, uniosła głowę i dopiero wtedy powoli weszła do środka. Rzuciła okiem na Becketta, czytającego plakat o robaczycy serca, zanim Rigsby podbiegł niezdarnie w jej kierunku, stukając pazurami o wykafelkowaną podłogę.

- Siad! - Beckett złapał smycz w samą porę. Potem przygwoździł Madison spojrzeniem swoich czarnych oczu. -Sorry.

- To było do przewidzenia. W końcu to młody samiec. Madison popieściła chwilę mieszańca i zaczęła badanie

ogólne. Beckett jak zwykle zachowywał się wyniośle. Rzadko przyprowadzał do niej Rigsbyego i zawsze spóźniał się na zastrzyki.

Trzymał go nieruchomo, podczas gdy Madison sprawdzała jego uszy. Pies był niespokojny, zdyszany i zaśliniony. Za to jego właściciel, który zbliżył się do niej, gdy objął zwierzątko w mocniejszym uścisku, był męski, pachnący i umięśniony.

- Siad, Rigsby. - Niski głos Becketta wpłynął do jej ucha. Skończyła badanie tak szybko, jak umiała, po czym zagłębiła się w lekturze karty pacjenta, jakby od tego, co było tam napisane, zależało jej życie.

- Przegapiliście termin szczepienia na wściekliznę. Bierze leki na robaczycę?

- Kończą mi się.

- Poproszę o nie Cassidy. Zaraz wracam.

Ulżyło jej, gdy wyszła z gabinetu. Nie miała pojęcia, dlaczego on tak na nią wpływa. Musiała coś z tym zrobić. Pomiedzy lekcjami pływania i żeglarstwa będą się widywać bardzo często przez całe lato. A on wyraźnie jej unikał i, poza tamtym jednym wyjątkiem, dawał jej jasno do zrozumienia, że mu się nie podoba. *Jak widzisz, twoje zadurzenie jest trochę żalosne. I nie zapominaj o tym, co stało się z Jade.* Wciąż nie otrzymała odpowiedzi na ten temat. Dlaczego wciąż musiała sama sobie o tym przypominać?

Wróciła kilka minut później ze szczepionką, wstrzyknęła psu domięśniowo jeden mililitr i podrapała przyjaznego kundla za uchem.

Gdy Beckett zwolnił uścisk, pies zaczął się gramolić, stanął i zamerdał ogonem, uderzając nim w ścianę.

- Już po wszystkim - powiedziała Madison do Rigsbyego. - Nie było tak źle, co?

- Najgorsze było siedzenie bez ruchu.

Madison pogłaskała psa ostatni raz i otworzyła drzwi.

- Cassidy da wam leki na robaczycę. Pa, Rigsby! Cześć, Beckett!

Pospiesznie wyszła z gabinetu i wśliznęła się do swojego ciasnego biura i zatrzasnęła drzwi. Słyszała, jak Beckett i

Cassidy gawędzą przy ladzie rejestracji. Rigsby szczerknął, a oni wybuchnęli śmiechem. Zdjęła stetoskop i fartuch lekarski. Cóż, on teraz już chyba przez jakiś czas tu nie przyjdzie, chyba że pies zachoruje. Co oczywiście nie załatwiało sprawy pływacko-żeglarskiej.

Usiadła za biurkiem i przejechała palcami po jego zaokrąglonych krawędziach. Uwielbiała je. Znalazła je po szkole weterynaryjnej w *Babcinym Poddaszu*, sklepie z antykami prowadzonym przez jej mamę. Ciemne drewno mahoniowe, artystyczne zdobienia i ciężkie szuflady w wykwintny sposób syciły jej zmysły.

Ktoś zastukał w drzwi.

- Już poszedł - powiedziała Cassidy. - Możesz wyjść ze swojej kryjówki.

Wciąż siedząc na krześle, Madison trzasnęła mocno dłonią w drzwi, tak że otwały się na oścież.

- Wiesz co, czasem praca i przyjaźń to nie najlepsza mieszanka - westchnęła.

- Przyznaj, że beze mnie byłabyś zgubiona.

- Pozostawię to bez komentarza. Cassidy wzruszyła ramionami.

- Wiem, co widzę.

Madison skrzyżowała ramiona na piersi i przesunęła wzrok z twarzy Cassidy na burzę włosów na jej głowie.

- O, zdaje się, że wreszcie pada?

Przyjaciółka spojrzała na nią z udawanym oburzeniem.

- Cios poniżej pasa, panno McKinley.

Przeszła obok Madison i przysiadła na krawędzi biurka.

- To jak, dowiedziałaś się, co się wydarzyło pomiędzy nim i Jade?

Madison grzebała w torebce w poszukiwaniu balsamu do ust.
- On nic nie mówi, a z nią nie ma kontaktu...

Od kiedy Jade wyjechała, w domu panowała okropna cisza. Nikt nie grał na gitarze, nie było słycać tupotu stóp zadziwiająco głośnego, jak na tak drobną posturę dziewczyny. Jade była świetną współlokatorką, dbała o czystość, służyła przyjacielską radą. Jej niestandardowy sposób myślenia pomógł Madison rozwiązać niejedyn problem.

- Przecież dzwoniła do twoich rodziców, więc wiesz przy najmniej, że nic jej nie jest. A Jade zawsze była zaradna, chyba nie zaprzeczysz.

Delikatna, ale zaradna - cała Jade. Pracowała w lokalnej kawiarni i przekonała właściciela, żeby latem pozwolił jej w weekendy grywać tam na gitarze. Jej wynagrodzeniem były napiwki, z których w sezonie turystycznym umiała uskładać całkiem przyzwoitą sumkę.

- Chyba nie myślisz, że ją skrzywdził? - zapytała Cassidy. Madison wrzuciła gwałtownie balsam z powrotem do torebki i opadła na krzesło.

- Coś się stało. Znam Jade, nie wyjechałaby bez powodu. Gdybyś ją widziała tamtego wieczoru, gdy wychodzili... Nigdy nie widziałam jej takiej szczęśliwej. Już od jakiegoś czasu dostawała liściki od cichego wielbiciela. Chyba wysyłał je Beckett.

Cassidy zmarszczyła brwi.

- Jade i Beckett? Jakoś tego nie widzę.

- No, zjawił się pewnego dnia i zaprosił ją na bankiet, ni z tego, ni z owego. I przyniósł różowe róże, takie same, jakie dostawała od swojego cichego wielbiciela.

Madison przypomniała sobie Becketta w swojej kuchni, bukiet kwiatów na ladzie, zarumienioną Jade szykującą się do wyjścia. Nawet teraz nie zaprzeczyłaby, że poczuła wtedy ukłucie zazdrości. Ależ marna z niej siostra. Jade tak długo

była nieszczęśliwa, Madison powinna się cieszyć, że wreszcie jej twarz się rozjaśniła.

- I nic ci nie powiedziała po powrocie do domu?

- Poszłam do sklepu i potem wstąpiłam do kawiarni. Gdybym tylko została w domu, porozmawialaby ze mną. Przekonałabym ją, żeby została.

- Nie obwiniaj się.

- Nie obwiniam siebie, tylko Becketta. Zawsze, gdziekolwiek się pojawiał, były z tego kłopoty.

- Hej, bądź fair. Może i sprawiał problemy w ogólniaku... Madison posłała jej ostre spojrzenie.

- ...okej, i jeszcze przez parę lat później. Ale już taki nie jest. Nawet chodzi ze mną do kościoła.

- Beckett? - Madison miała problem z wyobrażeniem go sobie w takim miejscu jak kościół. Nie, żeby miała w tym temacie coś do powiedzenia. Ależ oczywiście, chodziła do kościoła. Przecież była córką McKinleyow. Ale według niej religia nie wносиła wiele dobrego. Zwłaszcza dla Michaela.

- Kosi trawnik przed kościołem co tydzień - powiedziała Cassidy. - W ostatnią niedzielę naprawił starego forda pani Barkley na parking, i to w ulewnym deszczu. Całkiem za darmo.

- Dobrze, dobrze, jest wzorem cnót! Co mam ci powiedzieć? Cassidy wykrzywiła wargi.

- Przyznaj, że możesz się mylić.

- Niemożliwe. - Madison odgarnęła włosy z oczu.
- Masz rację, to bardzo mało prawdopodobne. Ale ciii, daj chłopakowi szansę.

- Może i bym dała, gdyby mi powiedział, co się stało.

- To pewnie było jakieś nieporozumienie, czy coś w tym stylu. Może nie miało to nic wspólnego z Beckettem. Słuchaj no, jakoś nie widzi mi się, żeby mógł teraz zrobić coś nieprzyzwoitego. Już nie. On się zmienił, mówię ci.

I to wszystko dzięki Bogu, tak? Madison tego nie rozumiała. Jej rodzice - tak, Ryan też, Michael tak samo, Cassidy - a teraz najwyraźniej nawet Beckett - też to rozumieli. Czego jej brakowało? Niczego. Zupełnie niczego. Była przecież dobrym człowiekiem. Wolontariuszką w domu opieki. Weterynarzem, który za darmo leczył zbłąkane psy i koty. Pomocną sąsiadką. Po co jej wiara, jeśli ma siebie i rodzinę, na której może polegać?

Stłumiła ziewnięcie, czując brzemień zbyt wielu nieprzespanych nocy. Czegóż by nie oddała za miłą, długą drzemkę!

- Wyglądasz na zmęczoną.

- Chyba dziś wcześniej się położę.

- No to powodzenia. A, słuchaj, idę ze Stew na kolację. Może zechcesz się do nas przyłączyć? On mógłby zaprosić Doktora Cudownego. Chyba że wolisz zmienić zdanie w sprawie Becketta.

Doktor Drew Landon był najnowszym członkiem personelu szpitala Riverview General. Według chłopaka Cassidy, był żywo zainteresowany poznaniem Madison.

- Muszę wziąć Lulu na przebieżkę, a potem mam randkę ze szczeniakiem i tuzinem geriatryków.

Cassidy zeskoczyła z biurka.

- Och, jakie ty wiesz ciekawe życie.
- Zazdrościsz mi. Pozdrów Stew.
- Jasne. Do jutra.

Gdy Cassidy wyszła, Madison sprawdziła zamek głównych drzwi lecznicy i upewniwszy się, że jest zamknięty, wyszła tylnym wyjściem.

Kiedy Beckett przybył nad Boulder Creek, Madison siedziała już po pachy w wodzie.

- Patrzcie, patrzcie! - powiedział.

- Hej - odparła, skupiona na spokojnej tafli wody. Lulu podbiegła do Becketta, machając czarnym ogonem, a on przyjaźnie ją pogłaskał. Gdy zdejmował ubranie, suczka wróciła na miejsce na trawie przy brzegu, niedaleko swojej pani.

Madison przyjeżdżała w tym tygodniu nad zatoczkę już trzy razy, zdeterminowana, by jak najszybciej mieć to za sobą. Umiała już siedzieć w wodzie i nie wariować ze strachu. Raz zmoczyła nawet włosy. Bez wątpienia Beckett przygotował dla niej dziś wymyślniejsze tortury. Wchodził teraz do wody coraz głębiej, aż doszedł na środek zatoczki i cały się zanurzył. Gdy ukazał się z powrotem nad powierzchnią, jego umięśniony tors błyszczał niczym figura Posejdona odlana z brązu.

- Gotowa wejść trochę głębiej?
- Jak bardzo *trochę*? Uniósł brew.
- Może poza linię brzegu?

Serce Madison podskoczyło na samą myśl. Leżąca nieopodal Lulu westchnęła głęboko.

- Może.

Wyobraziła sobie samą siebie, jak wstaje, idzie pewnym krokiem w dół po pochyłym dnie, a woda wspina się po jej nogach, brzuchu... Wyobraziła sobie, że brodzi swobodnie w kierunku Becketta.

No, jasne.

Beckett gapił się na nią z rękami opartymi na biodrach i zadartą głową. No dobrze, niech mają to za sobą. Madison wstała i powoli wyruszyła w podróż, którą przed chwilą sobie wyobraziła, z pominięciem pewności siebie, zrelaksowania i spokoju. Świadoma jego spojrzenia na swoim ciele, odkleiła od skóry brzucha mokrą koszulkę - wydała dźwięk podobny do młaśnięcia.

- Świetnie ci idzie.

Woda sięgała jej teraz do ud. Była *gęsta* i ciągnęła ją za nogi.

- Tu jest uskoku. - Beckett podszedł bliżej i wyciągnął rękę.

Chwyciła jego dłoń i pozwoliła zamknąć swoją w jego silnym uścisku. Badała stopami dno w poszukiwaniu uskoku. Jest. Wymacała go palcami i powoli zeszła w dół. Woda sięgała jej teraz do talii.

Skupiła się na tafli wody, marszczącej się i błyskającej pod wpływem ich ruchów. Wzięła wdech, po czym uwolniła powietrze w drżącym wydechu.

Dasz radę, Madison. Właśnie DAJESZ radę.

- Zuch dziewczyna! - Beckett wciąż trzymał ją za rękę, a ona nie narzekała. Zrobił krok w tył, prowadząc ją na głębszą wodę, która podeszła jej na wysokość żołądka.

- Może wystarczy? To już naprawdę daleko. - Cienki, piskliwy ton, którym to powiedziała wydał jej się okropny. Jemu to dobrze! Woda sięgała mu tylko do talii. Ileż ona by dała, by być piętnaście centymetrów wyższa!

- Gratulujemy! Dotarła pani do najgłębszego punktu.

- To gorzej już nie będzie?

- Nie będzie głębiej.

- A... - Gorzej byłoby znaleźć się *pod* wodą.

- Miałaś dobry tydzień? - Ton głosu Becketta był niski i spokojny. Znowu próbował odwrócić jej uwagę.

- Raczej tak. Pracowity.

Woda wokół nich uspokoiła się, tafla wygładziła się i błyszczczała. Madison spojrzała w dół. Ledwie umiała dojrzeć jego stopy na piaszczystym dnie.

- Czemu zostałam weterynarzem? Wzruszyła ramionami.

- Zawsze kochałam zwierzęta. Tata narzekał, że przyprowadzałam do domu zbłąkane stworzenia z całego hrabstwa. Miałam niezłą menażerię.

- Chyba długo trzeba to studiować. Ile? Osiem lat? Przytaknęła.

- Ale zaczęłam uczęszczać na zajęcia w collegeu jeszcze w drugiej klasie liceum.

- Kujonka.

Ich dłonie pod wodą były wciąż złączone. Czowała dokładnie jego dotyk, jego grube palce wokół jej. Rozluźniła uścisk i wtedy on ją puścił.

Dała radę. Im bardziej będzie sama siebie naciskać, tym szybciej wyzbędzie się tego paskudnego lęku. I tym szybciej nauczy się żeglować.

- A skąd masz psa?

Madison spojrzała w kierunku brzegu, na suczkę collie wylegającą się na słońcu.

- Lulu? Znalazłam ją na ulicy w czasie studiów...

- ...na Uniwersytecie Cincinnati. *To rzeczywiście małe miasteczko.*

- Kulała i miała zakażenie oka. Była moim pierwszym pacjentem. Nie odnalazłam jej właściciela, więc trzymałam ją w pokoju w akademiku.

Jego brwi uniosły się tak wysoko, że zniknęły pod mokrą grzywką.

- A czy to przypadkiem nie wbrew przepisom?

- Potrafię czasem łamać zasady. Dla dobra sprawy, nie tak po prostu, jak co niektórzy...

- Ludzie się zmieniają.

Madison przypomniała sobie, co mówiła o nim Cassidy, że chodzi do kościoła i tym podobne. Posłała mu przelotne spojrzenie.

- Może i tak. - Ale z doświadczenia wiedziała, że to rzadkość.

Poruszyła rękami w wodzie, próbując przyzwyczać się do tego, jak jasne, grube i ociążałe jej się przy tym wydawały.

- Ugnij kolana i zanurz się trochę głębiej. - Beckett zaprezentował ruch, aż jego podbródek dotknął powierzchni. Chyba musiał zrobić pełny przysiad, żeby to się udało.

Zgięła kolana, a woda zaczęła wspinać się po jej piersiach,

obojczykach. Gdy sięgnęła szyi, Madison zatrzymała się. Zamknęła oczy, łapiąc oddech. Mogłaby przysiąc, że jej serce bije tak mocno, że zaraz wywoła fale.

Niepokój pełzał w niej niczym robak, szarpiąc jej nerwy. Pragnęła wstać, wrócić na suchy ląd, ale Beckett chciał, by dała z siebie więcej.

- Świetnie ci idzie, Madison. Dobra robota. Zaraz pogłaszczę ją po głowie.

- Nie mów do mnie jak do psa.

- Woda to twoja przyjaciółka. - Usłyszała w jego głosie kpinę, wyrwała rękę spod wody i chlapnęła mu w twarz. Siła odrzutu pchnęła ją do tyłu i straciła równowagę. Runęła. Próbowwała łapać dłońmi powietrze, wodę, ale nie miała czego chwycić.

Beckett wyciągnął do niej rękę. Chwyciła je, próbując odzyskać równowagę. Serce waliło jej o żebra jak oszalałe. Otworzyła usta, by zaczerpnąć powietrza i spojrzała na niego wściekła. Woda kapała mu z nosa i podbródka.

- No, no, moja panno. Nie gryź ręki, która cię karmi.

Zrobiło jej się przyjemnie, gdy słyszała, jak mówi te czułe słowa swoim spokojnym, aksamitnym tonem. Pewnie tej samej sztuczki użył z Jade, zanim zrobił jej to, co zrobił.

Wyrwała się z jego uścisku.

- Nie jestem *twoją panną!*

- Jaka szkoda. Gotowa na pełne zanurzenie?

Zanim zdążyła przetrwać pierwszą część, druga już rozdziawiła jej usta.

- Że co?

- Raz już to zrobiłaś. - Popatrzył na mokre kosmyki jej włosów wijące się wzdłuż ramion.

- Tylko zanurzyłam głowę do tyłu.

- Na jedno wychodzi.
- Absolutnie, zdecydowanie nie!
- Spróbujemy pomału.
- Tak mówiłeś tydzień temu. - A teraz stali na środku rozlewiska i mieli się zanurzyć w wodzie. Spojrzała w dół. Może i widziała swoje stopy, ale woda i tak była mętna.

- Nie musisz, jeśli się boisz.

No nie. Może jeszcze będzie z nią tu grał w jakąś szczeniacką grę na wyzwania? Zacisnęła zęby, by ukryć dźwięk, który wydawały, podobny do zastawy filizanek w jadącej furgonetce.

- Jestem przy tobie. Weź głęboki wdech i zanurz twarz w wodzie. Możesz mnie złapać za ręce. - Wyciągnął dłonie w jej kierunku. Zaczęła je odpychać, ale przypomniała sobie swój poprzedni gwałtowny ruch i zmieniła zdanie.

Ignorując jego wyciągnięte dłonie, spojrzała na wodę i rozluźniła zaciśniętą szczękę.

- W dół czy do przodu? - Jej głos drżał.

- Jak chcesz.

Ani jedno, ani drugie! *Dasz radę, Madison. Tylko szybkie zanurzenie, jak w wannie. Woda jest czysta, odświeżająca.* Gdyby myślała tak bardzo intensywnie, może poczułaby, że to prawda?

Pogapiła się przez chwilę w wodę. *To nie zabolę, jest bezpieczna.* W końcu wzięła długi, głęboki wdech, złapała palcami nos i zanurzyła się w dół, aż cała jej głowa znalazła się pod wodą. Czowała jak napiera na twarz, jak wpływa jej do uszu, jak wydaje głośnie, bulgoczące dźwięki. Wskoczyła na powierzchnię, wypuszczając powietrze z płuc

i nabierając w nie łąpczywie tlenu.

Wytarła twarz mokrymi rękami i odnalazła spojrzeniem szeroko otwarte oczy Becketta.

- Zadowolony?

Jego usta uniosły się w rzadkim, szerokim uśmiechu. Chyba był dumny czy coś w tym stylu? Starła się ze wszystkich sił nie pozwolić na to, by to spojrzenie koło jej zszargane nerwy. Zdecydowanie bardziej wolałaby teraz być wściekła.

- Świetnie. No to jeszcze raz.

- No i jak ci idą lekcje żeglarstwa? - Mama podała Madison półmisek z burgerami. Zmierzch spowił podwórze cieniem. Powiew wiatru zaszumiał w gałęziach drzew, ochładzając powietrze.

Siedzący obok Madison dziadek nałożył sobie łyżkę kurydzy na talerz, po czym poprawił okulary na nosie.

- Lekcje żeglarstwa? - spytał ze zdziwieniem.

- Madison startuje w tym roku w regatach - wyjaśniła PJ, masując sobie skronie.

- Przywiozę ci później wieczorem tę łódź, jak chcesz - zaproponował Ryan.

- Jasne. Muszę zacząć nad nią pracować. - Madison spojrzała na mamę. - Właściwie, to teraz szlifuję naukę pływania.

- Pływania?! - zdziwił się tata. - Nie sądziłem, że dożyję tej chwili.

Mama utkwiała w niej przenikliwe spojrzenie.

- Wszystko dobrze, skarbie? Wyglądasz na zmęczoną.

- Wszystko w porządku.

- Pewnie boi się zasnąć - rzekł tata. - Ma senne koszmary odkąd była dzidziusiem. - Puścił oko do mamy, a Ryan złapał spojrzenie siostry

- Skąd mogłam wiedzieć, że nauczy się przewracać na brzuch akurat wtedy, gdy jeden jedyny raz położyłam ją na kanapie? Poza tym nie spadła wtedy z wysoka. - I tym razem powtarzana za każdym razem wymówka na niewiele się zdała. Ojciec nigdy nie pozwoli jej o tym zapomnieć.

- Nie martw się, mamó - powiedziała PJ, wciąż pocierając skronie. - Madison tylko lekko się poobijała. To z mojego powodu powinnaś mieć największe wyrzuty sumienia. Do czasu gdy się pojawiłam, zabawa zapalkami była dozwoloną formą zajęć pozalekcyjnych. No i gdzie się podziały moje zdjęcia z dzieciństwa?

- Biedne dziecko! - odpalił Ryan. - Mnie nie wypuszczali z domu do osiemnastki!

- Boli cię głowa, skarbie? - spytała Mama PJ.

- Trzeci dzień z rzędu.

- Chcesz aspirynę?

- Już wzięłam. Obawiam się, że coś jest nie tak.

Siedzący po drugiej stronie stołu Daniel wywrócił oczami. Ich przyszywany brat myślał to samo, co wszyscy: PJ zawsze uważała, że coś jest nie tak.

- To pewnie guz mózgu - podsunął Ryan. Mama trzepnęła go w ramię.

- To nie jest śmieszne - powiedziała z wyrzutem. PJ skrzywiła się do Ryana.

- Ale ci będzie głupio, jeśli rzeczywiście tak jest.

- A nie mówiłaś, że rzuciłaś kofeinę? - spytała Madison.

- No, tak. Od wtorku. Kiedy o tym myślę, to czuję się lekko

zamroczona. Może wpiszę swoje objawy w Google...

- Ależ z ciebie hipochondryczka - powiedział Ryan.

- A propos kofeiny, mam jej cały dzbanek, jeśli ktoś ma ochotę - dodała mama.

- Ooo... - PJ przygryzła wargę, patrząc na Madison. - Ty na pewno chcesz, prawda? I dasz mi malutkiego łyeczka?

- To kto cię uczy tego pływania, Madison? - spytał dziadek, na moment zmieniając temat.

- Em... Beckett O'Reilly. - Madison naładowała na swojego burgera łyżkę majonezu, błagając w myślach, by wrócili do bezpieczniejszego tematu guzów mózgu.

- O'Reilly? - Daniel zmarszczył brwi. - A to nie ten, który przegnał Jade?

- Skarbie, nie wiemy tego na pewno - odparła mama, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Ja też niejedno o nim słyszałem - wtrącił tata - i nie wiem, czy mi się to podoba, Madison.

Dziewczyna poszukała wzrokiem niebieskich oczu mamy i odnalazła w nich wsparcie.

- Thomas, spokojnie. Ludzie się zmieniają. Chłopak jest już dorosły.

Grymas na twarzy ojca nie ustąpił. Madison odwróciła wzrok.

- Powiedział, że nie nauczy mnie żeglować, jeśli najpierw nie nauczę się pływać.

- No, jak dla mnie to brzmi całkiem mądrze - rzekł dziadek. - Za moich czasów ojciec brał cię nad bajoro i wrzucał do wody. Dlatego wszyscy nauczyliśmy się szybko pływać.

To był główny powód, dla którego to nie dziadek uczył ją tej trudnej sztuki.

- Myślałam, że lekcje daje ci Evan Higgins - dociekała mama.
- Evanowi spadło na głowę mnóstwo roboty i pomaga mu Beckett.

- Powiedział ci kiedyś, co się wydarzyło tego wieczora z Jade? - spytał Daniel z troską w oczach. Zawsze bardzo lubił Jade, nazywał ją *pętakiem* i ciągnął za włosy.

- Nie, ale w końcu to z niego wyciągnę.

- Lepiej uważaj - powiedział tata. - Może popytam o niego tu i tam...

- Tato!

Ryan ugryzł olbrzymi kęs burgera, gdy zapiszczał jego pager. Po chwili pisk wydało też urządzenie Daniela.

Jako strażacy ochotniczej straży pożarnej w jednym momencie zerwali się na równe nogi i z burgerami w dłoniach ruszyli w kierunku aut. Gdy rodzina życzyła im powodzenia, Madison zauważyła, jak oczy mamy zamykają się, a jej usta bezgłośnie wypowiadają słowa modlitwy.

Dwie godziny później Madison pomagała Ryanowi doprowadzić przyczepę z łodzią na podjazd pod jej domem. Wezwanie dotyczyło niegroźnego wypadku samochodowego i jej brat szybko był z powrotem.

- Trochę w lewo... jeszcze trochę... jeszcze metr... Okej, tak dobrze!

Ryan wysiadł z pick-upa i przykucnął, aby odpiąć przyczepę.

- Dobrze, że masz taki długi podjazd.

Ryan poczochnął czarno-białą sierść Lulu, gdy suczka przycisnęła mu swój mokry nos do twarzy.

Madison stała i gapiła się na starą łódź Michaela. Na jej podjeździe wyglądała na gigantyczną, a w świetle nieosłoniętych żarówek zamocowanych na ścianie domu wydawała

się bardzo stara. Samo patrzenie na nią było przytłaczające. Pod względem estetycznym przedstawiała opłakany widok, ale Michael twierdził, że jest solidna, a on na pewno się nie mylił. Taką przynajmniej miała nadzieję.

Odprowadziła Ryana z powrotem do auta.

- Dziękuję, że ją przywiozłeś - powiedziała, zatrzymując się przy otwartym oknie pojazdu.

- Liczę na to, że wiesz, co robisz. Posłała mu krzywy uśmiech.

- Tak po prawdzie, to nie za bardzo.

- Jak cię znam, to coś wymyślisz. Daj znać, jeśli będę mógł się na coś przydać.

- Dzięki. - Oparła łokieć o krawędź szyby. - Co tam w pracy? Nie spieszysz się, co?

- No, nie mam dziś żadnej randki, jeśli o to pytasz. - Ryan posłał jej swój czarujący półuśmiech.

- Gdzieżby! Ja? - odpowiedziała Madison kpiąco.

Umawiała go już z kilkoma swoimi koleżankami. Wszystkie myślały, że jest ideałem faceta, ale jemu ciężko było się na którąś z nich zdecydować. Czekał na kogoś wyjątkowego i, prawdę powiedziawszy, zasługiwał na *wyjątkową* kobietę.

Jego wzrok powędrował w kierunku domu. Nie patrzył jednak na odświeżone kremowe ściany ani na odmalowane niebieskie okiennice - jego uwagę przykuły ciemne okna i ogłuszająca cisza panująca na podwórku.

- Wszystko u ciebie w porządku?

Madison wiedziała, że komentarz mamy na temat jej prze-męczenia, nie przejdzie bez echa. Wiedziała też, że makijaż nie jest już w stanie zasłonić ciemnych sińców, które ma pod oczami.

- Sny przychodzą teraz częściej. - Nazwanie koszmaru *snem* wydało jej się mniej dramatyczne.

- Cały czas śni ci się to samo?

Przytaknęła. Jade wiedziała, że od czasu do czasu śnią jej się koszmary. Nie dało się ukryć tego przed kimś, kto spał tuż za ścianą. Ale tylko Ryanowi Madison zwierzyła się ze swojego problemu.

- On odszedł, Mad - powiedział miękko Ryan. - Wiem, że go kochałaś. Wszyscy go kochaliśmy, ale musisz się z tym pogodzić.

- Myślisz, że nie próbowałam? Gdybym tylko mogła zrozumieć, dlaczego to się stało. Od początku nie daje mi spokoju to, że nie wiemy dokładnie, jak umarł.

- Skoczył z klifu, doznał wstrząśnienia mózgu i zmarł -wyrecytował Ryan. - To wszystko jest w raporcie z autopsji, siostrzyczko.

- Ale Michael taki nie był! Był rozsądny. Wyobrażasz sobie, że mógłby zrobić coś tak szalonego? Dla mnie to nie ma żadnego sensu.

- Może powinnaś poszukać pomocy, Mad. Pogadać z kimś.

- Gadam z tobą.

- Wiesz, o co mi chodzi. Może pastor Adams? Mnie pomógł nie raz, nie dwa w ciężkich czasach.

Pastor był ostatnią osobą, z którą chciałyby rozmawiać, ale nie powiedziała tego Ryanowi. Poza tym koszmary skończą się już wkrótce, gdy tylko wygra regaty.

- Miewaliśmy identyczne sny, wiedziałeś? - zapytała.

- Ty i Michael?

- No... - Uśmiechnęła się. - W jednym tygodniu oboje śni-
liśmy, że lecimy nad zaśnieżonym polem, a raz nawet mieliśmy
identyczny sen tej samej nocy. Innym razem obojgu nam się
śniło, że mamy na sobie fioletowe buty. Dziwaczne.

- Bliźniaki tak mają. Chyba. A śniło się wam kiedyś coś
takiego, co męczy cię teraz?

Madison pokręciła głową.

- To się zaczęło po jego śmierci.

Ryan wystawił łokieć przez otwarte okno.

- Może przez stres związany z odejściem Jade zdarza ci się to
częściej.

- Możliwe. Martwię się o nią.

- Wiem. Ale to już duża dziewczynka.

- Nie sądziłam, że kiedyś zacznie samodzielne życie. Gdzie
ona mieszka? Pewnie kończą jej się pieniądze. Nie miała wiele
oszczędności.

- Modłę się za nią. Mam nadzieję, że wkrótce wróci. Bardzo
się to odbija na mamie. Na tacie zresztą też, ale on to lepiej
maskuje.

- Chciałabym, żeby do mnie zadzwoniła.

- Zadzwoniła chociaż do mamy. Grunt, że wiemy, że nic jej
nie jest.

No, przynajmniej jeszcze miesiąc temu nie było. Wiedziała,
że Ryan myśli to samo, co ona, tylko żadne z nich nie chciało
powiedzieć tego na głos.

- Lepiej uważaj z tym O'Reillym. Mama i tata mają dość
zmartwień.

- Ty również, więc wyluzuj. Dam sobie radę. - Byłoby miło, gdyby rodzina miała do niej więcej zaufania. Odsunęła się od samochodu. - Cóż, chyba pozwolę ci pojechać do domu i wziąć prysznic.

- To jakaś aluzja?

Madison wzruszyła ramionami.

- Raczej dość bezpośrednia uwaga - docięła mu, ale prawda była taka, że był najlepszym bratem na świecie, nawet, jeśli trochę jej nie doceniał.

- Trzymaj się, dziewczuszko. Daj znać, jak będziesz potrzebować pomocy przy łodzi.

- Jasne.

Madison klepnęła dłonią w drzwi pick-upa i odprowadziła wzrokiem jego światła oddalające się w ciemną noc.

Madison stała po talię w wodzie bez doświadczania hiperwentylacji. Dwie wycieczki nad zatokę w tym tygodniu przyniosły efekty.

Beckett, który robił za jej bezwzględного trenera, wciąż wymyślał dla niej nowe wyzwania. Przez ostatnie dwadzieścia minut spędziła tyle czasu, dmuchając bąbelki powietrza pod wodą, że twarz miała pewnie tak pomarszczoną jak jej przyjaciele z domu starców.

- Dobra, pójdziemy o krok dalej. - Beckett zniknął pod wodą, by po chwili wynurzyć się z pluskiem.

- Tak szybko? - Madison zauważyła, jak kropelka przejrzystej cieczy toruje sobie drogę z jego ramienia w dół aż na brzuch.

- To może chciałabyś podryfować?

- Wolałabym skok z dachu ratusza wprost na trawnik.

- Połóż się na plecach. Przytrzymam cię. Popatrzyła na falującą wodę i zmarszczyła brwi.

- Jasssne - wymamrotała.

- Co jest?

- Nic, przeszedł mnie dreszcz. - To prawda. Pojawił się, gdy tylko Beckett użył słowa *podryfować*.

Znała zasady fizyki. Jej ciało miało mniejszą gęstość niż woda, więc teoretycznie powinno się unosić na powierzchni. Jej umysł w to wierzył, ale gdy patrzyła na oblewającą ją z każdej strony ciecz, jakoś nie kupowała tego.

- Po prostu się połóż. Trzymam cię. - Wyciągnął rękę na poziom tafli wody.

Jasne, zaraz się położy i zaufa, że nie pozwoli jej utonąć. Zaufać Beckettowi O'Reillyemu, najgorszemu bandziorowi w Hrabstwie Jefferson.

Dosięgasz do dna, Madison. Nie ma się czego bać. Oddychaj głęboko.

Położyła się na wodzie i podniosła jedną nogę. Beckett podtrzymał jej udo i plecy. Zesztywniała, wyciągnęła się na wodzie, kurczowo chwyciła jego rękę. Była w jego ramionach, opierała się o jego brzuch. Nie trzeba było być geniuszem, by zauważyć, że to on wykonuje za nią całą pracę.

- Leż. Wyluzuj.

Serce waliło jej o żebra. Zmierzyła go spojrzeniem.

- Łatwo ci mówić.

- Nie pozwolę ci utonąć. Zamknij oczy. Powoli rozluźnij mięśnie.

Rozluźniła nieco palce zaciśnięte na jego ramieniu. Nie wiedziała, co było gorsze: podstępny lęk czy poniżenie. Rozluźnij się. Oddychaj.

- Wyobraź sobie, że leżysz w łóżku. Spróbuj się zatopić w materacu.

- Mój materac nie jest zrobiony z wody.

- Dasz radę! - Jego czarne oczy mówiły jej, że naprawdę w to wierzy. Wpatrzyła się w nie, próbując nasiąknąć jego pewnością, ale rozproszył ją widok jego długich, ciemnych, wilgotnych rzęs.

Zamknęła oczy i zmusiła się do tego, by rozluźnić mięśnie, zaczynając od brzucha. Powolotku udało się. Jej ciało nieco opadło, a woda wlała się do uszu, bulgocząc przeraźliwie. Madison zeszywniała i rozwarła powieki.

- Trzymam cię.

Czuła jego dłonie pod swoimi plecami i nogami. Próbowwała się na nich skupić. Położyła się z powrotem, czując, jak woda podchodzi coraz wyżej, mocząc jej włosy. *Wyprostuj się, Madison. No dawaj. Nawet dzieci to potrafią. Leżysz sobie na łące. Świeci słońce. Wiatr chłodzi ci skórę. Wdech. Wydech.*

Beckett powiedział coś do niej, ale woda wchłonęła jego słowa niczym zachłanna gąbka. Madison pozwoliła, by jej nogi dryfowały luźno w wodzie, poczynając od bioder, przez kolana, aż do kostek. Rozłożyła luźno ramiona, a jej łokieć ocierał się o brzuch Becketta.

Już prawie unosiła się na wodzie. Wciąż czuła go pod sobą, ale teraz już tylko lekko ją podpierał. Woda łaskotała jej policzki i podbródek.

Zostań tak. Ludzkie ciało unosi się na wodzie. Wdech, wydech.

Beckett znowu coś powiedział, chyba żeby dodać odwagi. *Naprawdę* szło dobrze. Szło świetnie.

Woda całowała ją w kąciaki ust. Mocno zacisnęła wargi i oddychała przez nos. Oddech stał się płytki, a od przepływu powietrza zaschło jej w gardle.

Beckett znowu coś mówił, uspokajającym tonem. *Wyluzuj. Oddychaj. Wdech. Wydech. Luźno. Lekko.*

On jest przy tobie, trzyma cię...

Zaraz, zaraz, gdzie jego dłonie? Nie czuła ich. Unosiła się na wodzie całkiem sama. Ale po chwili już nie.

Złapał ją, ale trochę za późno i woda zamknęła się na jej twarzy, a do ust wlała się spora część objętości zatoczki. Chwyliła go, krztusząc się. Stopami odnalazła dno.

- Już dobrze, nic ci nie jest.

Stojąc już pewnie, pchnęła go wściekła.

- To nie ty masz płuca pełne wody!

- Ale dryfowałaś! Udało ci się!

- Puściłeś mnie!

- I dałaś radę! Całkiem sama!

- No, a zaraz potem zaczęłam się topić!

- Nie utopiłaś się. I nie utopisz. Zaufaj mi.

Zakaszła ostatni raz, mierząc go morderczym wzrokiem. Zaufać? Pomyślała o Jade, o tych wszystkich wybrykach, które wyczyniał w przeszłości.

- Ale ja ci nie ufam! - Patrzyła mu prosto w oczy tak długo, by jej słowa do niego dotarły. Coś w jego oczach błysnęło, ale wytrzymała to spojrzenie. Przesadziła i wiedziała o tym, ale nie podobało jej się, że jest zdana na jego łaskę. Nie czuła się bezpiecznie. - Daj mi chwilę. - Odeszła parę kroków, wciąż się krztusząc, wytarła twarz. Popatrzyła na postrzępioną chmurę wędrującą powoli po błękitnym niebie. Modrosójka krzyknęła gdzieś nieopodal. W górze rzeki woda roztrzaskiwała się o omszałe głązy. Wciągnęła w płuca przesiąknięte zapachem sosen powietrze. Czuła na sobie wzrok Becketta - palił ją w plecy.

Być może zaufałyby mu, gdyby tylko opowiedział jej, co stało się z Jade. Przypomniała sobie rozmowę z Ryanem i swoje postanowienie, że wyciągnie prawdę z Becketta. Kto wie, może jeśli jej się to uda, będzie potrafiła przekonać siostrę do powrotu do domu - gdyby tylko Jade do niej zadzwoniła.

Odwróciła się i spostrzegła, że Beckett się jej przygląda.

- Kiedy powiesz mi, co się wydarzyło z Jade? - spytała. Jego brwi uniosły się wysoko, a usta opadły.

- Jak będzie chciała, to sama ci powie.

- Ale jej tu nie ma.

- Jest dorosła.

Czyżby nie wiedział, jaka delikatna była Jade? Że nie potrafiła znaleźć sobie miejsca w świecie? Jak bardzo pragnęła być kochana, chociaż przecież była? Czy Beckett tylko zabawił się jej uczuciami? Czy te liściki od cichego wielbiciela to były jakieś szczeniackie gierki? To, że mógł zachować się tak nieodpowiedzialnie wobec Jade, sprawiło, że krew rozgrzała policzki Madison.

- Coś ty jej zrobił? - spytała.

- Nic jej nie zrobiłem. - Beckett zacisnął zęby, zamykając samemu sobie usta, by nie powiedzieć czegoś, czego by potem żałował. Chętnie wyznałby jej wszystko, gdyby nie to, że prawda zbyt wiele by ujawniła. Gdyby nie to, że stawką było coś bardzo osobistego.

- Coś jednak zrobiłeś. Przecież nie wyjechałyby bez powodu. Beckett! Była szczęśliwa, jak wychodziliście na bankiet, a potem zniknęła. Jeśli nie masz nic do ukrycia, powiedz mi.

Beckett odwrócił się. Czy Madison naprawdę myślała, że nie bolało go to, że skrzywdził jej siostrę? Każdego dnia, odkąd zniknęła, modlił się za nią.

- Nie zrobiłem jej krzywdy. - Przynajmniej nie w taki sposób, o jakim myślała Madison.

- No to co się stało? - Jej głos dochodził teraz do jego uszu z bliska. - Po prostu mi powiedz.

Odwrócił się i spojrzał w jej piękną twarz, na jej lśniące oczy, na elfi, lekko uniesiony podbródek, na kropelkę wody spływającą z jej skroni po policzku, niczym łza. Ledwo powstrzymał się, by jej nie otrzeć.

- Lepiej wracajmy do pracy - powiedział miękko. - Mam tylko godzinę.

Coś błysnęło w jej oczach, a po jej ustach przeszedł cień. Potem te emocje znikły, jakby zatrzęsnęła się w sobie niczym drzwi sklepu, na których sprzedawca wywiesza karteczkę: *ZAMKNIĘTE*.

- I tak się dowiem. Ona wszystko mi powie. Ostrzeżenie Madison uderzyło go, ale nie w taki sposób, w jaki by tego oczekiwała.

A potem odeszła w stronę brzegu, a woda zamknęła się za jej plecami.

Beckett odwrócił się i zanurkował na środek zatoki, płynąc pod wodą tak długo, aż płuca zaczęły go palić. Wynurzył się po drugiej stronie, przy skalistym klifie. Na brzegu nie było nikogo, a po kilku minutach usłyszał warkot silnika samochodu Madison.

Zanurzył się z powrotem, podpłynął kawałek, po czym stanął na dnie i zaczął kroczyć w kierunku linii brzegu tak, by wyładować targające nim emocje. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał, było skrzywdzić Jade. Zawsze przypominała mu ranego ptaka, chociaż to porównanie na pewno by się jej nie spodobało. Robiła wszystko, by się wyróżniać: ubierała się

inaczej niż koleżanki, w cygańskie spódnice i bandany, nosiła pierścionki na każdym palcu. Czasami ozdabiała swoje ciemne włosy kolorowymi pasemkami. Ktoś taki albo miał zadatki na dyktatora mody, albo buntowniczą naturę, albo głęboko zakorzeniony brak pewności siebie. W przypadku Jade chyba chodziło o to ostatnie.

Beckett brnął aż do brzegu, a gdy tam dotarł, usiadł na trawie i wytarł się ręcznikiem.

Wzdrygał się na samą myśl o tym wszystkim, co wydarzyło się tamtego wieczoru. To, jak Jade rozmawiała z nim w drodze na imprezę - nieśmiała, lecz podekscytowana. To, jak uśmiechała się do niego, gdy wchodzili do ratusza, z oczami błyszczącymi jak u dziecka w Boże Narodzenie.

Nigdy nie był na Bankiecie Wiosennych Siewów. Garnitury, spokojna muzyka i wystrojone stoły - to nie było w jego stylu. Musiał przyznać, że komitet organizacyjny odmienił tego wieczoru budynek ratusza. Okrągłe stoły przykryto białymi obrusami, sala skąpana była w delikatnym świetle kinkietów, a z sufitu zwisały upięte artystycznie lambrekiny z jakiejś zwiewnej tkaniny. Po zwyczajowym zapachu popcornu i kawy nie było śladu, zastąpiła go woń czegoś subtelnego i słodkiego.

Wybrał stolik w zacienionym kącie, odsunął dla Jade krzesło i przez chwilę próbował prowadzić z nią towarzyską rozmowę. Trzyosobowy zespół wszedł na scenę i zagrał jakiś wolny kawałek, a Beckett był wdzięczny, że przerwali ich niezręczną konwersację.

Zaczynało do niego docierać, że przebrnięcie przez ten wieczór będzie tylko połową sukcesu. Jade będzie oczekiwała kolejnej randki, a potem następnych. Jak będzie mógł tak po prostu ją zawieść?

Właśnie sięgał dłonią po szklankę z wodą, gdy jego wzrok wypatrzył panią i pana McKinleyow po drugiej stronie sali. Kilka sekund później zobaczył też Ryana, starszego brata Jade, siedzącego przy jednym ze stolików z przyjaciółmi. Świetnie. Po prostu wspaniale. Teraz cała rodzina go znienawidzi. Pewnie poczują ulgę, jeśli nic nie wyjdzie z jego związku z Jade, ale znienawidzą go za to, że ją skrzywdził.

Po skończonej piosence zespół zagrał kolejny utwór. Szmer rozmów wypełnił salę, a kelnerzy zaczęli serwować sałatki. Jade odsunęła się od stołu. Jej zielone oczy błyszczały.

- Muszę do toalety, zaraz wracam.

- Nigdzie się nie ruszam.

Patrzył, jak odchodzi, a poczucie winy ścisnęło go za żebra tak mocno, że ledwo oddychał. Dureń! Co mu w ogóle strzeliło do głowy, żeby zapraszać Madison na randkę?!

Chwilę później na wolne krzesło obok niego wśliznęła się jego młodsza siostra, ubrana w błękitną sukienkę. Włosy Layli opadały ciemnymi sprężynkami na ramiona, a delikatny makijaż dopełniał naturalnej urody.

- Zgodziła się? Gdzie ona jest?

Najwyraźniej Layla jeszcze nie zauważyła Jade. Beckett wcisnął się mocniej w metalowe krzesło.

- Nie zgodziła się. Ale jej siostra tak.

- Że co? - Layla uniosła brwi.

Beckett opowiedział jej, co zaszło, obserwując każdą emocję malującą się na twarzy siostry.

- Och, kochany, to okropne. Co teraz zrobisz? Sidney Blevins zjawiała się znikąd i złapała Laylę za rękę.

- Ratunku! Ramiączko mi się urwało! Masz agrafkę? Beckett odwrócił wzrok, gdy jego siostra grzebała w swojej przepastnej torebce.

- Zaraz wracam - powiedziała po chwili.

- Nie spiesz się. - Przecież nigdzie się nie wybierał.

Zespół zagrał jeszcze dwie piosenki, zanim wreszcie zobaczył Jade idącą w jego stronę. Zmusił się do uśmiechu, ale gdy się zbliżyła, zauważył zmianę, jaka zaszła w jej kroku i zachowaniu. Im bliżej była, tym wyraźniej dostrzegał, że coś nie gra: miała zaciśnięte usta, rozmazany tusz pod jednym okiem. Patrzyła w podłogę.

- Co się stało? - spytał.

- Odwieź mnie do domu. - W jej głosie nie było już tej nuty nadziei, co poprzednio. Wstał i dotknął jej ramienia. -Co ci jest? Co się stało?

Wyrwała mu się.

- Po prostu zabierz mnie do domu i już! - Na jej policzki wdarł się różowy rumieniec, a przekrwione oczy wodziły niespokojnie po całej sali.

Beckett przeprowadził ją przez labirynt stolików. W jego głowie kotłowało się mnóstwo myśli. Co się wydarzyło, gdy odeszła od stolika? Minęło zaledwie dziesięć minut.

Gdy wyszli na zewnątrz, ogarnęła ich znienacka głucha cisza, jakby ktoś zarzucił na nich drapiący koc. Czy powinien ją naciskać, czy raczej zostawić w spokoju? Kompletnie nie radził sobie z płaczliwymi kobietami. Nigdy.

Całe auto wibrowało od napięcia, a ciszę przerywało tylko pochlipywanie Jade. Nie może pozwolić jej odejść, dopóki

nie pozna przyczyny zmiany jej zachowania. Skręcił w Main Street i ukradkiem spojrział na nią, jak ocierała palcem łzę spływającą po policzku.

- Ktoś cię skrzywdził?

- Zostaw mnie w spokoju, Beckett - wycedziła przez zęby. Nie mógł. Był za nią odpowiedzialny, w końcu poszedł z nią na randkę - nieważne, że przez przypadek.

- Jeśli ktoś ci coś zrobił, to chcę o tym wiedzieć. Jakiś facet? Może ktoś się do niej dobierał? Beckett poczuł przyływ troski - taki, jakiego by doznał, gdyby ktoś zranił Laylę. Zatrzymał się na czerwonym świetle.

- Jeśli ktoś cię skrzywdził, musisz mi powiedzieć. Zajmę się tym.

- Przestań w końcu udawać! Wiem, że chciałeś przyjść z Madison, a nie ze mną, więc daj sobie już spokój z tą fałszywą troską!

Jak się dowiedziała? Beckett przełknął przekleństwo, którego nie wymówił już od lat.

- Jade...

Jade odwróciła się do okna, ocierając łzy.

- Po prostu zabierz mnie do domu! To jest najbardziej upokarzająca chwila mojego życia.

Światło zmieniło się na zielone. Beckett przyspieszył. Tylko jego siostra o tym wiedziała. Może powiedziała coś swojej koleżance, gdy były w łazience, a Jade to podsłuchiwała?

Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Nie mógł zaprzeczyć, więc nie mówił nic. Przejechanie krótkiej drogi do domu sióstr zajęło im całą wieczność. Kiedy zobaczył, że auta Madison nie ma na podjeździe, poczuł ogromną ulgę. Może Jade nie powie jej, że Beckett przyszedł zaprosić ją na bankiet. Gdy tylko taka możliwość pojawiła się w jego głowie, żołądek skręcił mu się na myśl o własnym egoizmie.

Wyłączył silnik i sięgnął do klamki.

- Bez łaski - powiedziała Jade, po czym gwałtownie trzasnęła drzwiami.

Patrzył, jak wchodzi do ciemnego domu i czuł się mniej więcej jak szlam z dna rzeki Ohio. To był ostatni raz, kiedy ktokolwiek widział Jade.

Młody basset wiercił się w ramionach Madison, gdy jej obcasy stuknęły o sterylne kafelki holu domu opieki Countryside Manor. Minęła dyżurkę siostry Doolittle, która zmierzyła szczeniaka srogim spojrzeniem znad okularów.

- Dzień dobry, pani Doolittle.

- *Ekhm.*

Gdyby to od niej zależało, Madison w ogóle nie mogłaby przyprowadzać *ohydnych sierściuchów* do ośrodka. Ale na całe szczęście, to nie do pani Doolittle należało tu ostatnie słowo.

Madison ucałowała ciepłe futerko szczeniaczka, a on spojrzał na nią swymi jasnymi, brązowymi oczkami.

- Ty miałbyś być *ohydny*?

Piesek pewnie nie zagrzeje w schronisku miejsca na dłużej, jest taki śliczny i rozbrykany. Na pewno spodoba się leciwym przyjaciółom Madison.

Weszła do pokoju socjalnego, gdzie w kącie siedziała grupa jej ukochanych staruszek, które robiły na drutach z taką prędkością, z jaką płynął z ich ust potok słów.

Znane były jako Klęczące Klępy, ponieważ zaczynały jako poranne kółko modlitewne, ale jego działalność z czasem rozszerzyła się o wspólne wieczorne rękodzieło. Większość z nich nie mogła już klękać do modlitwy, a tym bardziej potem wstać, niemniej jednak były bardzo żywiołową gromadką.

- Dzień dobry, moje panie! Przyproceedziłam gościa.

- Ooo! - zawołała pani Geiger. - To dopiero szczeniaczek! Ależ z ciebie mały przystojniak. - Odłożyła robótkę i wyciągnęła ręce po pieska, którego zaraz przytuliła do okazałej piersi. Zwierzak polizał ją w policzek, co bardzo babcię rozśmieszyło.

- Czemu ona zawsze jest pierwsza w kolejce? - Druty pani Etter stukwały jeden o drugi, gdy operowała nimi nadzwyczaj sprawnymi palcami.

- Bo siedzi najbliżej drzwi, złociutka. - Pani Stuckey poprawiła na nosie plastikowe okulary. - Jakież on słodziutki.

- A psik! - Druty pani Marquart wyleciały jej z rąk, gdy dłońmi próbowała powstrzymać kichnięcie. - Mam alergię, zapomnieliście? - Jej robótka ręczna upadła na podłogę, wstała więc i sięgnęła po balkonik. Potężne kichnięcie przekrzywiło nieco perukę na jej głowie.

- Oj, siadajże! - powiedziała pani Geiger, podając pieska dalej. - Masz alergię na koty, a nie na psy.

Pani Marquart zmarszczyła brwi.

- Jesteś pewna?

- Ja jestem - powiedziała Madison, delikatnie poprawiając jej perukę. - Pamięta pani spaniela? Zasnął pani na kolanach.

Pani Geiger parsknęła.

- A potem ty sama też zasnęłaś.
- Zrobmy sobie z nim zdjęcie i wrzucmy na Facepagea.
- *Facebooka*. - Pani Etter pocałowała szczeniaczka w główkę.
- Ależ on kochany. Czy ktoś już się po niego zgłosił?
- Nie wolno nam mieć zwierząt. - Pani Stuckey wróciła do produkcji niemowlęcego sweterka, pewnie dla któregoś ze swoich prawnucząt.
- Mój wnuk Perry szuka pieska dla swoich dzieci. Ten na pewno by się im spodobał.
- Jeszcze można go przygarnąć, ale raczej trzeba się pośpieszyć - powiedziała Madison. - Proszę porozmawiać z wnukiem i dać mi znać, czy rzeczywiście jesteście zainteresowani. Piesek ma komplet szczepień i ma za sobą trening czystości.
- Kto jest taki uroczy? No kto? No ty piesku, ty!
- Masz już jakiś kontakt z siostrą? - spytała pani Stuckey, wciąż przebierając palcami.
- Wiadomość o nagłym zniknięciu Jade rozeszła się po mieście z szybkością błyskawicy.
- Niestety nie.
- Modliłyśmy się za nią dziś rano i wciąż będziemy o niej pamiętać w modlitwie. O tobie zresztą też, skarbie. Jak ci idzie nauka pływania?
- Skąd pani o tym wie? - Najwyraźniej plotki rozprzestrzeniły się szybciej, niż sądziła.
- Mam swoje dojścia.
- Ale, co ważniejsze, jak tam przystojniak O'Reilly? - Pani Geiger poruszyła wymownie brwiami. - Wygląda jak jego dziadek. Pamiętacie, dziewczyny?
- Trzy siwe głowy przytaknęły.

- A to znaczy, że jest wcale nieszpetyny! - powiedziała pani Stuckey.

Pani Etter dała pieskowi ostatniego buziaka i podała go pani Marquart, która od razu oddała go pani Stuckey, trzymając go jak najdalej od siebie na wyciągniętych ramionach.

- Nie ugryzie. - Pani Stuckey przytuliła zwierzaka. - Prawda, skarbie? Oj, ty mała wiercipiętko!

- Muszę umyć ręce. - Pani Marquart zerwała się na nogi i oddaliła wsparta na balkoniku.

- Lepiej już go weź - powiedziała pani Stuckey, gdy szczeniaczek ześliznął się z jej kolan i wylądował na podłodze. Madison przypięła mu smycz do obroży.

- Chyba chce się przespacerować. Pójdę dalej, żeby mogły panie wrócić do robótek.

- Pokażesz nam go jeszcze, zanim wyjdiesz? - spytała pani Etter.

Madison zgodziła się i ruszyła przez hol. Zatrzymała się przy jednym z jej ulubionych pacjentów ośrodka, którego rodzina mieszkała w Georgii.

Starszy pan aż podskoczył, gdy zauważył, że ma towarzystwo. Był w nastroju do pogawędek, więc Madison została przy nim przez chwilę. Potem odwiedziła też kilku innych podopiecznych domu, których rodziny również mieszkały daleko. Chciałaby mieć więcej czasu dla każdego z nich. Niektórzy wydawali się tacy samotni.

Co chwilę zatrzymywała się w holu, by pozwolić mijającym ją osobom pogłaskać szczeniaka. Patrzenie, jak ich twarze rozjaśniają się w uśmiechu, i jak piesek świetnie się bawi, sprawiało jej ogromną radość.

Ostatni na liście był pan O'Reilly. Madison poszła w dół korytarza i stanęła jak wryta, gdy zobaczyła Becketta wychodzącego z pokoju dziadka.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, ściągnęła mocno smycz i przyłgnęła nieruchomo do ściany. Ukrywanie się przed Beckettem było głupie, ale nie miała ochoty dzisiaj się z nim widzieć. Nie po ich ostatniej kłótni o Jade, której wspomnienie gryzło ją od ubiegłej soboty.

Gdy Beckett kierował się do wyjścia, Madison wstrzymała oddech. Poczekała, aż zniknął za rogiem i dopiero wtedy zapukała i weszła do pokoju.

- Dzień dobry, panie O'Reilly.

Dziadek Becketta siedział na łóżku. Jego rzadkie siwe włosy były zaczesane, a kościste dłonie złożone na kolanach to zaciskały się, to rozluźniały z powrotem. Pokój pachniał środkiem dezynfekującym i perfumami Old Spice.

Zmarszczki na jego czole pogłębiły się.

- Kto to był?

- Ten, który właśnie wyszedł? To pana wnuk.

- To kłamca! - Oczy dziadka zwęziły się. Madison odciągnęła szczeniaka od metalowego kubła na śmieci.

- To był Beckett, panie O'Reilly, pamięta go pan. Jest...

- To kłamca! - Jego niebieskie oczy zaiskrzyły. Madison wzięła pieska na ręce.

- Proszę zobaczyć, kogo dziś ze sobą przyprowadziłam. To młody basset. Pan też kiedyś takiego miał. Pamięta pan Bosco?

Dłonie dziadka cały czas intensywnie pracowały, a wzrok utkwiał w drzwiach. Madison podeszła bliżej, stając pomiędzy nim i wejściem do pokoju.

- Panie O'Reilly, przyprowadziłam panu przyjaciela. Niech pan popatrzy.

Jego spojrzenie powędrowało wreszcie na szczeniaka i jego twarz momentalnie zmieniła wyraz na łagodniejszy. Gdy wyciągnął rękę, Madison położyła mu pieska na kolanach. Basset obwąchał koc, polizał pana O'Reilly'ego po ręce i zwinął się w kulkę.

Madison myślała o Becketcie cały dzień. Ukrywanie się przed nim w domu opieki dało jej do myślenia. Żałowała, że pozostawiła sprawy takiemu biegowi. Owszem, chciała, żeby opowiedział jej o Jade, ale on przecież wyświadczał jej przysługę, a ona tak źle go potraktowała.

Zbliżając się do przystani, zwolniła kroku i ściągnęła smycz Lulu, której różowy język dyndał na wszystkie strony jak rozwiązana sznurówka. Madison przystanęła przy kałuży, by pies mógł się napić. Słońce schowało się za chmury, co przyniosło chwilę ulgi, a lekka bryza powiała znad rzeki i zatrzepotała upiętymi w koński ogon włosami dziewczyny.

Wzięła głęboki oddech i w tym samym momencie spostrzegła Becketta w doku paliwowym, jak tankował łódź. Jej właściciele, Tackettowie, kręcili się kawałek dalej, oglądając inne łodzie.

Madison skróciła smycz jeszcze bardziej, zostawiając Lulu małą swobodę ruchu. Czekać, aż Beckett skończy, przyjrzała się tankowanej przez niego łodzi rybackiej. Była dwuosobowa, miała gładką linię, karmelowy kolor i srebrne zdobienia. Nigdy nie widziała takiego cacka, a gdy przypomniała sobie szmelc stojący w jej garażu, poczuła ukłucie zazdrości.

Zaczekała, aż Beckett zatka bak i powiedziała:

- Ależ ona piękna.

Jeśli w ogóle był zaskoczony tym, że ją widzi, to nie dał tego po sobie poznać.

- Hej.

Odwiesił na miejsce wąż i wytarł ręce o zwisającą mu z kieszeni szmatę.

- Prawdziwe dzieło sztuki.

- Robiona na zamówienie.

Lulu naciągnęła smycz i z łapami na krawędzi pokładu węszyła pachnące rybami powietrze. Zastrzygła uszami, gdy nieopodal rozległ się cichy plusk.

- Nie chcę ci przeszkadzać. Wiem, że jesteś zajęty. Beckett wytarł kilka kropel benzyny z pokładu, pogłaskał

Lulu i stanął.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

Madison popatrzyła na drugi brzeg rzeki, na zielone pagórki wyrastające z wody i zdała sobie sprawę, że bycie tutaj nie przeraża jej już tak bardzo jak kiedyś. Dzięki Beckettowi.

- Źle się czuję z tym, jak rozstaliśmy się w sobotę.

Beckett schował szmatę do kieszeni, nie odwracając wzroku. Badał ją spojrzeniem w taki sposób, że czuła się naga. Skrzyżowała ramiona na tyle, na ile było to możliwe, trzymając smycz.

- Ja też. - Wiatr rozwiał mu włosy i przywiał do Madison woń benzyny i ten ciepły, ostry, typowo Beckettowy zapach.

- Rozejm? - zaproponowała.

Zdawał się ważyć jej słowa, zanim wyciągnął rękę. Podała mu swoją, a on uścisną ją, nie spuszczając wzroku z Madison.

- Bardzo doceniam twoją pomoc. W nauce pływania.

Beckett kiwnął głową i puścił ją.

- No dobra. - Madison cofnęła się, ciągnąc Lulu za sobą. - Nie przeszkadzam ci już. Do zobaczenia w sobotę.

Gdy odchodziła, zdała sobie sprawę, że jej serce bije jak oszalałe, w gardle ma zupełnie sucho i wciąż czuje jego dłoń w swojej. *Jeszcze trochę, Madison. I znowu będziesz mogła wrócić do swojego małego, bezpiecznego świata.*

Rozejm zawarty z Beckettem zdawał egzamin - więcej się nie kłócili. Ale wraz z nastaniem pokoju pojawiły się też nowe problemy.

Kiedy bowiem Madison nie była zajęta byciem oburzoną, zaczęła zauważać różne rzeczy. Na przykład jego czarne jak węgiel oczy, idealnie zarysowaną linię szczęki, wyrzeźbione mięśnie.

W połowie lipca umiała już swobodnie utrzymać się na wodzie i Beckett oznajmił, że jest gotowa zacząć naukę żeglarstwa. Była przeszczęśliwa, że nie będzie już musiała się moczyć... i oglądać Becketta bez koszulki. Pierwsze dwie lekcje odbyła z Evanem, cudem znajdując na nie czas w dwa wieczory. Potrafiła już wejść na pokład bez obehwładniającego uczucia paniki i sprawiło jej to ogromną radość. A ta odrobina niepokoju, którą mimo wszystko odczuwała, zniknęła całkiem, gdy Evan postawił żagle.

Z Jade wciąż nie było żadnego kontaktu, a Madison czuła się zazdrosna o to, że rodzice i Ryan potrafili tak po prostu

modlić się za nią i odpuścić. Pomyślała o staruszkach z domu opieki i ich obietnicy, że będą pamiętać o siostrze w modlitwach. Ta myśl dodała jej otuchy, ale sama nie umiała powiedzieć dlaczego. Jej rodzice modlili się przecież za wszystkie swoje dzieci, więc dlaczego Michaelowi nie przyniosło to nic dobrego?

Pewnego popołudnia, gdy próbowała nadgonić papierkową robotę pomiędzy wizytami pacjentów, jej powieki zaczęły opadać. Zajrzała do szuflady w poszukiwaniu cukierków kawowych, ale znalazła tylko pustą torebkę.

Oparła się na krzesło. Może zamknie na chwilę oczy. Następny pacjent jest umówiony dopiero za dwadzieścia minut. Krótka drzemka pozwoli jej przetrwać resztę popołudnia.

- Pani doktor?

Madison poderwała się w krzesło. Usiłowała skupić rozmyty wzrok na osobie stojącej w drzwiach. Doktor Richards zmarszczył brwi.

- Pani pacjent z piętnastej czeka już kwadrans. Madison skoczyła na równe nogi.

- Przepraszam! Sama nie wiem, kiedy zasnęłam. Doktor Richards ściągnął wargi.

- Porozmawiamy o tym później.

Popołudniowe godziny ciągnęły się niemiłosiernie, gdy Madison brnęła przez wizyty kolejnych pacjentów. Już drugi raz w ciągu kilku tygodni dała ciała.

Dwa tygodnie temu, gdy doktor Richards przyjechał do lecznicy, tylne drzwi były otwarte. To Madison wychodziła poprzedniego wieczoru jako ostatnia. Jej szef nie tolerował niekompetencji. Ale jak to - przecież ona też jej nie tolerowała! Co się z nią działo?

Zamiast czekać, aż on do niej przyjdzie, sama zapukała do jego drzwi, gdy ostatni pacjent opuścił jej gabinet. Doktor Richards zaprosił ją do środka.

- Jeszcze raz bardzo przepraszam za to, co się stało dziś po południu. Chciałam tylko dać odpocząć oczom, a następną rzeczą, jaką pamiętam...

- Proszę usiąść, pani doktor.

Niedobrze. Oj, niedobrze. Madison usiadła na stojącym w kącie krześle z wysokim oparciem.

- Jest pani wspaniałym weterynarzem. Bardzo kompetentnym. Ale ostatnimi czasy jest pani zbyt roztargniona. Zapomniała pani mnie zastąpić, zasypia pani za biurkiem i zapomina zamknąć drzwi na klucz. Zrobiła też pani ostatnio sporo błędów w rachunkach i, proszę wybaczyć osobistą uwagę, wygląda pani na bardzo niewyspaną.

- Ja... rzeczywiście, mam problemy ze snem.

- To się odbija na pani pracy. Nie mogła zaprzeczyć.

- Postaram się to zmienić, doktorze Richards, obiecuję.

- Nie powinienem udzielać pani osobistych rad tutaj, w gabinecie, ale może powinna pani poszukać pomocy specjalisty.

- Oczywiście. Dziękuję za pana wyrozumiałość. Będę bardziej ostrożna.

- No, mam nadzieję. - Ojcowski uśmiech na jego twarzy zmiękczył wydźwięk tych słów. Madison uznała, że zakończył tym rozmowę, więc wstała.

- Dziękuję - powiedziała.

Wróciła do siebie, zamknęła drzwi i zaczekała, aż jej serce się uspokoi. Czuła się jak dzieciak w gabinecie dyrektora, a było to coś, do czego nie przywykła. Kiepska zabawa.

Już sięgała po torebkę, gotowa zostawić ten koszmary dzień

za sobą, gdy nagle w drzwiach biura ukazała się głowa Cassidy.

- Proszę, nie mów: *nie...* - powiedziała. -Nie.

Cassidy westchnęła i weszła do środka.

- Jesteś taka przekorna. A gdybym zaoferowała ci milion dolarów?

- Powiedziałabym, że trzeba ci obciąć pensję.

- Chodzi tylko o randkę przy kawce. Doktor Drew bardzo chce cię poznać. Ja i Stew będziemy tam z tobą, więc możesz zapomnieć o niezręcznościach pierwszej randki. I zaopatrzyć się w te twoje cuksy z kofeiną.

Madison odłożyła stetoskop na biurko i wyswobodziła się z fartucha.

- No nie wiem.

- Nad czym się tu zastanawiać? On jest lekarzem, jest bardzo przystojny... jest lekarzem... - Cassidy odgarnęła włosy za ramię. Dzisiaj posłusznie zwijały się w loczki wokół twarzy.

- Masz ładną fryzurę.

- Nie zmieniaj te... Serio? - Cassidy odwróciła się do starodawnego lustra wiszącego za jej plecami. - Kupiłam nową lokówkę, jonową czy coś takiego. Ale nieważne. Zgódź się. Obiecuję, że nie będziesz żałować.

Co racja, to racja, Madison nie wiedziała co ją powstrzymuje. *Ależ oczywiście, że wiesz, Madison.* Nie co, tylko kto. Ten ktoś miał sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, nieziemskie ramiona i hipnotyzujące oczy. Musiała przestać

myśleć o Becketcie. Przecież nie był nią zainteresowany. W końcu to nie on zapraszał ją na randkę, no nie?

Madison westchnęła tak głęboko, że aż zaszeleściły papiery na jej biurku.

- No dobra - powiedziała. Cassidy wydała okrzyk radości.

- Super! Dobra, spadam. Do zobaczenia jutro rano. I wieczorem! - Po czym wyszła z biura i zawołała jeszcze z korytarza: - Nie pożałujesz!

- Już żałuję! - odkrzyknęła Madison.

Kawiarenka pod latarenkę mieściła się w odnowionej wiktoriańskiej kamienicy. Ceglany budynek z 1907 roku na rogu ulic Main i Mapie zapraszał gości do wejścia przestronnym gankiem i śmiałymi kolumnami. Było to popularne miejsce spotkań zarówno mieszkańców, jak i turystów, znane ze znakomitych napojów, smacznych ciast i niepowtarzalnej atmosfery z przełomu wieków.

Beckett wstąpił tu jednak tylko na kawę - kolumbijską prażoną - przy której lura z ekspresu Dewitta smakowała jak olej silnikowy. Po pracowitym, upalnym dniu miał ochotę na wysoką szklanekę mrożonej kawy i dlatego właśnie wchodził teraz po betonowych stopniach. Jego plany na ten wieczór były wręcz banalne. Strzelić sobie kawkę, a następnie wybrać się do swojej samotni. Prowadził tam stromy szlak zaczynający się za parkiem Riverside. Na szczycie wzgórza znajdowała się skalna wieża, z której rozciągał się niesamowity widok na dolinę. Było to ulubione miejsce

Becketta, w które udawał się zawsze, kiedy chciał odpocząć od ludzkości i cieszyć się pięknem Bożego dzieła stworzenia.

Gdy otworzył drzwi, jego zmysłami zawładnął zapach palonych ziaren. Przepuścił kilkoro turystów, którzy właśnie wychodzili, przeszedł parę kroków po skrzypiącej drewnianej podłodze i stanął w kolejce, która jak zwykle w piątek wieczorem była długa.

Popatrzył na ciasta wystawione w witrynie. W porze lunchu pracował i zdążył tylko przegryźć jabłko w krótkiej przerwie między naprawami.

Gdy nadeszła jego kolej, zamówił kawę i kawałek holenderskiego ciasta z jabłkami. Nastoletnia kasjerka uśmiechnęła się do niego maślanymi oczami.

Kiedy zapłacił, odwrócił się od kasy i rozejrzał po zatłoczonej sali. Zauważył Meave Perkins i Dottie Meyers siedzące pod oknem i popijające herbatę. Rozpoznał też parę turystów, którzy poprzedniego dnia wynajęli łódź i wypłynęli na ryby. Wrócili do przystani z wiaderkiem pełnym bassów małogębowych.

Beckett przebiegł wzrokiem towarzystwo przy stole blisko drzwi, ale zatrzymał na nim spojrzenie, gdy zauważył Madison. Siedziała z Cassidy Zimmerman, Stew Flannerym i jeszcze jakimś mężczyzną, którego chyba znał, ale nie bardzo wiedział skąd. Nie miał pojęcia, jakim cudem nie zobaczył ich, gdy wchodził do kawiarni.

Dwóch mężczyzn i dwie kobiety - łatwo było się domyślić, że to podwójna randka. Zwłaszcza że znajomo wyglądający mężczyzna położył rękę na oparciu krzesła Madison, i kostkami palców głaskał jej włosy.

Beckett zacisnął zęby i spojrzał na nią znowu. Ciemne fale opadały na gładkie ramiona. Stojąca na stole zapalona świeca rzucała ciepłe światło na jej twarz, które odbijało się od cudownie błyszczących ust. Miała na sobie cienki różowy sweterek, a pod nim biały top. Srebrny wisiołek błyszczał w niewielkim dekolcie ukazującym kremową szyję. Zaśmiała się, a wzrok Becketta powędrował na jej partnera.

I wtedy nagle go sobie przypomniał. Był nowym lekarzem w szpitalu Riverview General. Wynajął łódź rybacką, gdy wprowadził się do miasteczka wczesną wiosną.

Miał zmierzwione jasnobrązowe włosy, idealnie białe zęby i dołeczki w policzkach, które ukazywały się, gdy się uśmiechał - a robił to nadzwyczaj często.

- Proszę bardzo, panie O'Reilly - powiedziała nastoletnia kasjerka. Beckett odwrócił się i spojrzał na talerz z ciastem i kubek z kawą. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz chciał, było siedzieć tu i gapić się, jak jakiś koleś nadskakuje Madison.

- Przepraszam, czy mógłbym dostać to na wynos? Dziewczyna uśmiechnęła się czarująco.

- Oczywiście.

Madison umawiała się już z innymi mężczyznami, rzecz jasna. Widywał ją z nimi na randkach, ale już dawno się to nie zdarzyło. Poza tym to było, zanim...

Zanim co, O'Reilly? Zanim zatrudniła cię jako nauczyciela?

Kiedy wreszcie do niego dotrze, że Madison nie jest dla niego? Ich rozejm był tylko zawieszeniem broni, a nie efektywnym zaproszeniem. Ale jakimś cudem uwierzył, że mógł być czymś więcej. Znowu.

Pogódź się wreszcie z tym, że straciłeś na to wszelkie szanse tamtego gorącego dnia dziesięć lat temu.

- Proszę bardzo. - Nastolatka wręczyła mu torebkę i kubek na wynos.

- Dzięki.

- Zapraszamy ponownie.

Odwrócił się, pochylił głowę i ruszył energicznie w kierunku drzwi. Gdy minął ostatni stolik, sięgnął do klamki.

- Beckett, bracie! - zawołał Stew. - Zaczekaj no, właśnie opowiadałem Drew o twoich łodziach na zamówienie.

Strategia ucieczki zakończyła się fiaskiem, więc Beckett postanowił się poddać i podszedł do stolika.

- Jest zainteresowany czymś takim jak łódź, którą zrobiłeś dla Tackettów.

Beckett odnalazł wzrokiem Madison, która uniosła brew. To tę łódź tankował, gdy pojawiła się w doku z propozycją zawieszenia broni. Nie przyznał się, że to on ją zrobił nawet wtedy, gdy nazwała ją dziełem sztuki, chociaż tymi słowami rozpałała w nim jaśniejące światło.

Lekarz wyciągnął dłoń.

- Drew Landon.

- Beckett O'Reilly. - Beckett uścisnął ją.

- Ile czasu zajmuje ci coś takiego?

- Zależy. Od wielu rzeczy.

Do tej pory sprzedał dwie takie łodzie, ale nie palił się do robienia interesów z facetem, z którym randkowała Madison. Beckett wkładał całe serce w swoje łodzie i nie był przekonany, czy ten koleś jest wart takiego poświęcenia. A może po prostu chciał wierzyć, że nie jest.

Drew wyciągnął telefon z kieszeni.

- Podaj mi swój numer, to zadzwonię później i porozmawiamy.

Beckett wyrecytował numer, a Doktor Cudowny wstukał go na klawiaturze.

- Super - powiedział, po czym schował urządzenie z powrotem do kieszeni. - Mam nadzieję, że ubijemy interes.

Beckett skłonił się całemu towarzystwu, ale jego oczy mimowolnie powędrowały w kierunku Madison. Gapiała się w talerz, skubiąc rogalik palcami.

Madison odłożyła elektryczną szlifierkę i cofnęła się o krok od łodzi. Chmura pyłu unosiła się nad jej głową, a kolorowe kawałeczki starego lakieru wyścielały zwirowy podjazd niczym confetti.

W poprzednich życiach jej łódź była malowana przynajmniej na cztery różne kolory. Madison chciała pomalować ją na granatowo. Jeśli kiedykolwiek skończy szlifować. Dłonie jej zdrętwiały, a pracowała dopiero godzinę.

Po drugiej stronie podwórka Lulu goniła za robaczkiem świętojańskim w niknącym świetle dnia, bezskutecznie kłapiąc pyskiem. Gdy zapłonęło światełko drugiego, rzuciła się i w jego kierunku, ale znowu nie trafiła, bo światełko prędko zgasło. Potem wyciągnęła nos do góry i wywęszyła coś, co umknęło zmysłom Madison, po czym podreptała przez trawę w poszukiwaniu tego czegoś.

Madison ponownie włączyła szlifierkę. Urządzenie zaczęło głośno buczeć i wibrować w jej dłoni. Powinna była posłuchać swojego ojca i kupić maskę na twarz. Bez niej

pewnie wdychała połowę tego, co szlifowała, a drugą połowę miała na sobie.

Chłodny wietrzyk owiał podwórko, rozwiewając pył. Szlifierka huczała, a stęchły zapach starego drewna wypełniał nozdrza.

Jej myśli powędrowały z powrotem do randki w kawiarni, z której wróciła przed kilkoma godzinami. Drew wydawał się miły. Był przystojny, uważny, miał świetne poczucie humoru. Ale gdy Cassidy zaproponowała, żeby przedłużyć wieczór o film w kinie, Madison odmówiła. Podała jednak Drew swój numer i jeśli zadzwoni zaprosić ją na kolejną randkę, nie zamierza mu odmówić. Bo kto wie? Czasem najpiękniejsza miłość wyrasta z przyjaźni. Tak przynajmniej słyszała.

Nagle łódź przesłonił cień. Madison odwróciła się i spostrzegła stojącego nieopodal mężczyznę. Podskoczyła i prawie upuściła szlifierkę.

Wyłączyła urządzenie i stanęła jak wryta z ręką na sercu, gapiąc się na Becketta. Lulu dała susa i przyskoczyła do niego.

- Przestraszyłeś mnie na śmierć!

- Mówiłem *cześć*, ale nie słyszałaś.

Jego wzrok przebiegł linie jej twarzy, a usta lekko drgnęły w uśmiechu, kiedy spełniał swoją powinność wobec Lulu, drapiąc ją po brzuchu.

- Powinnaś mieć gogle i maskę.

Oczywiście musiał ją zaskoczyć, gdy była spocona i pokryta pyłem. Przetarła twarz zdętwiałymi dłońmi, próbując sobie wyobrazić, ile kolorowych piegów właśnie ją zdobi.

- Co cię sprowadza w moje skromne progi?

- Próbowałem się do ciebie dodzwonić na domowy telefon,

ale nie odbierałaś, więc domyśliłem się, że jesteś jeszcze z przyjaciółmi. Chciałem zostawić ci liścik. Muszę odwołać naszą jutrzejszą lekcję, a Evan oczywiście pracuje.

- Ach tak... - Madison poczuła ukłucie rozczarowania i zdała sobie sprawę, że z niecierpliwością wyczekiwała kolejnej lekcji. No, ale to przecież oczywiste. Była w końcu następnym krokiem naprzód w kierunku jej celu.

Beckett spojrział na Lulu, którą wciąż drapał za uchem tak, że jej oczy praktycznie wywracały się do tyłu.

- Muszę pojechać do Indianapolis.

Jego ojciec siedział w więzieniu Marion County. Nie było to żadną tajemnicą.

- No... nie ma problemu. Nadrobimy w następną sobotę.

Beckett przejechał dłonią po nieukończonych krawędziach łodzi. W miarę jak ją przesunął, odklejały się od niej kawałki starej farby.

- A więc to jest ta twoja zagłówka.

Madison spróbowała popatrzeć na łódź jego oczami i wcale nie spodobało jej się to, co zobaczyła.

- Na razie wygląda jak rupieć.

Beckett okrążył łódź, dokładnie ją oglądając. Madison przypomniała sobie to piękne cacko, które sam wykonał, smukłe krawędzie, piękne wykończenie. Ciężko było jej się do tego przyznać, ale było dla niej ważne, co on teraz myśli, a pewnie nie myślał nic dobrego.

- Pewnie sądzisz, że to gra niewarta świeczki? - zapytała.

- A jak chodzi jej silnik? Madison wzruszyła ramionami.

- Nie sprawdzałam jeszcze, ale Michael mówił, że wszystko działa.

Beckett zamarł z dłonią na dziobie.

- Michael?

- Należała do niego. Kupił ją niedługo, zanim... - Po tylu latach to słowo powinno jej już przejść przez gardło, ale Beckett znowu ruszył naokoło łodzi, więc na szczęście nie musiała próbować go wymawiać. - Stała w szopie moich rodziców. Wydał na nią wszystkie pieniądze, które zarobił w mleczarni Dairy Barn przez dwa letnie sezony. Nie chciał mieć auta, tylko łódź.

Cisza zawisła między nimi jak pył w powietrzu.

- To był równy gość - powiedział wreszcie Beckett. - Nie trzymaliśmy się w tym samym towarzystwie, ale zawsze był dla mnie miły.

Te słowa nie zaskoczyły Madison. Nawet pomimo dzielących ich różnic. Beckett był przecież sztandarowym przykładem chuligana, a Michael - złotego dziecka, ale jej brat umiał dostrzegać dobro we wszystkich, nawet w niej. Czy to takie dziwne, że po jego śmierci stała się taka samotna?

- Dokładnie tak - powiedziała.

- Niewielu jest nastolatków, którzy otwarcie mówią o swojej wierze w Boga i mimo to wszyscy ich lubią.

Madison znowu dopadła ta myśl, która uwierała ją jak kamień w bucie. Przy całej wierze, jaką miał Michael, gdzie był jego Bóg tamtego dnia? Może był zajęty innymi sprawami? Jej babcia zawsze mawiała: *Boży uścisk nigdy się nie zwalnia*. Ale cóż, tamtego dnia Bóg go rozluźnił. Odepchnęła tę myśl.

- Madison, chyba nie myślisz poważnie, że wygrasz tym czymś.

- Wiem, że trzeba w nią włożyć dużo pracy.

Beckett pokręcił głową. Madison uniosła podbródek.

- Zrobię, co tylko trzeba. - Michael uważał, że łódź jest obiecująca, więc na pewno tak jest. - Poza tym wyścig jest handikapowy, no nie? A ja płynę z Evanem Higginsem. Jest moim asem w rękawie.

- Handikap może ci trochę pomóc, ale i tak trzeba włożyć w to sporo pracy.

Beckett chyba nie znał jej zbyt dobrze, jeśli myślał, że odrobina wysiłku ją zniechęci.

- Dam radę - powiedziała.

Beckett obszedł łódź i obejrzał szlifierkę.

- Musisz mieć bardziej szorstki papier. Wtedy pójdzie ci o wiele szybciej. - Oddał jej urządzenie. - Mogę pomóc, jeśli chcesz.

Dziewczyna zamrugła, patrząc mu w twarz. Zachodzące słońce za jego plecami sprawiało, że jego oczy nabrały barwy węgla. Przypomniała sobie ich wyraz w kawiarni, gdy Stew go zatrzymał. Wtedy ledwie na nią spojrzał i teraz zastanawiała się dlaczego.

- Czemu chcesz mi pomóc? - Przecież już nauczył ją pływać, poświęcając swój wolny czas. Czy to możliwe, że on...

- Lubię robić takie rzeczy, zapomniałaś? - Odwrócił wzrok i przejechał dłonią po powierzchni, którą Madison zdążyła już zeszlifować.

No jasne. Oczywiście, że on nie... To głupota z jej strony, aby w ogóle tak pomyśleć. Gdyby lubił ją aż tak, to chyba chciałby się z nią umówić, czy nie?

Wzruszyła ramionami.

- Przyda mi się pomoc. Bóg jeden wie, jak bardzo.

- Jak chcesz, to sprawdzę też silnik.

Teraz już potwornie się przymilał. Madison zrobiła się podejrzliwa. Może to z powodu poczucia winy wobec Jade. Może pomagając jej, chciał odpokutować.

- Chyba że nie chcesz - dodał.

Najprawdopodobniej wszystkie myśli miała wypisane na twarzy.

- Ależ skąd, bardzo doceniam twoje chęci. Jestem naprawdę wdzięczna. Zapłacę za wszystkie naprawy.

- Zobaczymy, jak odpali. Możliwe, że będzie dobrze działał. Kiedy mam wpaść?

- Eee, może w poniedziałek po kolacji?

- Pasuje mi.

Gdzieś w krzakach nieopodal zagrał świerszcz, a w oddali ktoś trzasnął drzwiami samochodu.

- Robi się późno. Lepiej już pójdę. - Beckett cofnął się w kierunku swojego podjazdu.

Madison nagle zdała sobie sprawę, że nie chce, aby odchodził, ale nie umiała znaleźć powodu, by go zatrzymać.

- To do poniedziałku.

- Na razie.

Patrzyła, jak się oddala tym swoim powolnym, charakterystycznym krokiem i zdała sobie sprawę, że gdyby zaprosił ją do kina, nie znalazłaby wymówki. Bez względu na jego podejrzaną przeszłość. Bez względu na to, że nie wiedziała, co stało się z Jade. Bez względu na to, że kiedyś obdarował ją najpiękniejszym pocałunkiem w całym jej życiu, a potem zapomniał, że to się kiedykolwiek wydarzyło.

Szkolny bal odbył się pewnego śnieżnego wieczoru, w lutym, gdy Madison była w drugiej klasie. Uczniowie liceum Chapel

Springs High, przytłoczeni i znudzeni codziennością, zjawili się na nim tłumnie. Przyszli z sympatiami lub w grupach - byleby tylko wyrwać się z domów.

Madison przyszła z koleżankami i tańczyła z każdym chłopakiem, który ją poprosił. Ale większość czasu spędzała pod ścianą, próbując przekonać Cassidy, by zaprosiła do tańca Lukę a Cavendisha, za którym ta wtedy szalała.

Madison miała na sobie swoją ulubioną zwiewną, białą spódnicę, która unosiła się wokół jej kolan, i nowy, niebieski sweterek z motylami wyhaftowanymi na kołnierzyku.

Gdy pani Pinsky zapowiedziała przez piszczący mikrofon, że zaraz nastąpi integracyjna zabawa taneczna, uczniowie zapełnili parkiet.

- Teraz mam szansę! - powiedziała Cassidy, gdy zobaczyła, że Lukę dołączył do tłumu. Pociągnęła Madison za rękę. - No chodź!

Madison poszła za przyjaciółką na środek sali gimnastycznej, gdzie wszyscy zebrani słuchali instrukcji pani Pinsky. Chłopcy w wewnętrznym kółku mieli kręcić się w jedną stronę, a dziewczęta w zewnętrznym kręgu - w drugą. Gdy nauczycielka zagwiżdże gwizdkiem, kręgi mają się zatrzymać i każdy ma zatańczyć z tą osobą, która znajdzie się naprzeciwko.

- Super. - Cassidy wydeła usta. - Jakie mam szansę?

- Gdybyś go poprosiła, wzrosłyby do stu procent - powiedziała Madison, gdy tworzyły krąg wokół chłopaków.

- W najlepszym wypadku pół na pół. Nie widziałaś, z kim on tańczył?

Zagrała muzyka i kręgi zaczęły wirować. Zwisająca z sufitu kula disco rozrzuciła blado-białe piegi po całej sali, która była niewiele ciemniejsza niż zazwyczaj, podczas lekcji WF-u. Koła zaczęły kręcić się szybciej, dziewczęta ciągnęły się za ręce i śmiały. Chłopcy biegli już bez opamiętania w przeciwnym kierunku. Michael pociągnął Madison za włosy, gdy ją mijał, ale zniknął, zanim zdążyła mu oddać.

I wtedy usłyszeli gwizdek. Kręgi stanęły w miejscu.

Śmiech Madison nagle ustał, a uśmiech zniknął z twarzy. Naprzeciwko niej stał Beckett O'Reilly. Nawet go dziś nie zauważyła. Zwykle nie chodził na takie imprezy. Niewielu czwartoklasistów można było na nich spotkać. Patrzył na nią swoimi niezgłębionymi oczami.

- Szczęściara! - Ktoś szepnął jej do ucha, zanim zrobiła krok w jego kierunku. Kawalek dalej Cassidy stała w parze z jakimś chudym, tyczkowanym pierwszakiem. Teraz już nie było ucieczki, nie można było lekko przesunąć się w prawo lub w lewo.

Poza tym Beckett też podszedł już w jej stronę. Madison położyła dłonie na jego ramionach, a jej serce biło dwa razy szybciej niż rytm powolnej piosenki. Ledwie sięgała mu do podbródka, w którym zauważyła niewielki dołeczek. Miał gładko ogoloną twarz, a ostry, lecz delikatny akcent wody kolońskiej pobudzał jej zmysły.

Z głośników dobył się piękny głos zwyciężczyni programu *American Idol*, Kelly Clarkson, i pierwsze słowa piosenki *A Moment Like This*.

- Jestem Beckett. - Madison nie słyszała dotąd jego głosu. Nie w takim brzmieniu. Był głęboki i chrapliwy. Nie jak u typowego nastolatka - ani trochę. Raczej jak u jakiegoś

dojrzałego mężczyzny. - Wiem. Jestem Madison.

Ciepło jego dłoni parzyło jej talię przez cienki sweterek. Przypomniała sobie moment, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, na meczu futbolu. Tych oczu nie dało się zapomnieć. Ale od tamtego czasu on ją ignorował. A ona od tamtej chwili uważnie słuchała wszystkich plotek na jego temat.

Przyłapano go, jak malował graffiti na ścianie starego magazynu z drewnem, zawieszono za wdawanie się w bójki i oskarżono o kradzież sygnetu Bradleya Moorea prosto z jego szafki - i to wszystko tylko od września. O sygnecie od miesiąca mówiła cała szkoła.

Zastanawiała się, co on sobie myśli, ale nie ciekawiło jej to na tyle, by spojrzeć mu w oczy i spytać. Jej sweterek zrobił się gorący i swędzący, twarz płonęła i prawdopodobnie wyglądała teraz jak klaun.

Czuła, jak jego oddech porusza cienkie loczki na jej skroni. Żaden z innych chłopaków, z którymi tańczyła, tak na nią nie działał, ale też żaden nie był Beckettem O'Reillym.

Cassidy złapała jej spojrzenie ponad jego ramieniem i próbowała coś jej przekazać, bezgłośnie poruszając wargami i szeroko otwierając oczy, ale Madison nie zrozumiała co.

Skupiła się na dekolcie jego czarnego T-shirta, na słowach piosenki, na swoich palcach u stóp uciskanych przez czubki butów na niskim obcasie. Jej żołądek zachowywał się jak maszyna do popcornu, w której wszystko niemiłosiernie się kotłuje. Któreś z nich musiało przerwać tę okropną ciszę i rozładować to napięcie. Ale on najwyraźniej nie chciał być tym kimś.

- To byłeś ty? - Że też musiała powiedzieć coś aż tak głupiego! Przygryzła wargę.

- Kiedy? Gdzie?

- To ty ukradłeś sygnet? - Nie znalazła innej odpowiedzi. Jego mięśnie zeszywniały pod jej dłońmi. Wzdrygnęła się.

Beckett pewnie teraz myśli, że walczy o tytuł Królowej Przyzwoitości Chapel Springs High. Czują na sobie jego spojrzenie. Kotłowanie w żołądku wzmogło się i zaatakowało żebra. Mogła przecież zapytać go o dziadka albo o szkołę, albo o cokolwiek innego. *Idiotka!*

- Nie jestem złodziejem. - W jego tonie było coś zaskakującego. Coś smutnego.

Popatrzyła na niego, niedowierzając w to, co właśnie usłyszała. Ale gdy ich spojrzenia się spotkały, zobaczyła w jego oczach na krótką sekundę coś takiego... Ale wtedy on mrugnął i to coś zniknęło.

Ta chwila niespodziewanej wrażliwości poruszyła ją. Jakoś do tej pory nie wierzyła, że Beckett O'Reilly jest zdolny do uczuć.

- Wierzę ci - odparła.

Zmierzył jej twarz swoim nieodgadnionym spojrzeniem. Zdawało się, że chce ją nim pochłonąć, a ona pozwoliła mu na to. Miał najdłuższe rzęsy, jakie kiedykolwiek widziała u chłopaka. Jego nos był lekko zakrzywiony - to pewnie pamiątka po jednej z bójek. Ale raczej jakiejś dawnej, bo inaczej na pewno by o niej usłyszała. Jego górna warga miała ponętne wcięcie, które...

Zgasło światło. Salę ogarnęła nagle ciemność. Zamarli.

Ktoś gwizdnął, potem jeszcze ktoś, a po chwili poziom hałasu zagłuszył muzykę.

- To chyba jakiś kawał - powiedziała Madison. Pomimo że muzyka wciąż grała, powinna się odsunąć od

Becketta. Przecież na pewno nikt już nie tańczył. Czuła, jak powietrze wokół nich się rusza.

- Pewnie znowu będzie na mnie. - Jego westchnięcie poruszyło włosy nad jej skronią.

- Będę twoim alibi. - Madison miała nadzieję, że wyczuje uśmiech w tonie jej głosu.

Ktoś ją niespodziewanie potrącił, przez co zachwiała się na obcasach. Beckett przyciągnął ją do siebie i wziął mocniej w ramiona. A ona zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że jego dotyk na jej talii potrafi sprawić, że dreszcz przeszywa ją aż do ramion i nawet wyżej, po sam czubek głowy.

- Większość z tego, co o mnie mówią, to prawda - powiedział jej do ucha.

Nie chciała pytać, co dokładnie. Wolałaby raczej dowiedzieć się dlaczego. Dlaczego robił te wszystkie rzeczy? Po co ściągał na siebie kłopoty, skoro o wiele łatwiej było przestrzegać zasad?

Ale zanim zdążyła go o to zapytać, jego dłonie objęły jej twarz. Pytania umknęły, przepędzone przez doznania.

Uczucie jego szorstkich dłoni na jej policzkach, jego twarde mięśni pod palcami, jego ostry zapach... Oddech wypełnił jej płuca i tam też zamarł. Poczowała, jak się zbliża, a potem jego usta dotknęły jej warg. Były delikatne i ciepłe jak letnia bryza. Zanim mgła osnuwająca jej myśli zdążyła się rozwiać, zanim zdążyła choćby się poruszyć, Beckett już się odsunął. Dusza skamlała o kolejną szansę, a ona stała tam, oszołomiona jak bezmyślna ciamajda. Pomyślała

o tych wszystkich dziewczynach, z którymi się umawiał i do-
tarło do niej, że ten pocałunek musiał być najgorszym w jego
życiu.

Muśnięcie jego kciuka o jej dolną wargę przyprawiło ją o
dreszcz. Tak bardzo chciała spojrzeć mu głęboko w oczy.

I wtedy ich usta znowu się złączyły i zalała ją fala wdzięcz-
ności za tę drugą szansę. Nie miała zamiaru jej zmarnować.
Odwzajemniła każdy jego ruch.

Jej odpowiedź dodała mu pewności siebie. Ścisnął ją mocniej
w swoich ramionach i przyciągnął jeszcze bliżej. Całą sobą
chłonęła intrygujące przeciwieństwo jego twardych ramion i
miękkich ust. Sala gimnastyczna nagle przestała istnieć, jak
gdyby odpłynęli w jakieś odległe, cudowne, idealne miejsce.

Powędrowała dłońmi w górę, aż do jego ramion i wbiła palce
w jego włosy na karku. Były tak miękkie, jak to sobie
wyobrażała. A nawet bardziej. I wtedy oślepiające światło
wdarło się przez jej powieki, a uszy wypełniło piśnięcie mi-
krofonu. Idealny świat w sekundę zniknął.

Madison otworzyła szeroko oczy i odskoczyła, ogarnięta
nagle przez hałas i ruch, który nie docierał do niej, gdy była
zajęta całowaniem Becketta.

Becketta O'Reilly'ego!

Zamienili ze sobą przez całe życie ze dwa zdania! To oczy-
wiste, że próbował ją poderwać, przecież to Beckett O'Reilly.
Ale ona nie musiała przecież pozwalać mu na to, jak jedna z
tych łatwych lasek, z którymi umawiał się w sobotnie wie-
czory.

- Proszę o spokój! - zawołała pani Pinsky. - Już puszcza-
my kolejną piosenkę. A ten, kto to zrobił, może być pewien, że
zostanie złapany!

Z głośników poleciały dźwięki tanecznej muzyki. Jarzeniówki z każdą sekundą świeciły jaśniej. Twarz Madison wypełnił od środka żar i teraz już na pewno wyglądała jak klaun. Nie umiała zdobyć się na to, by spojrzeć na Becketta po tym, jak całowała go tak namiętnie.

Cassidy chwyciła ją za ramię.

- Ktoś tu potrzebuje świeżego powietrza - powiedziała do Madison, rzucając Beckettowi wymowne spojrzenie.

Przyjaciółka nie musiała jej przekonywać do opuszczenia sali i wylania wszystkich żali, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi. Lecz kiedy wróciły na imprezę, Becketta już na niej nie było.

A gdy w następny poniedziałek minęła go na korytarzu, nawet nie spojrział w jej stronę. Ale mimo to uśmiechnęła się, gdy kilka dni później gruchnęła wieść, że Bradley Moore odnalazł swój sygnet. Leżał za stolikiem nocnym w jego własnym pokoju.

Beckett spojrział na Madison szlifującą łódź. Zdawało się, że gogle, które jej przyniósł, połknęły całą jej twarz, ale przynajmniej ochraniały jej piękne oczy. Pracowali już dwie godziny i nawet pomimo tego, że założył maskę, usta wyschły mu na wiór.

Delikatny wietrzyk owiał podwórze i schłodził jego skórę. Warkot szlifierek wypełniał jego uszy, naokoło fruwały kawałeczki zaschniętego lakieru, a ręce mu zdrętwiały od przesuwania urządzenia wzdłuż słoików drewna.

Jego sobotnia wycieczka do Indianapolis przebiegła dokładnie tak, jak się spodziewał. Ojciec pytał o dziadka, o pracę Becketta i na tym skończyły im się tematy do rozmowy. Gdy wylądował za kratkami za ostatnią jazdę pod wpływem alkoholu, Beckettowi nawet ulżyło. Żył w ciągłym strachu o to, że ojciec kiedyś kogoś zabije. To prawdziwy cud, że jeszcze tego nie zrobił. Rozpił się po odejściu mamy i nie przestał pomimo tego, że Layla i Beckett usilnie próbowali nakłonić go do pójścia na odwyk.

Beckett wracał do domu z głową pełną kotłujących się myśli, jak zwykle po wizycie u ojca. Tata schudł, miał zapadnięte policzki i płaski brzuch pod beżowym uniformem. Wiedział, że powinien bywać u niego częściej, ale czuł się potem tak okropnie, i to przez wiele dni, że ciężko było mu się zebrać na odwiedziny częściej niż raz w miesiącu.

Przez całe życie ojciec przynosił mu tylko wstyd. Beckett nie mógł zrozumieć, dlaczego to on czuł się winny.

- Tracimy dzienne światło - powiedziała Madison, wyłączając szlifierkę i zdejmując gogle. Z włosami związanymi w kucyk wyglądała na osiemnaście lat.

- Chcesz coś do picia? - spytała.

- Jasne.

Beckett poszedł za nią w stronę domu, a za nim dreptała Lulu. Domek znajdował się przy porośniętej drzewami ulicy. Maleńki trawnik przed nim był bardzo zadbane, a przytulna weranda wydawała się wprost idealnym miejscem na pocałunki na dobranoc.

Przekroczywszy próg, Beckett przypomniał sobie swoją ostatnią wizytę w tym domu, bukiet róż i przypadkową randkę. Ciekawe, czy Madison też to wspominała, odwracając się do niego z butelką wody wyjętą z lodówki.

- Dzięki. - Beckett wypił ją duszkiem i podszedł do okna. Patrzył przez zwiewne zasłony na zachodzące nad wzgórzami słońce, malujące różowe i fioletowe smugi na niebie. W domu byłoby całkiem cicho, gdyby nie buczenie lodówki. Zastanawiał się, czy Jade odezwała się do Madison, ale nie zamierzał o to pytać.

- Dzięki za ten papier ścierny. Teraz idzie o wiele szybciej. - Madison oparła się o blat i pociągnęła łyk z butelki.

- Bardzo dużo tego lakieru.

Nawet w starym T-shircie, znoszonych džinsach i z kolorowymi piegami z farby na policzkach była piękna. Jej brązowe oczy w kształcie migdałów nie potrzebowały makijażu, a różowe i pełne usta były idealne. Myśli Becketta powędrowały z powrotem do tamtego szkolnego balu tak dawno, dawno temu, kiedy to zapomniał, że Madison nie jest dla niego. Przez krótką chwilę pozwolił sobie uwierzyć, że jej też na nim zależy. Ale to było tylko złudzenie.

Przeszedł do salonu, na krótko przystając w progu. Zlustrował wzrokiem miękkie sofy i plecione dywaniki. Zauważył detale, które umknęły mu poprzednim razem: niewielką wbudowaną w ścianę biblioteczkę uginającą się od książek, koronkowe obrusy przykrywające drewniane stoliki oraz lampy, których światło dodawało wnętrzu przytulności. Poczul, jak bardzo ten elegancki styl wystroju różni się od surowego wnętrza jego domu. Przypomniał sobie, że w ogóle nie powinno go tutaj być.

Boże, dlaczego cały czas sam sobie to robię? Im więcej mam powodów, by trzymać się od niej z daleka - a teraz mam ich więcej niż kiedykolwiek - tym więcej czasu z nią spędzam.

Miał wobec niej dług. I to z bardzo wielu powodów. Ale spleta tego zobowiązania doprowadzi go do kresu wytrzymałości.

- Chcesz jeszcze jedną?

Odwrócił się i zorientował, że Madison stoi teraz naprawdę blisko niego. Kosmyk włosów wyplątał się z jej końskiego ogona i kołysał się poruszany podmuchem sufitowego wiatraka. Pachniała kwiatami i drewnem, co dawało intrygujące połączenie. We włosach i na nosie miała mnóstwo

kolorowych kropek z farby. Beckett włożył wolną rękę do kieszeni, żeby przypadkiem nie zrobić nią czegoś głupiego.

Wiatrak na suficie nad głową Madison obracał się powoli, postukując cicho. Wyrzuciła pustą butelkę po wodzie do kosza na śmieci. Beckett miał dzisiaj inny nastrój niż zwykle. Był cichy i bardziej ponury. Madison zastanawiała się dlaczego - czy to ona powiedziała coś nie tak? A może coś się stało w pracy?

Patrzyła na niego, gdy pił. Jabłko Adama w jego szyi drgnęło dwa, trzy razy, zanim zakręcił butelkę, gapiąc się na swoje dłonie. Jego długie rzęsy muskały mu policzki. Na jednym z nich miał spory odłamek odblaskowego, zielonego lakieru. Madison nie mogła się powstrzymać. Wyciągnęła dłoń, by go zetrzeć. Mięśnie twarzy Becketta zesztynniały pod dotykiem jej kciuka, a głowa odsunęła się gwałtownym szarpnięciem. Ich oczy spotkały się.

Ukłucie odtrącenia przeszło jej serce. Ręka opadła bezwładnie, a ona odsunęła się, zostawiając kawałek farby tam, gdzie był. Poczowała, jak po jej karku wędruje fala gorąca i zalewa jej twarz. Kiedy wreszcie dotrze do niej, że on jej nie chce?

Beckett odchrząknął i ruszył w kierunku drzwi.

- Lepiej już pójdę.

Lulu, która nie wyczuła narastającego napięcia, dała susa w jego stronę, merdając czarnym ogonem.

- Dzięki za wodę - powiedział, sięgając do kłamki.

- Dzięki za pomoc.

- Do soboty.

- Na razie.

Drzwi trzasnęły, a Lulu przydreptała do Madison. Chwilę później rozległ się dźwięk odpalanego silnika i odgłos ślizgających się na żwirze opon dodge'a.

Madison wzięła prysznic i przebrała się w piżamę. Ogarnął ją ponury nastrój. Włączyła jakiś program w telewizji, ale nie umiała się na nim skupić. Myślała tylko o tym, jak Beckett odsunął się gwałtownie przed jej dotykiem. Sięgnęła po sztruksową poduszkę i przycisnęła ją do brzucha. Musiała przestać o nim myśleć. Było mnóstwo innych mężczyzn, bardziej wartych jej uwagi.

W niedzielę w kościele spotkała Drew, który zaprosił ją na randkę w przyszły weekend. Obiecała mu, że zajrzy do grafiku i da mu znać. Może powinna do niego zadzwonić? Nie wiedziała, czemu ciągle odkłada to na potem. Przecież on na pewno nie wzdrygnąłby się przed jej dotykiem.

Zadzwonił domowy telefon, więc sięgnęła po słuchawkę. Może to Drew? Albo Beckett?

Wyświetlacz wskazywał nieznanego rozmówcę, numer kierunkowy też nic jej nie mówił.

- Halo?

W tle usłyszała cichą muzykę.

- Madison? - Głos siostry rozpoznałaby wszędzie. Poderwała się na kanapie.

- Jade?

- Tak, to ja.

- Gdzie ty się podziewasz? Wiesz, jak się martwiłam?

- Przepraszam. Ale zostawiłam ci liścik. No i dzwoniłam do rodziców.

Madison wzięła głęboki wdech, powtarzając sobie w duchu, że jej siostra jest dorosła i nie można jej karcić jak dzieciaka.

- Wszystko w porządku? Gdzie jesteś?

- Wszystko dobrze. W Chicago.

- Chicago?!

- Dasz wiarę, że mój Stary Druh przejechał taki kawał drogi? - Leciwy gruszkowo-zielony ford należący do Jade już od jakichś pięciu lat nadawał się na złom.

- Ale czy wszystko gra? Gdzie mieszkasz? Potrzebujesz pieniędzy?

Jade stłumiła śmiech.

- Nie, nie potrzebuję pieniędzy, siostrzyczko. Wszystko u mnie w porządku. Zatrzymałam się u Izzy i Kirsten z liceum. Już od dawna namawiały mnie, żebym do nich wpadła.

- A Izzy nie wyszła przypadkiem za mąż?

- Nie. Ma małego synka, ale rozstała się z jego ojcem.

- To takie wielkie miasto...

- Uważamy na siebie, nie martw się.

Ale Madison i tak się martwiła. Co Jade wiedziała o świecie? Ludzie na pewno wykorzystają jej naiwność. I hojność.

- Może będzie lepiej, jak do nas wrócisz? Mama i tata się martwią. Wszyscy się martwimy!

- Jestem dużą dziewczynką. Muszę... muszę stanąć na własnych nogach, rozumiesz?

- Nie musiałaś wyjeżdżać aż do Chicago, żeby to zrobić.

- Nic mi nie będzie, przestań już. - Jednak w jej głosie dało się wyczuć coś, co zaniepokoiło Madison.

- Gdzie pracujesz?

- W takiej tam kawiarence. Dostaję niezłe napiwki.

W Chicago było drogo. Skąd Jade weźmie pieniądze na to, by dołożyć się do czynszu? Chyba że mieszka w jakiejś norze. Gdyby tylko udało się wyciągnąć od Jade adres, wtedy mogłaby sprawdzić to miejsce na Google Earth.

- Zostawiłaś swój ulubiony szalik. Leżał za komodą. Może ci go wyślę?

- Zatrzymaj go. Dobra, dosyć o mnie, pomówmy o tobie. Jak tam lekcje żeglarstwa? Wygrałaś aukcję?

- Tak, wygrałam. I uczę się pilnie. - Nie było sensu wspominać o Becketcie.

- A sztuka? Próby już ruszyły?

- W ten weekend mamy przesłuchania. Już nie mogę się doczekać. Tęsknię za tobą.

- Na pewno masz bałagan, co?

- No, może parę naczyń w zlewie.

- I pokażną warstewkę kurzu?

Madison nie mogła pohamować uśmiechu. Boże, jak bardzo tęskniła za Jade!

- Oj tam, nie taką znowu pokażną!

Zacząła opowiadać siostrze, co ciekawego słyhać u pozostałych członków rodziny, ale nagle Jade wtrąciła się:

- Słuchaj, muszę już iść, kończy mi się przerwa. Chciałam tylko usłyszeć twój głos. I powiedzieć, że u mnie wszystko gra.

- Czekaj, czy pod tym numerem można cię złapać?

- Nie, to numer kawiarni. My nie mamy na razie domowego.

Cóż, lepsze to niż nic.

- Kończę już - powiedziała Jade. - Pozdrów wszystkich.

- Dobrze siostrzyczko, kocham cię.

- Ja ciebie też!

A potem się rozłączyła. Madison wyłączyła telefon i przytuliła słuchawkę do piersi. U Jade wszystko w porządku, przynajmniej na razie. Chociaż po tej rozmowie nie do końca była uspokojona. Popatrzyła na zegarek i wybrała numer do rodziców. Na pewno będą chcieli wszystkiego się dowiedzieć.

Wiatr targał włosy Madison, gdy Beckett podprowadzał łódź do przystani. Dzień był piękny i słoneczny, wprost idealny na pierwszą lekcję żeglarstwa z Beckettem. Przeszkolona z podstaw przez Evana, Madison była już gotowa, by poznać technikę i powoli zacząć uczyć się ścigać. Ćwiczyli bajdewind, żeglugę z wiatrem, halsowanie i zwrot przez rufę.

W miarę jak podpływali do przystani, myśli Madison powędrowały do jej rodziców. Na wczorajszym rodzinnym grillu wszyscy mieli dobre nastroje, uspokojeni wieściami od Jade. Madison odnalazła kawiarnię w Chicago po numerze telefonu i sprawdziła ją na Google Earth, ale nie na wiele się to zdało.

Beckett zwolnił gaz. Postanowiła myśleć o nim jak o przyjacielu, a nie o mężczyźnie, którego pocałunek był najlepszym w jej życiu. Którego mięśnie prężyły się w świetle słońca. I który stał się wzorem cnót, jak mówiła Cassidy.

Byli przyjaciółmi. I tyle.

By samej sobie to udowodnić, unikała dotykania go, nawet patrzenia w jego kierunku i rozmowy z nim, chyba że było to konieczne. Aby jeszcze mocniej utwierdzić się w swoim postanowieniu, umówiła się tego wieczora na randkę z Drew, który też zdecydował się wziąć udział w przesłuchaniu do tegorocznej sztuki. Podobno grał już w przedstawieniach w czasach podstawówki. *Miłość na krawędzi* napisana przez dramaturga ze stanu Indiana wygrała doroczny konkurs na najlepszą sztukę.

Madison była podekscytowana, bo starała się o główną rolę kobiecą. Jej bohaterka, Eleanor, była skomplikowaną i absorbującą postacią z porywającą historią.

Po przesłuchaniu Drew zabierał ją do restauracji nad rzeką w Louisville, która słynęła z wyśmienitych steków. Uprzedził ją, że ma dziś dyżur pod telefonem i w każdej chwili mogą do niego dzwonić ze szpitala. Będzie musiała do tego przywyknąć, jeśli dalej będzie chciała się z nim spotykać.

Beckett doprowadził łódź do nadbrzeża. Gdy zbliżyli się do kei, Madison chwyciła cumę i wyszła na brzeg, czując strach tylko przez krótki moment. Ciągnęła linę, aż żaglówka znalazła się na miejscu, po czym owinęła ją na knadze w ósemkę, której wiązania nauczył ją Beckett.

- Dobra robota - powiedział, zeskakując z łodzi.
- Jeszcze długa droga przede mną.
- Daleko już zaszłaś.

Madison chciała sobie zanotować choć część z tych rzeczy, które mówił, zanim wylecą jej z głowy. Podczas wyścigów było o wiele więcej spraw do ogarnięcia, niż to sobie wcześniej wyobrażała. Bajdewind, halsowanie, zwrot przez rufę... Musiała tyle zapamiętać!

Słońce piekło ją w ramiona, gdy szli wzdłuż doku. Dziewczyna popatrzyła na zegarek. Starczy jej jeszcze czasu na szybki prysznic przed randką z Drew.

- Mam nadzieję, że się przeze mnie nigdzie nie spóźnisz. Już chciała mu powiedzieć o randce, ale nagle zmieniła zdanie.

- Nie, co ty.

Gdy doszli do budynku Dewitta, podziękowała mu i skierowała się do swojego auta.

- Jak tam randka? - PJ usiadła z impetem w ławce kościelnej obok Madison. Był niedzielny poranek.

- Nieźle.

Miejsca szybko się zapełniały, bo za kilka minut miało rozpocząć się nabożeństwo. Organistka grała jakąś starą pieśń, a przy każdym akordzie jej siwe loki podskakiwały rytmicznie.

- Tylko tyle? Przecież jestem twoją siostrą! - PJ przerzuciła brązowe włosy za kanciaste ramiona.

Madison westchnęła.

- Poszliśmy do Mortona. Potwierdzam opinie, serwują wyśmienite steki.

- A co mnie obchodzi kawał mięsa! Pocałował cię na dobranoc?

Madison uniosła jedną brew.

- Tak...

PJ uśmiechnęła się.

- ...w policzek.

Uśmiech PJ zgasł.

- Rety, ale łajza.

- Jest gentlemanem, to przecież nic złego.

Madison pomachała przechodzącym obok rodzicom, którzy zajęli miejsca dwa rzędy dalej za jej bratem i Danielem. PJ wygładziła swoją spódnicę w kwiaty.

- W szkółce niedzielnej wszyscy mówili tylko o twoim przesłuchaniu.

Madison była bardzo zadowolona z tego, jak jej poszło. I bardzo mile zaskoczona umiejętnościami aktorskimi Drew.

-Tak?

- Twoim i Drew - też. Dottie była przeszczęśliwa, że w tym roku trafiły jej się takie talenty. Myślę, że Drew zagra z tobą. Będziesz miała okazję lepiej go poznać podczas prób.

Na wzmiankę o próbach Madison poczuła się lekko zaniepokojona. Być może jej mama miała rację. Praca, regaty, próby i staruszkowie z domu opieki - będzie zavalona pracą.

- Mam nadzieję, że nie wzięłam na siebie więcej, niż dam radę udźwignąć.

- Będzie fajnie. - PJ rozczapierzyła palce lewej dłoni, po czym znowu zamknęła je w pięść. Potem poruszyła lewym ramieniem.

- Co ci jest?

- Dziwne. Coś się dzieje z moją lewą dłonią. Zdrętwiała. - PJ popatrzyła na siostrę szeroko otwartymi oczami. - To może być objaw zawału serca.

- Tak... - Madison wyciągnęła rękę i zdjęła gumkę do włosów z nadgarstka dziewczyny. - ...albo objaw niedokrwienia.

- Aaa... Ups!

Madison usadowiła się w ławce i razem z pozostałymi wiernymi prowadzonymi przez kościelną dyrygentkę, odśpiewała kilka pieśni. Po chwili ciszy na modlitwę, do prezbiterium wszedł pastor Adams i zaczął kazanie. Madison otworzyła Pismo Święte na ósmym rozdziale Ewangelii wg św. Łukasza. *Przypowieść o siewcy*. Ziarno na drodze, ziarno na skale, ziarno pośród cierni i ziarno na żyznej ziemi. Słyszała to dziesiątki razy. Gapiła się w tekst, gdy pastor Adams zaczął go czytać, ale słowa zlały się na kartce przed jej oczami, a myśli powędrowały do jutrzejszego napiętego planu dnia.

Madison przyjechała do domu opieki później niż zwykle. Klęczące Klepy zakończyły już wspólne robótki, więc zastała panią Geiger siedzącą samotnie w swoim pokoju.

- Puk-puk! - powiedziała Madison, przekraczając próg.

- Witaj, kochaniutka. Och! To kociak!

Pani Geiger przydreptała bliżej, szurając swoimi różowymi kapciami, i odebrała zwierzątko z rąk Madison.

- Wiesz, że miałam kiedyś takiego? Nazwałam go Oscar. Miał paskudny zwyczaj zapładniania wszystkich kotek w sąsiedztwie.

- Czemu go pani nie wysterylizowała?

- Och, mój mąż w życiu by się na to nie zgodził. Oczywiście *to nie był jego kot*, gdy trzeba było sobie radzić z kolejnymi pomiotami. Wierz mi, że nie mieliśmy najlepszych stosunków z sąsiadami.

- Miałam nadzieję, że zdążę na czas, by spotkać wszystkie pani przyjaciółki, bo nie było mnie tydzień temu.

- No cóż, tylko ja kocham koty, a pani Marquart ma na nie alergię.

Pani Geiger przytuliła zwierzątko do piersi, a ono powoli zmrużyło oczy.

- Wnuk pani Etter jest zachwycony tym pieskiem, którego adoptował. Wysłał jej nawet zdjęcia na komputer, ale nie mamy pojęcia, jak je otworzyć. Pewnie Perry przyniesie nam w najbliższym czasie odbitki.

- Cieszę się, że wszystko dobrze się ułożyło.

- Ach! - Równe brwi pani Geiger uniosły się gwałtownie. - Słyszałam o sztuce! Gratuluję głównej roli. Znowu! Już nie mogę się doczekać, aż cię zobaczę.

- Dziękuję. Właśnie mieliśmy pierwszą próbę, dlatego się spóźniłam. Muszę zapamiętać naprawdę wiele kwestii.

- Na pewno poradzisz sobie wspaniale, jak zawsze. Masz bardzo dużo na głowie: sztuka, nauka żeglarstwa i co tam jeszcze. Będziemy ci kibicować w obu tych sprawach. Ale teraz opowiedz mi o Jade. Dziewczyny będą chciały usłyszeć nowinki na jej temat po porannej modlitwie. Podobno dzwoniła. Prawda to?

Madison wzięła do ręki zdjęcie pani Geiger z wnukami i prawnukami.

- Tak. Jest w Chicago.

- O rety! Dobrze, że jest cała i zdrowa. Bóg się nią opiekuje.

- Zatrzymała się u koleżanek z liceum. Martwię się o nią. - Madison odłożyła zdjęcie na miejsce. - Jest taka hojna, wie pani? Oddałaby nieznajomemu swoją ostatnią koszulę. Mam nadzieję, że nikt jej nie wykorzysta.

- Będziemy się za nią modlić, nie martw się. Bóg ma dla niej wyjątkowy plan. Dla jej muzycznego talentu też. Zobaczysz.

Gdy skończyły pogawędkę, pani Geiger oddała Madison kociaka, pogłaskawszy go ostatni raz.

- Pa, pa, mały skarbeńku. Lepiej pójdę pod prysznic i do łóżka, bo jeszcze jutro zaśpię i przegapię poranne kółko modlitewne. Pani Etter nie cierpi, gdy mi się to zdarza.

- Proszę serdecznie podziękować koleżankom za ich modlitwy. - Madison się uśmiechnęła.

- Oczywiście. Dalej będziemy się modlić za ciebie i tego przystojnego chłopca O'Reilly'ego.

- Tylko że ja się spotykam z Drew Landonem, jest nowym lekarzem w mieście.

- Ach tak. Słyszałam coś o tym. - Pani Geiger uścisnęła Madison serdecznie. - Daj nam koniecznie znać, jeśli będziesz miała dla nas jeszcze jakąś intencję.

- Jasne.

Madison poszła w dół korytarza, przystając po drodze na krótką wymianę zdań z kilkoma mieszkańcami domu opieki. Już miała wejść do pokoju jednego z przyjaciół, gdy usłyszała jakieś zamieszanie na końcu korytarza. Rozejrzała się, ale nie widziała nigdzie pielęgniarek, więc ruszyła w stronę, z której dochodziły krzyki.

- Nie chcę! - Madison rozpoznała ochrypły głos pana O'Reilly'ego.

Przyspieszyła kroku.

- Odejdź ode mnie! Zostaw mnie!

Gdy wpadła do pokoju, zastała pana O'Reilly'ego klęczącego pod oknem. Beckett wyciągał do niego ręce. Dziadek odtrącił jego dłoń.

- Nie potrzebuję twojej pomocy!

Madison wcisnęła przycisk przy łóżku, by wezwać pielęgniarkę.

- Chodź, dziadku - powiedział Beckett. - Pomogę ci wrócić do łóżka.

- Odejdź ode mnie! Jesteś kłamcą! Nie chcę cię tutaj!

- To ja, dziadku. Beckett. Chodź, proszę...

Beckett włożył mu ręce pod pachy i próbował go unieść. I wtedy dziadek wymierzył mu cios prosto w twarz. A potem kolejny.

Madison podbiegła do nich.

- Dzień dobry, panie O'Reilly, może ja mogłabym panu pomóc?

Dziadek, stanąwszy wreszcie na nogi, odepchnął Becketta i zwrócił się do niej:

- Zabierz stąd tego wstrętnego kota!

Siostra Doolittle wśliznęła się do pokoju i posłała Madison spojrzenie znad okularów.

- Słyszała pani, co mówi. Proszę, panie O'Reilly, złociutki. Wracamy do łóżka.

Beckett odwrócił się, pocierając kark. Pan O'Reilly rozglądał się po pokoju zagubionym i roztargnionym spojrzeniem. Jego wilgotne oczy minęły Becketta i zatrzymały się na pani Doolittle.

Pielęgniarka wzięła go pod rękę i zaprowadziła do łóżka.

- Bardzo proszę, jesteśmy na miejscu. Może założyć panu ulubione ciepłe skarpety? Pana wnuk przywiózł je wyprane i pachnące.

Pielęgniarka szepnęła coś Beckettowi i pogłaskała go po ramieniu. Po jego twarzy przebiegł cień, gdy mijał Madison,

wychodząc z sali.

Dogoniła go pod pokojem pielęgniarek i szła dalej obok niego, ramię w ramię, nic nie mówiąc.

- Wszystko w porządku? - spytała w końcu, gdy Beckett złapał oddech.

- Okej. - Jego głos był płaski, tak jakby coś utknęło mu w gardle i zdławiło wszelkie emocje.

- Wcale nie. Chodź, usiądziemy. - Pociągnęła go do opuszczonego pokoju dziennego i usiadła za jednym ze stołów. Za jej plecami słychać było buczenie automatu z kawą. Kot skulił się na jej kolanach i przytknął oczy, mruczając.

Beckett opadł na krzesło i potarł dłonią kark. Czerwone niteczki przecinały białka jego oczu.

- Na pewno jest ci ciężko - zaczęła niepewnie Madison.

- Bogu dzięki, że nie zawsze tak to wygląda.

Ale kiedyś w końcu zaczniesz. Żadne z nich nie musiało tego mówić.

- To okropna choroba - usiłowała ciągnąć rozmowę. - Ciężka do zniesienia dla wszystkich.

- Nie wiem, dlaczego nazywa mnie kłamcą - powiedział Beckett, gapiąc się gdzieś w dal.

- Przemawia przez niego demencja. Nie możesz brać tego do siebie. Nie wie, co mówi i co robi. Kocha cię.

- Tak, wiem - westchnął Beckett. Na policzku miał czerwony ślad po uderzeniu dziadka.

Madison czuła, że serce jej się kraje. Nie umiała sobie wyobrazić, że jej dziadek mógłby jej nie rozpoznawać i mówić w twarz tak okrutne rzeczy. Beckett był dla pana O'Reillyego taki czuły i cierpliwy.

- Fantastycznie się nim opiekujesz. Nie robisz tu prania?

- Robią.

- Pani Doolittle powiedziała, że wyprałeś mu skarpetki. Wzruszył ramionami.

- To jego ulubione, często marzną mu stopy. A one co chwilę gdzieś się gubiły.

- Ma wielkie szczęście, że o niego dbasz. Wielu mieszkańców jest tu bardzo samotnych. To takie smutne.

- To dlatego tu przychodzisz? Jego wzrok utknął w jej oczach.

- Zwierzęta uszczęśliwiają tych ludzi. Poza tym lubię ich. Staruszkowie są kopalnią mądrości. Szkoda, że często się o tym zapomina. - Madison pogłaskała kota, który mruczał przez sen. - Ty i dziadek musieliście być sobie bliscy.

- Miałem tylko dziesięć lat, gdy się do niego wprowadziliśmy.

- Ty, twoja siostra i ojciec?

Kiwnął głową. Madison nigdy wcześniej nie myślała o tym, co działo się z nim i Laylą, podczas gdy ich ojciec regularnie wracał za kratki.

- A twoja mama?

Beckett położył ręce na blacie stołu, złożył je i wpatrywał się w nie.

- Przepraszam, jestem wścibska.

- Odeszła, gdy byliśmy mali. Widywałem ją od czasu do czasu. Mieszka teraz w Kalifornii z *nowym mężem*.

Madison pomyślała o swojej zżytej rodzinie. Pewnie, że czasem wtrącali się w nieswoje sprawy, bywali naprawdę nieznośni, ale nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez nich.

- To dziadek nas wychowywał. I to on zabierał nas do kościoła. Obojętnie, czy lało, czy sypał śnieg, punktualnie

o dziewiątej w niedzielne poranki wychodziliśmy z domu i jechaliśmy jego starym gruchotem, czy nam się to podobało, czy nie.

- U nas w rodzinie było tak samo. - Madison się uśmiechnęła.
- Jeśli ktoś chciał się wywinąć, musiał mieć gorączkę.

- Znam to. Trzeba było wsadzić termometr do szklanki z ciepłą wodą, wetrzeć w oczy trochę mydła, żeby były pięknie przekrwione i załatwione.

- Niedobre dziecko! - Madison się zaśmiała.

- Dziadek domyślił się, gdy miałem trzynaście lat. Najwyraźniej kluczem do sukcesu było nie korzystać z tej sztuczki zbyt często.

- Dzięki za wskazówkę.

- Dałem mu popalić, a on nigdy się nie poddał. Jestem mu wdzięczny, że kazał mi już pójść. Zrobił to, bo mnie kocha.

- Chyba chodzisz do tego samego kościoła, co moja przyjaciółka, Cassidy.

- Do Wspólnoty Riverview. Fajni ludzie. Panie przesyłają dziadkowi kartki i różne pyszności domowej roboty, a panowie go odwiedzają.

A Beckett naprawiał wdowom samochody i kosił kościelny trawnik.

- Bardzo się zmieniłeś od czasów ogólniaka.

- Powiedz prawdę. - Uśmiechnął się. - Byłem durniem.

- Byłeś zagubiony. - Madison odpowiedziała uśmiechem.

Ona zresztą też, przynajmniej w temacie Becketta. Spojrzała mu w oczy i zdała sobie sprawę, że źle go oceniła. Przecież ludzie dojrzewali, zmieniali się w miarę, jak przydarzało im się wszystko to, co nazywamy życiem. A ona wyrobiła sobie zdanie na jego temat na podstawie tego, co stało się

z Jade i jakichś zamierzchłych historii. To nie fair. Cokolwiek wydarzyło się tamtego wieczora, gdy poszli na randkę, nie było jego winą - teraz była tego pewna.

- Opowiedz mi o swoich łodziach. Jak to się stało, że zacząłeś je konstruować?

Beckett wzruszył ramionami.

- Na początku chciałem zbudować jedną dla siebie. Coś taniego i łatwego w utrzymaniu. Jak tylko wziąłem się do roboty, *tanie i łatwe w utrzymaniu* mogłem już włożyć między bajki. Spodobał mi się cały ten proces i postanowiłem skonstruować kolejną. Sprzedałem ją jednemu turyście i potem już jakoś poszło.

Madison podobało się światelko w jego oczach, gdy opowiadał o tym wszystkim.

- Na razie to tylko hobby - dodał.

- Powinieneś rozkręcić interes. Uruchom stronę internetową i do dzieła.

- Chciałem, ale do tego potrzeba kasy. Jeśli wygram regaty, to właśnie na to przeznaczę nagrodę. Otworzę firmę. Może kiedyś będę pełnoetatowym konstruktorem łodzi.

A więc każde z nich miało jakiś ukryty cel, by wygrać regaty. Szkoda, że nie mogli oboje być zwycięzcami.

- Z kim płyniesz?

- Sam.

- Nie chcesz, żeby ktoś coś popsuł?

- Już dwa razy przez to przegrałem. W tym roku zbyt wiele mam do stracenia.

Rozmowa zesłała na żaglówkę Madison. Gawędzili tak, śmiejąc się, i całkowicie stracili poczucie czasu, aż pojawiła się pani Doolittle, która, rzucając im spojrzenie znad

okularów, zatrzymała się w drzwiach ze ściągniętymi ustami.
- Co wy tu jeszcze robicie? Godziny odwiedzin już dawno minęły.

Założyła ręce na piersi i patrzyła na nich jak na parę przedszkolaków, którzy dobrali się do pudełka z ciastkami. Beckett popatrzył na zegarek i uniósł wysoko brwi. -Ups!

Madison wstała, tuląc kota, i grzecznie zasunęła za sobą krzesło wciąż obserwowana przez panią Doolittle.

- Dobranoc - powiedział Beckett, gdy wychodzili. Madison czuła na plecach spojrzenie pielęgniarki, gdy szli uśpionym korytarzem.

- Masz na mnie zły wpływ - szepnęła.

Beckett popatrzył na nią wymownie i wtedy nie wytrzymała. Ich głośny śmiech odbił się echem od ścian holu. Pani Doolittle pewnie nie była zachwycona.

Beckett odprowadził Madison do domu. Po lekcji żeglarstwa pracowali razem nad jej łodzią. Gdy zaproponowała mu colę i popcorn, nie widział powodu, by odmawiać. Od czasu pogawędki w domu opieki ich relacja stała się swobodniejsza.

Madison była pilną uczennicą, nie tylko w szkole. Odkąd widział ją ostatni raz, odbyła kilka lekcji z Evanem i Beckett był zaskoczony, jak szybko opanowała wszystkie pojęcia i technikę. Zanosilo się na to, że wcale nie będzie dla Evana piętą Achillesa. Beckett naprawdę będzie musiał się starać, by z nimi wygrać.

Tak bardzo cieszył się z towarzystwa Madison, że miał nadzieję, że Evan będzie pracować we wszystkie soboty. Umiała śmiać się sama z siebie, co wydawało mu się zaskakujące i urocze. Dzisiaj na przykład potknęła się w drodze do samochodu i wylądowała twarzą w trawie, zanim zdążył ją złapać. Myślał, że poczuje się zawstydzona, a ona chichrała się tak, że oczy zaszczyły jej łzami.

Jej śmiech wciąż był tak melodyjny jak kiedyś. Mógłby go słuchać całymi dniami.

- Cola? Sprite? - spytała przez ramię.

- Cola. Ja naleję.

Dołączył do niej w kuchni, a ona podała mu dwulitrową butelkę i dwie szklanki.

- To ja zrobię prażoną kukurydzę. Mam maszynę do popcornu, te torebki do mikrofalówki są beznadziejne.

- Nie wiedziałem, że jeszcze produkują takie urządzenia. - Beckett wrzucił lód do szklanek.

- Należała do moich rodziców. Nawrócili się na mikrofalówkę.

- Jak cała reszta Ameryki.

- Mów, co chcesz, prażenie jest szybsze i tańsze. Poza tym bez oleju.

- To zjemy takie suche?!

Madison rozbawił wyraz jego twarzy. Parsknęła śmiechem.

- A skąd! Skąpię naszą kukurydzę w roztopionym maśle. To lepsze niż olej.

- Ale mnie wystraszyłaś.

Beckett nalał colę i poczekał, aż opadnie pianka.

Dzisiaj skończyli szlifowanie. Oboje mieli we włosach i na ubraniach pył i odłamki lakieru pomimo tego, że dokładnie otrzepali się przed wejściem do domu.

- Na jaki kolor pomalujesz łódź?

- Na granatowo - powiedziała Madison, wchodząc do spiżarni. - Zacznę w poniedziałek. Jaką farbę powinnam kupić?

- Jakiś dobry metaliczny podkład. Nie wyrzucaj pieniędzy na farby do jachtów. Zwykła emalia nada się w zupełności. Kup sobie wałek i dobry pędzel. Jeśli będziemy pracować we

dwoje, pięknie ją wykończymy. Jak tylko wyschnie, sprawdzimy, w jakim jest stanie technicznym.

- Super.

- Jak ją ochrzczisz? Coś trzasnęło. -Ooo!

Beckett odwrócił się i ujrzał Madison, stojącą na palcach z telepiącą się maszyną do popcornu w dłoniach. W mgnieniu oka chwycił urządzenie. Madison jednak straciła równowagę i poleciała do tyłu, ale złapał ją w talii wolną ręką.

Znieruchomiała. Jej delikatne ciało idealnie przylgnęło do jego. Beckettowi zaschło w gardle. Poczł kwiatowy zapach jej szamponu do włosów. Ścisnął mocniej maszynę do popcornu.

- Dzięki - szepnęła, odwracając się w jego ramionach. Ich spojrzenia spotkały się. Grzywka opadła jej na oczy i splątała się z rzęsami. Beckett poczuł pragnienie tak silne, że zamarł w bezruchu. Madison rozchyliła usta.

- Marzenie Michaela.

- Że co? - Jej słowa zbiły go z tropu.

- Tak nazwę moją łódź. *Marzenie Michaela...*

- Chciał zostać najmłodszym zwycięzcą regat w historii. Marzył, by wygrać, zanim skończy dwadzieścia siedem lat. Ta data się zbliża, ale zdążę. Dzięki tobie i Evanowi.

A więc to o to chodziło? Lekcje, żaglówka, regaty? Beckett myślał, że Madison lubi rywalizację albo potrzebuje pieniędzy z wygranej - tak jak on i wielu innych biorących udział w zawodach. Ale jej nie chodziło o kasę. Chodziło o marzenie jej zmarłego brata. Marzenie, które Beckett mu ukradł.

Dzięki tobie, powiedziała. Nie miał prawa tu być i trzymać jej w ramionach. W ogóle nie powinien tutaj przychodzić, myśleć o tym, jak pachnie, jak jej ciało opiera się o jego. Czemu ciągle o tym zapominał?

Cofnął się o krok.

- Przepraszam cię... - powiedział - ...ale nie mogę dłużej zostać.

Madison zamrugła, oczy zaszyły jej mgłą.

- Ale... popcorn zaraz będzie gotowy.

Chciała przyjaźni, a on, dureń, myślał, że *to* się uda. Idiota! Przecież nie z Madison. Nigdy w życiu. Postawił urządzenie na blacie.

- Przepraszam. Innym razem.

Nawet na nią nie spojrział. Gdyby to zrobił, zagubione spojrzenie jej brązowych oczu zbyt kusiłoby go, by zostać.

Po wyjściu Becketta w domu zapadła cisza. Bąbelki coli syczały w wypełnionych do połowy szklankach, kostki lodu dzwoniły. Co się stało? Jeszcze przed chwilą wszystko było dobrze, byli przyjaciółmi, nalewali sobie colę, robili wspólne plany. A potem nagle uciekł. Coś podobnego stało się już kilka tygodni temu. Ale Madison myślała, że od tamtego czasu poczynili jakieś postępy.

Najwyraźniej była w błędzie.

Kiedy poczuła na swojej talii dłoń Becketta i ciepło jego ciała na swoich plecach, przypomniała sobie, dlaczego tak trudno im się zaprzyjaźnić. Iskrzyło między nimi tak, że można by rozpaść ognisko.

Tak jej się przynajmniej wydawało. Ale jemu chyba jednak nie.

I w tym tkwi cały kłopot, Madison. Uciekał od niej na każdym kroku. Gdy próbowała go dotknąć, gdy wpadła na niego w spiżarni. Może sobie pomyślał, że zrobiła to specjalnie, byle tylko znaleźć się w jego ramionach. Czy to dlatego tak nagle wyszedł?

Chyba nigdy w życiu nie czuła się gorzej. Odłożyła urządzenie na dolną półkę i przelała colę do jednej szklanki. Opadła na sofę i pomyślała o długiej nocy, która ją czekała. W domu było zbyt cicho.

Na samą myśl o kolejnym spotkaniu z Beckettem dostała wypieków na twarzy. Kiedy to wreszcie do ciebie dotrze, Madison? On nie jest zainteresowany. Nie i koniec. Więc trzymaj ręce przy sobie.

Poza tym musiała też myśleć o Jade. Jej siostra była tamtego wieczora szczęśliwa jak nigdy. A Beckett też musiał coś do niej czuć. No, bo przecież wysyłał do niej liściki. I zaprosił na bankiet. To on wysyłał liściki, prawda?

Wstała i poszła do pokoju Jade. Ciągle pachniało w nim ulubionymi orientalnymi perfumami dziewczyny. Siostra pokazywała jej liściki za każdym razem, gdy jakiś dostawała. Trzymała je w szufladzie nocnej szafki.

Madison otworzyła ją i zaskoczona odkryła, że Jade zostawiła je na miejscu. Wyjęła stosik i usiadła na łóżku siostry. Na górze leżała zaszuszone różowa róża z postrzępionymi płatkami. Jade znalazła ten kwiat na siedzeniu swojego samochodu pewnej niedzieli po skończonym nabożeństwie.

Następny był wiersz Byrona *Idzie w Piękności*. Madison pamiętała, jak uważnie czytały go z Jade, szukając wskazówek.

Napisany był na dziwnym papierze z jakiegoś nietypowego notesu. Kartka miała mniejsze wymiary i perforowane brzegi. Była w kolorze złamanej bieli i w szarą liniaturę. Słowa wiersza wypisane były na beżowej karteczce przyklejonej na środek strony. Całość złożona była równiutko na trzy razy. Madison przeczytała piękne poetyckie wersy i nie mogła sobie wyobrazić, żeby to Beckett wybrał ten wiersz. Jade musiała wyzwolić w nim romantyka. Nic dziwnego, że uciekał od Madison.

Kolejny był krótki liścik, który Jade znalazła za wycieraczką kiedyś po pracy, napisany odręcznie na tym samym papierze, tak samo złożony. *Moje serce śpiewa do twojej muzyki.* To była jedna z dwóch odręcznie pisanych notek, ale nie rozpoznała spod czyjej mogła wyjść ręki. A poza tym odręczne pismo łatwo było zmienić.

Otworzyła czerwoną kartkę z różowym sercem na środku. *Udanych Walentynek życzy Tajemniczy Wielbiciel.*

Pozostałe były podobne, nie ujawniały niczego o mężczyźnie, który je wysyłał. Czy Jade rzeczywiście nie miała pojęcia, kto to był? Czy naprawdę olśniło ją dopiero, kiedy Beckett pojawił się u ich drzwi?

Madison włożyła wszystko z powrotem do szuflady. Jakie to miało znaczenie? Randka okazała się katastrofą, a Jade wyjechała. Madison musiała zapomnieć o Beckettcie i jakoś przetrwać pozostałe lekcje. Wtedy nie będzie już potrzeby się z nim spotykać.

Ta myśl powinna podnieść ją na duchu. Ale zamiast tego jej morale opadły tak nisko, jak to tylko było możliwe.

O co jej chodzi? Czy była aż tak samotna, by niecierpliwie wyczekiwać spędzania czasu z człowiekiem, którego ona

w ogóle nie interesuje? I to takim, który najwyraźniej leciał na jej siostrę? A może czuła coś do Becketta?

Pokręciła głową. To tylko chemia. Wspomnienie tamtego pocałunku sprzed lat - tego, o którym on całkiem zapomniał - igrało z jej emocjami. Musiała przestać o tym myśleć, skupić się na regatach i sztuce. Było mnóstwo rzeczy, którymi powinna się teraz zająć. I był też Drew. A może zaprosić go na kolację? Mogliby przećwiczyć kwestie. Bardzo by się jej to przydało. Rozejrzała się po domu i wyobraziła go sobie w swojej przestrzeni.

Antyczny stolik kawowy wprost zasypany był gazetami, kubek po porannej kawie ciągle stał na dębowym blacie, a na fotelu naprzeciwko niej piętrzyły się zdjęte z sofy poduszki. Madison nawet nie zauważyła, jak bardzo Jade dbała w domu o porządek, dopóki nie wyjechała.

Zegar na ścianie tykał, a lodówka buczała cicho. Wyciągnęła ze sterty gazet scenariusz i przez godzinę uczyła się na pamięć swoich kwestii. Kiedy skończyła, włączyła telewizor - coś, by zagłuszyć ciszę. Na ekranie pojawił się jakiś stary sitcom i pokój wypełniły odgłosy rozmów i podkładanego śmiechu, które jednak nie ukończyły jej wewnętrznej pustki.

Beckett przykręcał nogę uchwytu montażowego do pawęży, przyciskając wkrętarce mocniej, niż to było konieczne. Sąsiadów pewnie nie cieszył taki hałas. Próbował spać, ale za każdym razem, gdy zamykał oczy, widział Madison patrzącą na niego z nadzieją. Z wdzięcznością.

Wprowadził śrubę do końca i sięgnął po następną. Gdyby tylko wiedziała...

Tamto wspomnienie wciąż go prześladowało. Chodziło za nim jak złowrogi cień, zakradało się zawsze wtedy, gdy najmniej się tego spodziewał. Jak dziś wieczorem. Próbował je odepchnąć, ale ono podchodziło i pożerało go.

W parne, wilgotne soboty Beckett często chodził popływać nad Zakole Turnera. Rzeka była w tym miejscu zacieniona przez postrzępiony skalisty klif, a woda płynęła tu spokojnie i leniwie, czysta i odświeżająca.

Wkrótce miał wrócić do domu i wziąć szybki prysznic przed pracą, ale nie chciało mu się iść. Zanurkował i pływał pod wodą, aż płuca zaczęły go palić. Gdy się wynurzył,

zobaczył Michaela McKinley'a ściągającego swoje buty na brzegu. Beckett rozejrzał się z nadzieją, że może przyszedł z Madison, ale chłopak był sam. To chyba nawet lepiej. Odkąd pocałował ją na tamtej imprezie przed rokiem, robił wszystko, by ją ignorować, co nie było takie trudne od czasu, gdy skończył szkołę. Ale nie przestał przez to o niej myśleć.

- Cześć, O'Reilly! - Michael wyszczerzył zęby w swoim firmowym uśmiechu.

Beckett skinął mu i zanurzył się z powrotem. Nie miał ochoty na towarzystwo. Przyszedł tu, by pobyć sam. Ojciec zaczął dziś pić o dziewiątej rano. Dziadek i siostra wyszli na cały dzień, a Beckett nie miał ochoty siedzieć z nim i patrzeć, jak z godziny na godzinę robi się bardziej pijany.

Wynurzył się akurat, gdy Michael wskoczył z pluskiem do wody. Był szkolną gwiazdą koszykówki, chociaż chodził dopiero do trzeciej klasy. Wysoki i dobrze zbudowany, miał takie same oczy jak Madison.

Beckett podpłynął w stronę klifu. Znowu Madison. Czemu nie mógł przestać o niej myśleć? Nawet pomimo tego, że spotykał się potem z innymi dziewczynami, ona wciąż krążyła w jego myślach jak natrętny komar.

Gdy wynurzył się, by zaczerpnąć powietrza, Michael był niedaleko, w cieniu skalnej ściany.

- Rany, ale dobrze - powiedział. - Jest chyba ze trzydzieści pięć stopni.

- Albo i więcej - odparł Beckett i dotknął dłonią klifu.

- Ciekawe, jaki będzie sierpień. Powinienem dopicowywać moją łódź, ale w stodole jest za gorąco. Nawet wietrzyk nie wieje.

- A nam zepsuł się klimatyzator.

- To do kitu.

Michael popatrzył w górę na czteroipółmetrowy klif, na którym modrosójka krzyczała gdzieś na wysokiej gałęzi.

- Podobno jest za płytko, żeby stamtąd skakać, ale zastanawiałem się nad tym.

Beckett podążył oczami za jego wzrokiem.

- Ja kiedyś próbowałem.

Był wtedy praktycznie gotowy na samobójstwo. Poprzedniego wieczora aresztowali jego ojca na rogu ulic Main i Oak za jazdę na czerwonym świetle po pijaku.

- Nie wierzę ci.

Gdyby powiedział to ktokolwiek inny, Beckett wpakowałby mu pięść w twarz. Ale Michael miał w sobie coś szczególnego. Poza tym był bratem Madison.

- To było w zeszłym roku. Było mniej wody w rzece niż teraz.

- Kitujesz.

Beckett patrzył na niego przez chwilę.

- Pokażę ci.

Podpłynął do brzegu, wyszedł z wody i zaczął wspinać się stromą ścieżką na klif. Woda ściekała stróżkami po jego nogach. Trawa łaskotała go w łydki, a kamyki i korzenie wbijały się w podeszwy stóp.

- Hej! Nie wiem, czy to najlepszy pomysł - powiedział Michael, gdy Beckett był na szczycie i podszedł do krawędzi.

- Podnieść kotwicę!

Beckett odepchnął się i skoczył. Leciał w dół, po czym przeciął taflę i znalazł się pod wodą. Ostro poderwał się w górę i wynurzył się na powierzchnię. Zaczerpnął powietrza i odgarnął mokre włosy z twarzy.

- Widzisz? Jest dość głęboko.
- Wow, wystraszyłeś mnie.
- Twoja kolej.
- No nie wiem. - Michael się zaśmiał. - Może później. Beckett podrażnił się z nim jeszcze ze śmiechem, zanim zostawił go pływającego w kółko przy brzegu. Sam odpłynął dalej, ale po dłuższej chwili wrócił na brzeg, otrzepał się i zarzucił ręcznik na kark.

- Na razie - zawołał Michael.
Beckett uniósł dłoń, ale nawet nie spojrzął za siebie. Nie zobaczył ostatniego uśmiechu w życiu Michaela McKinleya.

Gdy później usłyszał syreny, nie wiedział, po kogo jechała karetka. Ale gdy dowiedział się, że Michaela znaleziono martwego, nie musiał czekać na wyniki autopsji, by znać przyczynę jego śmierci.

Tamtej nocy pierwszy raz płakał ojcu do rękawa, jeden jedyny raz w życiu. Poczucie winy wylewało z niego słowa niczym wodę z pękniętej tamy. Nie potrafił zebrać się w sobie, by pójść na pogrzeb.

A teraz wkręcał śrubę tak głęboko, aż jej główka utknęła w drewnie. Dopiero potem otarł z czoła kropelki potu.

Nie, nie miał prawa dotykać Madison, nie miał prawa o nią dbać ani nawet o niej myśleć. Ale jeśli ona chciała wygrać regaty dla Michaela, Beckett wyjdzie ze skóry, by jej w tym pomóc. Przynajmniej tyle może zrobić.

Idę ze Stew na kolację - powiedziała Cassidy, wsunąwszy głowę przez drzwi biura. Madison uniosła wzrok znad papierów.

- Baw się dobrze. Pamiętaj, że jutro między ósmą a dziewiątą ma przyjść paczka z nową drukarką.

- Tak, będę na czas. I odbiorę też z poczty przesyłkę z wizytówkami. Masz dziś randkę z Drew, no nie?

- Piknik w parku Riverside. Mama pakuje jedzenie na wielką ucztę.

- Twoja kochana mama. Ale ty masz fajną rodzinę.

- Myślisz, że nie wiem? Przy łodzi też mi pomagają. Dzięki nim i Beckettowi już nie wygląda tak jak przedtem, a to już dużo.

- Beckett ci pomaga? - Cassidy uniosła głowę.

- Tak, ze szlifowaniem. - Madison zanurzyła wzrok z powrotem w dokumentach.

- Cały czas cię do niego ciągnie.

- Wcale nie.

- Wcale tak. Pamiętam tamten pocałunek...

Cassidy miała zdecydowanie zbyt dobrą pamięć. Co prawda, była bardzo przydatna w jej pracy, ale nie całkiem pożyteczna, jeśli chodzi o życie osobiste Madison.

- To był tylko jeden całus. Ja właściwie byłam wtedy jeszcze dzieckiem, a on tego nawet nie pamięta.

- Jasne.

- No tak! - Madison uniosła podbródek. - Sama prawie o tym zapomniałam, dopóki o tym nie wspomniałaś - powiedziała, po czym napisała kilka bezsensownych liczb.

- No, to by wyjaśniało skąd ten nagły rumieniec na twoich policzkach.

Madison popatrzyła na nią z udawaną wściekłością.

- Mówiłaś, zdaje się, że musisz już iść.

- Nie strzelaj do posłańca! - Cassidy uniosła niewinnie ręce. - Jeśli coś do niego czujesz, nie obwiniaj...

- Nie czuję. - Madison odchrząknęła. - Pomaga mi przygotować się do regat. To wszystko.

- I naprawia twoją żaglówkę.

- Miło z jego strony.

- Miło.

- Spotykam się z Drew, a nie z Beckettem. Pamiętasz go? Tego gościa, z którym tak błagałaś, żebym się umówiła?

Cassidy wyciągnęła ramiona pod sufit.

- Drew jest super! Lubię Drew. I jeśli ty też lubisz Drew, to wszystko spoko.

- Lubię Drew.

- No i dobrze. - Cassidy wyprostowała się, popatrzyła na Madison wzrokiem mówiącym *mnie nie oszukasz, kochana*, po czym dodała: - To do poniedziałku.

Madison pakowała resztki z pikniku, podczas gdy Drew usiłował złożyć miotany wiatrem koc. Dwie rodziny, które były obok nich w parku, poszły do domu wcześniej, gdy zaszło słońce. Madison stłumiła ziewnięcie i miała nadzieję, że Drew tego nie zauważył. Zażywała ostatnio bardzo mało snu, a na dodatek ubiegłej nocy obudził ją telefon od Cappyego Wintersa. Jego bernardyn uciekł do garażu sąsiada i zjadł trutkę na szczury. Madison przyjęła ich w klinice, wywołała u psa wymioty i podała witaminę K. Na całe szczęście Cappy złapał go wcześniej i były duże szanse na to, że pies się z tego wyliże.

Zaatakowała ją potrzeba kolejnego ziewnięcia.

- Zanudzam cię? - spytał Drew.

- Przepraszam. To przez nagłe wezwanie w środku nocy. Zerwał się wiatr i Madison poczuła zapach deszczu.

- Mam nadzieję, że nie będzie sztormu. Nie mogę odwołać jutrzejszej lekcji żeglarstwa.

Regaty były już za dwa tygodnie.

- Stew mówił mi, że bierzesz udział w zawodach. Podobno jest do wygrania niezła sumka.

Madison wstała i otrzepała spodnie z trawy.

- Podobno, ale to nie dla niej chcę wygrać. Drew rzucił złożony koc na kosz piknikowy.

- Podoba mi się twoja pewność siebie. No to dlaczego chcesz wygrać? - Spojrzał na nią zachęcająco. Madison żałowała, że podjął ten temat.

- Miałam brata bliźniaka, który zmarł, gdy mieliśmy siedemnaście lat. Robię to dla niego. To było jego marzenie.

- Ojej, tak mi przykro. - Wyraz twarzy Drew zmienił się w sekundzie.

- To było dawno temu. - Madison próbowała rozwiać jego troskę. - To jest po prostu coś, co muszę zrobić.

- Życzę ci wygranej - odparł. - Może mogę jakoś pomóc? Nigdy nie żeglowałem, ale mogę użyczyć siły mięśni.

- To miło z twojej strony, dziękuję. Ale już mam partnera. Wygrał w zeszłych latach aż dwa razy, jest niesamowity. Mam z nim niezłe szanse.

- Czy mam być zazdrosny? - Drew rzucił jej przez ramię uśmiech, ruszając w kierunku huśtawki. Madison szła za nim, roześmiana.

- Ma żonę i troje dzieci, więc raczej nie.

- Jestem bardziej rybakiem niż żeglarzem - powiedział Drew.

- Ten cały O'Reilly robi teraz dla mnie plany nowej łodzi. Tani nie jest, ale robi nieziemskie cacka. Swoją starą łódź sprzedałem przed wyjazdem z Chicago i brakuje mi pływania po wodzie.

- Rzeka to zupełnie co innego niż Jezioro Michigan, ale też świetnie nadaje się do rybołówstwa.

- Na pewno. - Drew przytrzymał huśtawkę. - Chodź.

Słońce schowało się już za wzgórze, ale stojąca nieopodal latarnia rzucała światło. Madison usiadła na siedzisku w kształcie litery U. Metalowe linki były chłodne pod jej dłońmi, a huśtawka tak ciasna, że musiała trzymać kolana mocno złączone.

Drew pociągnął ją do tyłu, potem lekko popchnął, a zadowolona Madison wyciągnęła nogi do przodu.

- Wiesz jak dawno nie byłam na huśtawce?

- A wiesz jak dawno ja nie byłem w parku?

Czuła się naprawdę dobrze z wiatrem we włosach, unosząc się w powietrzu.

- Powinam częściej to robić.

Miała tak napięty grafik, że nie zostawało jej zbyt wiele czasu na relaks. Zazwyczaj spędzała go nic nie robiąc, pogrążona w myślach nad własnym życiem, co zwykle uruchamiało spiralę niezadowolenia.

Zapisał pager Drew. Mężczyzna posłał jej przepaszający uśmiech.

- Wybacz, zaraz wracam.

- Jasne.

Odszedł kawałek dalej, wystukując numer.

Madison huśtała się coraz wyżej i wyżej. Gdy była na szczycie, udało jej się dostrzec rzekę ponad grubym żywopłotem parku. Ostatnie światła dnia odbijały się od tafli wody.

Zastanawiała się, gdzie jest teraz Beckett, czy siedzi ze skulonym Rigsbym przed telewizorem, czy pracuje nad kolejną łodzią, może tą dla Drew.

Kilka kroków dalej Drew przechadzał się, rozmawiając przez telefon. Była ciekawa, czy będzie musiał pojechać do szpitala i zdała sobie sprawę, że jej to nie obchodzi. Lulu siedziała sama cały dzień i Madison miała z tego powodu wyrzuty sumienia. Chciała ją zabrać ze sobą, ale Drew, delikatnie mówiąc, nie był tym pomysłem zachwycony.

Kilka minut później Drew wrócił, chowając telefon do kieszeni.

- Dobra wiadomość, to nie wyrostek.

- To rzeczywiście dobra wiadomość. PJ przechodziła to, jak miała czternaście lat.

- PJ...

- Moja siostra. Ta, która studiuje w szkole gastronomicznej w Indianapolis.

- Ach tak, wspominałaś o niej. - Drew usiadł na huśtawce obok. Odpychał się stopami od ziemi w tył i do przodu. Zbyt długie nogi nie pozwalały mu się rozhuścić. Madison podkuiliła swoje, kołysząc się lekko.

- To musi być trudne, tak często przerywać plany. Drew obrócił się w jej stronę.

- Można do tego przywyknąć. To tylko jedna wada, moja praca ma więcej zalet.

- Co lubisz w niej najbardziej?

- Pomaganie ludziom - odparł bez wahania. - Odnajdywanie przyczyn problemów i naprawianie ich.

- A jeśli nie można ich naprawić?

- To trudne, ale staram się wtedy iść dalej.

Madison huściła się bezwładnie przez kilka minut, podczas gdy Drew rysował coś na ziemi czubkiem buta.

- Wczorajsza próba poszła naprawdę nieźle - powiedział w końcu. - Bardzo podoba mi się tutejszy teatr. Fajni ludzie. Wspaniałe jest to, że Elliott też bierze udział.

- Jest świetny.

Elliott był niepełnosprawnym umysłowo dwudziestokilkulatkiem. Pomagał zadbać o oświetlenie.

- Masz tremę przed premierą?

Była dopiero za miesiąc, a Madison znała już na pamięć wszystkie kwestie i większość didaskaliów.

- Nawet nie, ale męczę się jeszcze z ostatnią sceną. Jak ją wyćwiczę, to będzie okej.

- Ja też myślę, że świetnie sobie radzisz. A do ostatniej sceny w końcu dotrzemy.

- Większość mam opanowaną, ale Dottie dodała didaskalia i teraz mam problem. Muszę przemyśleć, co właściwie

mam powiedzieć, jak mam to powiedzieć, gdzie mam stać i co zrobić z rękami. Zaryła stopami w ziemi i zatrzymała huśtawkę.

- Może przećwiczmy ją kilka razy? - zaproponował Drew.

- Tutaj? - Rozejrzała się.

- Nikogo tu nie ma. - Drew wzruszył ramionami. - Inaczej niż na próbie.

- Racja. No dobra. - Madison wstała i przeszła na niewielki trawnik niedaleko wejścia do parku. Otoczeni żywopłotem mieli tu dużo prywatności.

- Mam problem z tym, by wczuć się w emocje Eleanor w tej scenie - powiedziała Madison. - Jak ty to widzisz?

- No... Pamiętaj, że jest zakochana w Lucasie, który kiedyś już ją zranił i ona teraz boi się zaufać swoim uczuciom.

- Więc co? Boi się? To jest jej główna emocja? On ją gwałtownie chwyta, ale ja nie chcę, żeby ona się go bała, bo on jej przecież nigdy nie skrzywdził.

- Racja - zgodził się Drew. - Rzuca się na nią, ale to dlatego, że tak bardzo boi się ją stracić. To namiętność, nie agresja. Nie boi się jego, tylko swojej słabości względem niego. Boi się własnych uczuć.

- I jak mam to pokazać?

- Językiem ciała, tak jak uczyła cię Dottie. Tu chodzi o samoobronę. Słowa brzmią, jakbyś była wściekła, ale język ciała mówi, że się boisz.

- To ma sens. Spróbujmy kilka razy.

Beckett wytarł ręce w brudną szmatę i spojrział na zegarek. Było później, niż przypuszczał, ale skuter Sea-Doo był naprawiony i gotowy do odbioru jutro, tak jak obiecał.

Pociągnął łyk wody, zamknął warsztat i poszedł do pick-upa zaparkowanego za sklepem w przystani. Chłodna bryza przyjemnie owiewała jego spocony kark. W powietrzu czuć było woń kwiatów, co przypomniało mu o Madison.

Jutro znowu ją zobaczy, jeśli pogoda się utrzyma. A modlił się, by tak było, bo czas uciekał. Nie zaprzeczał, że niecierpliwie wyczekuje spotkania z nią. To było głupie, zważywszy na to, że Madison była dla niego ślepą uliczką. A przebywanie z nią prawdziwą torturą.

Wrócił myślami do tamtej chwili w spiżarni tydzień temu. Czuł się tak dobrze, trzymając ją w ramionach. Za dobrze. Nie miał prawa myśleć o niej w ten sposób. Pewnie zarumieniłaby się wszystkimi odcieniami czerwieni, gdyby wiedziała, że jej zapach i bliskość sprawiły, że po całym ciełe przeszedł go dreszcz. Albo że chciał przyciągnąć ją jeszcze bliżej. Tak, by czuć bicie jej serca.

Wpadłeś po uszy, O'Reilly. Dobrze, że regaty już niedługo. Może nie zdążysz narobić głupot.

Właśnie sięgał do klamki samochodu, gdy wiatr przywiał jakiś hałas. Głos kobiety. Krzyczała rozgniewana. Najbliższy dom stał dobry kawałek dalej, to na pewno nie z niego dochodziły te wrzaski, a poza tym, pomyślał Beckett, odwracając głowę, to raczej od strony parku.

Wyteżył słuch. Do kobiecego głosu dołączył męski, równie wściekły. Beckett schował kluczyki do kieszeni i podążył za odgłosami. Nie minęła minuta, a już był pod żywoplotem otaczającym park. Podszedł do wejścia. Głosy stawały się

coraz bardziej donośne. Przyspieszył kroku.

- Powiedziałam: *nie!* Ile razy mam to powtarzać? - To głos Madison.

Nagły przyływ adrenaliny popchnął go naprzód.

- Wcale tak nie myślisz. Dobrze wiesz. Nigdzie nie pójdziesz! Beckett dobiegł do wejścia. Krew pulsowała mu w żyłach.

- Zostaw mnie!

- Chodź tu! - Drew trzymał Madison za ramię. Odwrócił ją i przyciągnął do siebie.

W głowie Becketta eksplodowało coś czerwonego i gorącego. Wystrzelił do przodu i w mgnieniu oka doskoczył do Drew. Złapał go za koszulę i odwrócił. A jego pięść spotkała się z twarzą mężczyzny, wydając satysfakcjonujący trzask.

Drew zatoczył się do tyłu.

Ale Beckettowi to nie wystarczyło. Złapał go za koszulę i przystawił go do grubego pnia drzewa.

- Chcesz się z kimś poszarpać, dupku?

- Nie, Beckett!

- My tylko graliśmy! - Drew bezskutecznie próbował się cofnąć. Oczy miał szeroko otwarte.

Beckett pociągnął go do przodu, a potem popchnął do tyłu, zamroczony czerwoną mgłą wypełniającą go od środka. Drew uderzył głową o drzewo.

- Taki z ciebie twardziel?

- Beckett, przestań! - Madison pociągnęła go za ramię. - Robiliśmy próbę. Próbę do sztuki. Tylko udawaliśmy.

Próba.

To słowo przesączyło się przez kłębowisko emocji. Czerwona mgła zaczęła się przeredzać. Beckett nagle zmarł

z pięściami wciąż zaciśniętymi na koszuli. Madison potrząsnęła nim.

- Sztuka, pamiętasz? Robiliśmy próbę.

Sztuka. Gorąca masa wewnątrz ostygła. Beckett rozluźnił pięści. Drew pchnął Becketta.

- Odwał się.

Beckettowi opadły ręce. Zrobił krok w tył.

Sztuka. Próba. Dławił się powietrzem.

Krew, która buzowała w nim przed chwilą, zdawała się ściekać do chłodnego zalewu mniej więcej na wysokości żołądka.

Drew masował obolałą szczękę, spojrzeniem ciskając gromy w Becketta.

- Powinienem cię za to zaskarżyć do sądu. Dłoń Madison opadła z ramienia Becketta.

- On nie chciał...

Gdy poziom adrenaliny już opadł, pojawiło się coś nowego. Coś, co sprawiało, że chciał zapaść się pod ziemię.

- Przepraszam.

- W porządku. - Madison dotknęła jego ręki.

Drew przygwoździł ją spojrzeniem, wyrównał koszulę jednym szarpnięciem.

- To znaczy...

- Lepiej już pójdę. - Beckett cofnął się z uniesionymi rękami. - Przepraszam. - Odwrócił się i poszedł w kierunku bramy.

- W porządku? - Usłyszał, jak Madison pytała Drew. Ale nie zajął na jego odpowiedź.

Dureń! Ależ to było głupie, tak podbiec i trzasnąć gościa w szczękę. I to nie byle jakiego gościa: faceta Madison. Co on sobie myślał, że jest rycerzem w lśniącej zbroi? Wyborny żart. Był ostatnią osobą, która mogłaby uratować Madison, gdyby ona w ogóle potrzebowała ratunku, a przecież wcale nie był jej potrzebny.

Pomyślałeś w ogóle, że można stanąć i się zapytać, O'Reilly?
Postąpił tak, jakby to zrobił w czasach, gdy był nastolatkiem: zareagował impulsywnie. Jego dawna natura wystawiła swój paskudny łeb z kryjówki. No i proszę, do czego to doprowadziło.

Madison weszła na pokład. Czekala na Becketta. Zasnęła późno po tym, jak przez kilka godzin przewracała się z boku na bok, odtwarzając w myślach wydarzenia tego wieczora niczym straszny film. Do czasu, gdy Drew odprowadził ją pod drzwi domu, miał już na szczęce pokaźnych rozmiarów czerwonego krwiaka. Czula się źle, patrząc na niego, i to z wielu powodów. Źle, że został wzięty za bandziora, źle, że tak późno zapytała go, czy nic mu nie jest.

Ale było jej też bardzo żal Becketta. Wbiegł do parku niczym anioł wybawca, wymachując pięściami. Po to, by ją chronić. Nie potrafiła zapomnieć wyrazu jego twarzy, gdy dotarło do niego, że popełnił błąd. Wyostrzone rysy jego twarzy wygładzające się powoli, przymykające się powieki. Szczerze powiedziawszy, to ten widok miała cały czas przed oczami.

I przez to czula się jeszcze gorzej. Czy to nie Drew powinien wzbudzać w niej współczucie?

To właśnie poczucie winy popchnęło ją do tego, by pocałować go, gdy byli pod jej drzwiami. To chyba nie najlepszy powód dla pierwszego pocałunku.

Odwróciła się na dźwięk czyichś kroków na molo. Beckett zbliżał się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Objęła się ramionami, czując się niezręcznie.

- Cześć.

Zatrzymał się przy knadze przy dziobie i potarł dłonią kark.

- Madison... Nawet nie wiem, co powiedzieć. - Dźwięk jego głębokiego i cichego głosu sprawił, że chciała ulżyć mu na sumieniu.

- Chciałeś dobrze.

- Czuję się jak palant. - Beckett odwiązał cumę i wszedł na pokład.

- Nie wiedziałeś. To było nawet słodkie, jak tak pospieszyłeś mi na ratunek. Tylko ani się waż mówić Drew, że ci to powiedziałam!

Beckett odpowiedział śmiechem, który zabrzmiał raczej jak westchnienie ulgi.

- Nie sądzę, żeby w najbliższym czasie chciał ze mną gadać.

Prawdopodobnie ta akcja kosztowała Becketta jedno zamówienie na łódź. Ale oczywiście nie zaprzętał sobie tym głowy, szarżując na Drew.

- Nic mu nie jest? - spytał.

- Jest opuchnięty, ale chyba nic mu nie złamałeś. I na pewno nie mówił poważnie o sądzie.

- I tak nie mam niczego, co mógłbym mu przekazać jako zadośćuczynienie.

- Mógłbyś nauczyć go swojego prawego sierpowego.

- Ale śmieszne.
- Myślałam, że wprowadzę do całej sytuacji trochę bez troski.
- Madison się uśmiechnęła.

Niezręczna chwila minęła na dobre, gdy byli już na wodzie. Madison ustawiała żagle, trzymując grot i regulując wózek.

- Dobra, pogadajmy o linii startu - powiedział Beckett, znowu konkretnie i do rzeczy. - Najważniejsze to dobrze wystartować. Trzeba wiedzieć, jaką pozycję obrać. Linia startu biegnie pod skosem, jeden koniec jest bliżej pierwszego znaku. Przede wszystkim nie możesz być poza linią, gdy zabrzmi sygnał. Będziesz musiała płynąć z powrotem i przeciąć ją ponownie, a tego nie da się nadrobić. No, to teraz kąć linii kursowej. Która strona daje ci najlepszą drogę do pierwszego znaku?

- Najbliższy koniec?
- No... to zależy.
- Od wiatru?
- Właśnie. Powiedzmy, że zaczynasz od północnego końca. Może i jesteś bliżej znaku, ale jeśli wiatr jest silniejszy od południowej strony, to żaglówki, które stamtąd startują, będą płynąć szybciej. Poza tym prawo drogi ma łódź na prawym halsie, a ustępuje łódź na lewym.

- Czyli wiadomo to dopiero w dniu regat?
- I tutaj jest potrzebna taktyka i przygotowanie przed wyścigiem. Prawdopodobnie Evan wypłynie wcześniej rano i zdecyduje, jaką pozycję obrać. Ale ty też powinnaś wiedzieć, o co chodzi.

Opisał jej kilka możliwości, pokazał najlepsze pozycje startowe dla każdej z nich i dokładnie wyjaśnił, dlaczego są takie,

a nie inne. Potem pływali po rzece i oceniali warunki. Wiatr wiał od północy i to właśnie po tej stronie byłaby dziś najlepsza pozycja do startu.

- Dobra, spróbujmy jeszcze przeciwiczyć jedno kółko na sucho. Znak jest o jakieś trzy długości przed nami - zawołał Beckett. - Mów coś - przypomniał jej, gdy zaczęli się zbliżać.

- Numer cztery na sterburcie! - krzyknęła Madison. - Nie przepłyniemy.

- Trzymaj prawy hals.

- Zrozumiałam. Fok naprężony.

Gdy tylko fok przeciął linię wiatru, Madison puściła lewy szot i pociągnęła prawy.

- Dobra robota - krzyknął Beckett, gdy zaliczyli wymaganowany znak.

- Jeszcze raz, tylko teraz sprawniej.

Pizzeria Cappyego była zapadłą norą, w której serwowano jednak najlepszą pizzę na świecie. Beckett wdychał zapach czosnku, klucząc między pełnymi stolikami w kierunku opuszczonej łoży na końcu sali, w rogu. Lampy z zielonymi żyrandolami zawsze dawały nikły blask, a przyciemniane okna nie wpuszczały prawie wcale dziennego światła. To wszystko chyba po to, by ukryć fakt, iż miejsce to nie było do końca wysprzątane.

Wśliznął się do wyściełanej czerwonym winylem łoży. Wiśzące na ścianach telewizory grały na cały regulator, a z sali obok dochodził hałas oznajmiający początek gry w bilard. Przez okno kuchenne zobaczył krzątającego się Cappyego,

który wydawał polecenia zmordowanym nastolatkom; w jego łysinie odbijały się światła jarzeniówek. Na zewnątrz uderzył piorun, prawie całkowicie zagłuszony rozmowami, odgłosami meczu w telewizji i dzwonieniem sztućców o talerze.

Gdy do stolika podszedł kelner, Beckett odsunął kartę na bok i zamówił napoje. Kilka minut później zobaczył siostrę, która właśnie omijała opuszczony bar sałatkowy, z którego jedli tylko nieliczni i najodważniejsi klienci.

Layla wśliznęła się do loży, rzucając wielką, srebrną torebkę do kąta. Otarła z ramion krople deszczu.

- Sorry za spóźnienie. Ależ tam leje.

Beckett cieszył się, że udało mu się odbyć kolejną lekcję z Madison, zanim rozpętał się sztorm.

- Nie spóźniłaś się. Wziąłem ci piwo korzenne.

- Super. Zamówmy Wielką Strawę. Umieram z głodu.

- Dobry pomysł. - Beckett też był głodny. W porze lunchu znowu pracował.

- Byłam dziś u taty - powiedziała kilka minut później Layla, kiedy kelner przyjął ich zamówienie. Przygładziła wilgotne włosy i upiła łyk piwa.

- I jak się ma?

- Znasz go. Nie miał zbyt wiele do powiedzenia. Zaczytuje się w Hemingwayu i ma nadzieję na zwolnienie warunkowe.

Beckett już miał zapytać kiedy, ale zmienił zdanie. Czasem niewiedza jest błogosławieństwem.

- A jak idą próby? - spytał. Layla grała jakąś rolę w przedstawieniu.

- Nieźle. Dottie jest dobrym reżyserem. Tylko wymagającym. Zajmuje mi to mnóstwo czasu.

- A co jeszcze masz do roboty? - spytał Beckett.
- No nie wiem... Praca, wolontariat, krąg biblijny...
- Biedactwo.
- Przestań albo nie zapłacę. - Layla uniosła głowę.
- I tak dziś moja kolej.

Twarz Layli rozjaśniła się w uśmiechu.

- A no tak! Kurczę. Mogłam zamówić pieczywo czosnkowe.
- Za późno.
- Nigdy nie jest za późno na pieczywo czosnkowe.
- Będiesz miała szczęście, jeśli uda ci się zjeść aż połowę pizzy, młoda damo.

- Dam sobie radę, dzięki za troskę.

Layla wsadziła karty i pojemnik z papryką do metalowego stojaka.

- Ach, zapomniałam ci powiedzieć. Wpadłam dziś w aptecę na Drew Landona. Wiesz, to ten gość, który...

- Wiem, który - powiedział Beckett tonem bardziej burkliwym, niż zamierzał.

Layla uniosła brwi.

- W każdym razie... miał całą siną i opuchniętą szczękę. Wygląda okropnie. Mam nadzieję, że mu to zejdzie do dnia premiery. Może jakiś pacjent przez przypadek mu przywalił, czy coś.

Beckett patrzył na leżącą na stole papierową podkładkę pod talerz. Wyrównał ją. Strącił ze stołu kilka okruszków. Wziął mały łyk coli, próbując zignorować wspinający mu się po szyi gorący prąd.

- Beckett... To był pacjent... czy coś... prawda?
- Czy coś.

Layli opadła szczeka.

- No nie. Chyba nie ty.

- To był przypadek.

- Niby przez przypadek znokautowałeś gościa. - Layla uśmiechnęła się szyderczo.

Beckett wyjaśnił jej, co się wydarzyło ubiegłego wieczoru w parku i zakończył słowami:

- Mogłaś mi powiedzieć, że Madison i Drew grają w sztuce parę kochanków.

- A więc to moja wina? - Layla parsknęła.

- Tego nie powiedziałem.

Gapiała się na niego tak długo, aż odwrócił wzrok. Siostra umiała patrzeć mu w oczy w taki sposób, że wyczytywała z nich każdą myśl. Irytowało go to.

- Nie wiedziałam, że chcesz, żebym informowała cię na bieżąco o wszystkich szczegółach - powiedziała wreszcie, gdy skończyła prześwietlanie mózgu. - Ale zauważyłam, że na próbach bardzo się zaprzyjaźnili.

Beckett poczuł, jak coś w środku mu się skręca. Głupia sztuka. Wystarczyło już samo to, że doktor chodzi z nią na randki. A teraz jeszcze ćwiczą, jak to jest być kochankami.

- Jeśli chcesz wreszcie wkroczyć do akcji, to lepiej wcześniej niż później, braciszku.

- Przecież próbowałem.

- Zaprowadzenie jej siostry na bankiet i złamanie jej serca się nie liczy.

- Cios poniżej pasa.

- Mówię, co widzę. - Layla wzruszyła ramionami. Gdzieś głęboko w środku Beckett miał nadzieję, że jeśli

między nim a Madison ma się coś wydarzyć, to po prostu jakoś się wydarzy podczas lekcji żeglarstwa. Nie sądził, że pojawi się Doktor Cudowny i skradnie jej serce. Layla położyła dłoń na ramieniu brata.

- Myślę, że powinieneś spróbować. Wiem, że jesteś niewolnikiem swojej przeszłości, ale naprawdę się zmieniłeś, Beck. Masz wiele do zaoferowania. Ja jestem tylko twoją siostrą, ale myślę, że jesteś dobrym człowiekiem. Lojalnym i zabawnym. Umiesz nawet być czarujący, jeśli zdecydujesz się uśmiechnąć. I podobno są kobiety, które uważają, że jesteś przystojny. - Uniosła dłonie i wygodnie rozsiadła się w łoży. - Ja tam tego nie widzę, ale co tam.

Beckett uśmiechnął się cierpko. Nie miał pojęcia, czy coś z tego, co powiedziała, jest prawdą, ale nie znała wszystkich faktów. Nigdy nie opowiedział jej o swoim udziale w śmierci Michaela. Wiedział o tym tylko jeden człowiek, a on siedział za kratkami.

Layla ścisnęła go za ramię.

- Mówię poważnie: teraz albo nigdy. Wiesz co, myślę, że jesteś super, ale lekarz, Beck? W świecie singielek to ma ogromne znaczenie. No i on na dodatek jest fajnym facetem. Przez grzeczność nie powiem ci, że wydaje mi się nieziemsko przystojny.

- No, to byłoby nieprzyzwoite. - Beckett zmrużył oczy. Layla wzięła łyk ze szklanki.

- A jak zareagowała wczoraj Madison, jak storpedowałeś jej partnera?

- To był tylko jeden cios.

- Jestem pod wrażeniem. - Dziewczyna zrobiła wymowną minę. - To jak, wściekła się na ciebie i poczęła lamentować nad swym powalonym bohaterem?

Beckett przebiegł myślami wspomnienie ubiegłego wieczoru, czyli zrobił dokładnie to, czego unikał przez cały dzień.

- Nie, ona tylko... Nie wiem sam. Nie była zła. I dziś rano też nie robiła problemów.

- Rozmawiałeś z nią? Dobra robota. - Layla pogłaskała go po rękę, jakby był dzieckiem.

- Mieliśmy lekcję żeglarstwa.

- Ach tak. No, przynajmniej się na ciebie nie gniewa.

- Nawet sobie z tego żartowała.

- Lubię ją. - Layla się uśmiechnęła.

- Powiedziała, że to słodkie, że pospieszyłem jej z pomocą, czy coś takiego.

Layla położyła dłoń na sercu i westchnęła z uśmiechem.

- Aaach! Poczua się bezpieczna.

- Obroniłem ją przed całkowicie niegroźnym osobnikiem.

- E tam. Myślę, że na pewno nie popiera tego, co zrobiłeś. W końcu spraeś jej partnera. Ale kobiety uwielbiają opiekuńczych mężczyzn.

- Brzmi staroświecko.

- Nie staroświecko, tylko ponadczasowo. Wierz mi. I masz się o to modlić, jasne? Bo myślę, że byłaby z niej świetna bratowa.

- Falstart, młoda damo.

Ale jej słowa wywołały w nim przyjemny dreszcz, który przeszedł całe jego ciało. Kelner postawił na stole parujące, gorące ciasto.

- Smacznego! - powiedziała Layla i zakołysała się. Beckett nałożył na jej talerz pierwszy kawałek, a potem

wziął drugi sobie. Intensywny zapach czosnku i oregano obezwładniał jego powonienie.

- To jak, będziesz się o to modlił? - spytała, gdy skończył odmawiać modlitwę.
- Ty szkodniku.
- To nie jest odpowiedź. - Layla ugryzła wielki kęs pizzy i otarła sos pomidorowy, który kapał jej z podbródka.
- Dobra, pomodłę się.
- No i załatwione. - Wzruszyła ramionami.

Poniedziałkowa próba musiała zostać odwołana przez jakieś problemy z prądem i Madison miała nagle wolny wieczór, co zdarzało się nad wyraz rzadko. Długa noc rozciągała się przed nią niczym opuszczona wiejska droga. Zamiast spędzić wieczór na odpoczynku, zaczęła myśleć nad jakimś aktywnym zajęciem i zdecydowała się na jogging. Choć czuła się z tego powodu winna, postanowiła zostawić Lulu w domu, bo nie chciała co chwilę rozplątywać jej smyczy. Wieczorne powietrze było rześkie, od strony rzeki wiała delikatna bryza. Słońce schodziło coraz niżej po niebie.

Od czasu wyjazdu Jade, każda noc w domu oznaczała ciszę. Cisza przywoływała myśli, a myśli wywoływały uczucia. Uczucia, których nie miała już siły wypierać. Nie znajdowała ucieczki nawet we śnie. Koszmary wracały raz lub dwa razy w tygodniu. Budziła się wtedy zlaną zimnym potem i leżała niezdolna wyzbyć się uczucia paniki.

Jeszcze tylko dwa tygodnie, Madison. I koszmary w końcu cię opuszczą.

Wygra regaty, spełni marzenie Michaela, odnajdzie wreszcie spokój i będzie żyć dalej własnym życiem. Zastąpi zły sen dobrym.

Mimo to, ciemne myśli uciskały ją. Ostatnimi czasy natchodziły ją częściej pomimo tego, że miała tyle spraw na głowie. Może to z powodu nadchodzącego wyścigu. Częściej rozpamiętywała śmierć Michaela. Musiała za wszelką cenę pozostać zajęta i skupiona na zadaniu. Gdy tylko wygra, reszta przyjdzie sama.

Ustaliła sobie wygodne tempo i próbowała oczyścić umysł. Chętnie przewinęłaby czas do przodu, do dnia wyścigu, niczym taśmę. Chciała już go mieć za sobą. Biegła coraz szybciej, jak gdyby chcąc przyspieszyć czas. Jej stopy uderzały miarowo o chodnik, oddech przyspieszył, zaczęło ją palić w płucach.

Kilka minut później biegła przez park Riverside. W połowie drogi zauważyła Becketta na asfaltowym boisku do koszykówki. Dryblował, rzucił i złapał piłkę po tym, jak przeleciała przez obręcz.

Zauważył ją, gdy odwrócił się z piłką. Madison zwolniła i podeszła do niego, dysząc. Wyszedł jej na spotkanie na krawędź boiska.

- Cześć. Biegam sobie. - Jakby nie widział. Wzdrygnęła się.

- A myślałem, że goni cię stado diabłów. Niezłe tempo. Wzruszyła ramionami.

- Trenujesz? - zapytała.

- Nie do końca. Zabijam nudę. - Zrobił trzy kozły i złapał piłkę. - Jak tam Drew?

Madison zmarszczyła brwi, ale potem zdała sobie sprawę, że Beckett pyta o jego szczękę.

- Nic mu nie jest. W porządku.

W kościele kilka osób pytało, skąd ten siniak i Madison aż zwijała się, gdy Drew próbował udzielać wymijających odpowiedzi.

- Nie chcę ci dłużej przeszkadzać. Biegaj dalej - powiedział Beckett. - Prawidłowy rytm zatokowy i te sprawy.

Madison spojrzała w kierunku, w którym zamierzała pobiec i zdała sobie sprawę, że jogging nie przynosi jej spokoju myśli i upragnionych emocji. Ramiona jej opadły, stopy wbiły się mocniej w ziemię. Czasem chciałyby móc uciec od samej siebie.

- Wszystko dobrze?

Spojrzała na niego, gotowa udzielić łatwej odpowiedzi, ale zamiast tego zanurzyła się w jego ciemnych oczach. Łatwa odpowiedź rozplynęła się na czubku jej języka.

- Nie. - Przez cały tydzień nie powiedziała nic bardziej szczerzego.

Na twarzy Becketta nie malowało się zaskoczenie, gdy patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

- Chodź. Zabiorę cię w jedno miejsce.

Zrobił kilka kroków w tył, a ona podążyła za nim. Zdziwiła się, gdy przeszedł przez parkowy deptak i skierował się w stronę zalesionego pagórka, u którego stóp leżało boisko. Odwrócił się, by sprawdzić, czy za nim idzie. Ich stopy za-szurały w wysokiej trawie, a potem weszli na szlak.

- Dokąd idziemy? - spytała, gdy byli już w ciemniejszym lesie.

- Zobaczysz.

Po szybkim biegu obecne tempo było dla Madison łatwe do utrzymania, a chłodniejsze powietrze wydawało się jeszcze

przyjemniejsze. Wdychała zapach piaszczystej ziemi w miarę, jak wspinali się coraz wyżej na pagórek. Potargane liście szeleściły, a patyki trzaskały pod ciężarem ich stóp. Ponad ich głowami, korony drzew nie przepuszczały ostatnich tego dnia promieni słońca. Sikorka wygwizdywała serię dwudźwięków.

To miejsce wydało jej się piękne.

- Do kogo należy ta ziemia? - spytała.

- To część parku.

- Lulu by się tu spodobało.

- Rigsby'emu pewnie też, ale wraca stąd zwykle z mnóstwem rzepów.

Teren robił się coraz bardziej skalisty, im wyżej wchodzili. Przekroczyli wyschnięte koryto strumienia i przewrócone drzewo. Chwilę później Madison ujrzała światło i domyśliła się, że zbliżają się do szczytu. Gdy wyszli z lasu, Beckett zaczął wspinać się na wieżę z głazów.

Szła za nim. Raz po raz podawał jej rękę, gdy jej nogom, krótszym niż jego, trudno było pokonać kolejny stopień.

Wbiła palce w krawędź i podciągnęła się.

- Chcesz złamać mi nogę, żebym musiała zrezygnować z wyścigu.

- Przejrzałaś mnie.

Po kilku kolejnych podciągnięciach dotarli na szczyt. Po drugiej stronie wzgórza sterczała płaska skała rozmiarów niewielkiego dachu.

Podeszła do krawędzi, ale stroma przepaść prowadząca do porośniętego sosnami kanionu zmroziła jej krew. Po drugiej stronie słońce zachodziło za horyzont, znacząc niebo różowymi i fioletowymi smugami. Po drugiej stronie doliny

wypatrzyła starą białą kaplicę² i pobliskie źródło³, od których miasteczko wzięło nazwę. Byli na szczycie świata.

Madison położyła dłonie na biodrach, wzięła głęboki oddech i patrzyła z zachwytem na rozciągającą się przed jej oczami piękną scenerię.

- Jak mogłam nie wiedzieć, że jest tu takie miejsce? Beckett przysiadł na skale spory kawałek od krawędzi, twarzą w kierunku zachodzącego słońca.

- Niezłe, nie?

Wprost idealne na romantyczny piknik. Madison mogłaby się założyć, że Beckett przyprowadzał tu mnóstwo kobiet. Może nawet wszystkie dziewczyny, z którymi spotykał się w liceum.

Usiadła obok niego. Nagrzana żarem dnia skała ogrzewała jej łydki.

- To twoja prywatna atrakcja turystyczna?

- Nieee, zawsze przychodzę tu sam.

A jednak podzielił się tym miejscem tylko z nią. Gdy to do niej dotarło, uniosła brew.

Beckett potarł dłonią szczękę i odwrócił wzrok. W świetle zachodzącego słońca jego twarz nabrała złotego połysku, ostre rysy wygładziły się, sprawiając, że wydał się jej prawie bezbronny.

Zdawało się, że cisza mu nie przeszkadza. Madison wdychała intensywny zapach sosen, zbutwiałych liści i wody ko-łońskiej Becketta. Zamknęła oczy, przysłuchując się ćwierkaniu siedzącego gdzieś nieopodal ptaka. Łagodny powiew

2 *chapel* (ang.) - kaplica

3 *spring* (ang.) - źródło

poruszył liśćmi i pieścił nagą skórę jej ramion i nóg.

- Jak często tu przychodzisz?

Beckett oparł się na łokciach. W tej pozycji materiał jego koszulki naciągnął się na jego ciele.

- Czasem czytam tu Biblię, a czasem przychodzę tu prze-myśleć sobie trudne sprawy. Albo pomodlić się.

- I myślisz, że to tego właśnie potrzebuję?

- A czy to ważne, co ja myślę?

Patrzyła na niego. Miał zamknięte oczy, jak gdyby chłonał naturę. Albo się modlił.

Chciałaby zrzucić z siebie to brzemię, które tak jej ciążyło. Opowiedzieć mu o wszystkim, co czuła do Michaela. O tym, jak bardzo za nim tęskniła. Jak bardzo chciała się od niego uwolnić i jakie ogromne poczucie winy to w niej wywoływało. A jednak tak potwornie, tak straszliwie pragnęła ukojenia. I snu.

Na pewno by jej wysłuchał, była tego pewna. I nie osądzał. Zbyt dobrze wiedział, jak to jest być ocenianym.

Nagle przypomniała sobie tamten taniec na balu w drugiej klasie liceum i to, jak powiedział jej, że nie ukradł sygnetu. Tak, jakby naprawdę zależało mu na tym, co ona myśli. Chociaż była to tylko króciutka chwila, a życie od tego czasu przyniosło im tyle doświadczeń, to w tym momencie miało to dla niej znaczenie.

Zwłaszcza tamten jeden pocałunek. Porównywała do niego wszystkie następne w życiu i wszystkie wypadały przy nim blado. Uśmiechnęła się sama do siebie. Jakież to żałosne, przecież Beckett nawet go nie pamięta.

- Gdy tu siedzę - powiedział, otworzywszy oczy - nie mogę się nadziwić, że Bóg w ogóle nas zauważa, wiesz?

Madison popatrzyła na wzgórza i doliny, na rzekę wijącą się poprzez nie, na setki dachów miasteczka Chapel Springs w dole, pod którymi mieszkały rodziny takie, jak jej.

Czy Bóg ich zauważał? Każdego człowieka z osobna? Czy na nią też zwracał uwagę? Jakoś nie potrafiła w to wszystko uwierzyć. Bycie zauważonym było wielką rzeczą. Chyba o to właśnie zabiegała Jade. Ciężko było znaleźć sobie miejsce w wielkim świecie, nawet mając dużą rodzinę. Ona sama wiele razy czuła się zagubiona w chaosie i zamieszaniu panującym w domu McKinleyow. Ale nie zamieniłaby swojej rodziny za nic w świecie. Ciekawe, czy Jade myślała podobnie.

- Niektórzy ludzie przez całe życie starają się zostać zauważeni.

Poczuła na sobie jego spojrzenie, zanim przemówił. -Ty?

- Czasem. - Madison oparła się o skałę i położyła podbródek w dłoniach. Słońce się obniżało, a różowe smugi robiły się coraz bardziej intensywne.

- Ja zauważyłem cię dawno temu.

Te słowa sprawiły, że jej serce zaczęło walić o skałę, chociaż domyśliła się, że były ironiczne. Może rzeczywiście Beckett przez chwilę ją zauważył, ale prędko o tym zapomniał.

- Nieprawda - powiedziała. - Wcale nie.

Według niej zauważenie kogoś nie polegało tylko na przelotnym spojrzeniu. Tylko na byciu zapamiętanym. Przejrzanym na wskroś. Ludzie chcieli coś znaczyć, chcieli być kimś ważnym. Ona, Jade, wszyscy pragnęli właśnie tego.

- Miałaś na sobie białą spódnicę, która kręciła się wokół twoich kolan... i niebieski sweter z motylami na kołnierzyku.

Odwróciła się, głęboko i powoli wciągając powietrze. Po tylu latach on pamiętał, w co była ubrana?

Odpowiedział jej spojrzeniem. Było w nim coś, czego nie umiała nazwać, ale bardzo by chciała.

- Pamiętasz? - spytała głosem tak cichym, że nie była nawet pewna, czy usłyszał.

- Pamiętam wszystko. Pamiętam ciebie.

To nieprawdopodobne. Był przecież zajęty wpadaniem w kłopoty i randkowaniem z innymi dziewczynami. Poza tym jednym pocałunkiem nigdy nie wykazywał większego zainteresowania Madison.

A ostatnio była jeszcze Jade.

- Wysyłałeś liściki do mojej siostry...

Beckett przewrócił się na bok i podparł na jednym łokciu.

- Jakie liściki?

Przecież sama je czytała. Czuła ukłucie zazdrości, gdy dowiedziała się, kto je pisał. Takie samo jak wtedy, gdy zjawił się u ich drzwi w wieczór Bankietu Wiosennych Siewów.

- Nie wysyłałem twojej siostrze żadnych liścików.

Czy to możliwe? Wydawało jej się, że skoro pojawił się wtedy elegancko ubrany z bukietem kwiatów dla Jade...

Tylko... czy on rzeczywiście przyszedł po Jade?

Oddech zamarł jej w płucach, a wszystko w środku skamieniało. Skóra zapłonęła żarem, gdy patrzyła mu prosto w oczy. Gdy przyszedł, była w sypialni i przebierała się. Jade otworzyła drzwi, a ponieważ ostatnimi czasy dostawała te liściki, pomyślała...

- Przyszedłeś wtedy po mnie - powiedziała. Jej umysł łączył fakty niczym kropki w dziecięcej łamigłówce. - Dlatego Jade była taka zdołowana tamtego wieczoru.

Rozchylił usta, ale zaraz zamknął je z powrotem. Nie musiał nic mówić. Madison ujrzała prawdę w jego miękkim spojrzeniu. W krótkim przeblysku niepokoju.

- Czemu mi nie powiedziałaś?

Odgarnął jej z twarzy zabłąkany kosmyk włosów. Pędzące myśli zatrzymały się.

- Bałem się - odparł.

- Czemu? - szepnęła.

Ich spojrzenia połączyły się. Zapomniała o swoim pytaniu, zapomniała o wszystkim oprócz pragnienia, które odbijało się w jego ciemnych oczach.

Pochylił się i musnął jej usta. Pod jego dotykiem coś wewnątrz niej zaczęło powoli się rozwijać. Coś ciepłego, słodkiego, uzależniającego. Zatrzymał się. Dzielił ich zaledwie oddech. Wyczuła, że on już podjął decyzję i serce zamarło w niej z przerażenia, że zaraz się odsunie. Albo jeszcze gorzej - przeprosi.

Ale nie. Beckett przybliżył się, a jej serce zabiło ponownie, mocniej i szybciej.

- Maddy - szepnął ustami dotykającymi jej warg. Poglaskała go po karku, a on pocałował ją głębiej, wydobywając westchnienie z jej najodleglejszych zakamarków.

Zastanawiała się kiedyś, czy może przez te wszystkie lata wspomnienie tamtego pocałunku nie stało się piękniejsze niż rzeczywistość. Czy wrażenie, jakie zrobił na niej jego dotyk było tak silne przez hormony okresu dojrzewania.

Ale nie.

Nie.

Było dokładnie tak, jak zapamiętała. Jak gdyby to właśnie on, ze wszystkich mężczyzn na tym wielkim świecie, idealnie

pasował do niej.

Dotyk Becketta parzył ją przez materiał koszulki, a jego usta działały cuda. Jak mogła żyć bez tego przez te wszystkie długie lata? Jak mogła być z nim tak blisko przez ostatni miesiąc i nie sięgnąć po to, co było stworzone właśnie dla niej?

Pod dotykiem jej miękkiej dłoni jego twarz była przyjemnie szorstka, ale chciała więcej. Wplotła palce w jego włosy, przesunęła je po szyi i w dół aż do ramion, jakby chciała odebrać to, co tak jej się należało. Chwilę później Beckett skończył pocałunek. Oboje oddychali płytko i szybko. Patrzyła mu prosto w oczy, gdy się odsuwał, ale nie potrafiła nic z nich wyczytać.

- Litości, kobieto.

A więc nie tylko ona tak się czuła. Uśmiechnęła się, gdy założył jej włosy za ucho. Chwycił jej dłoń i pocałował kostki jej palców.

- Miałaś rację z tym miejscem - powiedziała. - Czuję się o wiele lepiej.

Uśmiechnął się.

Nagle przypomniała sobie o Drew i jej pełnym współczucia piątkowym pocałunku. Szybko odepchnęła tę myśl, by nie zbrukała tej chwili. Gdy odpłynęła adrenalina, poczuła się błogo.

Beckett odwrócił wzrok i spojrzał na niebo. Ścisnął jej rękę.

- Ściemnia się.

Słońce zeszło już poza linię horyzontu, pozostawiając po sobie szaroniebieskie chmury. Tak, jakby zmierzch opuścił kurtynę po ostatnim akcie sztuki.

Beckett pomógł Madison wstać i poprowadził ją po pochyłej skale. Schodzenie z wieży trwało dłużej niż wspinaczka i dwa razy musiał łapać ją w talii i ściągać w dół. Za każdym razem kładła mu ręce na ramiona z nadzieją na kolejny pocałunek. Oby jak najszybciej.

Ciemność zapadała szybko, w nikłym świetle szlak był coraz mniej widoczny. Beckett zwolnił tempo, próbując przyzwyczaić wzrok do mroku. W myślach odtwarzał ponownie wydarzenia minionej godziny. Nie chciał pocałować Madison. Zabrał ją na wzgórze po to, by ukoić smutek w jej oczach.

Ale potem powiedział o kilka słów za dużo, a ona domyśliła się, co wydarzyło się tamtego wieczora z Jade. Nie wiedział, jak zareaguje, ale wtedy spojrzała na niego w taki sposób... Potem już nie potrafił się powstrzymać. Głaz został zepchnięty w przepaść i mógł toczyć się już tylko w jednym kierunku.

Jednak Beckett niczego nie żałował. Jakże mógłby żałować? Ścisnął mocniej jej dłoń i przytrzymał dla niej nisko zwisającą gałąź. Już prawie byli z powrotem w parku. To dobrze, bo już ledwie widział ziemię pod stopami.

Parę chwil później, gdy wyszli z lasu, zaproponował jej, że odwiezie ją do domu. Kiedy siedzieli w ciszy w kabinie

pick-upa, zastanawiał się, o czym myśli Madison. Czy wróciła już na ziemię?

Może o Drew Landonie? On właśnie to robił. Zastanawiał się, czy lekarz też całował jej usta? Czy odpowiedziała całą sobą tak samo, jak przed godziną jemu? Czy żałowała pocałunku Becketta?

W końcu wciąż była tą samą Madison McKinley, a on był Beckettem Creillym, synem miejscowego pijaczyny. Miał też parę innych, gorszych ról, o których nawet nie wiedziała.

Odepchnął tę myśl. Nie może teraz się tym wszystkim zadreć. Jeśli był takim szczęściarzem, że mógł trzymać Madison w ramionach, nie będzie tego żałował ani rozkładał na czynniki pierwsze. Będzie się tym cieszył.

Gdy podjechali pod jej dom, odprowadził ją pod drzwi. Zapadła już zupełna ciemność, a cykady rozpoczęły swój nocny koncert. Madison otworzyła frontowe drzwi, włączyła światło na ganku, a Lulu wypadła z domu tak, jak gdyby jej pani nie było co najmniej rok, co oboje bardzo rozśmieszyło.

- Idź siku - powiedziała do niej Madison, a suczka collie podreptała po schodach ganku na podwórze.

Madison włożyła klucze do kieszeni i skrzyżowała ramiona na piersi. Ale zaraz je rozłożyła i oparła się o drzwi. Wyraz jej twarzy przypomniawszy mu czas spędzony z nią nad zatoką, gdy lęk sprawiał, że wydawała mu się taka krucha. Była silną kobietą. Za to ją kochał.

Kochał?

To słowo przecięło ścieżkę jego myśli niczym błyskawica przecinająca burzowe niebo. Patrzył na nią teraz, jak obserwowała Lulu, jak wodziła wzrokiem za ćmą trzepoczącą

skrzydełkami pod żarówką, kierowała oczy wszędzie dookoła, byle nie na niego. Zalała go nagła fala ciepła, która sprawiła, że ugięły się pod nim kolana. *Tak, kochał ją.*

Próbował jej nie kochać. Ale proszę bardzo. Stał z nią teraz na ganku, obserwując ćmę i zdał sobie sprawę, że on jest tą ćmą, a ona światłem. I zawsze tak właśnie będzie.

Momentalnie nabrał pewności siebie i poczuł się silniejszy. Oparł dłoń o drzwi tuż ponad jej ramieniem. W jej dużych brązowych oczach tańczyły złote iskierki, gdy popatrzyła na niego.

- Jesteś jakaś cicha - powiedział.

Kosmyk włosów opadł na jej delikatne brwi, a on zapragnął go odgarnąć. Pragnął też znowu poczuć jej usta na swoich, poczuć tę niepohamowaną reakcję na jego pocałunek.

- Zamyślona - poprawiła go.

Nie do końca wiedział, jaka to różnica, lecz nie obchodziło go to. Wciągnął przez nos powietrze, łapiąc jej kwiatowy zapach. Przyjrzał się jej idealnemu drobnemu nosowi, temu jak opadał i niżej, jej różowym wargom. I nagle całym sobą i do szaleństwa zapragnął znowu ich posmakować.

- Znowu cię pocałuję.

- A ja ci na to pozwolę. - Madison popatrzyła mu w oczy. Nachylił się i spełnił obietnicę. Jej usta były tak delikatne jak skrzydła motyla i ciepłe jak żar wypełniający całe jego ciało. Położyła mu dłoń na piersi, a on przyciągnął ją bliżej, zachwycony tym, jak idealnie do niego pasowała. Jak delikatna i maleńka wydawała się w jego ramionach. Zastanawiał się, czy czuje, jak szybko i mocno wali mu serce.

Na podjazd sąsiadów podjechał samochód. Żwir zatrzeszczał pod jego kołami. Ganek rozświetliło światło przednich reflektorów.

Beckett odsunął się i po chwili ktoś wyłączył silnik. Trzasnęły drzwi. Potem kolejne. I następne. Usłyszał głosy dzieci, ale nie zrozumiał, co mówiły.

- Waverly'owie - powiedziała Madison, przesuwając dłonią po jego klatce piersiowej. - W samą porę, nie ma co. - Jej usta drgnęły.

-No.

- Cześć, pani McKinley! - zawołał dzieciak na oko sześćioletni, pomachał ręką, a Lulu podbiegła do niego z nadzieją, że zwróci na siebie uwagę.

- Cześć, Oliver - powiedziała Madison.

Beckett czuł się dumny, słysząc ton jej głosu. Mówiła tak, jakby brakowało jej tchu.

- Wypadł mi ząb - powiedział chłopiec.

- To włóż go koniecznie pod poduszkę.

- Chodź już, Oliver - powiedziała jego mama. - Przepraszam!

- Posłała Madison i Beckettowi niezręczny uśmiech i wprowadziła dzieci po schodach na ganek.

Usłyszeli płacz niemowlaka i zobaczyli, jak zapala się światło. Beckett obserwował rodzinę ładującą się do domu.

Lulu przydreptała z powrotem na ganek i wcisnęła się między nich, merdając ogonem. Madison położyła jej dłoń na głowie. Beckett cofnął się o krok, niechętnie tracąc jej dotyk.

- Lepiej już pójdę. Oboje musimy jutro wstąpić.

- Dzięki, że pokazałeś mi swoją kryjówkę.

- Zapraszam ponownie.

- Trzymam cię za słowo.

Jeszcze nie poszedł, a już nie mógł się doczekać, aż znowu ją zobaczy.

- Przyjedź do mnie jutro wieczorem.

- Mam próbę.

- Po próbie. Na późną kolację. Zamówię pizzę.

Nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech, aż odpowiedź wysliznęła się z jej ust.

- Dobra.

Jechał do domu jak zamroczony. Nie pamiętał o Bożym świecie i nic go nie obchodziło. Trzymał Madison McKinley w ramionach i było mu z tym dobrze.

Dobrze? Boże przenajświętszy, czuł się z tym fantastycznie. Nigdy w życiu nie mógłby już wrócić do randek z Carą Meyers albo Jessie Brooks, albo jakąkolwiek inną kobietą. Nie dlatego, że coś było z nimi nie tak. Po prostu był...

Zakochany, O'Reilly?

Och, tak. Całkowicie i bez pamięci. I chociaż gdy zdał sobie z tego sprawę, poczuł delikatny lęk, był mimo wszystko całkowicie ogarnięty radością, satysfakcją i rozkoszą przepełniającymi jego wnętrze.

Rozkosz, to było właściwe słowo. Reakcja Madison wprost uderzyła mu do głowy.

Zaparkował na podjeździe i wysiadł z auta. Nie mógł się doczekać kolejnego spotkania. Zupełnie nie obchodziło go to, jak długo potrwa próba ani jaką część nocy będzie musiał przez to zarwać. Była dla niego jak powietrze.

Dopiero na werandzie zauważył, że w domu pali się światło. Usłyszał cichy odgłos telewizora. Beckett nigdy nie zostawiał włączonych świateł ani nie włączał telewizora po pracy.

Przekręcił gałkę, a Rigsby podbiegł do jego nóg. Jednak Beckett nie patrzył na psa, tylko na tył oparcia fotela, głowę pokrytą przerzedzającą się siwizną i trzy butelki stojące na podłodze tuż obok.

Wszystkie pozytywne uczucia spłynęły z niego momentalnie, gdy fotel obrócił się, przewracając dzwoniące butelki.

- Co tak późno?

Beckett zamknął drzwi. Na barkach poczuł wielki ciężar.

- Cześć, tato.

Madison zaniósła ostatnią kartę na ladę recepcji i zapisała prędko notatkę o agresywnym cocker spanielu. Suczka nie znosiła wszystkich za wyjątkiem swojej pani. Co było nie lada problemem, zważywszy, że po domu pełzały siedmiomiesięczne bliźnięta. Najbliższy treser mieszkał kawał drogi od Chapel Springs, ale Madison obiecała zrobić właścicielce listę książek do przeczytania.

- Dobra, o co chodzi? - spytała Cassidy.

- Co masz na myśli? - Madison nie przestawała pisać.

- No weź. Mam nowy odcień błyszczyka na ustach, seksowny jak nie wiem co, w moim skromnym mniemaniu, rozlałam mrożoną kawę na dywan w twoim biurze, moja czupryna robi się coraz bujniejsza tego wilgotnego dnia, a ty nie zauważyłaś żadnej z tych rzeczy.

- Na moim perskim dywanie jest plama? Cassidy uniosła głowę i skrzyżowała ramiona.

No dobrze, Madison może była nieco roztargniona. Działała dziś na autopilocie, leczyła infekcje i uczulenia, dawała

szczepionki i doradzała w sprawie treningu czystości. Przez pół nocy nie spała, zastanawiając się, czy Beckett zadzwoni, wyczekując niecierpliwie dzisiejszego wieczora. Czuła się, jakby znowu była licealistką.

Cassidy odchrząknęła. Mogłaby jeszcze tupać rytmicznie stopą.

Błyszczczyk rzeczywiście miał ładny kolor, lekko różowy, który podkreślał odcień cery. Wzrok Madison powędrował wyżej, na włosy przyjaciółki.

- Dobry Boże!

Cassidy zmierzyła ją spojrzeniem.

- Nie zmieniaj tematu. Co się dzisiaj z tobą dzieje? Madison przygryzła wargę. Robiła to zresztą przez cały dzień.

- Pocałował mnie, wiesz?

- No nareszcie... - Cassidy uśmiechnęła się wstydliwie.

- Ale nie Drew. Beckett.

- A! - Brwi przyjaciółki aż podskoczyły.

- Dokładnie. A!

Cassidy oparła dłoń na podbródku.

- To nie było całkiem niespodziewane...

- Ja się nie spodziewałam.

- No cóż, w tej dziedzinie masz zaniki pamięci.

- Hej!

- Tylko ci mówię. - Cassidy uniosła ramiona. - To jak, wtajemniczysz mnie w szczegóły, czy zachowasz wszystko dla siebie?

- Dla siebie. - Madison się uśmiechnęła.

- Niech ci będzie. Ale zapamiętaj sobie, jak za parę lat będziesz w związku w stanie zastoju, to może ja też będę mogła

zaoferować ci trochę romansu z drugiej ręki.

- W stanie zastoju? - Madison myślała, że Cassidy i Stew są udaną parą.

- Nietrafnie dobrałam słowa. - Cassidy machnęła ręką, jakby odganiała muchę. - To co zrobisz z Drew? Naprawdę mu się spodobałaś.

Madison wzdrygnęła się. Spotkali się co prawda tylko kilka razy, ale widywali się często na próbach.

- To był tylko jeden pocałunek - powiedziała Madison. - Między mną i Drew nie ma nic wyjątkowego, a...

- A tobie naprawdę podoba się Beckett. - Cassidy przejrzała ją na wylot.

Bez względu na to, co miało się wydarzyć, Beckett zajmował teraz w jej sercu tyle miejsca, że nie mogłaby spotykać się z nikim innym. To, ile razy odtwarzała w myśli nie tylko pocałunek, ale też każde jego słowo, było wręcz przerażające.

- Pamiętasz tamten bal w drugiej klasie, kiedy Beckett mnie pocałował?

- No jasne.

- On pamięta, co miałam wtedy na sobie. - Madison posłała Cassidy wymowne spojrzenie.

Cassidy westchnęła, a jej usta rozciągnęły się w rozmarzonym uśmiechu.

- No to nie dziwię się, że od rana chodzisz jak we śnie.

- Taaak.

Tego wieczoru próba szła jak po grudzie. Madison dwa razy zapomniała kwestii i Drew musiał robić za suflera. Było jej ciężko patrzeć mu w oczy, grać rolę zaślepionej miłością

kobiety, gdy poprzedni wieczór spędziła w ramionach innego mężczyzny.

Nie mogła się doczekać, aż znajdzie się wreszcie w domu Becketta, ale po próbie poprosiła Drew o rozmowę w cztery oczy i czekała teraz obok jego białego saaba na pustym parkingu. Dottie zatrzymała go jeszcze na chwilę, by omówić nowe didaskalia. Próby do spektaklu miały teraz stać się bardzo niezręczne, ale nie mogłyby zrobić następnego kroku z Beckettem, nie odbywając wcześniej tej rozmowy.

Gdy Drew wyszedł i zbliżał się do niej tym swoim pewnym siebie krokiem, spróbowała się uśmiechnąć.

- Gratulacje. Przetrwaleś cały wieczór bez nagłego wezwania.

- Cuda się zdarzają.

Zauważyła, że jest spięty, a jego uśmiech nie odbija się w spojrzeniu.

Starła się zachowywać naturalnie, ale on chyba się domyślił. Jedyna latarnia na parkingu blyzczała nad ich głowami, a jej światło rzucało ostre cienie na linie jego twarzy.

- Dzięki, że zostałeś kilka minut dłużej. - Madison próbowała znaleźć odpowiednie słowa. Czowała się okropnie. Może gdyby usiedli i pogadali... - Wsiądziemy na chwilę do auta? - spytała.

Jego usta uniosły się, ale nie w uśmiechu.

- Po prostu złam mi serce tutaj, Madison. Wzdrygnęła się.

- Czy to aż takie oczywiste?

- Nie jesteś dobra w maskowaniu uczuć.

- Przepraszam. Nie chodzi o ciebie...

- Ależ chodzi. - Delikatnie dotknął jej ramienia, łagodząc swoje słowa. - Jest ktoś jeszcze?

- Tak. - Nie było sensu kłamać. - Nie jesteśmy parą, ani nic takiego, ale... - Wzruszyła ramionami, mając nadzieję, że Drew nie zapyta kto. Nie dałoby się w delikatny sposób oznajmić, że to ten koleś, który upiększył mu szczękę.

Drew spojrział w stronę rzeki za pustym parkingiem. Wilgotny dzień ustąpił miejsca rześkiemu wieczorowi. Gwiazdy świeciły mocno, tworząc migoczący obraz na płótnie granatowego nieba.

- W porządku. Rozumiem. - Popatrzył z powrotem na nią i uśmiechnął się z wysiłkiem. - Jeśli ci z nim nie wyjdzie, możesz do mnie zadzwonić. Jesteś świetną dziewczyną, Madison.

Miał klasę. Po prostu nie był dla niej tym jedynym.

- Jesteś bardzo wyrozumiała.

Uściskał ją i pomachał na pożegnanie, a ona ruszyła w kierunku swojego samochodu. Jaka ulga, że ma to już za sobą.

Zmusiła się, aby dłużej nie myśleć o rozmowie z Drew, i skupiła myśli na Beckettie w trakcie krótkiej jazdy pod jego dom.

Kilka minut później żwir na podjeździe zatrzeszczał pod kołami auta. Biały parterowy dom Becketta miał wykrzywioną werandę, duże panoramiczne okno i czarne okiennice, z których łuszczyła się stara farba. Przed wejściem znajdował się świetnie utrzymany trawnik i kilka krzaków. Jednak tym, co wydało jej się najlepsze na całej posesji był stary dąb o grubym pniu, wprost stworzony do wspinaczki, którego niskie gałęzie rozchodziły się na wszystkie kierunki. Mogłaby się założyć, że Beckett spędził na tym drzewie kawał dzieciństwa.

Powitał ją u drzwi w wygodnych dżinsach i lekko znoszonej, czarnej koszulce. Rigsby wcisnął się między nich, kręcąc się niemiłosiernie, trącąc jej dłoń tak długo, aż wreszcie go pogłaskała.

- Przepraszam za spóźnienie.

Beckett pocałował ją w rękę i wprowadził do kuchni.

- Przyszłaś w samą porę. Właśnie przywieźli pizzę. Niewielkie wnętrze wypełniał zapach czosnku i oregano.

Na niedużym, rozkładanym stole nakrytym dla dwóch osób leżało pudełko, zwyczajna solniczka i pieprzniczka.

- Mmm... Od Cappyego.

Drzwi lodówki uderzyły o stół, gdy otworzył ją, by wyjąć coś do picia.

- Cola? Sprite? Woda?

- Poproszę wodę.

Przeczisnęła się obok niego i nałożyła po kawałku pizzy na przygotowane talerze.

- Pomyślałem, że zjemy w salonie. Tam jest więcej miejsca.

- Jasne.

W salonie paliły się dwie lampy. Z radia pod telewizorem leciała stara piosenka zespołu Foreigner.

Madison podeszła za Beckettem do sofy i usiadła na środku. Tymczasem Beckett przyciągnął bliżej sfatygowany stolik kawowy, na którym postawiła swoją szklankę z wodą. Gdy rozsiadła się wygodnie, wziął jej dłoń w swoją i odmówił modlitwę.

W domu McKinleybw też modlono się przed posiłkami i była do tego przyzwyczajona. Ale nie spotkała się z tym wcześniej na randce. W miarę, jak jego słowa płynęły, zdała sobie sprawę, że podoba jej się to. A najbardziej sposób,

w jaki ścisnął jej rękę i uśmiechnął się, gdy skończył.

Opowiedziała mu o próbie, a potem o zeszłorocznej sztuce, która pozwoliła zebrać rekordowo wysoką sumę na cele schroniska dla zwierząt. On opowiedział jej o tym, jak znalazł w nim Rigsbyego, gdy ten był szczeniakiem. Przywitał go wtedy już na wejściu wesołym szczeknięciem i uniesioną pupą ostentacyjnie prezentującą merdający ogon. Beckett pokochał go od pierwszego wejrzenia.

Madison wyznała mu, że za każdym razem, gdy pracownicy schroniska rozdawali ulotki o zwierzakach do adopcji, miała złamane serce. Dlatego zdecydowała się przynosić je mieszkańcom domu opieki w ramach wolontariatu.

Gdy z głośników popłynęły dźwięki *Desperado*, zaczęli rozmawiać o swoich ulubionych klasykach muzyki rozrywkowej i okazało się, że oboje słuchają tej samej stacji radiowej ze starymi przebojami.

Potem rozmowa zeszła na kościół.

- To opowiedz mi... jak to się stało, że zmieniłeś się z *Tego Nieznośnego Becketta* na wzór wszelkich cnót?

- Po pierwsze: jaki tam wzór wszelkich cnót?! Ale punktem zwrotnym były letnie wakacje, gdy miałem dwadzieścia lat. Popełniłem wtedy... trochę błędów. Pewnej nocy próbowaliśmy z kumplem odpalić na dziko auto, które stało pod stacją GasnGo od wielu dni. Pojawiły się gliny i zwałem. Miałem już inne kłopoty na głowie i wiedziałem, że ten wybryk wpakuje mnie za kratki. Dla Ricka to było pierwsze wykroczenie. Łatwo by się wywinął. Tak sobie przynajmniej wmawiałem. Przybiegłem do domu, ale nie umiałem wejść do środka. Wiedziałem, że dziadek przejrzy mnie na wylot. Wbiegłem do szopy. Siedziałem tam w ciemnościach

i czułem się jak świnia. Bo wiesz, robiłem już wcześniej różne paskudztwa, ale wydawało mi się, że w gruncie rzeczy jestem dobrym człowiekiem. Nie takim, który opuściłby przyjaciela. A wtedy zobaczyłem samego siebie takim, jakim byłem naprawdę i nie spodobało mi się to. - Przerwał na chwilę.

Pizzy już dawno nie było, puste talerze stały na stoliku. Madison nawet nie pamiętała, kiedy skończyli jeść.

- I co było potem? Beckett wzruszył ramionami.

- Przypomniałem sobie wszystkie lekcje w szkółce niedzielnej, na których siedziałem. Wszystkie rozmowy z dziadkiem. I nagle wszystko nabrało sensu. Wiara to nie było coś, o czym mógłbym poczytać albo co mógłbym zrozumieć. To, że opuściłem przyjaciela w potrzebie, było dla mnie chwilą oświecenia. Zgrzeszyłem. Potrzebowałem Boga.

Michael przeżył kiedyś podobną historię, z wyłączeniem przestępstwa. Podzielił się nią z Madison. Był bardzo podniekowany, gdy o niej opowiadał. Nigdy nie zapomni tamtego wejrzenia jego oczu, które mówiło, że zrobił coś naprawdę ważnego. Jakaś jej część zazdrościła mu wtedy. Nawet teraz zazdrościła Beckettowi. Pomimo tych wszystkich straszliwych okoliczności życia rodzinnego, udało mu się odnaleźć wewnętrzny pokój.

- I co było potem? - spytała. - Ten kumpel poszedł siedzieć?

- On nie. Ja tak.

- Przyznałeś się? - Nie słyszała, żeby Beckett siedział za kratkami. Ale to było niedługo po tym, jak umarł Michael, a świat zewnętrzny wtedy dla niej nie istniał.

- Postanowiłem zachować się przyzwoicie. Ciągle mam kontakt z Rickiem. Mieszka teraz z żoną w Tennessee. To był początek i koniec jego kariery jako złodzieja samochodów.

Nagle dobiegł ich z zewnątrz odgłos silnika samochodu podjeżdżającego pod dom, a do wewnątrz wdarło się światło

jego przednich reflektorów. Beckett skoczył na nogi i wyjrzał przez okno wyraźnie spięty.

Walnął w ramę okna otwartą dłonią.

- Co się stało?

- To mój ojciec. Prosiłem go, żeby nie wracał przed jedenastą.

- Wrócił?

- Wczoraj.

Jeśli w ogóle coś o tym wspomiano w miasteczku, to do Madison ta wieść nie dotarła. Pewnie dlatego, że chodziła cały dzień z głową w chmurach.

Drzwi kierowcy trzasnęły.

- Świetnie - powiedział chwilę potem Beckett i podszedł do frontowych drzwi.

Madison zastanawiała się, czy powinna sobie pójść. Ale zanim zdążyła podjąć decyzję, do domu wtoczył się ojciec Becketta. Potknął się o Rigsby'ego i wymamrotał takie przekleństwo, jakiego od dawna nie słyszała.

Beckett złapał go za ramię. Zacisnął szczękę.

- Chodź, tato. - Pociągnął ojca przez przedpokój. Pan O'Reilly zauważył Madison.

- Heeej.

- Panie O'Reilly. - Skinęła mu. - Miło pana widzieć. - Nie wiedziała, czy w ogóle by ją pamiętał, nawet na trzeźwo. - Jestem Madison.

- Dzieffczyna Kinleyow.
- Tak, właśnie.
- Mieszksz ftym fffspniałym domu! Tam na wzzzgószu.
- Wystarczy już, tato. - Beckett pociągnął ojca za ramię.
Rigsby wszedł mu pod nogi, przez co pan O'Reilly o mało znowu się nie przewrócił.

- Uciekaj stąd - powiedział Beckett do psa.
Rigsby spuścił głowę, podreptał do Madison i usiadł u jej stóp. Podrapała go za uchem, usiłując nie zwracać uwagi na hałasy dobiegające z końca korytarza: zlewające się słowa pana O'Reilly'ego i powściągliwy ton Becketta.

Beckett rzucił buty ojca w kąt, zaciskając zęby, by nie powiedzieć tego, co miał do powiedzenia. Ojciec i tak do rana zapomniałby jego słowa. Spojrzał na jego twarz: miał zamknięte oczy, z kącika ust sączyła się ślina. Chciał nim potrząsnąć. Ale zamiast tego zgasił światło, zamknął drzwi i wyszeptał modlitwę o to, by spał, dopóki Madison nie pójdzie do domu.

Wrócił do salonu i zastał ją siedzącą na skraju kanapy. Popatrzyła na niego niepewnym spojrzeniem szeroko otwartych oczu i zdał sobie sprawę, że to, co właśnie zobaczyła, choć stanowiło jego codzienność, dla niej było całkowicie obce.

Twarz płonęła mu rumieńcem. Zatrzymał się przy fotelu.

- Przepraszam cię za to.

- Nie, nic się nie stało. - Machnęła ręką.

Ależ stało się. I to nie byle co. Beckett wiedział, że Madison

prędzej czy później zajrzy do wnętrza jego świata, ale nie chciał, by zdarzyło się to tak szybko. Wstała i zawiesiła torebkę na ramieniu

- I tak powinnam już iść. Robi się późno.

Beckett był rozdarty: chciał, by ta napięta sytuacja wreszcie się skończyła, ale też pragnął być z Madison. Przyjemna atmosfera minęła na dobre i dla tego wieczoru nie było już ratunku.

- Przepraszam - powiedział jeszcze raz, gdy stała już przy drzwiach i odwróciła się.

Położyła mu dłoń na policzku, a on wyczytał w jej oczach współczucie, zanim go pocałowała.

Następnego wieczoru automatyczna sekretarka oznajmiła brak nowych wiadomości i Madison skarciła samą siebie za to, że stała się jedną z tych kobiet, które ich wyczekują. Chciała sama zadzwonić do Becketta, ale minął tylko jeden dzień, a oboje przecież byli zapracowani.

Niezręczność poprzedniego wieczoru nie dawała jej spokoju przez cały dzień. Było jej żal Becketta. Czy to z tym musiał mierzyć się przez całe swoje dzieciństwo?

Kładła się właśnie do łóżka z Lulu i swoją ulubioną gazetą, gdy zadzwonił telefon. Uśmiechnęła się, zauważywszy na wyświetlaczu imię Becketta.

- Nie jest za późno? - spytał swoim niskim, głębokim, niebiańskim głosem.

- Nie, co ty. Właśnie zabierałam się do PSLW

- Do czego?

- Pisma Stowarzyszenia Lekarzy Weterynarii. Fascynująca lektura, wierz mi.

- Brzmi jak wspaniały środek nasenny.

- Nie ciekawi cię ryzyko kamicy moczowej u kotów?

- A co to w ogóle jest?

- Jeśli tyle lat żyłeś w nieświadomości, prawdopodobnie ta wiedza nie jest ci potrzebna.

Madison wtuliła się mocniej w poduszkę, umościła się wygodnie. Ulżyło jej, że ciśnienie z poprzedniego wieczora całkowicie spomiędzy nich wyparowało.

- Zwłaszcza że nie mam kota. Jak ci minął dzień?

- Byłam zarobiona po pachy. W klinice był komplet pacjentów, potem jeszcze próba i dopiero niedawno wróciłam do domu. Ledwie miałam czas oddychać. A jak twój?

- Ciągnął się w nieskończoność. Tęskniłem za tobą.

Jego szczerość ścisnęła ją w żołądku. Coś ciepłego i przyjemnego rozbiło obóz w jej wnętrzu i wywołało głupkowaty uśmiech na twarzy.

- Naprawdę?

- Brzmisz, jakbyś była z siebie potwornie zadowolona.

- To miłe, gdy ktoś za tobą tęskni.

A na tęsknotę będzie sporo czasu, zważywszy na to, że sobota była dopiero za... całą wieczność.

- Co dziś robiłeś?

- Byłem u dziadka.

- Jak on się miewa?

- Rozpoznał mnie. Przynajmniej na chwilę.

- To świetnie! Takie momenty muszą być dla ciebie cenne. Może wkrótce wymyślą jakiś lepszy lek, który spowolni procesy choroby.

- Przynajmniej pojednał się z Bogiem. To prawdziwa ulga. Nie wyobrażam sobie powolnej utraty kogoś bliskiego przez Alzheimera bez tej pewności. Wtedy każdy przebłysk świadomości mógłby być jego ostatnią szansą.

Madison pomyślała o Michaelu i o ostatniej spędzonej z nim chwili. Gdyby wiedziała, że więcej go nie zobaczy, wszystko zrobiłaby inaczej. Nawet nie spojrzała na niego znad książki, gdy powiedział, że idzie popływać nad Zakole Turnera.

Była wdzięczna, że Beckett zmienił temat na żagle. Gdy wy-czerpali i ten, nastąpiła chwila ciszy, nie naznaczona jednak niezręcznością. Robiło się późno, ale Madison nie chciała odkładać słuchawki.

- Kiedy znowu cię zobaczę? - spytał.

Uwielbiała jego bezpośredniość. I podobało jej się to, że tak bardzo chciał się z nią widywać.

- W czwartek i piątek mam próby, a Dottie ostrzegła nas, że przeciągną się do późna. Ale jutro mam wolne.

- Mam krąg biblijny - westchnął. - Czyli dopiero w najbliższą sobotę.

Rozmawiali cicho jeszcze przez chwilę, zanim się pożegnali. Madison włączyła telewizor i zawinęła się w kokon szczęśliwości i zadowolenia.

W sobotę Madison obudził wiatr tak mocny, że drżały od niego szyby w oknach. Lulu wierciła się u jej stóp z głową na jej nodze. Światło poranka wdarło się przez zwiewne zasłony i nadało złoty połysk kołdrze.

W poprzedni weekend nocowała u niej PJ. Urządziły sobie ostatni babski wieczór przed jej powrotem do collegeu. Obejrzały dwa filmy i opróżniły wiaderko lodów orzechowych. Nie spały pół nocy. Madison już tęskniła za siostrą, teraz nawet bardziej, gdy obie dziewczyny wyjechały. PJ obiecała, że wróci do domu w ostatni weekend sierpnia na regaty i w pierwszy weekend września na urodziny Madison.

Zadzwoił telefon. Wiedziała, czyj głos usłyszy w słuchawce, zanim spojrzała na wyświetlacz.

- Cześć - powiedziała, siadając na łóżku i przyglądając włosy, tak jakby Beckett mógł ją zobaczyć.

- Wychodziłaś na zewnątrz?

- Nie, ale już tutaj słyszę ten wiatr. Pogoda spiskuje przeciwko mnie.

- Jutro też ma tak wiać.

Lulu zeskoczyła na podłogę i wsadziła nos między zasłony, jak gdyby sama chciała sprawdzić pogodę za oknem.

- Czas ucieka. Regaty już za tydzień, a ja jeszcze muszę się tyle nauczyć.

- Może uda nam się wyrobić jedną lekcję któregoś wieczoru w przyszłym tygodniu.

- Mam próby w poniedziałek, wtorek i czwartek. Ty masz krąg biblijny w środę, no nie?

- No. To może w piątek?

- Wtedy płyniemy z Evanem po trasie. - To będzie ich ostatnia szansa przed regatami.

- Dobry pomysł. To może spotkajmy się w czwartek rano przed pracą. Spuścimy twoją łódź na wodę i przećwiczymy kilka razy trasę.

Poprzednim razem, gdy ją odwiedził, sprawdził silnik i powiedział, że chodzi dobrze.

- Doskonale. Jesteś pewien, że dziś nie damy rady?

- Przy takim wietrze? Na pewno nie.

- Ty pewnie byś popłynął, gdybyś był sam.

- Ale nie jestem, więc wybij to sobie z tej swojej ślicznej głowy. Nie martw się, zadbam o to, żebyś była gotowa.

Chociaż Madison czuła rozczarowanie, było jej miło, że tak się martwił o jej bezpieczeństwo.

- Jak się miewa twoja łódź?

- Dobrze. Ryan i PJ pomogli mi ją zagruntować i pomalować. Ta metoda, którą mi pokazałeś, świetnie się sprawdziła. Wygląda, jak pomalowana farbą w sprayu. A mama pomogła mi wysprzątać kabinę. Zajęło nam to większość ubiegłej niedzieli.

- Kolor wyszedł taki, jak chciałaś?

- Idealny. Granatowy jak niebo o północy. A PJ wykali-
grafowała na biało nazwę. Jest dobra w te klocki.

Nastąpiła chwila ciszy. Nie chciała się jeszcze rozłączać.
Miała nadzieję, że Beckett zaproponuje jej, by wspólnie spędzili ten dzień.

- No... - powiedział - to ja już kończę. Muszę do popołudnia
naprawić kilka silników.

Madison zapomniała, że Beckett pracował w soboty, chyba że
szef zwalniał go na czas lekcji z nią. Ale może jeszcze zaprosi
ją gdzieś na wieczór. Może poszliby do Cappyego na pizzę?

- To do zobaczenia w czwartek o szóstej rano, tak? - zapytał. -
Przywiozę przyczepę i zrobimy wodowanie.

- Jasne. - Madison przełknęła rozczarowanie. - To do zo-
baczenia.

Gdy się rozłączyła, naciągnęła kołdrę aż po podbródek i
wysunęła rękę, by pogłaskać Lulu.

- No cóż, kochana - powiedziała - wygląda na to, że dzisiejszy
dzień spędzimy tylko we dwie.

Beckett rozłączył się i szybko wrócił do silnika motorowego
Mercury, czując poirytowanie. Bardzo chciał dziś zobaczyć
Madison, chciał zaprosić ją na randkę. Jeszcze tydzień temu by
to zrobił. Ale wszystko zmieniło się, odkąd do domu wrócił
tata. Gdy Beckett wychodził dziś rano, ojciec czytał *Starego
człowieka i morze*, sącząc pierwsze tego dnia piwo. Ale Beckett
wiedział, co będzie dalej. Wieczorem ojciec zechce odwiedzić
swoją ulubioną tawernę, ale on zrobi wszystko, by temu
zapobiec. A jeśli mu się nie uda, przynajmniej zatroszczy się,
by odwieźć go do domu.

Będzie musiał mu wystarczyć telefon do Madison. Oby nie miała innych planów. Żołądek skręcał mu się na myśl, że mogła umówić się z Drew Landonem. Chciał nawet o niego zapytać, ale wszystko wyparowało mu z głowy w chwili, gdy usłyszał jej senne powitanie.

Gdy wybiła czwarta, zamknął warsztat i pojechał do domu. Wjechawszy na podjazd, zastał ojca majstrującego przy swojej starej czerwonej mazdzie.

Smakowity zapach unosił się w powietrzu. Beckettowi pociekła ślinka.

- Wędzisz wołowinę?
- Miałem na nią smak od miesiący. O piątej będzie gotowa.
- To super. - Beckett skinął w kierunku samochodu. - Co się popsuło?

- Myszy przegryzły przewody, gdy mnie nie było.
- Pomóc ci?
- Prawie skończyłem. - Ojciec pociągnął długi łyk piwa. Musieli poważnie porozmawiać. Nigdy nie przyniosło to żadnego skutku, ale Beckett musiał próbować. Może już wystarczyło tych pobytów w więzieniu.

Ojciec zamknął maskę i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik odpalił bez trudu. Tata był najlepszym mechanikiem w okolicy i nauczył Becketta wszystkiego, co sam umiał.

Poszli na tył domu, by sprawdzić, jak uwędziło się mięso. Beckett usiadł za rozklekotanym stołem piknikowym. Wolałby uniknąć tej rozmowy. Przez chwilę zazdrościł Layli, która miała możliwość mieszkać osobno. Ale to jemu dziadek

przepisał dom, zanim zamieszkał w Countryside Manor. Gdyby tego nie zrobił, budynek i posesja zeszyłyby na psy.

Ojciec zamknął ogrodową wędzarnię i oparł się o stół, pijąc łyk za łykiem z bursztynowej butelki. Nie ogolił się od czasu powrotu z więzienia, ale w którymś momencie poszedł do fryzjera podciąć siwiejące włosy. Jego regularne rysy naznaczyły się zmarszczkami przez ostatni rok, a od więziennej diety zapadły mu się policzki. Trudno było w to uwierzyć, ale kiedyś był przystojnym mężczyzną.

- Kiedy wrócisz do pracy? - spytał Beckett. Chciał powoli przejść do poważnej rozmowy.

- Cha! Harvey nie chce mnie z powrotem, już z nim gadałem.

- Zaklął. - Nie ma lepszego mechanika ode mnie i on dobrze o tym wie.

Nieważne, że nie było go w pracy od miesiący i że często zjawiał się w niej w nienajlepszej kondycji.

- Tato, musimy pogadać. Ojciec odepchnął stół.

- Znowu to samo. Może nagrzasz mi swój wykład, a ja sobie go będę odtwarzał raz na jakiś czas.

- Tato, masz problem.

Ojciec uniósł ręce w geście kapitulacji. Butelka błysnęła w świetle popołudniowego słońca.

- Nie powinienem prowadzić pijany. Wiem o tym. Już swoje za to odsiedziałem, ty też chcesz mnie jakoś ukarać?

- Jesteś alkoholikiem.

- Nigdy nie dasz mi spokoju, co? - Zaśmiał się i pokręcił głową. - Gdybym nim był, nie wytrzymałbym długich miesięcy bez picia. Dostałem drgawek? Miałem halucynacje? Nie, skąd! Nic mi nie było. Nie muszę pić. *Lubię pić.* To

ogromna różnica.

- To, że nie masz głodu o niczym nie świadczy...

- Gdybym był alkoholikiem, to bym o tym wiedział. Nie mógłbym utrzymać pracy ani rodziny.

Beckett zamilkł, by nie zaszerwować mu ciętej riposty, którą miał na końcu języka. Gdy odeszła mama, Beckett i Layla wychowali się sami z pomocą dziadka, podczas gdy ojciec zapijał ból. Zresztą wciąż to robił.

- Możemy ci pomóc, tato. Nie jest jeszcze za późno na to, żebyś zaczął żyć. Mógłbyś otworzyć grill bar, o którym tak marzyłeś. Robisz najlepszą wędzoną wołowinę i żeberka, jakie kiedykolwiek jadłem. Waliłyby do niego tłumy miejscowych i turystów. Ale najpierw musisz wytrzeźwieć.

- A masz gdzieś schowaną kupkę pieniędzy, o których nie wiem? - Ojciec uśmiechnął się szyderczo.

- Możemy zaciągnąć kredyt na rozkręcenie biznesu. Pomogę ci, jak tylko będę mógł.

- Jestem na to za stary.

- Jesteś dopiero po pięćdziesiątce. Wiele lat życia przed tobą. Tylko musisz skończyć z pi...

- Aaa! Dość tego, Beckett! - Ojciec podniósł ręce i odszedł. Wszedł do domu tylnymi drzwiami i głośno nimi trzasnął.

Madison gapiła się w cyfry arkusza Excela tak długo, aż zaczęły zamazywać się przed jej oczami. Przypomniała sobie zdarzenia tego dnia, a potem wróciła myślami do rozmowy telefonicznej z Beckettem poprzedniego wieczoru. Wyglądało na to, że jego tydzień był tak samo szalony jak jej. Miała nadzieję, że zadzwoni do niej wieczorem, gdy wróci z kręgu biblijnego.

Pomyślała o łodzi stojącej na podjeździe. Kusila ją za każdym razem, kiedy Madison wychodziła lub wchodziła do domu. Bardzo chciała już nią popłynąć i zobaczyć, co potrafi.

Zmarszczyła brwi, patrząc na robotę czekającą na nią na biurku. Szybko uprzątnęła papiery, gdy w głowie zaświtała jej pewna myśl. Wyciągnęła telefon i wybrała numer.

- Jesteś zajęty? - spytała, gdy brat odebrał połączenie.

Trzy kwadransy później siedziała w swojej żaglówce i kierowała Ryana, który wjeżdżał na wstecznym biegu przyczepą na rampę niedaleko parku Riverside.

- Prosto do tyłu. - Wychyliła się za burtę łodzi, gdy koła

przyczepy staczały się po rampie, aż wjechały do wody. -Już!
To było o wiele lepsze niż siedzenie za biurkiem. Nie chciała
żeglować, chciała tylko upewnić się przed piątkiem, że za-
glówka jest sprawna.

Koła pick-upa Ryana podjechały pod linię wody i Madison
poczuła, że łódź zaczyna się unosić.

- Dobra, tak jest dobrze.

Ryan zaparkował auto na biegu i wysiadł.

- Nie wierzę, że regaty już za trzy dni. Wszyscy w remizie
zamierzają ci kibicować.

- Mam nadzieję, że będę gotowa.

- Może lepiej powinnaś z tym poczekać. - Ryan spojrzał na
zachodzące słońce. - Za chwilę zrobi się ciemno.

- Chcę tylko popłynąć kawałek tam i z powrotem. Poza tym
mam kamizelkę ratunkową. - Kupiła ją w zeszłym tygodniu w
sklepie ze sprzętem do żeglugi i rybołówstwa *UBilla*.

- Wiesz co, żaglówki często emitują za dużo tlenu węgla.
Możesz zemdleć i wpaść do wody.

- No i właśnie po to mam kamizelkę.

- Może zostanę? - Spojrzał na zegarek. - Mogę się trochę
spóźnić.

- Rany boskie, Ryan, wiem, co robię. Beckett nauczył mnie
wszystkiego. A to nie jest fizyka jądrowa.

- Beckett, tak? - Położył ręce na biodrach. Chyba najwyższy
czas się przyznać.

- Chodzimy ze sobą. Jakbyś chciał wiedzieć.

- A mama i tata wiedzą?

- Nie całkiem. - Będą musieli się przyzwycząić. - To dobry
człowiek, Ryan. Zobaczą to, jeśli dadzą mu szansę.

- *Jeśli* dadzą mu szansę. - Jej brat pomału kiwnął głową.
- Włącz silnik i sprawdź, czy działa.
- Tak jest, Wielki Bracie. - Madison wywróciła oczami.
Uruchomiła ręczną pompę paliwową, zwolniła przepust -
nicę i pociągnęła gwałtownie kilka razy za sznurek, by silnik
odpalił. Silnik zaskoczył za trzecim razem z głośnym rykiem.
Nastawiła ssanie, aż łódź zaczęła pracować spokojnie na
jałowym biegu, delikatnie wibrując pod jej nogami.
- Zadowolony? - zawołała, przekrzykując silnik.
- Masz telefon?
- Tak, panie Bezpieczny. Możesz już iść.
- Jak wrócisz do domu?
- Mieszkam zaledwie cztery przecznice stąd. Idź już sobie,
McKinley.

Posłała mu szeroki uśmiech i odpłynęła wzdłuż kei, do której
zamierzała zacumować później. Następnie wypłynęła na
otwartą rzekę.

Słońce świeciło nisko nad horyzontem, odbijając się w tafli
wody i ogrzewając jej skórę. Delikatny powiew wywołany
ruchem łodzi zsunął jej włosy z ramion.

Na twarzy Madison pojawił się uśmiech. Udało się jej.
Płynęła łodzią Michaela. No dobra, może nie żeglowała, ale
była na wodzie. Odnowiła ją, zrobiła z niej taką żaglówkę, jaką
sobie wymarzył. Tutaj, na rzece, czuła, że jest bliżej niego.
Niemalże mogła poczuć jego obecność w kokpicie, słyszeć
jego śmiech dzwoniący w jej uszach.

Popatrz, Michaeli Czyż ona nie jest cudowna?

Madison przejechała dłonią po białym zdobieniu i poczuła
nagły atak samotności tak silny, że aż bolesny.

Oczy zaszczyły jej łzami. *Tak bym chciała, żebyś tu był. Tęsknię za tobą. Wygram dla ciebie te regaty, braciszku. Zobacysz. Spełnię twoje marzenie.*

Gdy odpłynęła od przystani, przyspieszyła. Wiatr uniósł jej włosy i szarpał za koszulkę bez rękawów. Gdy zbliżyła się do środka nurtu, odwróciła łódź w jego kierunku, by popłynąć z prądem rzeki.

Czuła się tak, jakby latała. Teraz już rozumiała, dlaczego Michael tak to uwielbiał. Tylko ona i ryk silnika. Wiatr na twarzy, promienie słońca na skórze i woda uciekająca spod łodzi.

Płynęła w dół rzeki w kierunku Louisville. Był spokojny wieczór w środku tygodnia, nie mijala więc nikogo. Była ciekawa, ile czasu zajęłoby jej dotarcie do Louisville, a ile do Cincinnati, w górze rzeki. Chciałaby kiedyś spróbować tam popłynąć z podniesionymi żaglami.

Chwilę później, pagórki okalające oba brzegi zrobiły się szare w nienaturalnym świetle dnia. Madison włączyła światła nawigacyjne. Pora wracać. Zwolniła, puściła drążek, skręciła w prawo, po czym przyspieszyła.

Powietrze ochłodziło się, a wiatr wywołał gęsią skórę na jej rękach i nogach. Teraz płynęła w górę rzeki, więc łódź poruszała się wolniej. Dodała gazu.

Ponieważ bak był zatankowany, a łódź była już na wodzie, będą mogli z Beckettem poświęcić cały czwartkowy poranek na żeglowanie. Miała za sobą już w tym tygodniu ostry trening z Evanem. Dobrze im się razem pracowało. Bardzo chwalił ją za skuteczność, sprawność i znajomość terminologii. Beckett dobrze ją wyszkolił. Poza tym wypożyczyła kilka książek o regatach z biblioteki i wyczytywała z nich wszystkie litery aż do wczesnych godzin rannych.

Chociaż teoria i praktyka to dwie zupełnie różne *rzeczy*. Uczucie szarpiącego wiatru i kręcącego się bomu... Cieszyła się, że w dzień wyścigów będzie miała do pomocy Evana. Ale przecież ona też musiała wiedzieć, co robić, żeby mieć jakiegokolwiek szanse na wygraną. To co, że wyścig był handicapowy. W Chapel Springs i okolicy było wielu doświadczonych żeglarzy.

Niebo pociemniało, a na brzegu w oddali pojawiło się kilka świateł. Słońce zaszło szybciej, niż przypuszczała, ale była już blisko. Przepłynęła zakole i zobaczyła światła przystani Chapel Springs. Skręciła w ich kierunku, myśląc o jutrzejszym planie dnia.

I wtedy silnik dostał czkawki.

Madison popatrzyła na niego, marszcząc brwi.

Znowu ten sam odgłos. I znowu. A potem nagle wydał dźwięk przypominający prychnięcie, a następnie zasapał. Łódź zwolniła pomimo tego, że Madison wciąż zaciskała dłoń na drążku gazu.

Me, *nie, nie*.

Silnik beknął ostatni raz i zatrzymał się. Na rzece nastąpiła ogłuszająca cisza. Łódź stanęła, a nozdrza Madison wypełnił ostry zapach spalenizny.

Madison stała w rozkroku z ugiętymi kolanami i szarpała sznur. Nic. Próbowwała tak trzy razy, aż w końcu się poddała. Łódź kołysała się na wodzie. Usiadła, próbując złapać oddech. Serce waliło jej jak młot. Co teraz?

Wiosła. Na pokładzie powinny być wiosła, prawda? Dotarcie do brzegu zajmie jej trochę czasu, ale była silna. Do-wiosłuje do brzegu i zadzwoni do Ryana.

Popatrzyła pod siedzenia. Była pewna, że gdzieś je widziała, gdy sprzątała z mamą pokład. Wyszorowały razem każdy centymetr kwadratowy. Przeszukała każdy zakamarek. Nic.

Popatrzyła na brzeg rysujący się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. I wtedy zauważyła, że łódź dryfuje z prądem rzeki, zostawiając Chapel Springs w tyle.

Na tle nocnego nieba wzgórza wydawały się upiornymi cieniami. Woda nabrała barwy głębokiej czerni. Zastanawiała się, jak jest głęboka. Stare lęki powróciły.

Przecież już umiesz pływać, Madison. I masz na sobie kamizelkę. Jesteś bezpieczna.

Bezpieczna, ale w potrzasku. Musiała do kogoś zadzwonić, a była tylko jedna osoba, która mogła ją z tego wyciągnąć. Wyjęła telefon z kieszeni i z ulgą zauważyła dwie kreseczki zasięgu. Wybrała numer i przysiadła na siedzeniu. Dwa sygnały, trzy. *Błagam, odbierz.*

Odebrał po piątym sygnale.

- Cześć, co tam? - szepnął Beckett, a Madison przypomniała sobie, że dziś szedł na spotkanie kręgu biblijnego.

- Strasznie cię przepraszam, ale... potrzebuję twojej pomocy. Mam... eee... kłopot.

- Poczekaj.

Usłyszała jakiś szmer, niewyraźny głos Becketta. Potem wrócił do rozmowy.

- Gdzie jesteś? - spytał, tym razem głośniej.

- Przepraszam, wiem, że masz krąg biblijny.

- Właśnie kończyliśmy. Wszystko w porządku?

- Zależy, jak na to spojrzeć. - Madison zaśmiała się, ale jej śmiech przypominał raczej dławienie. - Jestem na środku rzeki z zepsutym silnikiem.

W słuchawce usłyszała dźwięk zamykanych drzwi albo czegoś podobnego.

- W swojej łodzi?

- Płynęła dobrze, ale potem... już nie.

- Jak daleko jesteś? - Dźwięk włączanego silnika.

- Widzę tylko światła przystani. - Spojrzała w ich kierunku i zdała sobie sprawę, że wypłynęła już za zakole rzeki. -A przynajmniej widziałam jeszcze minutę temu. Prąd mnie znosi.

- Przeszedł ją dreszcz i objęła się ramionami.

- Rzuć kotwicę. Pamiętasz jak?

- Tak. Chwila. - Odłożyła telefon i spuściła kotwicę, aż poczuła, że ta zatrzymała się na dnie.

- Dobra, zrobione.

- Płyniesz w dół rzeki? W stronę Louisville?

- Taaak.

- Siedź spokojnie. Będzie dobrze. Daj mi dziesięć, piętnaście minut. Włącz światła nawigacyjne. Masz kamizelkę?

- Mam. - Madison rozejrzała się wokoło. Ciemność napierała ze wszystkich stron. Chciała już mieć to za sobą. Nie miała nic przeciwko wodzie, ale tylko wtedy, gdy mogła ją zobaczyć. A teraz jedynie słyszała, jak uderza z pluskiem o kadłub i czuła, jak kołysze łodzią.

- Wszystko w porządku? *Otrząśnij się, dziewczyno!*

- Tak, wszystko dobrze.

- Chcesz, żebym się nie rozłączał?

- Nie, nie. - Ależ głupio się czuła. - Poczekam na ciebie. Dzięki, Beckett.

Rozłączyła się i trzymała telefon w lepkich od potu dłoniach. Pierwszy raz była sama na łodzi i od razu wpadła w kłopoty.

A silnik? Regaty były za trzy dni, a jej silnik padł trupem. Miała nadzieję, że uda się go jeszcze naprawić. Nowy pewnie będzie kosztował kilka tysięcy dolarów, a tyle nie miała. Może mogłaby od kogoś pożyczyć łódź? Ale wszyscy żeglarze, jakich знаła, startowali w regatach.

Nawet gdyby udało się go naprawić, ile by to zajęło i ile by kosztowało? Wydała już mnóstwo pieniędzy na renowację.

Cykanie setek pasikoników niesło się po wodzie. Madison skuliła się w kokpicie za grodzia, by osłonić się przed wiatrem. W powietrzu wciąż wyczuwała dym.

Spojrzała w kierunku odległego Chapel Springs, choć wiedziała, że jeszcze za wcześnie, żeby wypatrywać pomocy. Beckett na pewno nie dojechał nawet do przystani.

Wyjęła telefon i przeczytała e-maile, by nie myśleć o swoim położeniu.

Gdzieś niedaleko usłyszała plusk i aż podskoczyła.

To tylko ryba, Madison. Ale to zapewnienie nie zwolniło rytmu jej serca i nie ukoїło nerwów.

Zmusiła się do dalszego czytania maili, głównie służbowych. Odpisała na wszystkie.

Pani Etter przysłała jej zdjęcie rodziny Perryego z małym bassetem. Wyglądali na szczęśliwych. Perry stał z tyłu ze swoją żoną. Na głowie jak zwykle miał chustę, swój znak rozpoznawczy. Dzieciaki siedziały przed nimi, a szczeniak lizał jedno z nich - dziewczynkę trzymającą go w ramionach - po twarzy. Madison odpowiedziała na list i przejrzała kolejne.

PJ wysłała jej link do artykułu o psie tropicielu o imieniu Samson, który gdzieś w Michigan odnalazł zaginioną od tygodnia dziewczynkę.

Właśnie kończyła czytać artykuł, gdy w oddali rozbłysły czerwone i zielone światła. Beckett? Chwilę później światła przybliżyły się i słyszała warkot silnika. Wstała, by mu pomachać, ale on zmierzał już w jej kierunku, a przecież nikogo innego nie było w okolicy. Gdy dopłynął, zwolnił tempa i Madison dostrzegła jego sylwetkę rysującą się za reflektorami na dziobie. W całym swoim życiu nie cieszyła się tak ze spotkania z drugim człowiekiem.

Dźwięk silnika ustał, a Beckett opłynął ją i zbliżył się od drugiej strony.

- Wszystko dobrze?

- Tak. Na sterburcie mam odbijacze. Mogę jakoś pomóc?

- Siedź spokojnie. Dam radę. - Jego łódź znalazła się tuż obok. Beckett zajął się cumami. Przewiązał jeden szpring z dzioba swojej łodzi przez knagę w połowie kadłuba jej jachtu i drugim połączył swoją żaglówkę z jej rufą.

Gdy upewnił się, że wiązania są mocne, wrócił do kokpitu.

- Dobra. Podnieś kotwicę i powiedz mi, jak będzie na pokładzie.

Zrobiła tak, jak ją poprosił.

- Trzymaj się.

Madison chwyciła się barierki, a Beckett powoli przyspieszył, wprawiając obie łodzie w ruch. Płynął powoli, co chwila zerkając na cumy.

Madison czuła się okropnie. Pokrzyżowała mu plany na wieczór przez swoją głupotę. Jak mogła testować łódź o tak późnej porze? Nie przyzna się Ryanowi, bo nie dałby jej spokoju do końca życia. Wystarczy, że Beckett o wszystkim się dowiedział.

Płynęli do przystani ponad godzinę. Kiedy obie żaglówki były już zacumowane i Madison nareszcie mogła wyjść na suchy ląd, podeszła do Becketta. Ten właśnie skończył robić węzeł i wyprostował się.

Światła przystani rzucały złote refleksy na jego twarz. Wyglądał na zmęczonego, miał zmierzwione przez wiatr włosy, a na jego usta padał cień. Ruszyli wzdłuż molo.

- Nie wiem, jak ci dziękować. Nie ma to, jak popłynąć sobie w dół rzeki bez wiosła.

Oczy Becketta błysnęły w uśmiechu.

- Skoro mowa o wiosłach...

- Jutro je kupię.
- I pewnie nie muszę ci mówić, że...
- Tak, tak, wiem! - Madison uniosła dłoń. - To było głupie i nierozważne, i trzeba było poczekać do czwartku.
- Tylko że wtedy oboje utknęlibyśmy na środku rzeki. - Usta mu drgnęły. - Chciałem powiedzieć, że zajmę się silnikiem z samego rana.

Ostatnio zawsze tak ją wspierał.

- Dzięki. Mam nadzieję, że nie będzie mnie to kosztowało majątek.
- Przecież nie wystawię ci rachunku, słońce. - Zmierzył ją wzrokiem. - Poza tym to pewnie tylko drobna usterka.
- Co ja zrobię, jeśli silnik padł na dobre?
- Nie martwmy się na zapas.

Zatrzymał się przy swoim pick-upie i Madison zdała sobie sprawę, że pojechał aż do doków i zaparkował nielegalnie na trawie. Zrobiło jej się cieplej na myśl, że tak się spieszył, by ją ratować.

- Odprowadzę cię do auta.
- Miło z twojej strony, ale podrzucił mnie Ryan. Wrócę do domu na piechotę.
- Masz dość przygód na dzisiaj. - Otworzył drzwi pasażera. - Wskakuj.

W środku unosił się ten cudowny Beckettowy zapach: piżmowy z nutką czegoś ostrego. Madison wzięła głęboki oddech. Wspaniały. Męski.

Beckett wsiadł, zapalił silnik i zwolnił ręczny hamulec.

- Jak daleko dziś popłynęłaś?
- Nie jestem pewna. Płynęłam dość szybko przez jakieś pół godziny. Łódź naprawdę dobrze się prowadzi - westchnęła.

- Już tak blisko do spełnienia marzenia Michaela. Dlaczego zawsze musi wydarzyć się coś takiego? Dlaczego wszystko musi być takie trudne? Beckett szturchnął ją w ramię.

- Hej, nie martw się. Jeszcze nie spotkałem takiego silnika, którego bym nie umiał naprawić.

Uśmiechnęła się i nawet gdy Beckett popatrzył z powrotem na drogę, nie oderwała od niego wzroku. W czasach liceum nigdy by nie przypuszczała, że wyrośnie na dżentelmena, a jednak tak się stało i to pomimo tego, że miał tak ciężką sytuację rodzinną.

Przypomniała sobie to wszystko, co mówiła o nim Cassidy i to, co mówił on sam o kościele i swojej relacji z Bogiem. Czy to rzeczywiście On spowodował tę przemianę? Czy to dzięki Niemu odmieniło się życie Michaela?

W siódmej klasie jej brat wyjechał na obóz i wrócił jako zupełnie inny człowiek. Rodzice byli bardzo zadowoleni ze zmian w jego zachowaniu i Madison też nie mogła zaprzeczyć, że były to zmiany na lepsze. Ale z jakiegoś powodu ona poczuła się odtrącona. Myślała, że duchowe uniesienie Michaela z czasem minie, ale tak się nie stało. Od tamtej chwili był takim dobrym człowiekiem: oddanym Bogu, posłusznym rodzicom, miłym dla wszystkich wokół.

No, i zobacz, co mu się przydarzyło. Czy właśnie to Bóg robił ze Swoimi wiernymi sługami?

- O czym tak rozmyślasz?

Madison zorientowała się, że się na niego gapi, więc odwróciła wzrok.

- Przepraszam, że przerwałam ci dzisiaj zajęcia. Nie wiedziałam, do kogo zadzwonić.

- Mówiłem ci, że już prawie skończyliśmy. - Skręcił w jej ulicę. - Poza tym nie każdego wieczora można przybyć na ratunek damie w potrzebie. - Posłał jej szeroki uśmiech.

- Możesz wierzyć lub nie, ale zwykle jestem samowystarczalna.

- Po córce Mckinleyów nie spodziewałbym się niczego innego.

- Tak, mama nas tego nauczyła. Zwłaszcza dziewczyny.

- To nic złego.

Zaparkował na podjeździe pod jej domem i wysiadł z samochodu. Było coś bardzo naturalnego w tym, jak odprowadzał ją pod drzwi. Przypomniała sobie ubiegły tydzień i serce zabiło jej szybciej. Może powinna zaprosić go do środka?

Gdzieś w krzakach świerszcz dawał nocny koncert. W powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonej trawy. Gdy weszli na ganek, Madison otworzyła drzwi i zapaliła światło. Lulu przywitała się po swojemu, po czym pobiegła na trawnik.

Światło lampy otuliło ich niczym złoty koc. Odwróciła się, by zaprosić go do środka, ale on odezwał się pierwszy.

- Mogę cię o coś spytać?

- Jasne. - Otuliła się ramionami, by nie czuć chłodu.

- Nie chciałem zaczynać tego tematu, ale... czy masz jakieś wieści od Jade?

Madison zastanawiała się, czy tęsknił za jej siostrą, czy po prostu się o nią martwił. I wtedy przypomniała sobie, że to nie on pisał do niej tamte liściki i zdała sobie sprawę, że wciąż nie wie, kto to robił.

- Dzwoniła jakiś miesiąc temu.

- Czyli z nią wszystko w porządku! - W jego głosie słysząc było wyraźną ulgę.

- Na to wygląda.

Mogła opowiedzieć mu więcej. Że Jade miała pracę, że była w Chicago. Ale nie zrobiła tego. Twarz Becketta złagodniała w złotym świetle.

- Pójdę już.

Nie chciała, żeby ją zostawiał.

- Zostań, wejdź na chwilę.

Spojrzał na zegarek, a potem znowu na nią. Z żalem.

- Muszę wracać do domu. Jutro wcześniej wstaję. Madison załała falą rozczarowania.

- Przecież rano nie pływamy.

- Tak, ale będziesz musiała przećwiczyć wszystko w piątek z Evanem. A ja jutro naprawię twój silnik, żebyś była gotowa.

- No... mam nadzieję. Dziękuję ci za dzisiejszy wieczór. - Przytuliła się do niego. - Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Poczuła jego dłonie na swojej talii. Przyciągnął ją bliżej i odwzajemnił uścisk.

- Zawsze do usług. - Jego ciepły niski głos musnął jej ucho.

Dreszcz, który ją przeszedł, nie miał nic wspólnego z wieczornym chłodem. Beckett był taki ciepły i tak nieziemsko pachniał. Czowała się w jego ramionach wspaniale. Włosy na jego karku łaskotały ją w dłoń. Wtuliła się w jego ramię. Ciekawe, czy czuł, jak jej serce wali mu o żebra.

Przejechał delikatnie dłonią po jej plecach. Przyłgnęła do niego, bo nogi miała jak z waty.

Przerwały im dźwięki muzyki. Czołówka z serialu *Kroniki Seinfelda*, dzwonek jej telefonu.

Puściła Becketta niechętnie.

- To pewnie Ryan - powiedziała głosem, który brzmiał tak, jakby się zapowietrzyła. - Chce się upewnić, że bezpiecznie dotarłam do domu.

- Lepiej odbierz. - Beckett wycofywał się i sięgnął po kluczyki.

- Jeszcze raz dzięki, Beckett.

Uśmiechnął się ostatni raz i uniósł dłoń na pożegnanie. Madison weszła do domu i odebrała połączenie. Ale wcale nie od Ryana.

W słuchawce powitał ją głos Evana.

- Dzięki Bogu, odebrałaś.

- Co się stało, Evan?

- Parę godzin temu zadzwoniła do mnie mama, z Georgii. Mój ojciec miał wypadek samochodowy. Właśnie jadę na lotnisko.

Regaty, pomyślała, ale momentalnie dopadło ją poczucie winy.

- Tak mi przykro! To coś poważnego?

- Nie wiem jeszcze za wiele. Jest nieprzytomny. Słuchaj, Madison, nie wiem, czy wrócę na regaty.

Zostały tylko trzy dni... Co będzie, jeśli Evan nie wróci? Nie mogła płynąć bez niego. Miałaby szczęście, gdyby w ogóle dopłynęła do mety. A zastępstwa na pewno nie znajdzie. Wszyscy żeglarze już dawno mieli dobrane załogi.

Odepchnęła te myśli.

- Nieważne. Jedź do ojca. Mam nadzieję, że wszystko się ułoży.

- Mam dla ciebie numery telefonów do kilku emerytowanych żeglarzy, którzy może pomogą ci, jeśli ja nie wrócę na czas. Zasugerowałbym Becketta, ale wiem, jak bardzo nie lubi pływać z załogą. No i pewnie on też chce powalczyć o główną nagrodę. Masz długopis i kartkę?

Nie mogła uwierzyć, że w takiej chwili Evan o niej myśli.
- Dawaj.

Zapisała numery. Zadzwoń pod nie. Na wszelki wypadek.

Madison zawiązała na knadze cumę dziobową i przeczesła palcami włosy, poprawiając gumkę upinającą je w koński ogon. Rano zadzwonił do niej Evan. Jego ojciec odzyskał przytomność i teraz czekali na wyniki badań. Wyglądało na to, że wszystko będzie dobrze, już nawet zarezerwował sobie powrotny nocny lot z Atlanty.

Wczoraj Madison zadzwoniła do dwóch emerytowanych żeglarzy. Jeden z nich nie mógł już pływać z powodu silnego reumatyzmu, a drugi miał do niej oddzwonić. Ale wszystko wskazywało na to, że nie będzie potrzebowała pomocy żadnego z nich.

Beckett musiał pojechać do Louisville po części do jej silnika i skończył go naprawiać dziś rano. Nie wiedziała, jak mu dziękować. Wieczorem łódź sprawdziła się doskonale.

Niestety Madison nie mogła powiedzieć tego samego o sobie. Próby przepłynięcia trasy wyścigu były dla niej trudne, a dziś przecież nie było tylu innych łodzi na rzece, co w czasie regat.

- Jestem beznadziejna.

Zawiązała cumę rufową na knadze, co poszło jej bardzo sprawnie. Beckett zeskoczył z pokładu.

- Odłóż swój perfekcjonizm na bok. Nie ma takiego czegoś jak idealny wyścig.

- Nie jestem perfekcjonistką. Beckett posłał jej wymowne spojrzenie.

- No dobra, może trochę. Ale nasz ostatni kurs... Ech. Trzeba wszystko robić tak sprawnie, a ja nie umiem się skupić. - Szła za Beckettem wzdłuż doku.

- Koncentracja jest bardzo ważna, ale w dzień wyścigu nie będzie tak silnego wiatru. Słuchaj: jutro na pewno popełnisz jakieś błędy. Jak wszyscy. Najważniejsze jest to, żeby w ogóle się na nich nie skupiać i płynąć dalej. Myśl pozytywnie. Znasz podstawy, a Evan pomoże ci z całą resztą.

- Jeśli wróci.

- Mówiłaś, że zarezerwował lot.

- Masz rację. Jestem zestresowana. Co jeszcze mi doradzisz?

- Płyn za kimś dobrym. I rób to, co on. Ja tak robiłem przez pierwsze kilka wyścigów. Raz nawet zdobyłem tak trzecie miejsce. I dużo się nauczyłem.

- Za kim mam płynąć?

- Za mną, oczywiście.

Madison zaśmiała się i trzepnęła go w ramię.

- Jakoś nie sądzę, żeby Evan chciał płynąć za kimkolwiek.

- Nie będzie musiał. Pamiętaj, że wyścig będzie z handi-kapem. W swoim Folkboacie nie będziesz na prowadzeniu. Więc nie panikuj.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Chciała tylko wygrać i mieć to za sobą. Wreszcie zacząć żyć. Zapomnieć o regatach i... wszystkim innym. Nie mogła uwierzyć, że wyścig miał się odbyć już jutro. Na samą myśl ścisnęło ją w żołądku.

Gdy doszła do samochodu, położyła dłoń na brzuchu.

- Denerwuję się.

- Będzie dobrze.

Odwróciła się od auta i stanęła z nim twarzą w twarz. Zapadał zmierzch. Chłodna bryza przyjemnie owiewała jej gorącą skórę. Beckett miał potargane włosy, na oczy opadał mu ciemny kosmyk.

- Dziękuję ci, Beckett. Za lekcje, za to, że nauczyłeś mnie pływać, za wszystko. Bez ciebie nie dałabym rady.

- Dałabyś, na pewno. Ale cieszę się, że mogłem pomóc.

- Pozwól chociaż, że zapłacę ci za naprawę silnika.

- To była tania część. - Beckett machnął ręką. - Poza tym przynajmniej tyle mogłem dla ciebie zrobić po tym, jak zno-kautowałem twojego chłopaka.

- Drew nie jest moim chłopakiem. Spotkaliśmy się ledwie kilka razy. - Oparła się plecami o drzwi auta. - Poza tym, nie wiem, czy słyszałeś, ale między nami wszystko już skończone.

- Ach tak? - Beckett nachylił się nad nią, oparł ręce po obu jej stronach i uśmiechnął się powoli. - A to dlaczego?

- No bo wiesz... - Odwzajemniła uśmiech. - Pocałował mnie taki jeden i... - Wzruszyła ramionami.

- I spodobało ci się? - Jego usta drgnęły.

- Może...

- Naprawdę... - Beckett nachylił się bliżej. - ...to spodobało ci się tak bardzo, że chciałabyś, żeby cię znowu pocałował.

- Raczej bym mu nie odmówiła.

Dzieliła ich odległość jednego oddechu. Czyli o wiele za dużo. Jego wzrok spoważniał, a z twarzy zniknął uśmiech. Musnął wargami jej usta. Delikatnie i powoli, kradnąc jej oddech i siłę. Jak to możliwe, że tak nikłe doznanie wywoływało w niej takie emocje?

Skończył pocałunek o wiele za szybko, ale nie odsunął się.

- Zarezerwuj dla mnie jutro jeden taniec.

Regaty na Rzece kończyły się zawsze festynem w parku Riverside. Był zespół, tańce i mnóstwo niezbyt zdrowego jedzenia.

- Tylko jeden?

- Nie chciałem być zachłanny.

Gdyby to od niej zależało, chciałyby spędzić w jego ramionach cały wieczór, najlepiej świętując swoją wygraną. Ale był jeden szkopuł.

Gdyby ona wygrała, Beckett by przegrał. A wtedy nie miałby pieniędzy na otwarcie firmy. Odsunęła tę myśl.

- Może wpadniesz do mnie? - spytała.

- Chciałbym. - Beckett spojrział na zegarek. - Ale robi się późno. A ty, młoda damo, musisz się dziś porządnie wyspać.

Miał rację, ale wcale jej się to nie podobało. Musi jeszcze raz przejrzeć zasady wyścigu i poczekać na telefon od Evana. Miał zadzwonić, jak dotrze do Louisville.

Beckett uniósł jej podbródek.

- Jutro będzie tu straszne zamieszanie, więc... już teraz życzę ci powodzenia.

- Ja tobie też. Pocałował ją w czoło. -Pa.

Znowu uśmiechnął się tak, że ugięły się pod nią kolana. Patrzyła, jak odchodził przez parking.

W drodze powrotnej do domu Madison zmusiła się, żeby myśleć o czymś innym. Jej uczucia do Becketta rosły w siłę, ale nad tym zastanowi się po wyścigu. Ciekawe, czy Jade też coś do niego czuła. Oby nie. Za nic w świecie nie chciałyby skrzywdzić siostry. Tak bardzo pragnęła, by Jade była jutro przy niej.

Do Madison zadzwonili już wszyscy członkowie rodziny, życząc jej powodzenia i zapewniając, że będą kibicować. Wszyscy oprócz Jade.

PJ zrobiła transparenty, a mama przyniosła jej ulubioną czapkę Michaela: białą z wyhaftowaną niebieską kotwicą. Nosił ją bez przerwy. Madison zamierzała włożyć ją na czas wyścigu.

Kiedy otworzyła drzwi, została entuzjastycznie powitana przez Lulu, która zaraz potem wybiegła na podwórze. I wtedy zadzwonił telefon.

Na wyświetlaczu przeczytała imię Evana. Odebrała i powitała go z nadzieją w głosie.

- Tak mi przykro, Madison, ale nie dam rady dziś wrócić. Stan mojego taty się pogorszył. W badaniach wyszło, że ma uszkodzony mózg. Muszę przy nim zostać.

- Ależ oczywiście. To bardzo poważna sprawa. - Gdy wymawiała te słowa, opadła na kuchenne krzesło. Naprawdę współczuła Evanowi, tylko jak miała teraz wygrać regaty?

- Czuję się okropnie. Wiem, ile to dla ciebie znaczy. - W głosie Evana wyczuła zmęczenie.

- Proszę cię, w ogóle sobie nie zaprzataj tym głowy. Coś wykombinuję.

- Dzięki, Madison. I jeśli możesz, pomódl się, proszę, za mojego tatę. Chyba ma przed sobą długą, ciężką drogę. My wszyscy zresztą też.

- Oczywiście, Evan. Spróbuj odpocząć. Rozłączyła się otumaniona i odłożyła telefon. Wpuściła Lulu z powrotem do domu i zaczęła spacerować w tę i z powrotem po kuchni. Dlaczego to się dzieje? Bez Evana na pewno nie wygra. Cała jej ciężka praca właśnie szła na marne. Zacisnęła pięści, by zwalczyć ból, który ścisnął ją od wewnątrz. Ten sam, który czuła zawsze, gdy myślała o Michaelu. Który nigdy jej nie opuści, jeśli tak dalej pójdzie.

Przestań myśleć negatywnie, Madison. Musiało być jakieś wyjście. Coś oprócz planu B, który był oparty na pomocy jakiegoś emeryta, który pewnie nigdy nie brał udziału w wyścigach, a na dodatek nie oddzwonił. Pomyślała o wszystkich żeglarzach, których znała, eliminując w myślach każdego, który na pewno weźmie udział w regatach. Nie został nikt. Zawody były najważniejszym wydarzeniem w sezonie.

Wystukała numer tego emerytowanego żeglarza, ale znowu odpowiedziała jej automatyczna sekretarka. Zostawiła mu kolejną wiadomość i rozłączyła się.

Chciała zadzwonić do Becketta, ale co by to dało? On miał swoją łódź i też chciał wygrać.

Nie ma wyjścia, trzeba czekać aż stary żeglarz oddzwoni.

Jej szanse na wygraną były minimalne. Co jeszcze mogła zrobić? Tylko mieć nadzieję i modlić się, żeby jakimś cudem jej się udało.

Mieć nadzieję i modlić się. To pierwsze zawsze szło jej całkiem nieźle, ale z tym drugim miała problem. Spojrzała na

zegar i szybko podjęła decyzję. Znowu wzięła telefon do ręki i wybrała numer. Poczula ulgę, gdy w słuchawce powitał ją słaby, słodki głos.

- Dzień dobry, pani Geiger, tu Madison. Chciałabym prosić panią i pani koleżanki o przysługę. Mogłyby panie pomodlić się w kilku intencjach?

Następnego ranka Madison znalazła swoją ukochaną rodzinę w ogromnym pawilonie rozstawionym w parku Riverview. Nie było łatwo ich wypatrzeć w wielkim tłumie ludzi raczących się hot dogami serwowanymi przez Klub Żeglarski Chapel Springs.

Ucałowała PJ w policzek. Nie widziała jej od dwóch tygodni. Siostra wyglądała uroczo w różowych szortach, modnym białym topie i włosach upiętych w kucyk zwisający do połowy pleców.

- Cześć, siostrzyczko! Podekscytowana? - PJ położyła rękę na sercu. - Och! Masz czapkę Michaela!

- Witaj, córeczko! - zawołał tata, wręczając jej hot doga, gdy zajmowała miejsce naprzeciwko niego za drewnianym stołem piknikowym. - Podobno mamy idealny dzień na żagle. Gotowa na wygraną?

- Co się stało? - spytał Ryan, marszcząc brwi i żując ostatni kęs hot doga.

- Wygląda na to, że nie popłynę. Evan jest w Atlancie.

- O nie! Skarbie! - Mama objęła ją ramieniem i uścisnęła.
- Tak mi przykro!
- Miał wrócić wczoraj w nocy. - Daniel zmartwił się.
- Na pewno coś da się zrobić - powiedział tata.
- Znajdziemy mu jakiegoś zastępcę - dodał Ryan.
- Już próbowałam.

Dottie powiedziała jej rano, że ten żeglarz, do którego tak uparcie próbowała się dodzwonić, wyjechał z miasta.

- A może ktoś z nas mógłby go zastąpić? - podsunęła PJ. Madison uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Dzięki, ale ja nie jestem ekspertem. Potrzebuję profesjonalisty, żeby mieć jakieś szanse na wygraną.

- Wystarczy, że ukończysz wyścig, skarbie - powiedziała mama. - I tak będziemy z ciebie dumni.

- Tu jesteście! - Cassidy nagle znalazła się przy nich. - Cześć wszystkim, dzień dobry, pani Jo! - Uścisnęła panią McKinley i zwróciła się do Madison: - Bałam się, że cię nie znajdę... Co się stało?

- Evan Higgins musiał się wycofać - powiedział Daniel.

- O, nie! - Cassidy posmutniała.

- W porządku. Zawsze mogę ponownie spróbować za rok.

- Kiedy Madison wypowiadała te słowa, pustka, którą nosiła w środku, znowu zaczęła ją boleć, a ciśnienie w niej rosło niczym w czajniku z gwizdkiem. Wszyscy dobrze wiedzieli, że w przyszłym roku będzie za późno.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? - spytała Cassidy.

- Nie, chyba że masz jakieś tajne żeglarskie umiejętności, o których nigdy nie wspominałaś. - Madison uśmiechnęła się niepewnie.

- Niestety. - Cassidy wzdrygnęła się.

- Mimo wszystko, trzeba jakoś wybrnąć. - Madison wysiliła się na uśmiech.

Rodzina ruszyła w kierunku stołów z mnóstwem różnych przekąsek. Po jedzeniu kupili losy na loterię i wzięli udział w kilku plenerowych zabawach zorganizowanych na trawie nad brzegiem rzeki.

Impreza była jak zwykle świetnie zaplanowana i uczestnicy dopisali. Przybyły rzesze turystów i wszyscy wyglądali, jakby wybornie się bawili.

Najbardziej popularne wśród dzieciaków były wyścigi łóderek puszczanych w wypełnionych wodą rynienkach, które mali właściciele wprawiali w ruch, dmuchając ile sił w płucach. Wszyscy młodzi McKinley'owie w dawnych czasach brali w nich udział, ale tylko PJ udało się wygrać. Dokuczali jej przez to potem przez wiele miesięcy.

Gdy zbliżało się południe, Madison przeprosiła towarzystwo.

- Lepiej pójdę znaleźć Curtisa i powiem mu, że nie wezmę udziału.

Zdała sobie sprawę, że celowo odkładała tę chwilę na potem z nadzieją, że wydarzy się cud i zjawi się jakiś żeglarz, który z nią popłynie.

- Dziesięć minut temu widziałem go w doku - powiedział Ryan.

- Spotkajmy się potem na trawniku za przystanią - zaproponował tata.

Madison znalazła Curtisa na molo, otoczonego kilkoma innymi uczestnikami regat. Ustawiała się w kolejce. W przystani było jak w ulu, żeglarze szykowali łodzie i dogadywali sobie nawzajem. Członkowie Komisji Regatowej byli już na

swojej łodzi. Madison spostrzegła, że na rzece są już pomarańczowe i białe boje wyznaczające trasę. Kilka żaglówek wypłynęło już na wodę i zbliżało się do linii startu.

Nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Że będzie musiała siedzieć z rodziną na trawie i oglądać wyścig, w którym sama miała wziąć udział. Włożyła tyle pracy w przygotowania i zawiodła Michaela. Czowała to aż na wskroś. Zdjęła czapkę brata z głowy i ścisnęła ją w dłoniach.

- Gdzie się podziewałaś? - spytał Beckett, który zaszedł ją od tyłu. - Przegapiłaś odprawę szyprów.

A więc nie słyszał. Uśmiechnęła się do niego z rezygnacją.

- Nie wezmę udziału. Beckettowi opadła szczeka.

- Jak to? Evan nie wrócił?

- Jego ojcu się pogorszyło. - Madison wzruszyła ramionami.

- O, nie!

Znowu zmusiła się do uśmiechu.

- Będę ci kibicować. Życzę ci wygranej, Beckett. - Wiedziała, że dobrze wykorzysta pieniądze z głównej nagrody.

- Nie, Madison. Nie możesz się tak po prostu poddać.

- Nie mam wyboru. Ale to nic. Ty masz dziś wygrać.

Pomiędzy brwiami Becketta pokazały się dwie pionowe linie. Jego czarne oczy wwiercały się w nią przez dłuższą chwilę, po czym odwrócił się i przedarł przez tłumek otaczający Curtisa.

Patrzyła, jak delikatnie przerwał jednemu z turystów i zaczął rozmawiać z Curtisem. Mężczyzna spojrzał w jej stronę, a potem na dokumenty, które trzymał w dłoni. Pokręcił głową. Beckett znowu coś do niego powiedział, gestykulując żywo, po czym położył dłonie na biodrach. Rozmawiali potem jeszcze minutę.

Wreszcie Curtis ściągnął wargi i kiwnął głową. Beckett wrócił do niej z nieprzeniknionym obliczem.

- Chodź, musimy się pospieszyć - powiedział, pociągając ją za ramię.

- Gdzie idziemy?
- Mamy dziesięć minut, żeby przygotować twoją łódź. Pośpiesz się.

Zatrzymała się przy swojej zagłówce.

- A kto mi pomoże?
- Przedstawiam ci twoją załogę - powiedział z szerokim uśmiechem, rozkładając ramiona.

- Ale... twoja łódź... i nagroda...

- Będziesz tak stać i gadać, czy mi pomożesz?

Beckett był już na pokładzie i uruchamiał silnik. Rzucił jej kamizelkę ratunkową.

- Proszę się skupić, panno McKinley. Płyniemy po wygraną.

Pół godziny później w głowie Madison nie było miejsca na zbędne myśli. Beckett szybko wdrożył ją w zaplanowane przez siebie na ostatnią chwilę zmiany i wystartowali. Szło im naprawdę dobrze, byli w czołówce. W pierwszych etapach Madison popełniła kilka drobnych błędów, ale Beckett pomógł jej szybko je naprawić.

Pot płynął z niej strumieniami, gdy zbliżali się do lewego halsu i ostatniego etapu wyścigu.

- Numer jedenaście na sterburcie - zawołała Madison. - Nie przepłyniemy. - Żaglówka, o której mówiła, nosiła nazwę *Dni Chwały*.

- Trzymaj prawy hals. Ominiemy ich za rufą.

- Zrozumiałam.

Okej, Madison. To tylko dwie długości. Dasz radę. No płyn... odpadnij... jeszcze trochę... teraz wyostrz... Płynęli prosto do celu z pełną prędkością, ale pod złym kątem. Madison musiała ustawić ster.

- Zluzuję szoty, żebyśmy trochę zwolnili.

- Okej - powiedziała po chwili. - Ster w porządku.

Na ostatnim etapie było przed nimi siedem łodzi. Aż siedem! Tak wiele!

Teraz liczyła się prędkość. Musieli pozostać przed tymi, których wyprzedzili i wyminąć tych, którzy byli bezpośrednio przed nimi. Co nie było proste, zważywszy na to, że mieli przed sobą żaglówkę Perryego, wnuka pani Etter.

Beckett wykrzyczał wskazówki. Madison wykonała je automatycznie. Chyba nikt nie znał się na odczytywaniu wiatru tak dobrze jak on. Oddalali się od pozostałych jachtów, zbliżając do *Szczura Rzecznego*, żaglówki Perry'ego. Chustka na jego głowie furkotała na wietrze, gdy ustawiał grot.

Madison bolał kark i ramiona, ale adrenalina dodała jej sił i wytrzymałości.

- Musimy płynąć szybciej! - zawołał Beckett. - Odpadnij trochę.

Madison posłuchała, a żagle nagle złapały wiatr i jacht pognął naprzód. Wyprzedzili *Szczura Rzecznego* po sterburcie, ale Madison nawet na niego nie spojrzała. Płynęli idealnie z wiatrem, mieli świetny czas i doganiali następnego

konkurenta, *Dumę Tatusia*, łódź Cappyeego.

No dalej, no dalej... Byli już tak blisko mety, a przed nimi jeszcze sześć żaglówek.

- Nie uda nam się! - Madison próbowała przekrzyczeć wiatr.

- Będzie dobrze... Pamiętaj o handikapie.

Płynęli dalej. Łapali wiatr, zbliżali się do *Dumy Tatusia*.

- Kierunek wyścigu jest pod wiatr! - zawołał Beckett. - Po zawietrznej jest mnóstwo miejsca!

Madison ustawiła wszystko, jak należy.

- Dobrze - potwierdził Beckett. - Teraz utrzymaj prędkość.

Duma Tatusia była zaledwie o kilka długości przed nimi. W oddali ujrzeli linię mety oznaczoną przez Komisję Regatową pomarańczową flagą. Cztery jachty już ją przepląnęły.

No dalej, no dalej... Płynęli teraz burta w burtę z *Dumę Tatusia* i łeb w łeb z Cappym i jego żoną. Beckett wykrzykiwał instrukcje, a Madison robiła dokładnie to, co jej mówił. *Skup się, Madison. Skup się.*

Powolutku wysunęli się na prowadzenie. Madison koncentrowała się na zadaniu, choć jej mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Nawet nie patrzyła w stronę *Dumy Tatusia* ani w kierunku mety. Pamiętała, co mówił jej Beckett, by skupiać się tylko na wyścigu.

Chyba zbliżali się do końca, ale Madison była zbyt skupiona na pracy, by o tym myśleć. Wiatr targał jej koszulkę i ciągnął za włosy, gdy lekko wybierała szoty. Kątem oka dostrzegła *Dumę Tatusia* zostającą w tyle.

Mieli świetny czas.

No dalej, no dalej... Mocny finisz...

I wtedy zobaczyła łódź Komisji Regatowej i usłyszała trąbienie sygnału.

Kilka sekund po nich linię mety przepłynęła *Duma Tatusia*. Cappy pomachał jej i zasalutował z pokładu. Madison odpowiedziała tym samym. *Szczur Rzeczny* był następny.

Dopłynęli do przystani i zaparkowali przy kei. Madison zdjęła kamizelkę, a Beckett wyłączył silnik. Podeszedł do niej z radością malującą się na twarzy, rozwianymi włosami i oczami jaśniejszymi niż kiedykolwiek wcześniej.

- Myślisz, że mamy szansę? - zapytała.

- Jesteśmy blisko. Poczekamy, zobaczymy. Ale jestem z ciebie taki dumny, Maddy. Świetnie się spisałaś.

Przyciągnął ją do siebie, pocałował w czubek głowy i mocno uściskał. Jej serce biło o jego klatkę piersiową. Cóż to był za rejs! Dali z siebie wszystko. Teraz mogli czekać na wyniki.

- Hej, zobacz! - Beckett odsunął się.

Madison spojrzała w kierunku trawnika i dopiero wtedy dostrzegła kibicujący tłum. Teraz już widziała, co tak zwróciło uwagę Becketta. Tłum wiwatował z uniesionymi transparentami, na których odblaskową farbą wypisane było *Marzenie Michaela*.

Coś ścisnęło ją w gardle. Jej dłoń powędrowała w kierunku serca, a oczy zalały łzy. W tłumie ludzi dostrzegła twarze Dottie Meyers, Meave Perkins, pastora Adamsa i jego żony, kółka modlitewnego Klęczących Klęp... Wszyscy się uśmiechali i bili brawo. Nie tylko dlatego, że regaty były udane. Dla niej! Dla Michaela!

Jej rodzina szła w kierunku kei, z PJ na przedzie.

- Ja skończę. Ty idź do nich.

- Na pewno?

- No już. - Trącił ją w ramię. - Spotkamy się za chwilę w klubie żeglarskim.

Madison wyskoczyła z łodzi i pognąła w kierunku najbliższych, którzy zasypali ją uściskami i gratulacjami. Nie ważne, że jeszcze nic nie wygrała. Ciągle miała nadzieję.

Opowiedziała rodzinie dokładnie o wszystkim, co działo się na pokładzie. Sama była zaskoczona tym, jak bardzo jej się podobało i jak bardzo była podekscytowana. Popełniła wiele błędów, ale poszło im nieźle. Może nawet na tyle dobrze, by wygrać.

Do ceremonii wręczenia nagród zostało dziesięć minut, które ciągnęły się jak wieczność. Kiedy wreszcie minęły, Madison wraz z rodziną dołączyła do tłumu zgromadzonego na trawniku pod klubem żeglarskim. Komandor stanął na podium i podziękował wszystkim organizatorom tegorocznych regat. Za jego plecami stał Daniel, w swojej oficjalnej roli burmistrza, ubrany w spodnie w kolorze khaki i koszulkę polo.

Gdy w końcu nadszedł czas ogłoszenia wyników, nerwy Madison były już naprężone do granic wytrzymałości. Przy jej boku pojawił się Beckett i wziął ją za rękę. Krążyły już plotki o tym, że się spotykają, ale jej rodzina nie widziała ich jeszcze razem. Aż do teraz. Na pewno zyskał w ich oczach szacunek po tym, jak się dziś dla niej poświęcił.

- Powodzenia - szepnął.

- Przygotuj się na wielkie nic - odparła. Tłum ucichł. Serce Madison waliło jej w piersi.

- Na trzecim miejscu - przemówił Komandor - z czasem czterdziestu siedmiu minut i dziewiętnastu sekund: *Bluegrass Baby*

Tłum wydał okrzyk, a załoga podeszła odebrać trofeum. Gdy zeszli ze sceny, Komandor mówił dalej:

- Na drugim miejscu, z czasem czterdziestu sześciu minut i dwunastu sekund: *Duma Tatusia!*

Cappy zdobył drugie miejsce. *Brawa dla niego.* Madison uśmiechnęła się i klaskała w dłonie. Pokonali Cappyego, ale jak ma się do tego handicap?

- Oddychaj - szepnął jej do ucha Beckett i zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Jej dłoń pocila się w jego dłoni.

Co będzie, jeśli nie wygrają? Jeśli wszystko na nic? Drugie lub trzecie miejsce byłoby lepsze niż nic. Do ogłoszenia został już tylko zdobywca pucharu. Teraz więc wszystko albo nic.

-1 wreszcie - przemówił Komandor. - Zwycięzcą Dorocznych Regat na Rzece z czasem czterdziestu pięciu minut i pięćdziesięciu sekund zostaje...

Beckett ścisnął jej rękę. Oddech zamarł Madison w płucach i nie chciał dać się uwolnić.

- ...*Marzenie Michaela!*

Szczęka jej opadła, a serce waliło jak młot. Czy on właśnie powiedział...

Beckett wydał okrzyk zwycięstwa, a zaraz po nim pisk Madison dołączył do rozbrzmiewających zewsząd wiwatów. Szła za nim przez tłum, poklepywana co chwilę przez kogoś po ramieniu.

Była jak zamroczona, gdy odbierali puchar regat i czek od klubu żeglarskiego. Tłum wiwatował tak długo, że do oczu napłynęły jej łzy. Gdy Komandor zakończył wreszcie ceremonię, ludzie zaczęli się rozchodzić.

Beckett przytulił ją do siebie.

- Udało ci się, Maddy, udało ci się.

- Udało *nam* się. - Ścisnęła go mocno, jej serce waliło o jego pierś. - Nie wierzę. Po prostu nie wierzę. Dziękuję ci. Tak bardzo ci dziękuję. Bez ciebie by tego nie było.

- Cała przyjemność po mojej stronie - szepnął. Trzymał ją mocno w ramionach. Na skroni czuła, jak jego

oddech porusza włosami, które wysunęły się jej spod czapki.

Udało się... Wygrali! Madison odwróciła twarz w stronę słońca, zamknęła oczy i uśmiechnęła się, łapiąc oddech. *Udało się, Michael. Udało się.*

Już po wszystkim. Teraz będzie mogła odpocząć. Marzenie jej brata zostało spełnione.

Dla dopełnienia chwili z ust Madison wydobyły się słowa modlitwy: *Panie Boże, dzięki Ci. Dziękuję, że mnie wysłuchałeś.*

Poczuła, jak w jej wnętrzu wzbiera uczucie wdzięczności pomieszane z czymś jeszcze, czego nie umiała nazwać. Może jednak Bogu naprawdę zależało? Może chciał, by odnalazła wewnętrzny spokój?

- Gratulacje, Madison! - Na molo pojawili się jej rodzice, a tuż za nimi reszta rodziny.

- Pokaż no - powiedział tata, posyłając Beckettowi sztywny uśmiech. Beckett podał mu puchar.

- Cóż to był za wyścig! - zawołała mama. - Jak to miło z twojej strony, że zastąpiłeś Evana.

- Bez niego nic by mi się nie udało. Nic a nic. - Madison uśmiechała się szeroko do Becketta.

Ojciec kiwnął głową i oddał mu puchar, a potem zwrócił się do Madison:

- Twoi bracia i siostry zajęli nam miejsca w pawilonie.
- Idź - powiedział do niej Beckett. - Ja obiecałem Layli, znajdę ją po ceremonii.

Madison leżała w łóżku przy zapalonym świetle i pozwalała, by ekscytacja tego dnia wciąż w niej buzowała. Była już prawie północ, ale uczucie wywoływane przez krążącą w ciele adrenalinę dawało jej przyjemność. Obróciła się na bok i uśmiechnęła się do swoich myśli.

Ceremonia wręczenia nagród była chwilą, którą zapamięta do końca życia. Czapka Michaela na jej głowie, puchar w dłoniach i Beckett u boku. Serce wciąż tłukło się w niej na myśl o wszystkich tych ludziach, którzy dziś podeszli, by zapewnić ją, jak bardzo Michael byłby z niej dumny.

Gdy zapadała ciemność, na scenę wyszedł znany, lokalny zespół, The Cornhuskers, i zaczął grać popularne melodie. Trawa na skwerze robiła za parkiet, a rozwieszane po całym parku światła błyskały nad głowami niczym gwiazdy na tle czarnego, aksamitnego nieba.

Madison tańczyła z tyloma partnerami, że nie umiała ich teraz zliczyć, ale Beckett prosił ją za każdym razem, gdy tylko była wolna. Nawet Drew zaprosił ją do tańca, co było

dość zaskakujące, ale widziała, że tańczył też z innymi kobietami, a podczas tańca zachował bezpieczny odstęp.

Podskoczyła na dźwięk dzwoniącego na szafce nocnej telefonu. Leżąc w nogach łóżka Lulu uchyliła powieki, ale zaraz zamknęła je z powrotem.

- Cześć, siostrzyczko! - Głos Jade sprawił, że Madison uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Przepraszam, że dzwonię tak późno.

- Jade! Jak dobrze słyszeć twój głos.

- Chyba nie myślałaś, że przegapię twój wielki dzień. Jak poszło?

- Wygraliśmy! Udało nam się! Dasz wiarę?

- Wiedziałam, że dasz radę.

- Na ostatnim etapie byliśmy na ósmej pozycji, ale jakimś cudem nam się udało.

- Tak się cieszę! Michael na pewno uśmiecha się do ciebie z góry.

- Wiem. Czuję to.

Madison zdała sobie sprawę, że celowo nie wspomniała o Beckettzie. Może już pora, by dowiedzieć się, co Jade do niego czuje?

- To było istne szaleństwo. Evan Higgins musiał wyjechać z miasta w pilnej rodzinnej sprawie, a ja myślałam, że w ogóle nie wystartuję. I wtedy Beckett zaproponował, że będzie moim partnerem.

- Beckett?

Czy w jej głosie usłyszała ukłucie złamanego serca? Czy tylko wstydu i zażenowania, że źle odebrała jego intencje?

- Pomagał mi w żeglarstwie przez całe lato. Zbliżyliśmy się do siebie.

- To... to wspaniale, Madison.

- Serio? Myślałam, że jesteś na niego zła. Wyjechałaś tak nagle po tamtej randce z nim i...

- To było tylko nieporozumienie. To fajny gość. Madison poczuła się tak, jakby ktoś zdjął jej z barków ogromny ciężar.

- Dobra, dosyć o mnie. Co tam w Chicago? Masz już telefon?

- Nie, dzwonię z kawiarni. Właśnie zamykamy na noc. Przeraziła ją myśl o tym, że Jade będzie wracała sama do domu o tej porze. Na dodatek transportem publicznym.

- A jak idzie w pracy? Zarabiasz dość pieniędzy?

- Tak, jest super. Tylko nie mam tu za bardzo gdzie grać na gitarze.

- A jak twoje przyjaciółki?

- W porządku. Izzy straciła pracę, ale na pewno niedługo znajdzie coś nowego.

- Musi jej być ciężko, z dzieckiem i w ogóle... A opowiedz mi o mieszkaniu. Czy nie jest wam tam ciasno?

- Nie jest tak źle. Izzy z synkiem mają jeden pokój, a ja i Kirsten dzielimy drugi. Mieszkamy w Cicero, niedaleko L.

- L?

- No wiesz, chicagowskiej kolejki miejskiej. Słuchaj, muszę iść. Mój szef chce już zamknąć drzwi. Chciałam tylko usłyszeć, jak ci minął ten wielki dzień.

- Cudownie było cię usłyszeć. Zadzwoń niedługo do reszty rodziny, dobra? I do Daniela. Pyta o ciebie za każdym razem, jak się z nim widzę.

- Dobra. Uciekam. Kocham cię, pa.

- Ja ciebie też, siostrzyczko - powiedziała Madison.

Jade rozłączyła się, ale Madison wciąż miała na twarzy uśmiech, składając głowę na poduszce.

Gdy tylko Madison dosiadła się do kółka w domu opieki Countryside Manor, starsze panie od razu podjęły rozmowę:

- Opowiedz nam dokładnie o wszystkim. - Pani Geiger głąaskała przyniesionego przez Madison beaglea.

- Przecież wszystko widziałaś. - Pani Marquart odsunęła się od psa.

- Pokonała mojego wnuka! Wyobraźcie sobie! - Pani Etter spojrzała na Madison z udawanym wyrzutem.

- Mnie raczej interesuje to, jak młody O'Reilly znalazł się w tej całej historii. - Pani Geiger uniosła kilka razy swoje równe brwi.

Jeśli kogoś w ogóle wypadało uraczyć szczegółami sobotnich wydarzeń, to te panie na pewno. W końcu były przy niej i wspierały ją w chwili beznadziei.

- Nie wiem, jak paniom dziękować za modlitwy. Wszystko się udało: ja wygrałam regaty, a ojciec Evana czuje się lepiej. Jest po operacji, ale dochodzi do siebie i mają nadzieję, że całkowicie wyzdrowieje.

- I to jest najważniejsze. - Pani Marquart poprawiła kasztanową perukę.

- Chcemy usłyszeć szczegóły. - Pani Stuckey wzięła szczeniaka od pani Geiger i posadziła sobie na kolanach.

Madison opowiedziała o wszystkim, od momentu, kiedy dowiedziała się, że Evan nie wróci, aż do chwili, gdy Beckett oznajmił, że dołącza do jej załogi.

- Uratował cię! - Pani Marquart złożyła dłonie. - Jak romantycznie!

- Dwie pieczenie na jednym ogniu. - Pani Geiger uśmiechnęła się nieznacznie.

- Słucham? - spytała Madison.

- Och, nieważne, kochanieńka. Tak bardzo się cieszymy, że ci się udało. I jak się teraz czujesz? Tak cudownie, jak oczekiwałaś?

- Dokładnie, jestem przeszczęśliwa - odparła Madison. Chociaż gdy po kilku dniach pozytywne emocje zaczęły opadać, poczuła głęboko w środku, że nadal coś jest nie tak. Pod przepełniającą ją radością zaczęło wzbierać coś, co znała aż za dobrze. Odsunęła te myśli.

- Cóż, pracowałaś na to naprawdę ciężko. Cieszymy się razem z tobą - powiedziała pani Stuckey.

Madison skończyła rozmowę z Klęczącymi Klępami i ruszyła dalej. Była w tak dobrym nastroju, że nie zepsuło go nawet spojrzenie znad okularów pani Doolittle.

Gdy wieczorem oddała szczeniaka do schroniska, musiała odwiedzić jeszcze jedno miejsce. Pomacała kieszeń i pojechała wzdłuż Spruce Street. Słońce chyliło się ku zachodowi.

Bardzo chciała zobaczyć się z Beckettem, nie próbowała nawet temu zaprzeczać. Nie widziała go od regat, a w piątek chciała zaprosić go do domu rodziców. Wyprawiali jej przyjęcie urodzinowe, planowali też uczcić wygraną. A on przeszedł przez to wszystko razem z nią. Dzięki niemu pokonała strach, był przy niej w każdym momencie, w którym popełniała jakiś błąd, przy każdej napotkanej przeszkodzie. Nikt nie rozumiał lepiej niż Beckett, przez co musiała przejść, by znaleźć się w tym miejscu, w którym była teraz. I poświęcił

dla niej swój własny cel. Nie mogłaby świętować bez niego. A jednak zaproszenie go do rodzinnego domu wprowadzało ich relację na bardziej intymny poziom. Co on na to?

I czy jej tata będzie umiał się zachować? Czy odłoży na bok wszystkie plotki, które słyszał o nim w przeszłości i dostrzeże to, jakim człowiekiem Beckett jest teraz? To będzie trudne zadanie.

W oknie świeciło się światło, ale Madison usłyszała hałas na podwórzu za domem. Tam więc się udała. Wieczorne powietrze było ciepłe i wilgotne. Włosy przykleiły jej się do karku. W powietrzu czuła zapach sosen i świeżo skoszonej trawy. Cichą muzykę płynącą z głośników radia przerywał od czasu do czasu odgłos pracującej wiertarki.

Gdy weszła za róg domu, ujrzała budynek gospodarczy. W środku stał Beckett bez koszulki i pochylał się nad kadłubem łodzi, wierząc w nim w skupieniu.

Musiał wyczuć ruch, bo odwrócił się w jej stronę, uśmiechnął szeroko i wyłączył urządzenie.

- Hej. - W jego głosie dało się wyczuć zaskoczenie. Odłożył wiertarkę i przejechał wierzchem dłoni po czole.

Rigsby podbiegł, żeby się przywitać.

- Pukałaś do drzwi? - Beckett spojrzał na dom. Madison przypomniała sobie, że jego ojciec już nie był w więzieniu i stanęła jej przed oczami scena, którą oglądała, gdy ostatnio tu była.

- Nie, usłyszałam, że jesteś tutaj.

- Pracuję przy łodzi. - Uśmiechnął się. Madison podeszła bliżej i cmoknęła z dezaprobatą.

- A gdzie gogle? I maska? Co ja mam teraz z tobą począć, O'Reilly?

Dostrzegła błysk w jego oku i delikatny ruch warg. Strzepnął z siebie kilka wiórków drewna.

Światło wspinało mu się po ramionach i otulało je niczym peleryna. Madison odwróciła się do Rigsbyego.

- Cześć, piesku. Czy pan daje ci lekarstwa?

- Ależ oczywiście. - Wzrok Becketta znowu powędrował w kierunku domu.

Madison podrapała zwierzaka za uchem i wstała.

- Mam coś dla ciebie. - Wyciągnęła z kieszeni złożony czek i wręczyła Beckettowi.

Otworzył go i twarz mu zamarła. Podał go jej z powrotem.

- Nie. Jest twój.

Madison włożyła ręce do kieszeni.

- Nie zrobiłam tego dla pieniędzy, przecież wiesz.

- Ja też nie. - Podeszedł bliżej, wciąż trzymając czek w wyciągniętej dłoni.

Być może nie pomógł jej dla pieniędzy, ale to o nie miał walczyć. Przecież to właśnie pieniądze poświęcił, by pomóc jej wygrać.

Madison pokręciła głową.

- Chcę, żebyś to ty je miał.

- Madison. - Beckett zmarszczył brwi.

- Proszę. Zainwestuj w firmę. Nic mnie tak nie uszczęśliwi. Ręka Becketta pomału opadła. Westchnął głęboko.

- No to może chociaż się podzielimy?

- Nie. Robisz tu wspaniałe rzeczy. Będzie mi miło, jeśli będę miała w tym udział. Poza tym oboje wiemy, że gdybyś mi nie pomógł, to ty byś wygrał te pieniądze. Patrzył na nią chwilę, aż w końcu uległ. Schował czek do kieszeni z kwaśną miną, żeby wiedziała, że nie czuje się z tym najlepiej.

Madison przejechała palcami po drewnianym szkielecie.

- To łódź Drew?

- Nie, tej jeszcze nie sprzedałem. Drew już do mnie nie zadzwonił... Chyba morał tej historii jest następujący: nie bij swoich klientów.

- Zrób z tego swój nowy slogan. Zamieść go na takich wy-pasionych wizytówkach.

- Bardzo śmieszne.

- Szkoda, że nie zrobiłam ci zdjęcia w akcji. Byłoby super wizualizacją na nową firmową stronę.

- Dobra już, dobra. - Spojrzał na nią wymownie. Fajnie było się tak z nim droczyć. Nagle zaproszenie go na piątkowe przyjęcie stało się najnaturalniejszą rzeczą na świecie.

- Co robisz w piątek wieczorem?

Brwi Becketta uniosły się wysoko na tę nagłą zmianę tematu. Położył dłoń na szorstkim kancie szkieletu łodzi.

- A czemu pytasz?

- Moja rodzina robi grilla, żeby uczcić zwycięstwo. A ty przecież jesteś częścią zwycięskiej załogi.

- Jasne, przyjdę. - Wzruszył ramionami. - O której?

- Koło szóstej. Spotkamy się na miejscu. Możesz przyjść z tatą, jeśli chcesz.

Jego uśmiech nagle zniknął.

- Eee... Dzięki, ale... on chyba ma już plany. Mam coś przynieść?

- Apetyt. I kondycję. Beckett uniół brew.

- Na pewno będziemy grać w kosza. - Madison udała, że kozłuje i rzuca piłkę. Dwa tygodnie temu widziała, jak ćwiczył dwutakt na boisku w parku. - Zawsze to robimy, gdy się spotykamy. Jesteś dobry?

- Już swoje w życiu nawrzucałem.
- To będziesz w mojej drużynie.
- A skąd mam wiedzieć, że *ty* jesteś dobra?
- Ja, mój drogi... - Wcisnęła palec wskazujący w swoją klatkę piersiową. - ...jestem córką McKinleyow. Jasne, że jestem dobra.

Beckett uśmiechnął się na te słowa, ten widok niemalże zwałił ją z nóg. Światło rzucało cienie na jego twarz, uwydatniając ostry, męski zarys szczęki.

Patrzyła na niego, aż uśmiech powoli zniknął z jego twarzy i wtedy odwróciła wzrok.

- Dobra, pójdę już - powiedziała, wycofując się w kierunku drzwi. - Masz przed sobą pracowitą noc.

Beckett sięgnął do kieszeni.

- Na pewno nie chcesz wziąć...
- Przestań - wycodziła przez zęby, udając wściekłą. Wymamrotał coś w odpowiedzi, gdy odchodziła.

- Ja wszystko słyszę!

- I dobrze - powiedział.

Wracając do samochodu, uśmiechała się szeroko. Wsiadła do auta, włączyła silnik, zjechała z podjazdu, rzucając okiem na dom, w którym migotało światło włączonego telewizora. Pomyślała o ojcu Becketta.

Madison obudziła się zrana zimnym potem, wciąż mając przed oczami sceny nocnego koszmaru. Leżała nieruchomo z walącym jak młot sercem. Ciemność napierała na nią ze wszystkich stron, przytłaczając ją swym ciężarem.

Nie. Nie, to niemożliwe. Potrząsnęła głową, próbując odegnąć uczucie paniki. Pragnęła, by to nie była prawda. Przecież koszmary miały już jej nie nawiedzać. Wygrała regaty. Zastąpiła zły sen dobrym. Wcale nie.

Boże, czemu nie sprawisz, żeby to sobie poszło?!

Odrzuciła kołdrę i usiadła na łóżku, trzęsąc się. Przetarła dłońmi twarz i odgarnęła mokre od potu włosy ze skroni.

Zegar wskazywał czwartą siedemnaście, ale sen oznaczałby kolejne tortury.

- Znosi się na deszcz - powiedział dziadek, zanim wziął do ust ostatni kęs swojego burgera.

- Może przejdzie bokiem - odparł Ryan.

Madison stłumiła ziewnięcie. Brak snu dawał o sobie znać. Oparła się o twarde i silne ramię Becketta. Cóż za cudowne uczucie.

Dziadek wdał się z Danielem i Ryanem w rozmowę o pogodzie, co prawdopodobnie miało doprowadzić do opowieści o najstraszliwszym sztormie, jaki dziadzio przeżył. Czyli o tornadzie z sześćdziesiątego siódmego. Słuchali o nim już setki razy.

Przed kolacją zagrali ekscytujący mecz w kosza, trzech na trzech. Madison, Beckett i Ryan pokonali drużynę taty, Daniela i PJ, chociaż tamci grali naprawdę dzielnie. Zdawało się, że ojciec postanowił dać Beckettowi szansę, chociaż wyraźnie widziała w jego oczach ostrożność.

- Mogłaś mi powiedzieć, że to twoje urodziny - szepnęła Beckett, kładąc serwetkę na pustym talerzu.

- Tak naprawdę bardziej świętujemy regaty - odszepnęła, gdy mama poszła po tort.

- No, jasne.

W rzeczywistości Madison co roku łudziła się, że rodzina zapomni o jej urodzinach. Nie umiała świętować z myślą, że nie ma przy niej jej brata bliźniaka.

Miała nadzieję, że po wygranych regatach tegoroczne urodziny będą inne. Że będzie szczęśliwa i... wolna, na swój sposób. Ale gdy posypały się życzenia i prezenty, poczuła się tak samo jak zwykle. Czyli pomyślała, że o wiele bardziej wolałaby być w gabinecie doktora Gallaghera na leczeniu kanałowym.

Życzyła sobie, aby świętowanie wygranej przyćmiło urodziny, ale rodzina nie dała jej o nich zapomnieć.

Po całym podwórku rozwiesili serpentyny, tu i ówdzie dyndały pęczki kolorowych balonów, upiekli też tort urodzinowy.

Na wierzch jej dłoni spadła kropla deszczu, potem kolejna.

- Lepiej przenieśmy imprezę do środka - powiedział tata.

- A nie mówiłem? - rzekł dziadek.

Madison i Beckett pozbierali naczynia. Tata wziął prezenty, a PJ i Daniel balony. Ryan właśnie ściągał obrus ze stołu, gdy deszcz przeszedł w ulewę.

Wbiegli do domu, ściągając prędko buty przed wejściem, żeby nie ubrudzić nieskazitelnych drewnianych podłóg i nie zabłocić antycznych dywanów mamy.

Rozłożyli się w salonie. Było głośno i hucznie. Beckett siedział na sofie tuż przy Madison, ich ciepłe uda stykały się, co dodawało jej jedynej otuchy tego wieczoru. Wiedziała, że zaraz będzie ciasto, prezenty, wspomnienia... zapragnęła uciec do domu i umościć się na kanapie z Lulu.

Próbowała sobie wmówić, że tęskni tylko za Jade, ale chodziło o coś więcej. Chodziło o Michaela. Dlaczego wciąż tak się czuła?

Przecież wygrała regaty przed ich dwudziestymi siódmymi urodzinami. Spełniła jego marzenie. Teraz miała czuć się lepiej. Minęło już prawie dziesięć lat. Kiedy wreszcie się od tego uwolni? Odnajdzie ukojenie? Jej wzrok spoczął na pucharze regat stojącym na półce nad kominkiem, o który opierała się karteczka z wykaligrafowanym przez PJ napisem: *Madison i Beckett, gratulacje!*

Ktoś wyłączył światła i pojawiła się mama niosąca prostokątny tort z zapalonymi świeczkami, których płomienie rzucały blask na jej twarz.

Tata zaczął fałszywie śpiewać, a cała reszta przyłączyła się, gdy mama postawiła tort na stoliku. Białym lukrem wypisane było: *dwudzieste siódme urodziny Madison. Wszystkiego najlepszego!* Na dwóch świeczkach tańczyły dwa płomienie. Jeden dla niej, jeden dla Michaela. Gdy byli dziećmi, dostawali osobne torty - rodzice uważali, by żadne z nich nie czuło się pokrzywdzone. Od śmierci Michaela zawsze był jeden tort, ale dwie świeczki, których znaczenie było oczywiste, choć nigdy nieomawiane.

Na tę pamiątkę swojej wielkiej straty Madison zawsze reagowała smutkiem. Nie chciała zapomnieć brata. Nic z tych rzeczy. Ale czy nie powinien kiedyś nastąpić przełom? Moment, w którym będzie gotowa ruszyć naprzód, nie czując ciężaru smutku ciągnącego się za nią? Chwila, w której przestanie czuć, że wraz z Michaeliem umarła połowa niej samej?

Wszyscy zaśmiali się głośno, gdy rodzice skończyli ostatnie dźwięki piosenki w nieudolnej próbie odnalezienia harmonii. Uśmiech na twarzy Madison był tak kruchy jak zaschnięty jesienny liść.

- Pomyśl życzenie - powiedziała PJ.
- Życzę sobie, by rodzice już nigdy nie śpiewali - powiedział Ryan.
- Zachowaj to życzenie na *swoje* urodziny - odparowała mama.
- Coś mi się zdaje, że życzenie Madison spełniło się w sobotę - powiedział Daniel, odgarniając grzywkę z niebieskich oczu.
- Na pewno wymyśli jakieś nowe. Chciwe z niej babsko.
- Ryan podsunął tort bliżej niej.

Madison nachyliła się, wzięła głęboki wdech i zdmuchnęła świeczki, z których uniosły się zakręcone sznureczki dymu.

- Taaak! - zawołała PJ. - Przyniosę talerzyki. Zamawiam lukrowe kwiatki!

- Zawsze dostajesz kwiatki - powiedział Daniel.

- Przecież ich nie lubisz.

Mama wyciągnęła świeczki i w mgnieniu oka sprzątnęła im tort przed nosa.

- Chcę gałkę lodów do mojego kawałka - powiedział tata, krocząc za nią do kuchni. - Mamy waniliowe, Jo?

- Tak, skarbie.

- Ja nałożę. - Ryan dołączył do reszty, zostawiając Madison sam na sam z Beckettem.

- Mam nadzieję, że to nie są lody tej marki, które smakują jak cement - z kuchni dobiegł głos dziadka.

Madison wymieniła uśmiechy z Beckettem. Zastanawiała się, czy jej rodzina go nie przytłacza. On chyba nie był przyzwyczajony do takiego chaosu. Miała nadzieję, że dobrze się przy nich czuje, pomimo wyniosłości jej ojca.

- No... - powiedział - ta wizyta sporo mi rozjaśniła.

- Co na przykład?

- Na przykład to, skąd Jade ma taki talent muzyczny. To dar z niebios.

- No co? - Madison się uśmiechnęła. - Ja myślę, że ładnie śpiewamy.

- Przez chwilę zdawało mi się, że wszedł tu Rigsby i zaczął wyć.

Madison trzepnęła go w ramię.

- Nie było aż tak źle.

- Jak sobie chcesz.

Słuchała przez krótką chwilę odgłosów krzątania w kuchni, śmiechów i docinków, brzdęku naczyń i nagle poczuła się poza tym wszystkim. Wykluczona. Jak outsiderka. Dlaczego wszyscy inni umieli zostawić ten dramat za sobą, a ona nie? Co było z nią nie tak?

Nawet po wygranych regatach. Cały ten czas i wysiłek, który w nie włożyła - była pewna, że poskutkuje, że ją odmieni. Jej wzrok znowu utknął na pucharze, a wewnątrz niej zaczęło zbierać znajome uczucie.

Idź sobie, idź sobie.

- Wszystko dobrze? - Beckett patrzył na nią tym swoim wszystkowiedzącym spojrzeniem. Madison zastanawiała się, czy potrafi przejrzeć ją na wskroś i dostrzec tę ciemną, obrzydliwą masę wypełniającą ją od środka.

- W porządku. - Wysiłała się na uśmiech. - Zjedzmy trochę tortu.

Im szybciej zjedzą i otworzą prezenty, tym szybciej będzie mogła wrócić do domu i udawać, że wcale nie miała dziś urodzin. Po prostu jeszcze przez kilka chwil musi tłumić w sobie uczucia.

Kuchnia była pełna ruszających się, gadających ciał. Gdy wszyscy mieli już po kawałku tortu, usiedli w salonie, a rozmowa toczyła się z prędkością światła. Nawet jeśli rodzina zauważyła, że Madison siedzi cicho, nikt nic nie powiedział.

W pewnym momencie tak zatraciła się w swoich myślach, że aż podskoczyła, gdy Beckett ścisnął ją za rękę.

- Siedzisz trochę zbyt cicho jak na kogoś, kto ma urodziny - szepnął jej do ucha.

Musiała skupić się na czymś innym, przestać rozważać ten temat.

- Ciężko tu zabrać głos.

- Czas na prezenty! - ogłosiła PJ, kładąc upominki na stole.

Madison ze wszystkich sił starała się grać radosną, kiedy zaczęła je rozpakowywać. Udało jej się nawet szczerze uśmiechnąć, gdy otworzyła kartkę od Ryana.

Beckett zdziwił się, widząc wypisane w niej bazgroły.

- Dałam tę kartkę Ryanowi na... które to były urodziny, Ryan? Dwudzieste drugie?

- Coś koło tego.

- Rok później, na moje urodziny Ryan skreślił swoje imię, napisał moje i wręczył mi tę samą kartkę.

- Taki z niego sknerus - wtrącił Daniel.

- Kartka wędruje tak w tę i z powrotem od lat - dodała PJ.

- Z wyjątkiem jednych urodzin, kiedy to Ryan nie mógł jej znaleźć - dodała mama.

- Dzięki, Ryan - powiedziała Madison, trzymając pamiętną kartkę i kartę upominkową do *Kawiarenki pod latarenką*. - Do przyszłych urodzin.

Rozpakowywała dalej prezenty, chcąc jak najszybciej skończyć. Daniel i PJ kupili jej pierwszy sezon *Kochanych kłopotów* na DVD. Dziadek podarował jej zestaw narzędzi, bo zawsze pożyczala jego.

Prezent od rodziców wyglądał tak, jakby zawierał książkę. Madison rozdarła kwiecisty papier i znalazła oprawiony w skórę pamiętnik.

- To dziennik do modlitwy - powiedziała mama. Madison przejechała palcami po miękkiej okładce, na której wytłoczone było jej imię.

- Piękny. Dziękuję wam.

Przypomniała sobie, że podobny dziennik miał Michael.

Zawsze zostawiał go gdzie popadnie i kiedyś nawet do niego zajrzała. Ale brat ją przyłapał i wyrwał go z jej rąk.

- Hej! To sprawy osobiste! - wykrzyknął, ale ze swoim firmowym uśmiechem na twarzy.

- To nie zostawiaj ich na widoku na środku salonu - odcięła się i odeszła. W progu jednak odwróciła się. - A poza tym... Lacey czy Tricia... Boga to pewnie nie obchodzi.

Michael rzucił w nią poduszką, która trafiła ją w brzuch.

- Madison? - Zdała sobie sprawę, że mama woła ją już drugi raz.

- Przepraszam, co mówiłaś?

- Mówiła, że zauważyła mój dziennik i pytała, skąd go mam - powiedział Daniel.

- Zamówiliśmy dla ciebie z tego samego miejsca, prosto z Chicago - dodała mama.

- Okładkę robiono ręcznie we Włoszech.

- Wiem, że uwielbiasz prawdziwą skórę. Jak byłaś nastolatką, pisałaś pamiętnik. Pamiętasz?

Madison kiwnęła głową, dotykając okładki.

- Gładziutka. Dziękuję. - Podała dziennik Beckettowi.

- Super - powiedział.

Włożyła pamiętnik z powrotem do pudełka i pomogła zbierać śmieci. Chciała jak najszybciej stąd wyjść. Ciśnienie w niej wzmagало się, gotowała się w środku.

Gdy pokój był już wysprzątnany, Madison oznajmiła, że musi już iść.

- Tak szybko? - spytała PJ. - Myślałam, że pogramy w kalambury czy coś...

- Jestem bardzo zmęczona - odparła Madison. - Może jutro... wpadłabyś na noc? Pooglądamy *Kochane kłopoty*

i opróżnimy wiaderko lodów orzechowych. - Nie wiedziała, czy będzie w nastroju do towarzystwa, ale musiała jak najszybciej stąd uciec.

- Dam ci trochę ciasta - powiedziała mama i ruszyła w kierunku kuchni.

- Nie, dziękuję, mamo. Wyje zjedzcie. - Wysiliła się na uśmiech, gdy czoło mamy zmarszczyło się. - Ale było przepyszne. Dzięki.

Uściskała mamę, tatę i wszystkich pozostałych, próbując nie wyglądać na kogoś, kto tak bardzo się spieszy.

Gdy wkładała buty, tata zapytał Becketta o coś związanego z tłokami. W innej sytuacji pewnie byłaby zachwycona tym, jak złagodniało jego nastawienie, ale teraz chciała po prostu wyjść. Wiedziała, że powinna poczekać na Becketta - w końcu był jej gościem. Ale musiała stąd uciec. Na całe szczęście przyjechali osobno. Nie wytrzymałaby dłużej. Podziękowała Beckettowi za to, że przyszedł, po czym wyszła na mżawkę i wśliznęła się do upragnionej ciszy wypełniającej jej samochód.

Madison włączyła radio i ustawiła swoją ulubioną stację ze starymi przebojami. Samochód wypełniły dźwięki *It Must've Been Love*, a słodko-gorzkie słowa piosenki harmonizowały z jej cierpieniem. Podkręciła głośność i zjechała z podjazdu pod domem rodziców. Może gdyby włączyła muzykę na cały regulator, zdławiłaby to okropne ciśnienie narastające w niej od środka.

Oddychała głęboko, przytrzymując wdech. Włączyła wycieraczki i wyjechała na drogę. Musiała tylko stłumić to coś w zarodku. Zepchnąć głęboko. Nie było sensu pozwalać temu wypłynąć po tylu latach. To odejdzie, jeśli tylko zdusi to w sobie dość mocno.

Naprawdę, Madison? Czy nie to właśnie powtarzałaś sobie od tylu lat?

Nieważne, jak długo próbowała wypierać te emocje i ile wkładała w to wysiłku - one i tak prędzej czy później dawały o sobie znać. Senne koszmary, uczucie potwornego niepokoju.

Wygrałam regaty, Michael. Spełniłiśmy twoje marzenie. To miało wszystko naprawić. Dlaczego wciąż tak się czuję?

Uderzyła pięścią w kierownicę. Była taka wściekła. Taka zmęczona. Dlaczego nie potrafiła zostawić przeszłości za sobą? Wszyscy inni umieli po prostu żyć dalej.

Kilka minut później podjechała pod dom, wyłączyła silnik i pobiegła do drzwi. Niebo płakało, kropelki deszczu kapały jej na głowę i spływały po twarzy. Otworzyła drzwi, weszła do środka i zatrzasnęła je za sobą. Oddychała płytko i głęboko. Na karku czuła krople potu. Ścisnęła w palcach klucze tak mocno, aż ich ostre ząbki przebiły skórę jej dłoni.

Trąciła Lulu i opadła na dywan przed kanapą, nie zadając sobie nawet trudu, by włączyć światło. Słyszała stukanie deszczu o dach, czuła lekki powiew wiatru wpadający przez uchylone okno. Deszcz pewnie wlewał się przez nie do środka, ale nie obchodziło jej to.

Zadzwonił telefon, ale wyłączyła go, nie spoglądając na wyświetlacz. Ciśnienie w jej wnętrzu wzmagало się, było coraz silniejsze, mocniejsze, głośniejsze. Zbyt potężne, by je wypuścić na zewnątrz. Nie chciała płakać. Nie chciała, by tama pękła.

Połykała powietrze, starając się wypierać te uczucia głębiej i głębiej. Ale ciśnienie odmówiło jej posłuszeństwa. Rosło, dławilo ją, napełniało twarz żarem. Zalała ją fala mdłości. Paliły ją oczy. Zamrugowała, ale one i tak wypełniły się łzami.

Dlaczego, Boże?! Dlaczego go zabrałeś?

Uderzyła pięścią w podłogę i zacisnęła usta, przerażona, co będzie dalej. Pomyślała o prezencie, który dostała od rodziców i zaśmiała się jak obłąkana, a śmiech zaraz przeszedł

w płacz. Dziennik do modlitwy. A co niby miała powiedzieć Bogu? Mogłaby zapisać wszystkie strony swoimi myślami, ale to nie byłyby słowa, które On chciałby usłyszeć. Rodzice byliby w szoku, gdyby wiedzieli, co chciałyby Mu wykrzyczeć.

Łzy płynęły jej po twarzy strumieniami. Próbowwała zdławić szloch, ale nie potrafiła już nad nim zapanować. Płakała tak, że ciężko było jej złapać oddech.

To nie fair! Pociągnęła nosem, połknęła powietrze. *Był moim bratem, moim bliźniakiem, częścią mnie samej! Jeśli jesteś taki dobry, dlaczego mi go odebrałeś? On nie zasłużył na śmierć!*

Rozległo się pukanie do drzwi, na którego dźwięk Madison aż podskoczyła. Zamarła, a szloch utknął jej w gardle niczym kawałek mokrego węgla. Może jeśli będzie cicho, ten ktoś sobie pójdzie.

- Madison? - Znowu pukanie. Beckett.

Zamknęła oczy i poczuła, jak z oczu płynie jej jeszcze więcej łez. Chciała być sama. Czy to zbyt wiele? Zapukał jeszcze raz, głośniejsze.

- Wiem, że tam jesteś, Madison.

Trzeba było zamknąć okno. Czy naprawdę nie wolno jej było rozsypać się na kawałki w samotności?

- Idź sobie, Beckett.

- Nie, dopóki się nie upewnię, że nic ci nie jest.

Ale było. Przecież wszyscy to widzieli. Nie umiała już tego ukrywać.

Drzwi otworzyły się, skrzypiąc i ukazała się w nich ciemna sylwetka Becketta.

- Chcę być sama.

Miała nadzieję, że w ciemności jej nie zobaczy. I wtedy zdała sobie sprawę, że przez okno wpada światło reflektorów jego pick-upa. Jak to możliwe, że ich nie zauważyła?

- Zapomniałaś tego - powiedział i położył coś na stoliku. Pewnie dziennik.

- Dzięki - powiedziała i smarknęła mimowolnie. Podszedł bliżej, ale ona się odwróciła.

- Idź sobie, Beckett. - Chciała, by jej głos brzmiał stanowczo, ale zamiast tego trząśł się i łamał.

Beckett zsunął się na podłogę obok, ocierając się kolanem o jej, wypełniając swoim ciałem ciasną przestrzeń.

Czuła, że na nią patrzy. Zaczęła dzwonić zębami, nie potrafiąc dłużej powstrzymać swoich emocji. Wiedziała dobrze, jak wygląda, kiedy płacze, i wcale się sobie wtedy nie podobała.

Ostatnią rzeczą, jakiej teraz sobie życzyła, było towarzystwo. To wielkie obrzydliwe coś wydobywało się z niej na zewnątrz, czy tego chciała, czy nie i nie potrzebowała do tego publiczności.

- Co się stało? - spytał Beckett. - Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić.

- Idź sobie. Tyle możesz zrobić.

- Nie, dopóki nie zobaczę, że wszystko w porządku. - Dotknął jej ramienia. Madison odtrąciła jego dłoń.

- Nic nie jest w porządku! Nie jest już od wielu lat! I jakoś nie wydaje mi się, żeby to się miało zmienić. Jak chcesz to przeczekać, to musiałbyś się tu wprowadzić, więc może lepiej jednak już idź.

Ten wybuch złości poluzował wszystko, co ścisnęła ją tak

mocno wewnątrz. Gdzieś w środku cała zaczęła się gotować, zachwiały się fundamenty jej duszy, a z ciemności wydobył się gwałtowny szloch.

Przyciągnęła kolana pod brodę i ukryła twarz. Czuła się spustoszona przez ból, który narastał w niej latami.

- Idź sobie! Idź już!

Beckett wziął ją w ramiona. Próbowwała go odepchnąć, wyrwać się z jego objęć, ale on jej nie puścił. W końcu się poddała.

Beckett ścisnął ją mocno, głaszcząc po ramieniu, odgarniając włosy z jej twarzy. Jej płacz go przerażał, łamał mu serce. Może była chora? A może miała jakąś straszliwą tajemnicę? Wtuliła twarz w jego koszulę i wyrzucała wszystko z siebie, a on szeptał jej słowa, których pewnie i tak nie słyszała.

Minęła dłuższa chwila, zanim zaczęła się uspokajać. Nie płakała już tak gwałtownie, oddech mimowolnie nią szarpał. Beckett wciąż trzymał ją w ramionach, głaskał, całował w czubek głowy.

- Opowiedz mi wszystko - wyszeptał jej do ucha, kiedy Madison wreszcie ucichła.

- Myślałam... - Jej oddech urywał się. - Myślałam, że będzie lepiej. Że jeśli wygram, to to minie.

- Co minie?

- To wszystko... ten ból... w środku. Z powodu Michaela, jego śmierci. Nie rozumiem, dlaczego to się stało. Nigdy nie zrozumieć. On był taki dobry. Taki wspaniały. Dlaczego Bóg w taki sposób go zabrał?! Dlaczego zabrał jego, a nie mnie?!

- Ciebie?

- Mógł zabrać *mnie!* - Uderzyła pięścią w jego klatkę piersiową, w której Beckett zamiast serca miał coś przypominającego postrzępioną skałę.

- Nie, kochanie.

- Tak! Właśnie, że tak! Michael nie zrobił nic złego! To on był tym dobrym! Więc czemu Bóg zabrał właśnie jego, zamiast mnie?

Słowa. Boże, potrzebuję odpowiednich słów.

- Jestem tym już taka zmęczona! Zmęczona koszmarami, zmęczona ciągłym zmęczeniem. To wszystko miało sobie pójść, jak tylko wygram regaty, ale nie poszło. Będę się tak czuć już zawsze.

- Jak? - spytał, ale nie był pewien, czy naprawdę chce wiedzieć.

- Jakbym miała w środku zionącą pustkę. Cierpię teraz tak samo jak wcześniej i nie umiem tak dłużej żyć. Jestem zbyt wyczerpana.

Beckett zamknął oczy i położył podbródek na jej głowie.

- Moje kochanie. Tak mi przykro. - I to bardziej niż mogła przypuszczać. To była wszystko jego wina. Gdyby nie on, Michael by żył.

Madison wstrząsnął dreszcz. Beckett ścisnął ją mocniej, pragnąc w jakiś sposób uchronić ją przed cierpieniem.

- Bóg cię kocha, Maddy. Chce, żebyś oddała Mu ten ból, żebyś odnalazła ukojenie.

- Co to w ogóle znaczy?! - krzyknęła i ponownie uderzyła go pięścią w pierś.

Nie szło mu za dobrze. Nie chciał prawić jej oczywistości. Ucałował ją w skroń i starł kciukiem łzy z jej policzka.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, jak się czujesz, bo sam nigdy nie straciłem brata bliźniaka. Tu chyba nie ma łatwych odpowiedzi. Nie wiem, dlaczego Michael umarł... -Przełknął

wyrzuty sumienia, które właśnie wzbierały w nim ze zdwojoną siłą. - Ale jeśli dzieje się coś okropnego, to pomaga wiara w Boga i w to, że On dobrze wie, co robi. Że ma jakiś cel, którego my nie widzimy, którego może nigdy nie pojmimy.

Zdał sobie sprawę, że mówi nie tylko do niej, ale też do siebie. Miał nadzieję, że te słowa koją jej zszargane nerwy lepiej niż jego poczucie winy.

- Pomaga też wiara w to, że Michael jest teraz w lepszym miejscu. Że nie wróciłby teraz do nas, nawet gdyby mógł. I że kiedyś do niego dołączysz.

Madison wtuliła się mocniej w jego objęcia. Beckett pogładził palcami jej aksamitne włosy, zatrzymał dłoń na tylnej części jej głowy.

- Wiem, że za nim tęsknisz. Widzę, jak cierpisz.

- W nasze urodziny zawsze jest najgorzej. Ale myślałam, że przestanę wreszcie śnić koszmary, jeśli wygram regaty.

- Opowiedz mi o nich. - Odgarnął włosy z jej twarzy. Madison zrobiła tak długą pauzę, że Beckett zastanawiał

się, czy nie jest jej zbyt ciężko o nich mówić. Ale wreszcie się przełamała i opisała mu swój sen i uczucie paniki, które odczuwała po przebudzeniu. O tym, jak nie kładła się spać z obawy, by zły sen nie powrócił. Beckett słuchał z łamiącym się sercem. Nic dziwnego, że wciąż była taka zmęczona, że zajadała się cukierkami z kofeiną.

- Tak bym chciał to wszystko naprawić - powiedział cicho, czując, jak poczucie winy ściska go coraz mocniej.

Gdyby tylko nie poszedł tamtego dnia popływać. Gdyby tylko nie czuł potrzeby popisywania się przed Michaeliem. Gdyby tylko nie zostawił go samego nad rzeką.

Ale zrobił to wszystko. I proszę, ile cierpienia tym spowodował.

Pomóż jej, Boże. Pomóż jej tam, gdzie ja nie mogę pomóc. Uzdrów jej serce, przegnaj koszmarne sny. Daj jej wewnętrzny pokój, którego tak potrzebuje.

- Przytul mnie - poprosiła.

Przyciągnął ją i posadził sobie na kolanach jak małe dziecko, czując się przy tym tak, jakby ją zdradzał. Nie zasługiwał na to, by ją tulić. Przez te wszystkie lata cierpiała przez niego. Do tej chwili nie wiedział, jak bardzo, ale teraz trzymał dowód w swoich ramionach.

Jak mógłby teraz skrywać przed nią swoją tajemnicę? Musiał jej powiedzieć. Zasługiwała na to, by wiedzieć, co wydarzyło się tamtego dnia, podobnie jak jej rodzina. Ukrywanie prawdy przed nimi przez te wszystkie lata było najzwyczajszym tchórzostwem.

- Dobrze, że jesteś - powiedziała mu. - Lepiej mi, jak mnie tak tulisz.

Beckett wzdrygnął się. Jak mogli zbudować związek, jeśli stało im na drodze coś takiego? A z drugiej strony, jak miał jej to wyznać, jeśli wiedział, że przez to będzie cierpiała jeszcze bardziej? Nie mógł znieść żadnej z tych myśli.

Obie krążyły mu jednak po głowie, aż zakręciło mu się w niej z niezdecydowania. Tu nie było dobrej odpowiedzi. Każde z rozwiązań spowoduje ból i utratę, i to po obu stronach.

Nie był pewien, ile czasu upłynęło, gdy nagle zdał sobie sprawę, że Madison rozluźniła się w jego ramionach. Jej oddech stał się głęboki, a dłoń zsunęła się z jego piersi i spoczęła bezwładnie na jej kolanie.

Trzymał ją jeszcze chwilę, ciesząc się jej ciężarem, uczuciem jej miękkich włosów na nagiej skórze jego ręki. Robiło się późno, ale nie chciał jej budzić.

Wziął ją na rękę, podniósł się powoli i odnalazł jej sypialnię na końcu krótkiego korytarza. Lulu dreptała za nim, stukając pazurami o drewnianą podłogę.

Łóżko Madison było pościelone, więc położył ją na kołdrze. Nawet się nie poruszyła, tak była wykończona. Biedactwo. Zsunął jej sandały i okrył kocem, który leżał w nogach łóżka.

Wpatrywał się jeszcze chwilę w jej twarz oświetloną księżycowym blaskiem. *Słodkich snów, Maddy.*

Wyszedł cicho i zamknął za sobą drzwi, zastanawiając się, czy miłość rzeczywiście *wszystko przetrzyma*. Nawet skrywaną przez niego tajemnicę.

Koszmar nadszedł w środku nocy. Madison usiadła na łóżku z walącym jak młot sercem i piżamą wilgotną od potu. Wyczołgała się z łóżka, poszła do salonu i włączyła telewizor. Około czwartej nad ranem, po godzinie gapienia się w informacje przerywane reklamami, otworzyła kolejne wiaderko lodów orzechowych i jadła, aż zrobiło jej się niedobrze.

Ulżyło jej, gdy dotrwała do siódmej rano i mogła zacząć szykować się do pracy. Po drodze wrzuciła w siebie kilka cukierków z kofeiną, by zwalczyć senność umysłu i zmęczenie ciała. Powędrowała myślami cztery noce wstecz, do chwili, gdy płakała w ramionach Becketta. Gdy obudziła się następnego ranka, było jej wstyd - całkowicie straciła przy nim panowanie nad sobą. Ale gdy zdała sobie sprawę, że on utulił ją do snu i zaniósł do łóżka, zrobiło jej się ciepło na sercu.

Spała wtedy najlepiej od tygodni i miała nadzieję, że jakimś cudem tamten moment załamania przyniesie jej uzdrowienie

i ukojenie. Ale tak się oczywiście nie stało.

Nie pomagało jej też to, że od czasu tamtej nocy Beckett zachowywał się inaczej. Dwa razy rozmawiała z nim przez telefon, a wczoraj wieczorem ją odwiedził. Ciągłe był uważny i czuły. Ale pojawił się między nimi dziwny dystans, coś, czego nie potrafiła nazwać. Dwa razy pytała go, czy wszystko między nimi w porządku. Za każdym razem mówił, że tak, uśmiechał się i przeproszał za swoje roztargnienie. Myślała, że może miało ono związek z jego ojcem. Mieszkanie z alkoholikiem pod jednym dachem na pewno kosztowało go sporo stresu.

Gdy Madison wreszcie dotarła do lecznicy postawiona na nogi przez kofeinę, od razu wpadła w wir rutynowych zajęć. Miała napięty grafik, ale sytuacja kompletnie wymknęła się spod kontroli, kiedy pudel pani Tackett postanowił pobuszować w jej szafce z zapasami czekolady. Madison wywołała u psa wymioty i dopiero gdy ten zaczął dochodzić do siebie, mogła wrócić do przyjmowania umówionych wizyt.

Próbowała nadrobić stracony czas, ale właściciele jej pacjentów stali się poirytowani z powodu długiego oczekiwania, a ich pupilom udzielał się ich niepokój.

Zamiast lunchu połknęła kolejną garść kofeinowych cukierków, ale o trzeciej jej cenne paliwo się skończyło, a wraz z nim uciekła z niej cała energia. A wciąż miała opóźnienie. Cassidy też była zarobiona po uszy i zestresowana uspokajaniem niecierpliwych właścicieli. Madison pragnęła tylko, by ten dzień już się skończył. Zaprosiła do gabinetu przedostatniego pacjenta.

Z przyklejonym do twarzy uśmiechem delikatnie pogłaskała za uchem Opusa, psa rasy basset.

- Panie Campbell, przepraszam, że musiał pan tyle czekać. Właściciel jednak i tak narzekał na długie czekanie i na to, że to on musiał przyprowadzić psa żony do weterynarza. Obraz zamazywał jej się przed oczami, a umysł całkowicie się zamulił, gdy próbowała jednocześnie słuchać i czytać kartotekę.

Wypytała właściciela o objawy, jakie ma Opus, a następnie zbadała psa. Infekcja skórna nie ustąpiła pomimo antybiotyków, które przepisała mu tydzień temu.

Poinformowała pana Campbella o dostępnych środkach, po czym wyszła z gabinetu i wróciła ze strzykawką antybiotyku Convenia.

- Dobrze, panie Campbell. Proszę przytrzymać Opusa... Właściciel usłuchał, wciąż mamrocząc coś pod nosem. Madison uniosła strzykawkę.

I wtedy do gabinetu wpadła Cassidy, z błyskiem szaleństwa w oczach.

- Przepraszam, pani doktor, ale muszę natychmiast z panią porozmawiać.

Dłoń Madison zbliżała się do Opusa.

- Za chwil...

- Natychmiast! - Cassidy gwałtownie chwyciła ją za rękę. Madison zmarszczyła brwi, szybko odłożyła strzykawkę i uśmiechnęła się przeproszająco.

- Pan wybaczy, panie Campbell. To zajmie tylko chwilę.

W odpowiedzi usłyszała głębokie westchnięcie, gdy wychodziła z gabinetu. W holu Cassidy zaciągnęła ją do kąta i gwałtownie odwróciła.

- Czy to była Convenia?

- Tak, na infekcję skórna...

- Madison! - Cassidy ścisnęła mocniej jej ramię. - Ten pies jest uczulony na cefowecynę. W zeszłym roku dostał po niej

wstrząsu anafilaktycznego, pamiętasz? Na pewno jest to zapisane w kartotece.

Myśli Madison zaczęły się kotłować w głowie. Pies uczulony na cefowecynę nie powinien dostawać Convenii. Przecież to wiedziała.

- Jesteś pewna? Nie zauważyłam tego.

- Na sto procent.

Madison uderzyła się płaską dłonią w czoło.

- Nie mogę uwierzyć, że prawie dałam mu ten zastrzyk. Zza rogu wyszedł doktor Richards i stanął przy nich.

- Co się tu dzieje?

Cassidy stanęła przed przyjaciółką, tak jakby chciała ją zasłonić.

- Właśnie informowałam panią doktor o stanie zdrowia jednego z pacjentów.

Szef zignorował Cassidy i wbił laserowe spojrzenie swoich niebieskich oczu prosto w Madison.

- O jakim zastrzyku pani mówiła?

Madison wyprostowała się. Właśnie o mały włos nie popełniła błędu, który mógł kosztować życie czyjś ukochanego zwierzaka. Nie zamierzała namnażać swoich win przez kłamstwo.

- Nie doczytałam w karcie pacjenta o alergii na antybiotyki. Na całe szczęście Cassidy wkroczyła w samą porę.

Doktor Richards wypytał ją o szczegóły, łącznie z poprzednią reakcją alergiczną, a Madison uczciwie opowiedziała mu o wszystkim. Popatrzył raz jeszcze na obie kobiety, a na jego twarzy pojawił się wyraz ojcowskiej troski.

- Ja dokończę tę wizytę za panią, pani doktor. Proszę zaczekać na mnie w moim gabinecie.

Cassidy posłała jej przepaszające spojrzenie i wolno ruszyła w dół korytarza. Madison zajęła miejsce w gabinecie szefa i rozsiadła się na krześle. Mogła zabić biednego Opusa. Pani Campbell byłaby zdruzgotana.

Jak mogła przeoczyć notatkę o uczuleniu? Doktor Richards na pewno nie puści jej tego płazem, nie powinien tego robić. To było niewybaczalne.

To wszystko przez potworne zmęczenie. Wiedziała przecież, jak kluczowy dla pracy mózgu jest odpowiedni sen. Przez jego chroniczny brak miała problemy z koncentracją i pamięcią. Cukierki z kofeiną nie były na to lekarstwem.

Do tej pory popełniała tylko relatywnie niegroźne błędy. Ostatnią rzeczą, jakiej chciała, było stwarzanie zagrożenia dla zwierząt. Ale Madison potrzebowała pracy, a lecznica była jedynym takim ośrodkiem w mieście. Co pocnie, jeśli doktor Richards ją zwolni?

Jej nerwy były już napięte jak struny, gdy szef wszedł do gabinetu. Usiadł za biurkiem i podał jej kartę Opusa.

- Jak pani widzi, alergia jest wyraźnie zaznaczona. Czytelna notatka znajdowała się w odpowiedniej rubryce.

- Bardzo przepraszam, panie doktorze. Czytałam kartotekę... Nie wiem, jak mogłam to przeoczyć.

- Zazwyczaj jest pani bardzo kompetentna, Madison, jak pani mówiłem parę miesięcy temu. Miałem nadzieję, że zobaczę poprawę, ale...

- Tak, wiem.

- Wciąż jest pani roztargniona i roztrzepana i szczerze powiedziawszy wygląda pani tak, jakby nie spała pani od wielu dni.

- Mam problemy osobiste, ale...

Doktor Richards uniósł dłoń, by ją uciszyć. Madison zamknęła usta. Przecież to wszystko mówiła mu już ostatnio. Czy teraz miała na swoje usprawiedliwienie coś nowego?

Jej przełożony zdjął okulary i dotknął palcami skroni.

- Jestem zmuszony wysłać panią na urlop.

Przymusowy urlop? A co z jej pacjentami? I co to da? Przecież nie zacznie nagle dobrze sypiać tylko dlatego, że nie będzie musiała chodzić do pracy.

- Może mogłabym...

- Niech pani odpocznie. Poukłada sobie życie. Pójdzie do lekarza, terapeuty, czy gdzieś jeszcze. Nie chcę tego robić, ale nie mogę pozwolić, by stwarzała pani zagrożenie dla życia naszych pacjentów.

- Oczywiście. - W żołądku poczuła ucisk.

- Ale sam długo nie dam tu sobie ze wszystkim rady.

- Ile mam czasu?

Doktor Richards wzruszył ramionami.

- Miesiąc. Może sześć tygodni. Należą się pani dwa tygodnie płatnego urlopu. Chciałbym zapłacić pani również za pozostały czas, ale rozumie pani...

Madison popatrzyła na swoje dłonie, które trzymała zaciśnięte na kolanach. Nikt jej jeszcze nigdy nie zwolnił, a teraz czuła się tak, jakby właśnie wylano ją z pracy.

- Jest pani mądrą i rozsądną młodą kobietą. Niech się pani pozbiera. I proszę nie wracać, dopóki nie będzie pani gotowa.

- Rozumiem. - I rzeczywiście rozumiała. Nic nie poprawi się przez te sześć tygodni. Doktor Richards będzie musiał

ją zwolnić i zatrudnić na jej miejsce kogoś innego, a wtedy w Chapel Springs nie będzie już dla niej miejsca.

- Proszę iść do domu. Ja przyjmę pani ostatniego pacjenta. Madison opuściła jego gabinet i zebrała swoje rzeczy. Gdy wychodziła cicho tylnym wejściem, ogarnęła ją nagła myśl, że już tu nie wróci.

Co miała teraz zrobić? Nie miała pojęcia, jak poukładać sobie życie. Gdyby wiedziała, zrobiłaby to już dawno temu.

Wsiadła do auta i wyjechała z parkingu. Było późne lato, dzień był ciepły, a w samochodzie panował zaduch. Opuściła szybę i wjechała w Main Street. Po obu stronach rozciągały się trzypiętrowe ceglane budynki. Jej drogę przecięła popychana przez wiatr pusta plastikowa torba, niczym uschnięta roślina w starym westernie. Turyści dawno wyjechali, a miasto w popołudniowym upale zdawało się być bezludne. Opustoszałe, jak dusza Madison.

Chwilę później zaparkowała pod sklepem mamy. Może ona pomoże jej odnaleźć sens w tym chaosie. Madison zbyt długo próbowała sobie radzić sama - i proszę bardzo, do czego to doprowadziło. Jej życie pruć się nitka po nitce, a ona miała wrażenie, że już nigdy nie zszyje go z powrotem w całość.

Otworzone przez nią drzwi potrąciły dzwonek, który pięknie zadzwieczał. W sklepie z antykami nie było klientów. Ogarnął ją znajomy zapach zapomnianych skarbów i porzuconych rzeczy. Torowała sobie drogę przez labirynt starodawnych szaf i rustykalnych krzeseł. Mama wychynęła ze swojego biura, gdy Madison dotarła na tyły sklepu.

Gdy ujrzała córkę, aż potrząsnęła głową.

- Skarbie! Nie spodziewałam się ciebie o tej porze.

- Znajdziesz dla mnie chwilkę?

- Ależ oczywiście! Wejdz do biura, a ja odwrócę etykietę na drzwiach. Nie, żebym miała jakichś klientów, których musiałabym wyganiać.

Madison weszła do pokoju, który przypominał raczej salon z przełomu wieków. Wysokie fotele stały przy kominku, który w zimie ogrzewał miejsce pracy jej mamy. Gruby turecki dywan otulał drewnianą podłogę i rozciągał się aż do antycznej czarnej sofy obitej miękkim blad różowym adamaszkiem. Mama wygrała ten mebel na aukcji parę lat temu i za nic w świecie nie chciała się z nim rozstawać.

Madison przysiadła w zaokrąglonym rogu sofy. Chwilę później do pokoju wpadła mama i usiadła obok niej.

- Co jest, skarbie? Skończyłaś dziś pracę wcześniej, to nie w twoim stylu.

Madison zaśmiała się gorzko.

- No tak, mamó. Cóż, krótko mówiąc, jestem oficjalnie na przymusowym urlopie.

Mama, cierpliwa z natury, wzięła ją za rękę i czekała, aż Madison wszystko jej opowie. Ona jednak wahała się, czy wracać po tylu latach do tematu, który omijała szerokim łukiem. Trudno jej było się przełamać.

- Możesz mi o wszystkim powiedzieć. - Z błękitnych oczu mamy promieniowało zrozumienie. Z ich kącików wychodziły zmarszczki będące dowodem na to, że w swoim życiu często się uśmiechała. Madison podziwiała ją za to; była przecież kobietą, która również doświadczyła wielkiej straty.

- Nie czuję się dobrze, mamó - powiedziała, bawiąc się nitką wystającą z zapięcia torebki. - Od dawna mam kłopoty ze snem. Śnią mi się... koszmary.

- Jakie koszmary?

- O Michaelu. - Madison gapiła się na swoje dłonie. - Zawsze ten sam. Nie chcę wchodzić w szczegóły. Wystarczy, jeśli ci powiem, że tracę przez to mnóstwo snu. Chodzę późno spać, bo boję się, że koszmar powróci, a gdy to się dzieje, nie kładę się z powrotem.

- Nic dziwnego, że jesteś taka zmęczona. - Mama położyła dłoń na jej twarzy.

- Tracę przez to trzeźwy osąd, nie umiem się skoncentrować. Zaczyna mi to przeszkadzać w życiu.

- Dlatego jesteś na urlopie?

Madison stanął przed oczami Opus i jego ufne brązowe oczy.

- Popeliłam dzisiaj w pracy błąd, który mógł się bardzo źle skończyć. Doktor Richards nalegał, bym poszła na urlop. Ale mam, ja nie wiem, w jaki sposób to by mi miało pomóc. Walczę z tym od lat, myślałam, że będzie lepiej, jeśli wygram regaty, jeśli spełnię marzenie Michaela. Myślałam, że koszmary znikną, że odnajdę ukojenie i wewnętrzny spokój po jego śmierci, ale to nie zadziałało. To nic nie dało.

- Och, skarbie.

- Już nie wiem, co robić. Mam sześć tygodni, aby się pozbierać, a nawet nie wiem, od czego zacząć. Dlaczego nie umiem poradzić sobie z utratą Michaela? Czemu nie mogę się z tym pogodzić? Jak to się udało tobie i tacie?

- Nie było łatwo. Wciąż za nim tęsknię.

- Wiem o tym, ale ty jakimś cudem żyjesz dalej, twoje życie nie rozpada się tak jak moje.

- Skarbie, ja próbuję polegać na Panu Bogu i ufać, że On wie wszystko najlepiej, nawet jeśli ja tego nie rozumiem.

Wierzę, że On ma swoje powody.

- Jakże mógł mieć powody, by odbierać nam tak dobrego, siedemnastoletniego chłopaka? Mamo! Michael miał przed sobą całe życie! To takie niesprawiedliwe.

- Życie jest najeżone trudnościami. To nie niebo. Mamy przed sobą wysokie góry i nie mamy innego wyjścia, jak tylko się na nie wspinać.

Mama zapatrzyła się w podłogę. Po chwili ścisnęła dłoń Madison.

- Gdy byłaś mała, nie lubiłaś chodzić bosą, pamiętasz? Miałaś bardzo wrażliwe stopy.

- Trawa mnie łaskotała, a patyki i kamienie kłuły.

- Nawet wtedy, gdy byliśmy nad Jeziorem Michigan, na plaży miałaś na nogach sandały, chyba że akurat siedziałaś na ręczniku.

- Piasek mnie parzył.

- A pamiętasz Michaela? - Mama się zaśmiała. - Rany boskie, temu dziecku nie dało się ubrać butów. Jedyne, co mogłam, to zmusić go, by chodził w nich do kościoła. Przychodziłam po was do przedszkola, patrzę, a tam jego skarpetki zwinięte w kulki i ciśnięte w kąt, a ten lata na bosaka.

Madison uśmiechnęła się na tamto wspomnienie.

- Byliśmy różni jak dzień i noc.

- A jednak tak bardzo sobie bliscy. - Mama odgarnęła włosy Madison za jej ucho i popatrzyła na nią tym swoim wszystkowiedzącym wzrokiem. - Czasami musimy znaleźć w sobie odwagę, by zdjąć buty i poczuć wszystko aż do kości. Nawet to, co boli. Często te negatywne emocje przytłaczają nas i łatwiej jest po prostu nie stawiać im czoła. Ale one zawsze do nas wracają tą czy inną drogą. Bardzo się

martwiłam o ciebie po śmierci Michaela. Każdy z nas radził sobie z żalem w inny sposób, ale ty... Nigdy nie płakałaś, nigdy nie dałaś temu wyrazu. A przecież tak tęskniłaś.

Mama miała rację. Madison zaczęła dawać upust swoim emocjom dopiero kilka dni temu. A czuła, jakby to był wierzchołek góry lodowej.

- Śmierć jest częścią życia - powiedziała mama. - Nie moją ulubioną, co to, to nie. Ale Bóg nie jest nam winien dziewięćdziesięciu lat tutaj na tym świecie. Życie jest darem, bez względu na to, ile trwa. Bóg je nam daje i może je odebrać wtedy, gdy uzna, że tak będzie najlepiej. To my idziemy sobie przez życie przekonani, że mamy przed sobą dziewięćdziesiąt lat, a prawda jest taka, że nic nie mamy. Możemy tylko zaufać, że On wie, co robi. Że ma dla nas wszystkich jakiś plan, że żadne cierpienie, które dotyka nas w życiu, nie pójdzie na marne. Chyba właśnie wtedy, gdy zdałam sobie z tego sprawę, odnalazłam wewnętrzny spokój.

Madison nigdy tak na to nie patrzyła. Czy umiałaby zaufać Bogu i powierzyć Mu swoją przyszłość? I przeszłość? Od tak dawna była na Niego wściekła.

- Nie wiem, czy będę umiała, mamo.

- Będiesz umiała, jeśli tylko zechcesz, kochanie. - Mama ścisnęła jej dłoń. - Nie mówię, że to jest proste, albo że stanie się z dnia na dzień. Ale jeśli poprosisz Boga o pomoc i naprawdę zaczniesz Go szukać, On pokaże ci tyle rzeczy! I zawsze, w każdej sytuacji zapewni ci miękkie lądowanie. Jeśli tylko Mu na to pozwolisz. Ale najpierw musisz zaprosić Go do swojego życia.

Madison słyszała w życiu zbyt wiele kazań, by nie wiedzieć, co to znaczy. Sama mogłaby takie wygłosić. Ale coś zawsze ją powstrzymywało od zaufania Bogu. Jednak teraz czuła, że to coś krok po kroku ustępuje.

- Nie wiem, od czego zacząć.

Mama pogłaskała kciukiem wierzch jej dłoni.

- A dziennik do modlitwy? Może zaczniesz opisywać swoje uczucia?

Madison zaśmiała się gorzko.

- Mamo, proszę cię. Bóg nie chce słuchać tego, co mam Mu do powiedzenia. Wierz mi.

- Skarbie, On poradzi sobie ze wszystkimi twoimi emocjami. Z najciemniejszą i najgorszą myślą. Poza tym On już i tak je zna.

Ta myśl wprowadziła Madison w zakłopotanie. Serce zabiło jej szybciej.

- Wypisz wszystko, co ci leży na sercu. A potem słuchaj. Poczekaj i zobacz, jak On ci na to odpowie. Co masz do stracenia?

Madison uśmiechnęła się smutno.

- Prawdę powiedziawszy, doszłam do ściany.

- Jak to mówią... - Mama przyciągnęła ją do siebie. - ...głową muru nie przebijesz. Ale pamiętaj, Bóg stoi po drugiej stronie z młotem.

Beckett włożył zakładkę do książki i uniósł wzrok, by podziwiać rozciągający się przed nim widok. Słońce chyliło się ku zachodowi, malując na niebie fioletowe smugi. Delikatny powiew poruszał liśćmi, wprawiając je w szelest i niosąc woń sosen. Nagrzana żarem dnia skała robiła mu za fotel, a słońce za lampę. Może jego ojciec jest wrakiem człowieka, może jego serce jest poplątane tak, że nie da się go rozsypać, ale tu, na wzgórzu, może być sam na sam z Bogiem.

Na spotkaniach kręgu biblijnego zaczęli czytać List do Efezjan. Becketta tak bardzo zachwyciła odwaga i wytrwałość Świętego Pawła, że postanowił kupić o nim książkę. Teraz wrócił do czwartego rozdziału, na którym skończył ostatnio.

Gdy doczytał do końca, jego uwagę przykuł wers z Biblii. Słowa zrobiły na nim tak silne wrażenie jak cios w brzuch wymierzony przez osiłka szkolnemu ciamajdzie.

Dlatego, odrzuciwszy kłamstwo, niech każdy z was mówi

*prawdę swemu bliźniemu, bo jesteście nawzajem dla siebie członkami*⁴.

Jego myśli ruszyły z prędkością światła, słowa zlały się. Od piątku rozważał, czy powiedzieć Madison o roli, jaką odegrał w śmierci Michaela. Trudno było mu wybrać między pragnieniem uchronienia jej a pragnieniem uchronienia siebie.

Z jednej strony, nie robił nic złego, po prostu siedział cicho. Nie do końca więc można powiedzieć, że ją okłamywał. Ale z drugiej strony, widział cierpienie Madison i swój udział w tym, co je spowodowało. Gdyby nie poszedł tamtego dnia nad rzekę, jej brat wciąż by żył.

Przeczytał wers jeszcze raz, pozwalając by słowa wsiąknęły w jego niechętną duszę. Przyznanie się przed Madison spowoduje jeszcze więcej cierpienia. Może nawet Beckett ją straci. Nie był pewien, co było gorsze. Po tym, jak słyszał jej płacz wydobywający się z najgłębszych i najciemniejszych zakamarków jej duszy, nie mógł znieść myśli, że mógłby skrzywdzić ją jeszcze bardziej.

Co by czuła, gdyby wiedziała, że to jego należy obwiniać za śmierć Michaela? Czy jakaś jej częśćka czerpałaby ulgę z poznania odpowiedzi na dręczące ją pytanie? Czy tylko byłaby rozgniewana? A może poczułaby się zdradzona przez jego milczenie?

Już kiedyś wszystkiemu zaprzeczał, starał się sobie wmówić, że Madison poradziła sobie ze śmiercią brata, ale w piątek otworzyły mu się oczy. Nie była nawet tego bliska.

Być może nie da się uporać ze śmiercią brata bliźniaka. Skąd miał to wiedzieć? Mógł sobie tylko wyobrażać, co by

czuł, gdyby coś stało się Layli, gdyby ktoś spowodował jej śmierć... Nie chciał nawet o tym myśleć. A Madison musiała przez to przejść. Jedno wiedział na pewno: że nie chce tego schrzanić. Konsekwencje byłyby zbyt poważne.

Znowu przebiegł oczami biblijny wers. Mógł ją stracić. Mógł zranić ją jeszcze mocniej, a ona na to nie zasługiwała. Jak miał powiedzieć jej prawdę?

I wtedy przypomniał sobie radę, której kiedyś sam udzielił Madison. Czyż nie powiedział jej, że powinna zaufać Bogu? Że trzeba po prostu robić swoje, zachowywać się przyzwoicie i zostawić całą resztę Jemu?

W teorii jednak nie było to takie trudne jak w praktyce. Ale Beckett był już pewien. Być może nie skłamał słowami, ale kłamstwem było też wszystko to, czego nie mówił.

Przekręcił się na skale. Wiedział już dokładnie, co należało zrobić. Co powinien był zrobić już wiele lat temu. Być może wiedza o tym, co się wydarzyło, przyniosłaby ulgę rodzinie Michaela. Może po prostu mieliby kogo obwiniać, ale powinni znać prawdę. Był młody, głupi i popełnił błąd. Teraz, gdy czas zbliznił niektóre rany - choć nie wszystkie, bo w przypadku Madison wcale ich nie uleczył - Beckett zamierzał na nowo je otworzyć.

Madison kierowała się w stronę wyjścia z teatru. Dzisiejsza próba poszła jej koszmarnie. Pomyliła kwestie aż cztery razy i uderzyła się w czoło, gdy wpadła wprost na słup latarni stojący na scenie jako część scenografii. Do premiery zostały cztery dni, a przez nią wszyscy tylko dodatkowo się denerwowali. Tak bardzo chciałyby wymazać cały ten dzień jednym mrugnięciem, rzucić się na łóżko i poczekać aż ukoji ją sen. Ale sen nie przynosił zapomnienia. I to od dawna.

Tego wieczora miała jeszcze spotkać się z Beckettem. Bardzo ją wspierał i współczuł, gdy powiedziała mu o swoim urlopie i uspokoił na tyle, że poszła spać w lepszym nastroju. Ale w środku nocy znowu nawiedził ją koszmar, wydzierając oddech z jej płuc i nadzieję z serca.

Wyszła z budynku i ku swojej radości zobaczyła Becketta stojącego przy pick-upie. Musnął jej usta swoimi na powitanie. Ach, jak cudownie. Przynajmniej ta część życia układała się dobrze. Nawet bardzo dobrze. Gdy ją wypuścił z objęć, nogi miała jak z waty.

- Jak tam próba?

- Ech... Nawet nie pytaj. Przepraszam za spóźnienie.

- Na ciebie warto czekać. - Cmoknął ją jeszcze szybko w policzek, zanim otworzył jej drzwi pasażera.

Madison obserwowała przez szybę, jak Beckett obchodzi auto dookoła i wdychała jego cudowny piżmowy zapach. Pragnęła teraz tylko jednego - znaleźć się w jego ramionach i spędzić tak cały wieczór.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedziała, gdy wsiadł do samochodu - to moja mama prosiła, żebyśmy przywieźli dziadka do domu z turnieju Bingo. On ma jaskrę i nie może prowadzić po zmierzchu.

- Z ratusza?

Madison pokiwała głową.

- To po drodze.

Gdy byli już w centrum miasteczka, Beckett wjechał na miejsce parkingowe przed budynkiem.

Spóźnili się prawie pół godziny, ale pod ratuszem było pusto. Z latarni sączyło się światło, tworząc żółtą kałużę na chodniku.

- Hmm, dziwne. Zwykle czeka na zewnątrz.

- Sprawdźmy w środku.

Madison położyła mu dłoń na ramieniu.

- Dziadek jest zakłopotany tym, że trzeba go podwozić. Raz weszłam po niego do środka i wyrzucał mi to przez całą drogę do domu.

Spojrzała na zegarek. Może zagadał się z przyjaciółmi, a może gra w Bingo się przeciągała. Nikt nie wchodził i nie wychodził z budynku.

Z tawerny obok ratusza dochodziły stłumione odgłosy muzyki i rozmów.

- To po prostu zaczekajmy. - Beckett wyłączył silnik. Madison wyjęła telefon i włączyła dźwięk.

- Dostałam wiadomość głosową. Może dziadek skorzystał z uprzejmości kogoś innego. - Włączyła odtwarzanie i słuchała.

- Cześć, skarbie. - Powitał ją głos mamy. - Dziadka trzeba odebrać o dziewiątej, a nie o ósmej. Przepraszam cię, zapomniałam dodać jedną godzinę do czasu, który mi podał. Jeśli nie możecie mu pomóc, to oddzwoń do mnie. Podjadę po niego z tatą. Przepraszam! Pa!

- No, to wszystko wyjaśnia. - Madison wyłączyła telefon i powiedziała wszystko Beckettowi. - Czyli jeszcze pół godziny. Przepraszam.

Beckett objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- No nieee! Czyli co? Mam czekać w zaparkowanym samochodzie z piękną kobietą u boku?!

Madison położyła mu dłoń na piersi i uśmiechnęła się.

- No, można to tak ująć. - Uniosła usta ku niemu, a on złożył na nich delikatny pocałunek. Jak to możliwe, że tak nikłym dotykiem tak ją pobudzał?

Umościła się w jego ramionach, patrząc spokojnie na światło latarni ulicznych i zapadający zmierzch. Z głośników w tawernie płynęły dźwięki piosenki z lat osiemdziesiątych, a obok nich zaparkował inny samochód, z którego wysiadła jakaś para. Kobieta złapała mężczyznę za rękę i patrzyła na niego kochającymi oczami. On przyciągnął ją do siebie i ucałował w skroń.

Muzyka z tawerny stała się głośniejsza, gdy drzwi otworzyły się i ze środka wyszedł jakiś człowiek, który wskoczył

na zaparkowany przed drzwiami motocykl. Właściciele ubijali całkiem niezły interes jak na wieczór w środku tygodnia. Madison zastanawiała się, czego poszukują znajdujący się w lokalu ludzie. Towarzystwa? Zabawy? Spokoju?

To ostatnie rozumiała aż za dobrze. Przez moment poczuła ukłucie zazdrości, że oni potrafią odnaleźć zapomnienie, chociaż na krótką chwilę.

Ale to nie rozwiąże twoich problemów, moja droga.

Na pewno nie, ale czasami... Stłumiła ziewnięcie. Doganiał ją wczorajszy brak snu.

Zadzwoił jej telefon i spojrzała na wyświetlacz.

- To Cassidy. - Przyjaciółkę trawiło ogromne poczucie winy z powodu przymusowego urlopu Madison. - Mogę odebrać? Nie masz nic przeciwko temu?

- Coś ty. Odebrała.

- Cześć, Cassidy.

- Cześć, kochana - powitała ją głosem przepełnionym poczuciem winy. - Jak minął dzień?

- Cassidy, gwiazdo ty moja, skończ już. To nie twoja wina. Zanosilo się na to od dawna.

- Jak się czujesz? - spytała Cassidy.

- W porządku. Naprawdę. Na pewno wszystko się ułoży. - Madison chciałaby czuć się tak optymistycznie, jak brzmiała.

- Może wpadniesz do mnie? Kupię po drodze lody orzechowe...

- Tylko że teraz jestem z Beckettem. A poza tym mam dość rozmyślania o pracy.

- Ooo! Pozdrów Becketta. Może wyjdziemy na podwójną randkę w ten weekend? Ach tak! Zapomniałam, że nie możesz. Sztuka.

- Innym razem. - Madison oparła się o Becketta. Był ciepły,

silny i nieziemsko pachniał. Westchnęła cicho.

- A co to było? Czyżby westchnienie pełne miłości?

- Możliwe... - Madison się uśmiechnęła.

- Cieszę się, kochana. Uroczą z was para. Wasze dzieci będą śliczniutki, żadne nie będzie miało takiej fryzury jak moja.

Jak to dobrze, że Beckett nie mógł usłyszeć tego, co mówiła Cassidy.

- Chyba trochę wyprzedzasz fakty.

- Weź przestań, on się kocha w tobie od czasów liceum, tylko czekał, aż dogonisz jego uczucia.

Wyglądało na to, że już dogoniła. Od ich pierwszego pocałunku minęło tylko kilka tygodni, ale jej uczucia rosły w siłę. Miłość? Tej granicy jeszcze nie przekroczyła, ale zbliżała się do niej coraz bardziej. I było jej z tym naprawdę dobrze.

- Możliwe...

- Dobra, wracaj do swojego kochasia. I daj mi znać, jeśli coś będę mogła dla ciebie zrobić.

- Jasne.

Madison wyłączyła telefon i włożyła do kieszeni. Beckett uniósł jej podbródek i uśmiechnął się lekko, badając wzrokiem jej twarz.

- Rozmawiałyście o mnie.

Jej twarz zalała fala ciepła. Jak to dobrze, że było ciemno.

- Możliwe...

- Co mówiła?

- Nic ci nie powiem.

- Wycaluję to z ciebie.

- Śmiało, próbuj.

Opuścił głowę i pocałował ją tak, że straciła oddech. Gdy się oderwał, zatopił w niej swoje czarne oczy. I wtedy wyraz jego twarzy się zmienił. W jego wzroku pojawiło się coś poważnego. Nie. Ponurego.

- Musimy porozmawiać.

Odsunęła się lekko, by widzieć go lepiej.

- Co się stało?

Mierzył ją spojrzeniem, chłonał nim całą jej twarz. Otworzył usta. I znów je zamknął. Madison dotknęła jego ręki.

- Hej... co się stało? Wszystko w porządku? Odwrócił wzrok, ale nie na tyle szybko, aby jej uwadze

umknął błysk strachu, który się w nich pojawił.

- Muszę ci coś powiedzieć. Coś, co powinnaś ode mnie usłyszeć już dawno temu.

- Dobrze. Możesz mi powiedzieć o wszystkim, przecież wiesz. - W końcu ona wywnętrzyła się przed nim ze wszystkich swoich tajemnic parę dni temu. A on trzymał ją w ramionach i uspokajał tak czule.

- Madison, chodzi o... chodzi o Michaela.

Spojrzała na niego. Co miał jej do powiedzenia w sprawie jej brata?

- O Michaela?

- Jest coś, o czym nie wiesz. O tamtym dniu, w którym... umarł.

- Że co? - Madison potrząsnęła głową.

Beckett oparł się o drzwi. Odsunął się od niej, a ona pozwoliła mu na to, sama czując potrzebę większej przestrzeni. Przyglądała się jego twarzy i próbowała coś z niej wyczytać.

Jego spojrzenie powędrowało nad jej ramieniem i nagle wyraz jego twarzy całkiem się zmienił. Oczy zwęziły się. Madison myślała, że pogrążył się w myślach, ale wtedy on zacisnął zęby.

- Świetnie - wycedził.

Podążyła wzrokiem w kierunku, w którym patrzył, i zobaczyła, jak jego ojciec wychodzi z baru. Na głowie miał czapkę z daszkiem, był ubrany w luźną koszulę wyciągniętą ze spodni. Zataczał się tak, że łatwo było stwierdzić, że za dużo wypił.

Madison zmarszczyła brwi, gdy spostrzegła, że kieruje się w stronę czerwonego samochodu. Najwyraźniej chciał w tym stanie jechać do domu.

Beckett wyskoczył na ulicę, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Ojciec odwrócił się, gdy zobaczył zbliżającego się syna. Zamienili parę słów, ale przez szyby Madison nie umiała ich dosłyszeć. Po chwili Beckett prowadził ojca do pick-upa, trzymając go za łokieć. Madison przesunęła się, by zrobić miejsce. Jej myśli wciąż krążyły wokół zaczętej przez Becketta rozmowy, gdy ten otworzył drzwi.

- Dzień dobry, panie O'Reilly - powiedziała, gdy się usadowili.

Ojciec Becketta zmarszczył brwi.

- Jestem Madison, pamięta pan? Beckett włączył silnik.

- Dziefffczyna Kinnnleyow.

- Właśnie.

- Bliśśniaczka! - powiedział zbyt głośno i uniósł brwi.

- Tato, oprzyj się i odpocznij - powiedział Beckett ostro.

- Moje auto! - powiedział pan O'Reilly.

- Jutro po nie przyjedziemy. - Mięśnie twarzy Becketta drgały, gdy wycofywał się na Main Street. - Wrócimy po twojego dziadka - zwrócił się do Madison.

- W porządku. Mamy jeszcze dziesięć minut. Pan O'Reilly ściągnął daszek czapki na oczy.

- Robiłem kiedyś dla tfffojogo ojca. McKinnnley a.

- Naprawdę?

- Taaa. Z Beckettem. Latem.

- Zapniesz mu pas? - poprosił Beckett.

Zrobiła, o co ją poprosił, odwracając się od nieprzyjemnego zapachu alkoholu.

- A gdzie pan pracuje teraz?

- Jest narąbany, kochanie. Zawieźmy go do domu.

Jak na zawołanie, ojciec opadł na siedzenie i uderzył głową w szybę.

Madison czuła fale ciśnienia przepelniające Becketta. Na pewno jest mu wstyd, choć zupełnie niepotrzebnie. Nie był przecież odpowiedzialny za zachowanie ojca. Zastanawiała się, czy próbował kiedyś porozmawiać z nim o odwyku.

Kilka minut później Beckett skręcił w swoją ulicę i zahamował przed kotem, który wybiegł mu na drogę. W aucie zrobiło się cicho i Madison pomyślała, że pan O'Reilly przysnął i mamrotał coś przez sen. Beckett wjechał na podjazd przed domem i wyłączył silnik.

Jego ojciec zerwał się na siedzeniu.

- Ciii! - Kropelki jego śliny dosięgły szyi Madison. - To tajemnicaaa!

- Tato, obudź się. Jesteśmy w domu. - Beckett wysiadł i obiegł pick-upa.

Madison odpięła jego ojcu pas i przytrzymała mężczyznę, aż Beckett go złapał.

- Pomóc ci?

- Dam radę.

Beckett wciągnął ojca na ganek i do domu, najbardziej męcząc się przy przechodzeniu przez drzwi. Zapaliły się światła i w oknie pojawiły się ich cienie. Wrócił kilka minut później z zaciśniętą szczęką i rozpaloną twarzą.

- Przepraszam cię za to.

- To nie twoja wina.

Zapalił silnik i wycofał. Zapadła już noc, a to jeszcze nie koniec na dzisiaj. Chciała wypytać Becketta o ojca, ale zbyt kusily ją jego słowa o Michaelu. Zastanawiała się, czy on wciąż chce o tym porozmawiać. Miała nadzieję, że nie każe jej długo czekać.

Parę minut później wrócili na miejsce pod ratuszem. Nastrój w samochodzie zmienił się całkowicie. Atmosfera była tak gęsta, że można by ją kroić nożem. Madison nie wiedziała, jak rozładować ciśnienie. Na szczęście nie trwało to długo.

Dziadek wyszedł z budynku i Madison pomachała mu ręką. Jego obecność poprawiła nastrój, gdy opowiadał im o zabawnych sytuacjach z turnieju Bingo. Zanim się spostrzegła, już byli pod domem.

- Dzięki za podwiezienie.

- Dobranoc, dziadku.

- Dobranoc, panie McKinley.

Upewnili się, że wszedł do środka i pojechali w ciszy pod dom Madison. Gdy Beckett zaparkował na podjeździe, zauważyła Lulu siedzącą w oknie z nosem pomiędzy firankami. Sięgnęła do klamki samochodu, ale Beckett powstrzymał ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

Spojrzała na niego przez ciemność wypełniającą wnętrze samochodu. Jego twarz oświetlał tylko promień światła padający z latarni ulicznej. Malowało się na niej zmartwienie. Oddychał szybko i niespokojnie.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Muszę ci o czymś powiedzieć, Madison.

Wszystko w niej zamarło. Skamieniało. Przez moment chciała go powstrzymać. Wyraz jego twarzy mówił, że nie spodoba jej się to, co ma do powiedzenia, cokolwiek to było.

- Coś o Michaelu? - Tak.

Wzięła głęboki wdech, próbując przygotować się na złe wieści.

- Okej.

Beckett potarł jej ramię kciukiem. Odczuła to jako nerwowy ruch.

- Madison... Próbowałem ci jakoś powiedzieć... Byłem tam tamtego dnia. Kiedy on zginął.

Serce zabiło jej szybciej, oddech przyspieszył. Pokręciła głową.

- Nie. Michael pływał sam.

- Tak. Byłem. - Zamarł. Wpatrywał się w nią bardziej intensywnie i ścisnął jej ramię mocniej.

Madison nigdy nie dowiedziała się dokładnie, jak jej bratu przydarzył się tamten wypadek. Ale obecność drugiej osoby wszystko by wyjaśniła, prawda? Musiała poznać prawdę, ale przeczuwała, że nadciąga coś o wiele gorszego.

Przełknęła z trudem ślinę i zebrała się na odwagę.

- Co tam się stało? - Już gdy wypowiadała te słowa, chciała je cofnąć.

- Pływałem w rzece. Pojawił się Michael. Pogadaliśmy trochę, pożartowaliśmy i...

Beckett złapał nos u nasady. I wtedy rozpoznała w jego spojrzeniu poczucie winy. Rozpoznała je dlatego, że sama żyła z tym uczuciem przez tak długi czas.

Coś się w niej zakotłowało, wypełniło jej płuca i utrudniło oddychanie.

- Co zrobiłeś? - Podniosła głos. Oczy jej płonęły. - Coś ty mu zrobił?

Beckett odwrócił się do niej i wziął ją za rękę.

- Chodźmy do środka. Pogadajmy. Wyrwała mu się.

- Nie chcę nigdzie z tobą iść.

- Madison, proszę cię.

- Coś ty mu zrobił?

- Nic mu nie zrobiłem. Wszystko ci wyjaśnię. Czekala. Opadła z sił. Skrzyżowała ręce na brzuchu, tworząc barierę, która nie mogła powstrzymać fali cierpienia.

- Michael zaczął mówić o tym klifie nad Zakolem Turnera. Zastanawiał się, czy to prawda, że jest tam zbyt płytko, żeby zanurkować. Powiedziałem mu, że już to kiedyś robiłem. Nie uwierzył mi, więc mu pokazałem.

Przełknął ślinę, a na jego szyi podskoczyło jabłko Adama. Patrzył teraz swoim nieprzeniknionym spojrzeniem przez przednią szybę.

- Potem się przekomarzaliśmy.

Zapatrzył się przez dłuższą chwilę przed siebie nieobecny wzrokiem, jakby wrócił do tamtego dnia. Potem przymknął powieki.

- I powiedziałem mu, że teraz jego kolej.

Madison pokręciła głową. Chciałaby temu wszystkiemu zaprzeczyć, ale ponury wyraz jego twarzy nie pozwolił jej na to. Jej serce ścisnęło się w bólu. Aż bała się zapytać, niepewna, czy chce wiedzieć.

- Co było dalej? Beckett pokręcił głową.

- Nic. Powiedział: *nie, dzięki*, czy coś w tym rodzaju. Nie chciał ryzykować. Trochę się z nim jeszcze podrażniłem i poszedłem. - Odwrócił się w jej stronę. - Nie przyszło mi do głowy, że spróbuje to zrobić, gdy zostanie sam.

Madison szybko odwróciła wzrok, bo nagle zapragnęła popatrzeć gdziekolwiek, byle nie na pełną poczucia winy twarz Becketta.

Chwycił jej rękę.

- Przysięgam ci, nie miałem pojęcia, że...

- Nie dotykaj mnie. - Wyrwała mu się.

- Madison...

- Wiedziałaś od samego początku... i mi nie powiedziałaś. Wzdrygnął się, ale w ogóle jej to nie obchodziło. Beckett żył, a Michael nie.

Cała obrzydliwa ciemność, która nagromadziła się w niej od tamtego dnia, zakotłowała się w środku. Cały ten czas, ból, poczucie straty. Od samego początku to wszystko była wina Becketta. Wiedziała, że to nieracjonalne, ale on tam był. Drażnił się z jej bratem i gdyby nie on, Michael nigdy by nie skoczył. Nigdy by nie umarł.

To było więcej niż mogła znieść. Chwyciła torebkę i wyskoczyła z samochodu. Nigdy więcej nie chciała oglądać go na oczy. Nie chciała myśleć o Michaelu kuszonym przez niego i przekonanym, że musi coś udowodnić. Coś idiotycznego

i bezsensownego, co doprowadziło do jego śmierci. Pognała wzdłuż podjazdu i wbiegła po schodach na ganek.

- Zaczekaj, Madison!

Oczy zasły jej łzami. Płuca nie nadążały za rytmem serca. Serca, które zdawało się rozjechane przez kombajn: poszarpane, zorane, wymłócone i przesiane w ciągu zaledwie pięciu minut. I to wszystko w momencie, gdy wydawało jej się, że zmierza już we właściwym kierunku. *Boże, to więcej, niż mogę znieść. Dlaczego właśnie Beckett? Już zaczynałam myśleć, że...*

Zdażyła włożyć klucz do zamka, gdy podszedł od tyłu, chwycił ją za ramiona i odwrócił do siebie.

- Błagam cię, Madison, wiem, że powinienem był ci to powiedzieć już wiele lat temu. Przepraszam. Nie masz pojęcia, jak strasznie mi przykro. Gdybym mógł cofnąć czas...

- Ale nie możesz! - Odepchnęła go gwałtownie. - On odszedł! Umarł! I to przez *ciebie!*

Przyszło jej na myśl całe to cierpienie, jakie wywołała jego głupota. Nie tylko jej własne, ale też jej rodziców i rodzeństwa. Oczami wyobraźni widziała, jak jej mama płacze nad grobem, jak ojciec upada na kolana, łkając bezsilnie w stodole, gdy myślał, że nikt go nie widzi.

Przypomniała sobie własny żal, mroczne dni po śmierci Michaela, gdy nie umiała podnieść się z łóżka. Lata koszmarów, braku snu i to, co najgorsze - ziejąca pustka w sercu po stracie ukochanego brata.

I to wszystko przez Becketta. Zamiast otwarcie się przyznać, trzymał ich wszystkich w niewiedzy. Przecież na własne oczy widział, jak cierpiała. Trzymał ją w ramionach, gdy wypłakiwała oczy. Doskonale wiedział, co zrobił.

- Ty... jak mogłeś...

- Mówię ci wszystko teraz... Gwałtownym ruchem otarła łzy z twarzy.

- Mogłeś powiedzieć mi wcześniej. Byłeś mi to winien. Myślałam, że mnie...

Kochasz. To słowo nie przeszło jej przez gardło. Nie chciała nawet o tym myśleć, bo czuła się zdradzona przez jego milczenie.

- Co mogę teraz zrobić, kochanie? Powiedz mi, co mogę zrobić.

Spojrzała na niego, wmawiając sobie w duszy, że nie obchodzi jej jego czułość. Nie obchodzą jej łzy płynące mu z oczu. Nie obchodzą jej jego ramiona opuszczone w geście klęski i porażki.

Przełknęła ślinę i mrugnęła powiekami, by odgonić łzy.

- Idź sobie, Beckett. To możesz zrobić. Możesz sobie iść i zostawić mnie w spokoju.

Kolejny dzień ciągnął się noga za nogą, jak koń pod górę. Madison miała mnóstwo wolnego czasu do wypełnienia i jeszcze więcej niechcianych myśli. Zignorowała wiadomość głosową od Becketta, który prosił ją, by zadzwoniła.

Zamiast tego wysprzątała dokładnie cały dom od dachu aż po ganek, a gdy skończyła, umyła jeszcze spizarnię i lodówkę. A mimo to zegar tykał dziś wyjątkowo powoli. Gdy porządkowała salon, znalazła leżący pod stosem pism medycznych dziennik do modlitwy. Wzięła go do ręki i przypomniała sobie słowa mamy sprzed dwóch dni.

Co miała do stracenia? Odłożyła ścierkę i z sercem w gardle sięgnęła po długopis. Słowa wypływały spod jej ręki pomału, na początku trochę niezdarnie, bo próbowała poukładać swoje myśli. Ale im dłużej pisała, tym szybciej przelewała słowa na papier i tym bardziej szczerze wyrażała swoje uczucia.

Gdy doszła do czwartej strony, łzy płynęły jej już ciurkiem z oczu, kiedy opisywała swój gniew i ból z powodu utraty

brata. Poczucie niesprawiedliwości z powodu jego śmierci, z powodu bycia oszukiwaną przez tyle lat.

Opisała to, jak wściekła była na Becketta i jego rolę w wypadku Michaela. Wiedziała, że Bóg istnieje, że jest wszechmogący, wszechobecny i tak dalej. Jasne, że znał jej myśli. Przelewanie ich na papier nie sprawiało, że stawały się przez to bardziej realne, ale naprawdę przynosiło jej ulgę.

Widzisz to wszystko. Boże? Jestem wrakiem człowieka. Wiesz o tym?

Ale to też przecież wiedział. Po godzinie ciągłego pisania, Madison odłożyła wreszcie długopis. Palce bolały ją od ściskania go w dłoni, piekły ją oczy. Czuła się tak, jakby jej serce było posiniaczone i skołatane.

Boże, jestem na dnie. Nie umiem spać. Nie potrafię normalnie żyć. Tracę pracę. Czego jeszcze ode mnie chcesz?

Ciebie samej.

Te słowa opadły na jej serce miękko niczym piórko.

Zapiekły ją oczy. Me wiem, czy naprawdę mnie chcesz, Boże. Nie byłam zbyt...

W jej głowie zaświtała pewna myśl, a z głębin wspomnień wypłynęło jedno sprzed lat.

Była w dziewiątej klasie. Michael wszedł do pokoju, gdy leżała na łóżku, płacząc z twarzą wtuloną w poduszkę. Materac ugiął się, gdy brat przysiadł na jego krawędzi.

- Co się stało, Madders?

Usiadła na łóżku i otarła twarz z łez. Michaelowi mogła powiedzieć wszystko. Nawet to. On nie zmieniłby nigdy swoich uczuć wobec niej. To była najwspanialsza rzecz w byciu jego siostrą.

Ale mimo wszystko zarumieniła się.

- Przyłapali mnie dzisiaj, jak ściągałam na biologii. Potrząsnął głową w geście zadziwienia.

- Przecież jesteś najmądrzejsza w klasie.

- Pomagałam Tricii Belvins. - Tricia była najpopularniejszą dziewczyną w szkole i Madison zabiegała o jej przyjaźń. - I musiałam zostać za karę po lekcjach! Jak mama i tata się dowiedzą, będą wściekli!

- No, będzie pozamiatane. - Michael uśmiechnął się cierpko i trącił ją w ramię. - Ale zobaczą, że jest ci przykro.

- Normalnie nie wierzę, że zrobiłam coś takiego. I to jeszcze dla głupiej Tricii Belvins! - Otarła łzy z policzków.

Michael nie mówił nic przez chwilę.

- Każdy popełnia błędy, Madders. Ale rodzice ci wybaczą. I Bóg też.

- I co to niby da? I tak będę miała szlaban.

- No, pewnie tak. Ale On zabierze ci poczucie winy. A to jest chyba w tym wszystkim najgorsze, co nie?

Miał rację. Poczucie winy zżerało ją całe popołudnie. Żołądek miała ściśnięty. Ale Michael nie był taki jak ona. Nigdy w życiu nie zrobiłby czegoś tak głupiego.

- Bóg chyba nie chce mnie słuchać. Nie jestem taka jak ty.

- Bóg chce nas takimi, jakimi jesteśmy. Chce budować z nami relacje. Nie sądzisz, że to wspaniałe?

Madison nie wiedziała, co to znaczy. Mówił to nie pierwszy raz, ale jak można budować relację z niewidzialnym Bogiem? On nie był przy niej, by ją przytulić, by z nią porozmawiać, by śmiać się i płakać razem z nią. Czasami Madison w ogóle nie rozumiała swojego brata.

A teraz zegar wybił pełną godzinę i wyrwał ją z wiru wspomnień. Czy Bóg naprawdę chciałby zbudować z nią relację?

Jakby to miało wyglądać? Pomyślała o rodzicach i Ryanie. Wiedli normalne życie, ale nie mogła zaprzeczyć, że mają coś, czego jej brakuje. Czy to właśnie o taką relację chodziło Michaelowi?

Madison wzięła długopis i znowu zaczęła pisać.

Me rozumiem tego wszystkiego, Panie Boże. Ale chcę mieć to, co mają oni. Wszystko schrzałam i dłużej sama nie dam rady. Weź mój gniew i pomóż mi się z nim uporać. Wybacz mi moje grzechy i zacznij działać w moim życiu. Pokaż mi, co mam robić!

Coś głęboko w środku niej zaczęło pękać, uwalniać się, jakby rozwiązywał się długo i mocno zaciśnięty supeł. Pisała dalej. Gdy odłożyła wreszcie długopis, strony dziennika były już całkowicie wypełnione słowami, a jej serce przepełniał spokój.

Zapach czosnku i oregano sprawił, że Beckettowi skręcił się żołądek. Pizzeria u Cappyego była prawie pełna, a krzesła zwrócono w kierunku telewizorów transmitujących mecz. W sali bilardowej trwała zacięta gra.

Beckett zamówił napoje i rozsiadł się wygodnie. Co za koszmarny dzień. Madison się nie odzywała, ale nie oczekiwał tego. Przez to, że jej o wszystkim powiedział, czuł się jak palant. Przez to, że czekał, by jej o wszystkim powiedzieć, czuł się jak jeszcze gorszy palant.

Uważał, że w ten sposób zachowa się wobec niej przyzwoicie, że to właśnie należało zrobić. Powinien był przyznać się już dawno temu, ale teraz było już za późno, by to

naprawić. Za późno, by naprawić wiele błędów.

Dostrzegł, jak do restauracji wchodzi Layla i kieruje się w jego stronę pewnym krokiem na swoich długich nogach. Przywitała się po drodze z kilkorgiem znajomych, po czym zwinnie wśliznęła się do łoży naprzeciwko Becketta. Uśmiech momentalnie zniknął jej z twarzy, kiedy spojrzała mu w oczy.

- Co ty, oglądałeś cały dzień *Śmierć w Wenecji*?⁷ Ostrzegałam, że ci się nie spodoba.

Beckett odwrócił wzrok i popatrzył na telewizor, w którym właśnie jakiś podekscytowany komentator rozwodził się nad dzisiejszym składem drużynowym.

Layla dotknęła jego ramienia.

- Hej, wszystko w porządku? Chodzi o tatę? O dziadka? Co się stało?

-Nie.

- Pokłóciliście się z Madison?

- Można tak powiedzieć... - Nie miał ochoty wchodzić w szczegóły. Powędrował myślami do poprzedniego wieczoru. Widział przed oczami spojrzenie Madison. Nieprędko uda mu się wymazać je z pamięci. Czowała się zdradzona. Czy mógł ją za to winić?

Layla pokręciła głową, przyglądając mu się uważnie.

- Ty ją naprawdę kochasz. Masz to wypisane na twarzy. I to wiele tłumaczy.

Beckett spojrzał na nią uderzony prawdą bijącą z jej słów. Mocno zacisnął zęby. To prawda, kochał ją. Tak bardzo. Od tak dawna. A jednak zrobił coś tak strasznego. Skrzywdził ją. Poczował, że jego ramiona uginają się pod niewidocznym ciężarem.

- Ona też cię kocha?

- Nie wiem. - Beckett potarł dłonią kark. Tak daleko jeszcze nie zaszli. Może to i dobrze. Wystarczyło, że on miał złamane serce.

Znowu przypomniał sobie wejrzenie Madison, poczucie krzywdy odbijające się w jej oczach. Nie, nie tylko jego serce było złamane.

- Nie jestem dla niej dość dobry, Laylo.

- Nieprawda.

Pokręcił głową. Skrzywdził ją. Spowodował największe cierpienie w jej życiu. Madison nigdy więcej nie spojrzy na niego bez przypomnienia sobie, że to właśnie on spowodował śmierć Michaela. I że przez tyle lat trzymał to w tajemnicy.

Jej rodzina też mu tego nie zapomni. Pan McKinley zda sobie sprawę, że nie mylił się co do niego od samego początku.

Już wyobrażał sobie następne rodzinne spotkanie przy grillu w ogrodzie rodziców Madison. A nie mówiłem? Ten młody O'Reilly to nic dobrego. Lepiej ci będzie bez niego, Madison.

- Przestań w tej chwili. - Layla chwyciła go mocno za rękę.

-Co?

- Dobrze wiesz co. Znowu wmawiasz sobie, że nie jesteś dość dobry. Nie zniosę tego!

- Daj spokój, Layla.

- Sam daj spokój! - Szarpnęła go.

Patrzyła na niego przez różowe okulary młodszej siostry. To nic złego. Miał nadzieję, że nigdy ich nie zdejmie. Ale

przecież on wiedział lepiej. Wiedział, co zrobił.

Madison też już się dowiedziała. Cała jej rodzina też pewnie została już poinformowana.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Beck. Będiesz kiedyś fantastycznym mężem. I wspaniałym ojcem.

- Bo miałem taki doskonały wzorzec? - Uśmiechnął się cierpko. - Nie zastanawiałaś się, ile mamy w sobie genów ojca? Albo matki? Powiedzmy sobie szczerze, genetyka nie obdarowała nas zbyt hojnie.

- Ale wciąż mamy prawo wyboru. Możemy być, kim tylko chcemy. A ty zawsze byłeś przy mnie, Beck. Nawet gdy byliśmy dziećmi. Przychodziłeś na moje mecze siatkówki, jakbyś był moim ojcem. Zaslugujesz na kogoś wyjątkowego. Jeśli tym kimś jest Madison, to zawalcz o nią.

Beckett nie mógł zaprzeczyć, że bardzo chciał wierzyć w jej słowa. Ale Layla nie wiedziała wszystkiego. Nie знаła tajemnicy, która pożerała go przez te wszystkie, długie lata. Nie wiedziała, jak niesamowicie skrzywdził kobietę, którą tak kochał.

- Przepraszam cię. - Odłożył menu do stojaka. - Nie jestem głodny. Nie mogę.

- Beckett. - Layla chwyciła go za rękę.

- Wróć lepiej do domu. Upewnię się, że ojciec nie zaliczył gleby w łazience.

- Pogadaj z nią, Beck. Ludzie się kłócą, to normalna rzecz w związkach. I nie zadręczaj się tym, bo to tylko pogorszy sprawę.

Ale Layla nie miała tym razem racji. To nie była normalna rzecz. Beckett zmusił się do uśmiechu i wstał, rzucając na stół dwudziestodolarowy banknot.

- Zjedz sobie całą Wielką Strawę. I zabierz resztki, jeśli coś zostanie.

- Ale z ciebie uparty osioł, Beckett! - Zmarszczyła brwi.

- Tylko, gdy mam rację.

Madison podjechała pod dom rodziców z głową ciężką od myśli. Zadzwoiła po południu do mamy i opowiedziała jej o swojej decyzji i o tym, jak zapisywała swój dziennik. Powiedziała jej też, że chciałyby porozmawiać z pastorem Adamsem i poprosić go, by wkrótce udzielił jej chrztu. W głosie mamy usłyszała łzy wzruszenia.

Ale drugą część wiadomości chciała przekazać osobiście. Jeśli dziś wieczorem popłyną jeszcze jakieś łzy, to raczej nie ze szczęścia. Do ostatniej próby przed spektaklem miała jeszcze godzinę. To powinno wystarczyć, by przekazać wieści i pozwolić rodzicom je przetrawić. Taką miała nadzieję.

Wjeżdżała po krętym żwirowym podejździe, wchodząc w zakręty na pamięć. Rodzicom na pewno trudno będzie słuchać o tym, jak zginął Michael. Nie chciała otwierać starych ran, ale mieli prawo o wszystkim się dowiedzieć. Beckett.

Gniew i cierpienie zalały ją w równych proporcjach, poprzedzając ukłucie współczucia. Tamto wejrzenie w jego

oczach, jego drżący głos, gdy wszystko jej wyjaśniał. Od-
daliła tę myśl i pozwoliła, by inne zajęły jej miejsce. Łatwiej
było się gniewać.

Podjechała pod dom i zastała rodziców na huśtawce na ganku,
jak rozkoszowali się ostatnimi dniami lata.

Chwilę później wspięła się po drewnianych stopniach,
szukając w głowie słów, które złagodzą główny atak. Kiedy się
przywitani, Madison usiadła na krześle naprzeciwko rodziców,
a huśtawka zaskrzypiała przyjemnie znajomo i uspokajająco.

- Piękny wieczór, prawda? - powiedział tata.

- Idealny. Kukurydza wygląda znakomicie, tato. Pięknie
rośnie.

- To dobry rok, chwała Bogu. Lubię bogate żniwa. - Posłał jej
uśmiech. - A mówiąc o siewcach i żniwach...

- Mama ci powiedziała.

- Tak się cieszę, kochanie.

- Oboje się cieszymy.

- Zanosilo się na to od dawna. - Madison wiedziała, że ma
jeszcze dużo pracy przed sobą. Ale miała Boga i kochającą
rodzinę. Mnóstwo czynników, które działały na jej korzyść.

- Jestem ci winien przeprosiny, jeśli chodzi o Becketta
-powiedział tata. - Obserwowałem was, gdy byliście tu razem. I
chyba źle go osądziłem.

Madison westchnęła głęboko. Za parę minut znowu zmieni
zdanie.

- Dzięki, tato.

- Jesteś głodna? - spytała mama. - Zostało trochę wieprzowiny
i kukurydzy.

- Nie, dziękuję. - Na samą myśl o jedzeniu skręcał jej się
żołądek.

Jej rodzice, przytuleni do siebie na huśtawce, wyraźnie rozkoszowali się tą chwilą. Tak naturalnie przywykli do pustego gniazda, z którego wyfrunęły ich dzieci, że te żartowały mówiąc, że czują się obrażone.

- Jade odezwała się dziś do mnie - powiedziała mama.

- Naprawdę? - Madison nie rozmawiała z Jade od czasu regat.

- Dzwoniła do mnie do sklepu. Sądząc po tonie głosu, wszystko u niej dobrze - tak mi się wydawało. Cudownie było ją usłyszeć.

- Ciągle pracuje w kawiarni?

- Tak powiedziała. Chyba dostaje niezłe napiwki. Ojciec mocniej objął mamę ramieniem.

- No mam nadzieję - powiedział. - Przy tych wielkomiejskich cenach...

- Ciągle mieszka z przyjaciółkami i mają wreszcie telefon. Madison zapisała numer siostry, który podyktowała jej mama.

- Jakoś lepiej mi z myślą, że mogę się z nią skontaktować - powiedziała.

- Wiem, co czujesz - odparła mama. - Nic jej nie będzie.

- Tęsknię za nią. Bez niej dom jest taki pusty. Huśtawka skrzypiała rytmicznie. Wiatr szeleścił liśćmi

i wydawał charakterystyczny szum, mknąc przez pola kukurydzy w oddali. Był to dźwięk tak znajomy, że Madison słyszała go nawet we śnie.

- No, mogłaby już powiedzieć, o co jej chodzi - rzekł tata.

- Thomas.

- No co, przecież widzę, że coś ją gryzie.

- Tata ma rację, mamó. - Madison odkleiła łuszczący się kawałek farby z oparcia krzesła. - Tylko nie wiem, od czego zacząć.

- Nie spiesz się, skarbie. Mamy całą noc.

Madison przyjrzała się im. Filigranowa postać mamy wtulała się w bok ojca. Czy jej wieści zniszczą ich spokój? Nie chciała ich krzywdzić. Tyle w życiu przeszli.

Ale musiała im powiedzieć. Byli silni. Silniejsi niż ona. Wierzyli w Boga i potrafili na Nim polegać. To bezcenny komfort, który Madison zaczynała dopiero poznawać na własnej skórze.

- Ja... Dowiedziałam się czegoś, o czym muszę wam powiedzieć. To ma związek z Michaeliem. I jego śmiercią.

Z twarzy ojca i z kącików oczu mamy zniknął uśmiech.

- Rozmawiałam z Beckettem i on powiedział mi, że był tam tamtego dnia. Pływał w rzece. Z Michaeliem.

Mama popatrzyła na tatę, a on mocniej uściśnął jej ramię.

- Zawsze zastanawiałam się, co skłoniło go do skoku. Przecież nie był ryzykantem. Ale teraz... to wszystko ma sens. -Spojrzała na rodziców. - Beckett powiedział mi, że skoczył z klifu. I potem jeszcze mówił, że... - To była najtrudniejsza część. - ... że droczył się z Michaeliem, który bał się skoczyć. Chyba nie złośliwie, tylko... - Czemu próbowała go usprawiedliwiać? Zamknęła usta.

- Och, skarbie...

- Oczywiście wściekłam się na niego. Zerwałam z nim. Nie mogę uwierzyć, że nigdy nam o tym nie powiedział, że mi nie powiedział.

- Jo... - tata zwrócił się do mamy.

- Nie mogę o tym myśleć. Michael tam nad rzeką, całkiem sam, próbujący udowodnić coś bezsensownego samemu sobie. To okropne. A jeszcze gorsze jest to, że Beckett wiedział o wszystkim. I trzymał to w tajemnicy przed nami wszystkimi, przede mną, a ja zaczynałam...

Go kochać.

Zaczynałaś, Madison?

Zamknęła oczy, złapała oddech. No dobra. Kochała go. Wpadła po same uszy, po sam czubek głowy i nie było już odwrotu. Ale to nie miało już znaczenia.

- Jo - powtórzył tata. - Musimy jej powiedzieć. Rodzice spojrzeli na siebie i przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy.

Wzdłuż kręgosłupa Madison przeszedł dreszcz przerażenia.

- Co musicie mi powiedzieć, tato?

Ojciec złapał dłoń mamy. Otworzył usta, ale po chwili je zamknął.

- Mamo? - Co mogli mieć jej do powiedzenia? Mogła sobie to tylko wyobrażać. Przerażenie sprawiło, że wszystko w niej zamarło.

Huśtawka zatrzymała się. Mama pochyliła się i położyła dłoń na ręce Madison.

- Skarbie, jest coś, co powinnaś wiedzieć. Coś, czego wam nie powiedzieliśmy. - Spojrzała na tatę, który zacisnął usta.

- Co takiego? Przerażacie mnie.

Mama zacisnęła mocniej dłoń na jej ramieniu.

- Skarbie, Michael nie zginął, skacząc z klifu. Madison zmarszczyła brwi, próbując zrozumieć sens tego, co usłyszała.

- Doznał wstrząsu. Od uderzenia w wodę. Zemdlał i utonął. Tak było napisane w wynikach autopsji. Tak mówiliście.

Coś błysnęło w oczach mamy. Ojciec oparł łokcie na kolanach.

- To prawda, że doznał wstrząsu. Czasami coś takiego przydarza się, jeśli człowiek skoczy do wody z dużej wysokości. Ale w przypadku Michaela było inaczej.

- Nie rozumiem, co do mnie mówicie.

- Skarbie, Michael był chory.

- Nie wiedzieliśmy o tym - dodał tata. - Nie miał żadnych objawów aż do tamtego dnia. Autopsja wykazała schorzenie genetyczne. Powiedzieli nam, że umarł nagle i uderzył głową o skałę, gdy upadł.

- Nie utonął? Jaka to choroba? Czemu nam nie powiedzieliście?

- Jakieś zaburzenie metabolizmu, ale powiedzieli nam, że takiego jeszcze nie widzieli - powiedział tata.

- Odkrywają regularnie nowe rodzaje. Ale to była jedna z odmian czegoś, co nazywają wrodzonymi błędami metabolizmu. A nie powiedzieliśmy wam, bo... - Mama spojrzała na tatę.

- Bo to wada genetyczna. A ponieważ nie umieli zidentyfikować jaka to choroba, nie dało się na nią przebadać.

- Skarbie, nie chcieliśmy, żebyście żyli w strachu, że możecie pewnego dnia po prostu... paść martwi.

- To znaczy, że mogę to mieć? I Ryan, i PJ, i Jade też? Powinniście byli nam powiedzieć.

Jak rodzice mogli ukrywać przed nimi coś tak ważnego?

- To raczej niemożliwe, by któreś z was to miało, ale prawdopodobieństwo jest większe w przypadku rodzeństwa. Tak, teraz też myślę, że powinniście byli się tego od nas dowiedzieć, ale wtedy...

- Wszyscy byliśmy zszokowani - powiedział tata. - Sami mieliśmy wszystkiego dość i łatwiej było po prostu o tym nie mówić.

- Ty miałaś problem z wyrażaniem swoich uczuć - powiedziała mama. - Ryan bardzo schudł. PJ bez przerwy płakała, a Jade do nikogo się nie odzywała. Nie chcieliśmy dodawać wam trosk. Prawie wtedy zapomnieliśmy, jak się oddycha.

Madison pamiętała to aż za dobrze. Czasem zadziwiało ją to, jak ludzie potrafili poradzić sobie z takim bólem i żyć dalej normalnym życiem. Ale mimo wszystko wolałaby wiedzieć. Może to pomogłoby jej pogodzić się ze śmiercią Michaela. A może nie. Może przez to martwiłaby się tylko bardziej o siebie.

- I nie da się na to przebadać? Ojciec pokręcił głową.

- Patolog nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widział.

- Przepraszamy, skarbie, jeśli podjęliśmy złą decyzję.

- Nigdy nawet o tym nie rozmawialiśmy - powiedział tata. - Po prostu żadne z nas nic nie mówiło i tak już zostało. A gdy żal minął, powód jego śmierci przestał być istotny.

- Ale nie dla Becketta - powiedziała mama. - Biedaczysko. Musiało go męczyć okropne poczucie winy.

Beckett. Madison odtworzyła w myślach swoją rozmowę z nim. Westchnęła ciężko i ukryła czoło w dłoniach.

- A ja go tak okropnie potraktowałam. Potwornie. Powiedziałam mu...

*Że śmierć Michaela to jego wina. Żeby sobie poszedł. Przy-
mknęła oczy. Nie chciała o tym myśleć.*

- My powiemy mu prawdę - powiedziała mama. - To nasza wina, że nie wiedziałaś. Że nikt nie wiedział.

Ale mimo wszystko mogła potraktować Becketta łagodniej. Przecież nie skrzywdził Michaela celowo. Prawdę powiedziawszy, nie zrobił nic złego. Madison powinna była wziąć kilka głębokich oddechów, zamiast tak gwałtownie reagować. Ale tego nie zrobiła i straciła nad sobą panowanie. Ona, która najlepiej ze wszystkich ludzi na świecie wiedziała, co to znaczy dźwigać poczucie winy. Wiedziała jaki zamęt wprowadza ono w życiu, jak potrafi wyniszczyć umysł, zdekoncentrować, zrujnować umiejętność podejmowania racjonalnych decyzji.

Co sobie myślała, że postanowiła rzucić w niego kamień? Była niewdzięczna i okrutna. Nie potrafiła mu przebaczyć.

- Dzięki, mamó, ale lepiej ja mu powiem.

- Oczywiście. Jak sobie życzysz. Daj nam, proszę, znać, jeśli będziemy mogli coś dla ciebie zrobić.

Madison musiała teraz to wszystko przetrwać, ale najpierw koniecznie chciała wyprostować nieporozumienie z Beckettem, dla własnego świętego spokoju. Czy Beckett był wciąż na kręgu biblijnym? Popatrzyła na zegarek, ale nie wiedziała, o której kończą się zajęcia. Zresztą nie miało to znaczenia, bo za kwadrans zaczynała próbę generalną do przedstawienia i nie mogła jej przegapić.

Potem wpadnie do niego do domu, bez względu na to, jak późno tam dotrze. Te długie godziny, które dzieliły ją od spotkania z Beckettem rozciągały się przed nią niczym opuszczona autostrada, a w najciemniejszym zakamarku jej umysłu pojawiło się pytanie: czy on jeszcze ją zechce?

W drodze do teatru myśli Madison pędziły z prędkością światła. Michael nie utonął. Zmarł na śmiertelną chorobę - jak rodzice ją nazwali? Jakiś błąd metabolizmu? Ona i jej rodzeństwo też mogli być chorzy.

Jakie były objawy? Czy musiała zmienić swoje życie? I wtedy do niej dotarło. Od śmierci brata upłynęło dziesięć lat. Dekada w medycynie to bardzo dużo czasu. Gdy tylko dojechała do teatru, złapała za kulisami Drew i odciągnęła go na bok.

- Chciałam cię prosić o przysługę.

- Jasne, o co chodzi? - spytał Drew, zapinając ostatni guzik swojego kostiumu.

- Czy jeśli ktoś zmarły dziesięć lat temu miał robioną autopsję, to jej wyniki wciąż są dostępne do wglądu?

- Tak. - Drew zamarł, słysząc to dziwne pytanie. - Slajdy i tkanki są zwykle przechowywane latami. Czemu pytasz?

- Co trzeba zrobić, żeby ktoś na nowo się im przyjrzał? Za przyczynę śmierci uznano zaburzenie metabolizmu, ale

w tamtych czasach nie umiano dokładnie zidentyfikować tej choroby.

- Chodzi o twojego brata? Madison pokiwała głową.

- Hmm... - Drew potarł dłonią podbródek. - Nie jestem pewien, jak to dokładnie działa.

- A mógłbyś się dowiedzieć?

- W Chicago pracowałem z jednym patologiem. Wiesz co, zadzwonię do niego i zobaczę, co da się zrobić.

Madison ścisnęła jego rękę.

- Dziękuję ci, Drew. Mam u ciebie dług wdzięczności. Prędko przebrała się w kostium. Teraz musiała się skupić na sztuce i odsunąć wszelkie inne myśli na bok.

Odgrywali trzecią scenę pierwszego aktu, gdy nagle włączył się alarm. Przerażliwie głośny przerywany sygnał rozległ się w całym teatrze. Madison zakryła dłońmi uszy.

- To syrena przeciwpożarowa?

- Chyba tak! - odkrzyknął Drew.

- Może fałszywy alarm. To stary budynek - powiedział ktoś jeszcze.

Pozostali członkowie obsady wyszli na scenę poprzebierani w swoje kostiumy.

- Wychodzimy?

- Dzwonimy po straż?

Madison, której kostium stanowił płaszcz kąpielowy, zaciśnęła mocniej pasek i wciągnęła powietrze nosem.

- Czuję dym!

Wszyscy inni mówili to samo. Wybiegli ze sceny i gorączkowo zaczęli zbierać swoje rzeczy, poganiając innych do wyjścia.

Drew wyciągnął telefon.

- Dzwonię po straż.

Gdy wychodzili za kulisy, dym stał się gęstszy. Tuż przed nimi Madison zobaczyła płomienie. Naciągnęła koszulę na nos, ale mimo to paliło ją w płucach. Pot spływał z niej strumieniami, gdy biegli pomiędzy płonącymi stosami tkanin.

- Są wszyscy? - Madison spytała Drew, gdy ten się rozłączył. -
Gdzie Layla?

- Przed nami, widziałem ją.

- A Elliot? - wykaszała Madison.

- Nie wiem.

- Musimy po niego wrócić!

- Pewnie wyszedł pierwszy.

Nie mogli ryzykować. Madison wróciła myślami parę chwil wstecz.

- Zanim zadzwonił alarm, widziałam go na drabinie, jak ustawiał reflektor.

Odwróciła się z powrotem w kierunku, z którego przyszli.

- Madison, nie!

Pobiegła wzdłuż korytarza. Z każdym krokiem robiło się coraz bardziej gorąco. Za plecami usłyszała kroki Drew.

- Musimy się pospieszyć! - powiedział.

Ominęli płonące rekwizyty i opadającą kurtynę. Wdarli się na scenę. Madison spojrzała w kierunku drabiny i spostrzegła kulącą się pod nią postać.

- Jest!

Elliot siedział z kolanami pod brodą i głową opartą na łokciach.

- Chodź, Elliot, musimy uciekać! - Madison pociągnęła go za ramię.

Elliott stawiał opór i jeszcze mocniej się skulił.

- Nie ma czasu! - Drew podniósł chłopaka, biorąc go na rękę. - Szybko!

Ściana ognia blokowała przednie wyjście z teatru. Musieli wyjść tą samą drogą, którą przyszli. Madison, kaszląc w koszulę, kluczyła w płonącym bałaganie i co chwila oglądała się za siebie. Wątle ciało Elliota podskakiwało przy każdym kroku.

Powietrze przesycone było dymem. Płuca Madison płonęły, a oczy piekły ją tak mocno, że ledwo mogła trzymać je otwarte. Widziała zaledwie na kilkadziesiąt centymetrów w przód. Nie miała pojęcia, jak Drew daje radę nieść Elliota. Za ostatnim zakrętem stwierdziła, że wyjście musi być już blisko.

Zobaczyła światło, a dym przerzedził się, gdy wypadli na zewnątrz.

- Bogu dzięki! - zawołała Dottie. - To już wszyscy.

Madison wciągnęła łapczywie tlen i zatoczyła się w kierunku pozostałych ocalałych zgromadzonych na parkingu za teatrem. Upadła na kolana, nie zwracając uwagi na ostre kamyki przebijające jej skórę.

- Oddychaj głęboko... Oczyszczyć płuca - powiedział Drew. - Karetka już jedzie.

- Nic mi nie jest. Sprawdź Elliota.

Młody człowiek siedział skulony i ciężko kaszłał. Ktoś obok dzwonił do bliskich. Kilka chwil później ciemność nocy przeszył błysk i ryk syren wozu strażackiego.

- Już są - powiedział ktoś z tłumu.

Straż podjechała pod sam budynek. Z tyłu unosiły się kłęby dymu, ale nie było widać żadnych płomieni. Wszyscy wstrzymali oddech, patrząc, jak strażacy ochotnicy wchodzą

do płonącego budynku. Madison widziała wśród nich Ryana i szeptała modlitwę o jego bezpieczeństwo mimo uporczywego kaszlu. Dottie podbiegła do nich, by przekazać im, że nikomu nic się nie stało.

- Co mogło rozniecić ogień? - spytał ktoś.

- Jakąś godzinę temu widziałem Wayne'a O'Reilly'ego za kulisami. Palił papierosa.

Madison odwróciła się, by zobaczyć, kto to powiedział. Gary.

- Podnosiłem kurtynę i poczułem dym. Odwróciłem się i go zobaczyłem. Pijak i łajdak. Kazałem mu zgasić tego peta.

- To na pewno od tego wybuchł pożar.

Stojąca za Garym Layla słyszała każde jego słowo. Madison było jej żal, że musiała słuchać takich oskarżeń kierowanych pod adresem ojca. Layla powiedziała coś do jednego z charakteryzatorów i opuściła tłum, kierując się w stronę frontu budynku.

- Po co w ogóle O'Reilly tu przychodził?

- A kto go tam wie? - Gary wzruszył ramionami.

- Pewnie nawet nie wiedział, co robi.

- Parę dni temu znowu jechał pijany i omal nie rozjechał mojego taty. Powinni go wsadzić za kratki, zanim kogoś zabije.

- Założę się, że to on. Że upuścił tego papierosa.

- Wkrótce pewnie się dowiemy.

- Czy ktoś widział, jak wychodził? Kilka osób pokręciło głowami.

Madison otuliła się swoim płaszczem kąpielowym ogarnięta wieczornym chłodem. Kaszła tak, że miała wrażenie,

iż płuca zaraz jej eksplodują. To była ostatnia rzecz, jaką zapamiętała. Potem ogarnęła ją ciemność.

Beckett zdjął burgera z patelni i położył na bułce. Zazwyczaj zapach smażonej wołowiny sprawiał, że ciekła mu ślinka, ale dzisiaj przyprawiał go o mdłości.

Włożył patelnię do zlewu i obdarował hojnie swojego burgera musztardą. Musiał jeść, bez względu na to, czy odczuwał głód, czy nie. I koniecznie musiał się wyspać.

Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były torturą. Cały czas miał przed oczami twarz Madison. Poprzedniej nocy nawet mu się śniła. Była na pokładzie tonącej łodzi, on stał na brzegu. Wskoczył do wody i płynął w jej kierunku. Im dalej płynął, tym dalej dryfowała łódź, tonąc coraz szybciej. Gdy Madison całkowicie zniknęła pod powierzchnią, Beckett się obudził.

Zrzucił kołdrę i leżał na wznak z walącym sercem, bojąc się zasnąć ponownie, przerażony, że sen może powrócić. Że nie odnajdzie w nim Madison. Że ją straci. Nagle dotarło do niego, dlaczego koszmary Madison miały tak wielki wpływ na jej życie.

i to wszystko twoja zasługa, O'Reilly.

W głębi ducha spodziewał się, że odezwą się do niego dziś inni McKinleybwie, może jej ojciec albo Ryan. Miał u nich dług, którego nigdy nie będzie w stanie spłacić.

Zabrał talerz do salonu i usiadł w swoim ulubionym fotelu.

Nagle ktoś wpadł do domu przez frontowe drzwi.

- Gdzie on jest?! - Layla zatrzasnęła drzwi za sobą i wpadła do środka, nie czekając na odpowiedź.

Beckett podskoczył i poszedł za nią. Weszła gwałtownie do pokoju ojca. Leżał na brzuchu na łóżku z twarzą w poduszce.

- Coś ty narobił, tato?! - Potrząsnęła nim. - Obudź się i odpowiedz mi!

Beckett złapał ją za ramię.

- On kompletnie odpłynął, Layla. Co się stało?

Nawet w ciemnościach zobaczył, że twarz miała przybrudzoną czymś czarnym. Jej oczy ciskały gromy.

- Powiem ci, co się stało. Nasz ojciec podpalił teatr!

- Co? - Beckett zeszywniał. - Nic ci nie jest?

- Nie, nic.

- Czekał no... Dzisiaj? Podczas próby? *Madison!*

- Ona jedzie teraz do szpitala, razem z kilkoma innymi osobami.

- Nic jej nie jest? - Zamarł.

- Nawdychała się dymu. Podadzą jej tlen, zrobią prześwietlenie i takie tam.

Beckett zaprowadził siostrę do salonu, cały czas myśląc o Madison. Tak bardzo chciał być teraz przy niej. Zobaczyć na własne oczy, że nic się jej nie stało.

- Siadaj. A ty na pewno nie musisz pojechać do szpitala?

- Wyszłam jako jedna z pierwszych. Nic mi nie jest.

- A Madison... Jesteś pewna, że dojdzie do siebie?

- Tak powiedział Drew. - Layla spacerowała nerwowo po całym pokoju. - Nie mogę w to uwierzyć!

- Czemu ludzie myślą, że on miał z tym coś wspólnego?

- Kiedy wrócił do domu?
- Jakieś pół godziny temu.
- Był w teatrze. Gary widział go, jak palił papierosa za kulisami.

Beckett chwycił dwoma palcami nasadę nosa. Błagam, tylko nie to. Czy ojciec nie spowodował już dość kłopotów?

- A może to nie był papieros? Może ktoś za kulisami... prasował? Albo coś takiego?

- Nie. Wszyscy byliśmy na próbie. To on, Beckett, przecież wiesz. Jak zawsze. - Layla opadła na fotel i odetchnęła głęboko. - Może pojedziesz sprawdzić, co u Madison?

Beckett był pewnie ostatnią osobą, którą Madison chciała teraz widzieć.

- Jak groźny był ten pożar?

Wzruszyła ramionami. Waleczny nastrój chyba ją opuścił.

- Nie wiem. Wyglądał groźnie. Było mnóstwo dymu.

- Zbadał cię ktoś?

- Drew.

- I jesteś pewna, że Madison nic nie będzie? Layla potrząsnęła głową.

- Beckett. Po prostu wsiadaj w auto i jedź do szpitala. Przecież chciał. Pragnął spojrzeć jej w oczy, dotknąć jej,

przekonać się, że nic jej nie jest. I wtedy przypomniał sobie wyraz jej twarzy, gdy przyznał się do prawdy. Rysujący się na niej ból i poczucie zdrady.

Nawet jeśli potrafiłaby mu przebaczyć, ich związek i tak był przegrany. Dlaczego w ogóle pozwolił sobie na to, by pomyśleć, że jest jej godny? Ojciec poszedł siedzieć na tak długo, że Beckett zapomniał, gdzie jego miejsce. Mniej więcej gdzieś pośród mułu na dnie rzeki. To, że Madison w ogóle zechciała

na niego spojrzeć, samo w sobie było cudem. Teraz widział jaśniej niż kiedykolwiek, że pochodzili z dwóch różnych światów.

- Do jutra całe miasto będzie mówiło tylko o tym, co zrobił tata - powiedział.

Miał już dość życia z ciemnymi chmurami gromadzącymi się bez przerwy nad jego głową. Modlił się gorąco, by w dzisiejszym pożarze nikt poważnie nie ucierpiał, ale póty dzban wodę nosi... W końcu nadejdzie taki moment, że ojciec nie będzie miał tyle szczęścia. Beckett musiał coś zrobić. Coś drastycznego.

Layla uniosła brew.

- Powinniśmy się do tego przyzwyczaić.

Beckett odsunął od siebie talerz i rozsiadł się wygodniej w fotelu. Nie mógł nic przełknąć.

- Nie jesz? - Layla patrzyła na burgera.

Podał jej talerz. Ta dziewczyna jadła więcej niż zapaśnik sumo. Nie miał pojęcia, gdzie znikало to całe jedzenie, które w siebie pakowała.

- Przez gniew robię się coraz bardziej głodna. - Wbiła zęby w burgera.

Beckett podał jej ściereczkę, by wytarła twarz z sadzy.

- Dzięki. Jak myślisz, ile będzie spał? Bóg mi świadkiem, że jak tylko się obudzi, to mnie popamięta.

- To nic nie da. Pewnie nawet nie będzie pamiętał, że tam był.

- A co z odpowiedzialnością karną? Boże święty, a jeśli budynek całkiem spłonie? Będziemy musieli pokryć straty?

- Czekaj. Zajmijmy się najpierw jednym.

Layla odłożyła burgera, wyjęła telefon i wybrała numer.

- Do kogo dzwonisz?

- Do Sary Beth. Gra w sztuce z... Hej, Sara! Tu Layla. Jak tam idzie?... A... Och... Dobra... Tak, wiem, co mówią. Nic mu nie jest. Jestem tu z nim, w jego domu... Okej... Dzięki, Sara. Jedź do domu i odpocznij. - Rozłączyła się.

- Ciągle gaszą pożar. Podobno nie wygląda to dobrze. Jeszcze kilka osób wzięli do szpitala na badania, na wszelki wypadek.

- A ojciec oczywiście wychodzi ze wszystkiego bez jednego draśnięcia.

- Oczywiście.

Layla znowu zajęła się burgerem, a Beckett włączył telewizor. Nawet nie chciał myśleć o jutrze.

Beckett położył sklejkę na stole i ustawił głębokość ostrza piły. Nakreślił wcześniej łuk, a teraz tylko musiał ciąć po linii. Łódź wyglądała coraz lepiej.

Pieniądze z głównej nagrody w regatach wciąż leżały na jego koncie. Miał wielkie plany otwarcia własnej firmy, ale nie czuł się dobrze z tym, że dostał te pieniądze - ani wtedy, gdy Madison mu je dała, ani tym bardziej teraz.

Włożył gogle i włączył piłę. Rigsby spacerował wokół budynku. Beckett prowadził drewno starannie i zwolnił ostrze, gdy doszedł do końca linii.

Bardzo źle spał, a o świcie obudził go telefon od Layli, która oznajmiła mu, że Madison i inni zostali już wypisani ze szpitala do domów. W całym miasteczku mówiono tylko o pożarze. Z budynku pozostał jedynie stos osmalonych cegieł. Opis i zdjęcia z katastrofy trafiły na pierwszą stronę gazety *Twoje Chapel Springs*.

Ludzie plotkowali też o udziale ojca Becketta w pożarze teatru, lecz oficjalny raport z miejsca zdarzenia miał zostać

opublikowany w przyszłym tygodniu. Beckett spędził cały dzień, chowając się przed światem, jak to zwykle robił po kolejnych wybrykach ojca.

Obracał drewno wzdłuż wyrysowanej linii. Na stół nagle padł czyjś cień i Beckett podniósł wzrok.

Madison zatrzymała się kilka metrów dalej, z jedną ręką w kieszeni spodni w kolorze khaki, a drugą, trzymając na głowie Rigsbyego. Gdy ją ujrzał, poczuł się tak, jakby ktoś wymierzył mu cios prosto w brzuch. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, mogłaby już nie żyć. Tak jak wielu innych ludzi. I to wszystko przez ojca.

Beckett wyłączył maszynę i zdjął gogle. Zapadła nagła cisza. Przeczesał dłonią włosy, z których posypały się na ziemię drewniane wiórki.

- Cześć - przywitała się.
- Cześć - odpowiedział.
- Przepraszam, że wpadam tak bez uprzedzenia. - Miała ochryply głos, pewnie przez to, że nawdychała się dymu. Nie była zła, chociaż miała powody. Wiele powodów.

- Nic ci nie jest?
- Nie, w porządku.
- Cieszę się.

To było największe niedopowiedzenie w historii ludzkości. Zapewnienia Layli wcale go nie uspokoiły. Widok Madison całej i zdrowej, stojącej tuż przed nim, był niczym balsam dla jego duszy. Przyjrzał się jej dokładnie; słodkim rysom, delikatnym ramionom.

- Było trochę strasznie.
- Layla była przerażona. Ale podobno nikomu nic się nie stało, prawda?

Przytaknęła i podrapała Rigsbyego za uchem. Pies spojrzał na nią z uwielbieniem. Szczęściarz.

- Tylko teatru szkoda - powiedziała. - To był piękny, stary budynek, miał swoją historię.

- A co ze sztuką?

- Pojawił się pomysł, by wystawić ją na skwerze. Może w przyszły weekend. To nie będzie to samo, ale...

Beckett pokiwał głową. Podejrzanie o udziale jego ojca w tragedii unosiło się między nimi w powietrzu niczym ciężka mgła, choć żadne z nich nie poruszyło tego tematu. Beckett nie zrobiłby tego za nic w świecie. Chciał po prostu o tym zapomnieć. O tym i o wielu innych rzeczach.

- Masz chwilę? - spytała.

- Tak, jasne. - Rozejrzał się. Kiepskie miejsce na rozmowę. Nie ma gdzie usiąść. Ojciec w domu. Przeszedł obok Madison i skierował się na podwórze, na którym zaczął już zapadać zmrok. Zmierzch okalał sylwetki drzew tłem różowego nieba. Zastanawiał się, czy to o tym chce porozmawiać - o roli, jaką w pożarze odegrał jego ojciec. Może nie wiedziała, czy te plotki do niego dotarły.

Wskazał jej dłonią stół piknikowy, na którym stała pusta butelka po piwie. Stracił ją, a ta spadła na ziemię, uciszając grającego nieopodal świerszcza.

Usiadł na ławce naprzeciwko Madison. Błąd. Byli teraz twarzą w twarz. Czuł zapach jej perfum. Grzywka opadała jej na oczy, a jego palce aż swędziały, by ją odgarnąć. Zacisnął pięść. Te duże i wrażliwe oczy sprawiały, że pragnął tylko jednego - wziąć ją w ramiona. Przełknął z wysiłkiem ślinę.

- A poza tym jak się czujesz? - spytał, przypominając sobie tamten bolesny wieczór. Właściwie tylko to chciał wiedzieć,

odkąd rozstali się trzy dni temu. Mógł znieść wszystko. Mógł nawet ją stracić, jeśli tylko upewni się, że nic jej nie jest. Boże, jakież ona miała ciężki tydzień.

- W porządku. Ja... Kiepsko się zachowałam tamtego wieczora. Przepraszam cię.

Nie była mu winna przeprosin.

- Miałaś prawo się rozgniewać. To ja cię przepraszam. Spuściła wzrok i przygryzła wargę. Zaczęła bawić się luźnym sękiem w drewnianym stole.

- Chciałam do ciebie przyjechać wczoraj wieczorem po próbie, ale przez ten pożar... Tyle się wydarzyło, odkąd ostatnio rozmawialiśmy, że nie wiem, od czego zacząć.

Z jakiegoś powodu Beckett od razu pomyślał o Drew. Może do niego wróciła. Może zdała sobie sprawę, że zasługuje na kogoś lepszego niż Beckett O'Reilly. Serce zakłuło go na samą myśl.

Tb dobry człowiek, Beckett. Czyż ona na to nie zasługuje? Na mężczyznę, który nie przyniesie jej wstydu? Który będzie dla niej dobrym mężem? Dobrym ojcem dla ich dzieci?

- Po pierwsze doszłam do porozumienia z Bogiem - powiedziała. - Miałaś rację. Pisałam przez kilka dni w pamiętniku o różnych sprawach. Noszę w sobie dużo żalu, którego nigdy wcześniej nie próbowałam wyrazić.

To nie była jego zasługa, ale jej decyzja sprawiła, że zrobiło mu się ciepło na duszy.

- Bardzo się cieszę. Wspaniała wiadomość.

Spojrzała na niego na moment, ale zaraz jej wzrok wrócił z powrotem na dłoń.

- Długa droga przede mną, ale początek mam za sobą. Nie dzięki niemu.

Ponieważ miała spuszczonego wzrok, wykorzystał tę chwilę, by dokładnie zapamiętać to, jak wyglądała. Uwielbiał jej zgrabny nosek i elfi podbródek. Widział już, jak go zadzierała, gdy się upierała, ale nawet wtedy była urocza. Przepelniająca go miłość do niej wezbrała w nim nagle tak mocno, że poczuł, jakby zaraz miał eksplodować.

- I jest coś jeszcze... - powiedziała.

Bał się cokolwiek powiedzieć. Bał się, że jeśli otworzy usta, jego miłość wyleje się z nich w potoku czułych słów. Zaciśnięte zęby.

Położyła swoją dłoń na jego. Pomimo ciepłego wieczoru była lodowata. Odruchowo ujął ją w swoje ręce, próbując ją ogrzać.

- Coś, o czym nie wiesz - ciągnęła. - Coś, o czym sama nie wiedziałam, aż do... - Zamknęła usta i wbiła w niego wzrok. - Michael nie utonął, Beckett. Nie skoczył z tego klifu po tym, jak poszedłeś. Jego śmierć nie miała żadnego związku z tobą.

To nie miało sensu. Oczywiście, że Michael utonął. Wyciągnęli jego ciało z rzeki. Beckett pokręcił głową.

- On nie utonął. Michael miał jakieś schorzenie, jakąś wadę metaboliczną. I na to umarł. Właśnie to było napisane w wynikach autopsji.

- Ale powiedziałaś...

- Bo nie wiedziałam. Dowiedziałam się dopiero wczoraj. Rodzice nigdy nam o tym nie powiedzieli.

Nie miał nic wspólnego ze śmiercią Michaela? Próbował uczepić się tej myśli.

- Jesteś pewna?

- Moi rodzice nie wiedzieli, że chorowałam, a gdy się dowiedzieli, już po autopsji, nie chcieli nam mówić, bo... Nie chcieli nas dodatkowo martwić. To wada genetyczna. Tylko dziesięć lat temu nie umieli dokładnie powiedzieć jakiego typu. Rodzice nie chcieli, żebyśmy się bali, że możemy ot tak, z dnia na dzień nagle umrzeć.

Nagle umrzeć? Te słowa poraziły go niczym prąd. Czy Madison też na to chorowała?

- A ty dobrze się czujesz? Musisz się przebadać. Pokręciła głową.

- Naprawdę, Madison, tu nie ma żartów. Potrząsnęła głową. Jej spojrzenie zmiękło. Ścisnęła mocniej jego dłoń.

- To było coś, czego patolog nie widział wcześniej na oczy. Nie da się na to przebadać. Ale nie o to chodzi. Chodzi mi o to... że nie miałeś nic wspólnego z jego śmiercią. Tak bardzo cię przepraszam za to, co wtedy mówiłam, za to, jak zareagowałam. Zachowałam się okropnie, bez względu na to, w jaki sposób on zmarł.

Czyli to nie jego wina? Michael nie umarł przez niego? Zaczynało to do niego docierać. Wciągnął powietrze głęboko do płuc i wypuścił je powoli, rozsmakowując się w jego ruchu, który przyniósł mu wewnętrzny spokój. To było przyjemne uczucie.

- Wybaczysz mi? Potraktowałam cię okropnie. Wiem, że na to nie zasługuję. - Brzmienie jej głosu sprawiło, że pękło mu serce.

Jej oczy błyszczały. Mrugnęła, by odgonić łzy, ale jedna z nich uciekła i stoczyła się po policzku.

- Oczywiście, że tak. Wszystko okej, Maddy. Wybaczone. Właśnie nazwał ją tak, jak nie powinien, i do tego głąaskał

kciukiem wierzch jej dłoni. Puścił ją i jej dłoń opadła na stół. Swoje ręce schował pod blat, by przypadkiem nie przyszło mu do głowy, by znowu ją dotknąć.

Nie powinien się tak do niej zbliżać, jeśli mają się rozstać. Ulżyło mu, że poznał prawdę, ale to niczego między nimi nie zmieniało.

Na jej twarzy wymalowało się zmartwienie. Odsunęła dłoń. Badała go przez chwilę swoimi brązowymi oczami, które w świetle wieczoru nabrały barwy ciemnej czekolady.

- No... to dzięki. Cieszę się. Ja... nie wiedziałam, czego się spodziewać, gdy do ciebie szłam.

Wyczytał w jej spojrzeniu nadzieję. Czekala, aż on wyciągnie do niej ramiona i scałuje z niej to wszystko, co złe. I Bóg mu świadkiem, pragnął tego jak wariat. Tak bardzo, że serce biło mu na wysokości gardła, całkowicie je zatykając. Zacisnął pięści.

Boże, daj mi siłę, by pozwolić jej odejść. By zrobić to, co dla niej najlepsze, chociaż chciałbym tylko...

- Beckett?

Musiał jak najszybciej się oddalić. Wstał.

- Lepiej już... eee... wrócę do mojej łodzi. Muszę dziś jeszcze sporo zrobić.

Dureń. Przecież ona wie, że nie masz kupca. W jej oczach wymalowało się poczucie krzywdy. Wstała powoli i odeszła od stołu.

- No jasne. Wracaj do pracy. Przepraszam, że cię od niej oderwałam.

Rigsby oparł się o jego nogę, a Beckett położył mu dłoń na głowie.

- Nie oderwałaś. Dzięki, że przyszłaś. I że tyle mi wyjaśniłaś.
- Jego ton brzmiał trochę zbyt formalnie.

- Nie ma sprawy. To do zobaczenia. - Jej głos załamał się na ostatnim słowie i Beckett dostrzegł w jej oczach łzy.

Zacisnął zęby, wsadził ręce do kieszeni i odwrócił się, zanim zdąży zrobić coś, czego by potem żałował.

erce Madison zamarło, gdy usłyszała pukanie. Odłożyła łyżkę do opróżnionej do połowy miski płatków z mlekiem i poszła za Lulu do drzwi. Przez rozmowę z Beckettem miała niespokojną noc. Jej oczy były ciężkie od niewypłakanych łez i braku snu.

Ale gdy sięgnęła do klamki, poczuła, że rozkwita w niej nadzieja.

- Dzińdybry - przywitał ją Ryan trzymający w dłoniach dwa kubki z kawą z *Kawiarenki pod latarenką*.

Otworzyła drzwi szerzej, starając się ukryć rozczarowanie.

- Wejdz. - Podał jej kawę. - Dzięki.

- Ciągłe masz taką chrypę?

- Powiedzieli mi, że tak będzie przez kilka dni. Chcesz śniadanie?

Ryan oparł się o wysoki fotel.

- Jechałem właśnie do Daniela. Chciałem tylko wpaść i zobaczyć, jak się miewasz.

- W porządku, nic mi nie jest. - Zmusiła się, by brzmieć lekko i beztrąsko, chociaż wcale tak się nie czuła. Odwróciła się i poszła do kuchni, zanim Ryan zdąży się domyślić, że skłamała.

Podążył za nią.

- Dużo tego wszystkiego. Pożar, wieści o Michaelu...

- Kiedy ci powiedzieli?

- Wczoraj. Jak wróciłem od ciebie ze szpitala.

- Jade i PJ też wiedzą? Przymknął.

- Mamy wiele do przetrwania. To, że Michael wcale nie utonął, że możemy być poważnie chorzy.

Madison wyrzuciła resztkę płatków i opłukała miskę. Nagle przestała być głodna.

- Próbuję zgłębić temat, jeśli chcesz wiedzieć. Drew zna kogoś, kto być może będzie mógł nam pomóc.

- To miło z jego strony. - Ryan pokiwał głową. Włożyła miskę do zmywarki i zatrzasnęła drzwiczki.

- Dam ci znać, jak się czegoś dowiem.

Madison wsunęła ręce w rękawy swetra i spojrzała w stare owalne lustro. Miała na sobie białą spódnicę, czerwony sweter i tyle makijażu, ile zwykle nie nakładała przez cały rok. Usiadła za niewielką toaletką i zaczęła układać włosy. Dottie udostępniła aktorom swój dom, by mogli przygotować się do spektaklu.

Przez cały tydzień wolontariusze z miasta ciężko pracowali przy budowaniu prowizorycznej sceny. Członkowie

kościelnej wspólnoty zajęli się przygotowaniem kostiumów i rekwizytów, a uczniowie klasy artystycznej z miejscowego liceum przychodzili po szkole ustawiać scenografię. Na nowej scenie odbyły się dwie próby, jedna z nich przeciągnęła się do późnej nocy. Madison na całe szczęście nie mówiła już ochryplym głosem. Jedyłą pozostałością po pożarze był stos cegieł i popiołu.

Włożyła pasemko włosów do elektrycznej lokówki i zauważyła, że trzęsą jej się ręce.

Zdenerwowanie. Nie była do końca pewna, co je spowodowało: premiera czy rozmowa z Beckettem sprzed tygodnia. Nie umiała o niej zapomnieć. To, jak odsunął swoją dłoń. To, że wstał tak gwałtownie, aż zachwiały się stół w ogrodzie.

W głębi serca rozumiała go. Chciał być z kimś, kto nie dźwiga ze sobą takiego bagażu jak ona. Jej życie było jednym wielkim bałaganem, nie mogła temu zaprzeczyć. A Beckett widział, jak histeryzowała w swoje urodziny, jak kilka dni później wpadła we wściekłość. Dwa razy w ciągu kilku dni straciła nad sobą panowanie, praktycznie wylali ją z pracy. Jakiego mężczyzny takie zachowanie by nie odstraszyło?

Była na dobrej drodze, aby stać się zdrowsza, spokojniejsza i szczęśliwsza. Zaczynała nawet lepiej sypiać. Każdego dnia pisała pamiętnik. Dzisiaj spała prawie do dziewiątej, co nigdy jej się nie zdarzyło. Od ponad tygodnia koszmar jej nie nawiedzał i wydawało się już, że najgorsze ma za sobą. Była już właściwie gotowa na powrót do pracy.

Dzięki Ci, Jezu. Za odpoczynek, za spokój, pomimo szalejącej burzy.

Jedna z aktorek uderzyła niechcący o toaletkę, gdy mijiała ją pospiesznym krokiem.

- Przepraszam, Madison!

Pozostali aktorzy krążyli po domu, szukając peruk i rekwizytów. Premiera zaczynała się za pół godziny, a przez otwarte okno można już było usłyszeć głosy gromadzącej się widowni. Na przedstawienie ściągało całe miasto, by wesprzeć schronisko dla zwierząt. Mieli zjawić się nawet mieszkańcy domu opieki Countryside Manor. Wieści o pożarze wzmogły tylko zainteresowanie spektaklem.

Beckett też przyjdzie, rzecz jasna, popatrzeć na siostrę. Świadomość jego obecności przyprawiła Madison o jeszcze większą treść. Będzie jej niezręcznie odgrywać intymne sceny z Drew ze świadomością, że Beckett na nich patrzy.

Przestań, Madison.

Nie może przez cały czas myśleć o Beckettie. Musi wygonić go z umysłu na następnych kilka godzin i skupić się na roli. Była to winna pozostałym aktorom i publiczności.

Włożyła kosmyk włosów do lokówki i zawinęła. Jej telefon zawibrował na blacie toaletki. Odłożyła lokówkę i odebrała.

- Cześć, skarbie. - Usłyszała głos mamy. - Chciałam tylko życzyć ci powodzenia.

- Połamania nóg! - wtrącił tata.

- Dzięki. Zaczynam się denerwować.

- Poradzisz sobie świetnie, zresztą jak zawsze - powiedziała mama. - Tak się cieszę, że udało się tak szybko przebudować skwer.

- Tak. Tylu ludzi się w to zaangażowało.

- Lepiej już kończmy, Jo - powiedział tata. - Po drodze jeszcze chcemy zabrać dziadka - zwrócił się do Madison.

- Do zobaczenia na bankiecie po spektaklu.

Madison odłożyła telefon i przywitała się z Laylą, która

pędziła gdzieś właśnie w swoim kostiumie, stanowiącym biały lekarski fartuch. Po zakończeniu spektaklu w ratuszu miało się odbyć przyjęcie dla obsady, techników, charakteryzatorów i ich bliskich. Jej rodzice i inne rodziny przygotowywali się do niego od rana.

Drew ścisnął jej ramię, podchodząc nagle od tyłu. Nachylił się, by odnaleźć wzrokiem w lustrze jej oczy.

- Gotowa?

- Może tak, a może nie...

Jego kolega, patolog z Chicago, zgodził się przejrzeć raport z autopsji, ale ostrzegął, że może to zająć dużo czasu.

- Będzie dobrze. Tylko nie zapomnij o didaskaliach, które zmieniliśmy w drugim akcie.

- Cały dzień powtarzam to w głowie. - To i wiele innych rzeczy.

- Drew! - zawołała Celeste Parker. - Pomóż mi z tym bandażem.

- Ciężki los lekarza... - powiedziała Madison.

- Nawet mi nie mów. - Drew poklepał swój pager. Madison otworzyła usta.

- Błagam, tylko mi nie mów, że jesteś na...

- Żartowałem! - odparł z figlarnym błyskiem w oku. Madison trzepnęła go w ramię, gdy odchodził.

Beckett poprawił się w metalowym krzeselku, gdy przed widownią pojawiła się Layla. Przeszła przez scenę na swych długich nogach oświetlona punktowym reflektorem. Wyglądała jak piękna, nieco przemądrzała lekarka w kitlu i okularach w czarnych oprawkach. Wygłosiła perfekcyjnie swoją kwestię i zeszła za kulisy. To było jej trzecie i ostatnie wejście.

Zgromadzona na skwerze publiczność umilkła całkowicie, gdyż sztuka zbliżała się do finału. Spektakl obył się bez większych wpadek, nie licząc zaciętej kurtyny i niewielkiej pomyłki jednej z pobocznych postaci.

Beckett przyjechał tuż przed rozpoczęciem i usiadł w tylnym rzędzie. Męczyły go już spojrzenia, które rzucali na niego ludzie przez ostatni tydzień. Niektóre współczujące, inne pełne oburzenia. Powinien był już do nich przywyknąć, ale ostatni wybryk ojca był najgorszym, co do tej pory zrobił. Raport o przyczynach pożaru nie został jeszcze podany do publicznej wiadomości, ale zamieszanie wokół

jego ojca musiało się wreszcie skończyć. Beckett zamierzał wkrótce podjąć odpowiednie kroki.

Oglądanie Madison na scenie było dla niego bardzo trudne. Tyle razy odtwarzał w myślach ich ostatnią rozmowę, że nauczył się jej na pamięć, chociaż większą jej część najchętniej by zapomniał. Na przykład tamten wyraz oczu, gdy się od niej odsunął. To, jak przygryzła drżącą wargę chwilę przed tym, gdy odeszła.

Samo patrzenie na nią było nie lada wyzwaniem, ale oglądanie, jak udaje romans z Drew było prawdziwą torturą. Czuł się tak, jakby żołądek zawiązał mu się w supeł i nie miało to nic wspólnego z nadchodzącym punktem kulminacyjnym sztuki.

Może to dlatego, że oni tak dobrze wyglądają razem, zastanawiałeś się kiedyś nad tym, O'Reilly? Oczywiście, że o tym myślał. Nie dało się od tego uciec, gdy tych dwoje praktycznie zawładnęło sceną. Jeśli nie było między nimi prawdziwej chemii, oboje zasługiwali na Oscara.

Mężczyzna siedzący obok niego zachrapał głośno. Beckett pozazdrościł mu ucieczki do krainy snów.

Kilka minut później światła przygasły na znak kończącej się sceny, a potem rozbłysły na nowo. Madison siedziała na łóżku w szlafroku. Ktoś zapukał do drzwi. Otworzyła i ukazał się w nich Drew. Miał na sobie granatowy garnitur szyty chyba na miarę specjalnie dla niego. Wyraźnie było widać, że dużo ćwiczyli: wygłaszali swoje kwestie z ogromną łatwością, a po scenie poruszali się całkiem naturalnie.

Drew wyciągnął rękę i dotknął ramienia Madison.

Beckett zeszywniał, a supeł na jego żołądku zacisnął się mocniej, gdy rozpoznał ich dialog. To była ta scena, którą

ćwiczyli w parku, gdy Beckett wpadł między nich jak jakiś psychopata.

Zmusił się by patrzeć, jak Drew Landon obraca gwałtownie Madison i bierze ją w ramiona. To mniej więcej w tym momencie Beckett wymierzył mu prawy sierpowy. Zacisnął pięści i zdał sobie sprawę, że teraz najchętniej by to powtórzył.

- Nie mogę bez ciebie żyć - powiedział Drew, przycisnąwszy Madison do siebie. - Wiem, że na ciebie nie zasługuję, ale jesteś dla mnie całym światem.

Patrzyła mu w oczy przez dłuższą chwilę, po czym pokręciła głową.

- Nie mów tak.

- Nie widzisz, Eleanor? Nie pozwolę ci odejść. Zostań moją żoną, a przyrzekam ci, że nigdy tego nie pożałujesz. Nawet przez chwilę.

Beckett zacisnął zęby.

- Tak bym chciała... Bardzo bym chciała, przecież wiesz...

- Kocham cię. - Uniósł delikatnie jej podbródek. - Zawsze będę cię kochał. Powiedz, że za mnie wyjdiesz, że uczynisz mnie najszczęśliwszym z ludzi.

Beckett cieszył się, że siedzi w ostatnim rzędzie. Za daleko, by dojrzeć łzy, które pewnie zaszklily oczy Madison, by dostrzec, jak jej usta miękną pod wpływem tych słów.

- Kochałam cię od zawsze. Jakże mogłabym ci teraz odmówić? - powiedziała Madison.

Drew przyciągnął ją bliżej i pochylił głowę. Beckett zwalczył pokusę, by odwrócić wzrok. *To tylko na niby. To nieprawda. Ona nie kocha Drew. Ale może powinna.*

Zmusił się do oglądania ich pocałunku. Chciał, by dotarło wreszcie do jego upartej głowy, że Madison jest z innego świata, że jej miejsce nie jest u jego boku.

Na całe szczęście światła przygasły, a kurtyna opadła.

Rozbrzmiały oklaski. Mężczyzna obok Becketta przebudził się i też zaczął bić brawo.

Beckett wstał wraz z resztą publiczności, wciąż mając przed oczami ostatnią scenę i pocałunek. Mógł się założyć, że Drew czerpał z niego przyjemność, że cieszył się na każdej próbie.

Bardzo chciał go nienawidzić, ale nie miał do tego powodu. Słyszał o nim same dobre rzeczy. Jak mógłby zaprzeczyć, że Drew będzie dla Madison odpowiednim mężczyzną? Zasługiwała na kogoś, kto wśliźnie się do kręgu rodziny McKinleyow bez zajknięcia. Drew nie dźwigał bagażu patologicznej rodziny. Nie miał reputacji zszarganej przez ojca, który prowadził po pijaku i podpalił teatr. Jego geny nie były jednym wielkim szambem, które miałyby przekazać w przyszłości ich dzieciom.

Oklaski wzmożyły się, kiedy kurtyna powoli powędrowała w górę. Beckett patrzył, jak publiczność wiwatuje Drew, który wskazał dłonią Madison. Ta ukloniła się wśród gromkiego aplauzu.

Gdy kurtyna opadła, Beckett opuścił tłum. Pragnął jak najszybciej znaleźć się w domu, ale Layla nalegała, by przyjechał na przyjęcie. Powolnym krokiem skierował się więc do ratusza, podążając za pozostałymi rodzinami członków obsady. Światła ulicznych latarni rozganiały ciemność, a lekki wiatr przyniósł zapach czegoś słodkiego.

Minął lecznicę, zastanawiając się, kiedy Madison wróci do pracy. Czy koszmary już jej nie nawiedzały. Powiedziała, że otworzyła się na działanie Boga. Ucieszyło go to.

Bóg pomoże jej przejść przez wszystko, co czeka ją w życiu. Pomoże też jemu przetrwać to, przez co przechodził teraz. Chociaż ciężar utraty Madison wydawał mu się nie do udźwignięcia, wmawiał sobie, że tak będzie lepiej. Że rozstanie z nią będzie aktem miłości.

A jeśli Drew zajmie jego miejsce? Tym lepiej dla Madison. Byłoby to dla Becketta potwornie bolesne, ale w końcu się z tym cierpieniem upora.

Czyż nie?

Gdy dotarł do ratusza, bankiet trwał już na całego. Rodziny rozmawiały ze sobą w grupkach, salę oświetlały przyćmione lampy, z głośników płynęła muzyka, a kolorowe serpentyny zwisały z wysokiego sufitu, z gracją układając się w sprężynki. W powietrzu unosił się zapach kawy i popcornu.

Beckett próbował odnaleźć wzrokiem Madison, ale wiedział, że to mało prawdopodobne, by już dotarła na miejsce. Reszta rodziny McKinleyów zajęła okrągły stół na tyłach sali. Lepiej tam nie podchodzić.

Kilka minut później dostrzegł Laylę stojącą nad miską ponczu kawalek dalej, naprzeciwko parkietu. Pomachał jej ręką. Przebrała się już z kostiumu lekarki w ulubione dzinsy i zwiewną białą bluzkę.

Ucałował ją w policzek, zdeterminowany, by odgonić swój melancholijny nastrój.

- Kto by pomyślał, że w naszej rodzinie objawi się taki talent! Co dalej, Broadway?

Layla opróżniła chochlę do plastikowego kubka.

- Zamknij się. Moja kwestia to były cztery linijki tekstu.

- Dobra jesteś. Bardzo wiarygodna. Tak przy okazji...

-Obrócił się na bok i uniósł nieco koszulkę. - ...coś mnie tu

ostatnio pobołewa. Walnęła go łokciem, prawie rozlewając poncz.

- A mnie swędzi, powiedzcie ci gdzie?

- Chyba nie musisz. - Uśmiechnął się szeroko i też nalał sobie ponczu.

Beckett podał chochlę następnej osobie, po czym stanął pod ścianą, pragnąc ukryć się w jej cieniu. Kilku członków obsady dotarło już na bankiet i zaczynało tańczyć na parkiecie.

- *Country Girl*.

- Ooo! Moja ulubiona piosenka. Chodź, Beck.

- O, nie, nie, nie. Tańcz sama.

- Podpieracz ścian! Potrzyмай mi poncz. - Layla wcisnęła mu swój kubek do ręki i popędziła na parkiet.

Beckett oparł się o ścianę i uśmiechał się, patrząc na siostrę. Śmiała się do jakiejś innej dziewczyny, gdy pomyliły kroki. Wyrosła na naprawdę przepiękną kobietę.

Na parkiecie zrobiło się tak tłoczno, że tancerze musieli robić małe kroczone. Jakiś aktor przyciągnął Laylę do siebie i ścisnął w talii. Beckett wyprostował się, gdy zobaczył, jak siostra odpycha jego rękę, zarzuca długimi włosami i odwraca się w rytm tańca. Gdy tamten facet zrezygnował i odszedł, Beckett z powrotem oparł się o ścianę.

Może Layla nie potrzebowała już swojego starszego brata. Może umiała sama o siebie zadbać. Ona wirowała na parkiecie, ciesząc się życiem, podczas gdy on stał cicho w cieniu, usiłując ukryć się przed całym światem.

Beckett odwrócił się od tłumu i zaczął oglądać zdjęcia, które ktoś wywiesił w sali. Przedstawiały członków obsady podczas prób. Chłonał chciwym wzrokiem fotografie po

fotografii. Madison w jakiejś dziwnej pozie. Uśmiechnięta Madison. Roześmiana Madison. Przypomnił sobie melodyjny dźwięk jej śmiechu i zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś przyjdzie mu go usłyszeć.

Kilka minut później ktoś położył mu dłoń na ramieniu. Odwrócił się i zobaczył Laylę. A tak bardzo chciał, by była to Madison.

Siostra odebrała z jego ręki swój poncz i wskazała na jedno ze zdjęć.

- To jest fantastyczne.

Dołączyły do niej inne osoby zaangażowane w przedstawienie. Jessie Brooks, która zaprojektowała scenografię podszła do niego od drugiej strony.

- Kopę lat, Beckett.

Spotkali się parę razy w zimie. Mieszkała parę ulic dalej. Była nauczycielką języka francuskiego i plastyki w miejscowym liceum. Skłonił się lekko w jej stronę.

- Cześć, Jessie. Świetna scenografia.

Jej różowe usta uniosły się w szerokim uśmiechu, a w zielonych oczach rozbłyły iskierki.

- Dzięki! Ostatni tydzień był szalony. Tak mało czasu, by wszystko przygotować. - Wskazała na jedno ze zdjęć i zaczęła opowiadać o tym, jak ciężko pracowała nad zachodem słońca widocznym w tle.

Była wspaniałą kobietą. Cierpliwą, ładną, dobroduszną. Miała tylko jedną poważną wadę - nie była Madison.

- Może skoczmy razem coś zjeść? - zaproponowała. - Nie jadłam kolacji, a popcornem raczej nie zabiję głodu.

Na sali zapanowało poruszenie, a potem rozległy się brawa, początkowo nieśmiało, które potem przeszły w gromki

aplauz zagłuszający muzykę. Beckett odwrócił się i ujrzał nadchodzących Drew i Madison, uśmiechniętych od ucha do ucha do oklaskujących ich fanów.

Nawet tłum widział w nich piękną parę. Ich włosy miały identyczny odcień brązu. Oboje byli smukli, podobnego wzrostu, atrakcyjni, ubrani w modne dżinsy. Mieliby urocze dzieci.

Na tę myśl Beckettowi zaschło w gardle. Próbował przełknąć ślinę, ale nie udało mu się. Chciałby przeprowadzić się gdzieś daleko. Gdzieś, gdzie nie będzie musiał oglądać, jak Madison zakochuje się w innym mężczyźnie. Ale musiał opiekować się dziadkiem i dbać o to, by ojciec nie wpadał więcej w kłopoty.

Przyglądał się Madison i zauważył, że coś w jej obliczu się zmieniło. No tak - już nie wyglądała na taką zmęczoną. Cienie pod oczami wyblakły. Cera nabrała zdrowszego koloru.

Zniknąłeś z jej życia i proszę, jak jej z tym dobrze. Popatrz, jaka jest szczęśliwa i wypoczęta.

Próbował sobie wmówić, że to nieprawda, że te zmiany wynikły z upływu czasu, z odpoczynku, z otwarcia na Bożą łaskę. Ale w głębi serca czuł, że to nie wszystko.

Była taka piękna, na policzkach malował jej się rumieniec ekscytacji, oczy błyszczały. Jej wzrok przebiegł przez salę i ich spojrzenia spotkały się. Jej uśmiech zgasł.

Tak, było jej lepiej bez niego. Teraz nie miał wątpliwości.

Wtedy usta Madison uniosły się w lekkim uśmiechu przeznaczonym wyłącznie dla niego, a jego serce przyspieszyło.

Drew położył jej dłoń na ramieniu i szepnął coś do ucha.

Beckett zmarszczył brwi. Co on robi? Miał przecież o niej zapomnieć. A zamiast tego gapi się w nią jak w obrazek.

Uciekł wzrokiem od Madison i zatrzymał go na stojącej najbliższej osobie. Jessie.

- To jak? - spytała. - Jesteś głodny?

Na myśl o jedzeniu zemdliło go, ale perspektywa ucieczki z tego miejsca była aż nazbyt kusząca.

- Jasne. Czemu nie.

- U Cappyego jest jeszcze otwarte. Wezmę tylko torebkę, dobrze? - Odeszła kilka stolików dalej.

- Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli już pójdę? - Beckett zwrócił się do Layli.

- No... Nie. Ale impreza dopiero się zaczęła.

- Zostawiam cię w dobrych rękach.

- Beck, może powinieneś zostać i pogadać z Madison? Kilka metrów dalej Jessie z torebką zwisającą z ramienia wyczekująco uśmiechała się do Becketta.

- Raczej nie. Baw się dobrze - odparł i ruszył w stronę Jessie, ale Layla złapała go za ramię. Popatrzyła na Jessie, a potem na niego.

- Co ty wyrabiasz?

Zebrał się na odwagę i spojrzał jej w oczy.

- To, co należy.

Madison patrzyła, jak Beckett opuszcza bankiet z Jessie Brooks i poczuła się tak, jakby uszło z niej powietrze. Nie wiedziała, że przyjdzie, zamarła, gdy go zobaczyła.

I wtedy jego twarz się wypogodziła. Muzyka nagle ucichła, a tłum przestał istnieć. Poczowała, że coś ciągnie ją w jego kierunku tak mocno, że zaczęła iść naprzód. I wtedy on się

odwrócił. Do ślicznej Jessie Brooks. A chwilę później wyszedł z nią z sali.

Jeśli miała jakieś wątpliwości po ostatniej rozmowie, one właśnie zostały ostatecznie rozwiane. Beckett chciał uciec

najdalej jak to możliwe od tego bagna, w którym tkwiła.

- Wszystko w porządku? - spytał Drew.

- Tak. - Madison wymusiła uśmiech. Rodzina machała do niej z jednego ze stołów.

- Baw się dobrze - życzyła Drew przekonana, że jej samej na pewno się to nie uda.

Podeszła do swoich bliskich z uśmiechem przyklejonym na twarzy, obawiając się, że to będzie wyjątkowo długi wieczór. Będzie musiała udawać, że jej serce nie rozsypało się na milion kawałków. Ale mogła udawać. Czyż nie to dopiero co zrobiła na scenie przed całym Chapel Springs?

Nadszedł ten dzień. To stanie się dziś. Beckett wygrzebał się z łóżka i wziął wyjątkowo długi prysznic, w czasie którego obmyślał plan działania.

W nocy długo nie mógł zasnąć, pomimo tego, że wcześniej się położył. Poszedł z Jessie do Cappyego, ale niechętnie. Próbował podtrzymać rozmowę, ale Jessie nie dała się oszukać.

- Ty ciągle jesteś zakochany w Madison - powiedziała, gdy byli w połowie pizzy.

Otworzył usta, ale zamknął je z powrotem. Co niby miał jej powiedzieć?

- W porządku. To znaczy... Miałam nadzieję, że... Ale...
-Wzruszyła ramionami.

Nie chciał wodzić jej za nos.

- Przepraszam cię. Nie powinienem tu z tobą przychodzić.
Westchnęła lekko i uśmiechnęła się.

- Zachowujmy się jak przyjaciele jedzący razem pizzę, okej?

Potem nie było już tak niezręcznie. Rozstali się jak przyjaciele, ale Beckett nie miał ochoty powtarzać doświadczeń tego wieczoru.

Gdy się wytarł i ubrał, spędził resztę poranka przy komputerze, zbierając informacje, podczas gdy jego ojciec odsypiał wczorajsze pijaństwo. Kiedy wreszcie wygramolił się ze swojego pokoju, trzymając się za głowę, Beckett wiedział już wszystko i zdążył zadzwonić w kilka miejsc. Znalazł odpowiedni ośrodek i zatelefonował też do Layli.

- Przyjeżdżam - zakomunikowała.

- Nie, ja to załatwię. Wścieknie się, może nawet dojdzie do rękoczynów. Będę spokojniejszy, jeśli pozostaniesz poza linią ognia.

Layla próbowała z nim dyskutować, ale w końcu się poddała.

Teraz Beckett musiał poczekać, aż ojciec zażyje ibuprofen i dokończy poranną kawę. Był zdeterminowany, ale nie głupi.

Otworzył dzisiejszą gazetę i uderzył go ogromny nagłówek: *Spięcie instalacji elektrycznej przyczyną pożaru teatru*. Beckett przeczytał artykuł z bijącym szybciej sercem. Gdy dotarł do ostatniego zdania, odetchnął z ulgą. Śledztwo zakończone, a jego wyniki brzmiały jak ułaskawienie.

Ale to nie sprawiło, że zmienił zdanie na temat tego, co właśnie zamierzał zrobić.

Gdy tylko ojciec usadowił się w salonie i zaczął czytać dodatek sportowy, Beckett wziął głęboki oddech.

- Musimy poważnie porozmawiać, tato.

- Później. Łeb mi pęka.

- Później będziesz narąbany i odpłyniesz. Musimy porozmawiać teraz.

Gazeta zaszeleściła rzucona na stół kawowy, a ojciec wymamrotał coś o tym, jak to człowiek nie może znaleźć chwili spokoju we własnym domu.

Jego wzrok spoczął na nagłówku na pierwszej stronie.

- Aaach, popatrz no tylko! Co ci mówiłem? To nie była moja wina! Widzisz?

Nagle ojciec wydał mu się stary. Miał sińce pod oczami i mnóstwo zmarszczek wyłobionych przez lata ciężkiego życia.

- Tym razem nie. Ojciec prychnął.

- To się musi zmienić, tato. Nie będę dłużej tego wszystkiego dla ciebie robił. Obdzwońłem dzisiaj kilka miejsc i znalazłem takie, w którym znajdziesz pomoc.

- Nie potrzebuję pomocy.

- Daję ci wybór, tato. Albo ja zabiorę cię do tego ośrodka, w którym ci pomogą, albo sam odejdziesz. Tak czy inaczej, dzisiaj masz stąd zniknąć.

Ojciec zaśmiał się, ale bez humoru.

- Nie możesz wyrzucić mnie za drzwi z mojego własnego domu!

- To jest *mój* dom. I mam już dosyć patrzenia, jak rujnujesz sobie zdrowie i ryzykujesz życie innych...

- To nie byłem ja!

- Masz dwie opcje, tato. Którą wybierasz?

- Wykopiesz własnego ojca za drzwi? Ja nawet nie mam pracy! Z czego mam żyć? Gdzie mam spać?

- Masz problem, a ja próbuję ci pomóc.

- Nie mam żadnego problemu! Kiedy wreszcie wbijesz to sobie do głowy?! Po coś się tak uparł?!

Beckett wstał, wyciągnął walizkę z szafy w przedpokoju i poszedł do sypialni ojca. Opróżniał pierwszą szufladę komody, gdy tata wpadł do pokoju i złapał go za ramię.

- Odłóż to!

Beckett odtrącił go i stanął z nim twarzą w twarz. Był od niego o pół głowy wyższy i znacznie silniejszy. Nie chciał tego wykorzystywać, ale dłużej tego nie zniesie.

Posłał ojcu ostrzegawcze spojrzenie i wrócił do pakowania, aż walizka była pełna, ignorując głośnie protesty taty. Gdy skończył, zamknął walizkę na suwak.

- Co z ciebie za syn?! - Głos ojca drżał. - Pojadę do Layli. Zostanę u niej. Ona mnie nie wyrzuci!

Po jego trupie.

- Mam kluczyki do twojego samochodu. A Layla cię nie wpuści. Jeśli to będzie konieczne, zadzwonię po policję, żeby cię stąd zabrała. Albo wsiądziesz ze mną do auta i zawiozę cię tam, gdzie otrzymasz pomoc.

Ojciec przeczesał włosy palcami tyle razy, że zmierzwił je na dobre. W jego czarnych oczach malował się strach. Beckett złagodniał.

- To bardzo dobry ośrodek, tato. Rozmawiałem z dyrektorem przez godzinę. Zaopiekują się tobą. I to nie jest daleko.

- Jak możesz mi to robić? Jestem twoim ojcem... Wychowałem cię sam po tym, jak mama odeszła. - Jego głos się łamał, a oczy zaszczyły łzami.

- To dziadek nas wychował, tato.

Ojciec wyszedł z pokoju, uderzając po drodze dłonią we framugę drzwi. Beckett podążył za nim z walizką.

Ojciec przystanął w salonie i położył dłonie na oparciu ulubionego fotela. Ścisnął je tak mocno, że palce mu zbieleły.

Beckett dał mu chwilę. To była trudna decyzja. Zmieniająca całe życie.

Błagam, Boże. Niech zdecyduje się poszukać pomocy. Dla własnego dobra. Ma przed sobą dobre życie, ale nigdy nie odnajdzie swojej ścieżki w tym stanie.

Słyszał płytki oddech ojca, patrzył, jak jego ramiona, kiedyś o wiele szersze, unoszą się i opadają. Był jego tatą, ale przez wiele lat to Beckett opiekował się nim. Nadal to robił, decydując się na tak trudny krok. Czasem w miłości chodzi o to, by kogoś opuścić. Beckett właśnie odbierał od życia tę ważną lekcję.

- To jak będzie, tato? - spytał cicho.

Ojciec spuścił głowę i złapał palcami nasadę nosa. Layla często dokuczała Beckettowi, gdy wykonywał ten gest. A on modlił się, by tutaj kończyło się genetyczne podobieństwo między nimi.

- Nie dajesz mi wyboru. - Jego słowa były przesycone goryczą. Becketta kompletnie to nie obchodziło, chciał tylko, by ojciec dał się zabrać do ośrodka leczenia uzależnień.

- No to jedziemy.

- Najpierw chcę się napić. - Ojciec odwrócił się w stronę kuchni.

- Nie. - Beckett złapał go za ramię. - Jedziemy.

- Tylko jednego - powiedział ojciec z obłędem w oczach. - Potrzebuję tego.

- Już, tato. - Beckett szarpnął ojca i pociągnął w kierunku drzwi. Drugą ręką złapał walizkę. Przed nimi długa droga.

Pozostałe przedstawienia były tak samo udane jak premiera, ale Madison ulżyło, gdy miała już wszystkie za sobą.

Od Klęczących Klęp dowiedziała się, że ojciec Becketta trafił do ośrodka leczenia uzależnień gdzieś w Kentucky. Kobiety modliły się za niego każdego ranka, a i Madison dodała go do swojej wydłużającej się listy intencji. Cieszyła się, że Beckettowi układa się życie rodzinne. Przed nimi długa droga, ale mają za sobą dobry początek.

Aromat świeżo parzonej kawy pobudził jej zmysły, gdy weszła do *Kawiarenki pod latarenką*. Z głośników płynęły dźwięki jazzu. Przy stolikach siedziało tylko kilku klientów. W jednym z nich Madison rozpoznała swojego przyszywanego brata, pochylającego się nad tabletem. Czasami Daniel traktował kawiarnię jak swoje zamiejscowe biuro, ale od dawna już go tu nie widziała. Podeszła do niego.

- Bez Jade to już nie to samo miejsce, co?

Podniósł wzrok. Czarne włosy wpadały mu do oczu.

- Hej, Madison. - Powędrował wzrokiem w stronę umiejscowionej w kącie sceny, na której Jade grywała na gitarze. - Masz rację, to już nie to samo. Odzywała się do ciebie ostatnio?

- Nie, ale dzwoniła do mamy w zeszłym tygodniu. Podobno wszystko u niej w porządku. Chcesz jej numer?

- Jasne. A masz?

Wpisał go w swój tablet, a potem trącił nogą wolne krzesło, odsuwając je.

- Siadaj.

- Nie, spoko. Czekam na Cassidy. - Zauważyła, że leży przed nim otwarty dziennik. - Uwielbiam ten mój pamiętnik - powiedziała, pokazując na niego. - Ostatnio bardzo często z niego korzystam.

Daniel położył dłoń na perforacji i wyrwał pierwszą kartkę z wierzchu.

- Właśnie pisałem do rodziców. Oni lubią listy. Są staroświeccy. - Złożył papier na trzy części, za każdym razem mocno przejeżdżając po zgięciu kciukiem.

To idealne zagięcie przywołało coś w pamięci Madison. I te perforowane brzegi. Przyjrzała się kartce Daniela. Jej rozmiary... Kolor... I szare linie. Takie same jak w jej dzienniku, ale było coś jeszcze.

I wtedy przed jej oczyma pojawił się wiersz wypisany dokładnie na takim papierze. Powinna była rozpoznać to wcześniej, przecież w jej dzienniku były takie same kartki. Ale jej myśli zaprzętały wtedy inne sprawy.

Patrzyła, jak Daniel składa list i chowa go do dziennika. Nie jakiegoś zwyczajnego notesu, który można kupić w sklepie papierniczym, tylko wykonanego na specjalne

zamówienie w Chicago.

Czy to właśnie Daniel? Nie mogła sobie tego wyobrazić.

Patrzył na nią z uniesioną brwią. Pewnie dlatego, że tak się gapiła.

- A więc to ty...?

Zauważyła, jak na jego twarzy wymalowuje się zakłopotanie, a oczy uśmiechają się.

- Ale co?

- Papier jest taki sam. Te linie, zagięcia, wszystko. To ty! Róże, kartki, listy były od ciebie!

Kąciki jego ust opadły, wesoły błysk w oczach zgasł. Daniel spoważniał. W jego wzroku pojawił się przebłysk paniki.

Był prawie ich bratem. I to od tak dawna, że ciężko było sobie wyobrazić, że mógł traktować Jade w taki sposób. Nazywał ją Pętakiem i mierzwił jej włosy. Nauczył ją pierwszych chwytów na gitarze i bronił ją w szkole. Jak brat. Albo raczej jak...

- Madison, ja...

- Przepraszam za spóźnienie! - Cassidy rzuciła się na przyjaciółkę. - Dzień dobry, panie burmistrzu.

- O, cześć, Cassidy. - Daniel wciąż patrzył na Madison.

- Zamówiłaś już? - Cassidy porwała menu. - Poważnie rozważam to nowe miętowe ciasto. Podobno ma miliard kalorii, ale żyje się raz, no nie? - Uścisnęła Madison i pognęła w kierunku lady.

- E... to do zobaczenia później - powiedziała Madison do Daniela i odwróciła się, by pójść za przyjaciółką.

- Madison...

Przystanąła, usłyszawszy jego zakłopotany ton i spojrzała mu w oczy. Kiedy zmienił się z tyczkowatego nastolatka

w dojrzałego, dobrze zbudowanego i starannie ogolonego mężczyznę? W mężczyznę zakochanego w jej siostrze? Jak długo walczył ze swoimi uczuciami do niej?

- Proszę cię - powiedział - nie...

Poczuła ukłucie żalu. Jade nie wiedziała, co czuł Daniel. Jego imię nie padło ani razu, gdy spekulowały o nadawcy listów.

Madison spróbowała uśmiechnąć się tak, by dodać mu otuchy.

- Nic jej nie powiem.

Zmartwienie wciąż malowało się na jego zmarszczonym czole, a w oczach wciąż błyszczał przestach. Mięśnie miał napięte.

- Obiecuję.

W odpowiedzi Daniel kiwnął głową. Madison dołączyła do kolejki za Cassidy z kotłującymi się myślami i złożyła zamówienie, gdy nadeszła jej kolej.

- Bezkofeinową Venti, poproszę.

- Bezkofeinową? - zdziwiła się Cassidy. - Wszystko okej?

- Ograniczam. Zalecenie lekarza.

- Dowiedziałaś się już czegoś?

Zaprzyjaźniony z Drew patolog przejrzał slajdy z autopsji. Choroba metaboliczna Michaela została zidentyfikowana dwa lata temu. Gdy tylko Madison się o tym dowiedziała, umówiła się na wizytę do lekarza.

- Nie mam jeszcze wyników testu - powiedziała.

- PJ, Jade i Ryan też je zrobili?

- Tak. Wkrótce się dowiemy.

Gdy przyjaciółki dostały kawę, usadowiły się w łoży w tylnej części sali. Madison wciąż rozmyślała o Danielu i jego uczuciach do Jade. Zauważyła, że jego stolik stał już pusty.

Cassidy opowiedziała jej, co słychać w pracy. Przez kilka chwil gadała jak najęta.

- Nieźle wyglądasz - powiedziała, gdy postanowiła zaczerpnąć powietrza. - Dobrze zrobiła ci ta przerwa.

- Przerwa i odrobina pracy nad sobą... - Przyznała się przyjaciółce już wcześniej do kroku naprzód w kwestii wiary. - Piszę pamiętnik o Michaelu, spotykam się z Klęczącymi Klępami dwa razy w tygodniu na ich kółku modlitewnym. Lepiej sypiam, jaśniej myślę i łatwiej mi się skoncentrować.

- Ale... - Cassidy uniosła brwi.

- A czemu myślisz, że jest jakieś *ale*?

- Przyjaźnimy się od dawna. Umiem rozpoznać, gdy moja bratnia dusza ma złamane serce.

Madison upiła łyczek. Nie chciała rozmyślać o Becketcie. Za każdym razem, gdy zaczynała, przypominała sobie, jak wyszedł z Jessie Brooks, co przyprawiało ją o okropny ból gdzieś głęboko w środku i sprawiało, że oczy zachodziły jej łzami.

- Co się tak w ogóle wydarzyło pomiędzy wami? - spytała Cassidy nadzwyczaj delikatnie.

- Już ci mówiłam.

- Tak, ale to nie ma sensu. Wiem, że sporo się działo przez ostatnie kilka tygodni, ale on nie miał powodu, by tak nagle stracić zainteresowanie. - Pstryknęła palcami.

- No mówię ci, że go odstraszyłam. Nie było cię z nami tamtego wieczoru w moje urodziny. Ryczałam jak jakaś psychiczna...

- Cierpiałaś! A poza tym potem wszystko między wami dobrze się układało, nie wiem, czy pamiętasz. Zdziwaczał

dopiero po tym, jak ci opowiedział o tym dniu, w którym umarł Michael.

- Tak, ale przecież mylił się wtedy. - Madison dokończyła kawę i objęła się rękami z nadzieją, że w ten sposób przegna swój ból. - Ale to już nie ma znaczenia. Dał sobie ze mną spokój, nie ma co do tego wątpliwości. Teraz spotyka się z Jessie.

- Nieee. - Cassidy pokręciła głową. Madison spojrzała na przyjaciółkę.

- Jessie przyprowadziła dzisiaj Coco na bilans. Powiedziała coś takiego, że myślę, że Beckettowi może dalej na tobie zależeć. Nie była z tego powodu specjalnie zadowolona, więc nie naciskałam jej, żeby opowiadała mi wszystko ze szczegółami.

Serce Madison zrywało się do lotu, a ona próbowała je nakłonić, by się uspokoiło. Nie było sensu robić sobie nadziei.

- Co takiego mówiła?

- Zagadnęłam, że krążą plotki, że spotyka się z Beckettem. Pomyślałam, że wybadam sprawę w twoim imieniu...

- Dziękuję.

- Ależ nie ma za co. A ona mi odpowiedziała: *Jesteśmy tylko przyjaciółmi. On ciągle jest zakochany w Madison.*

Madison wciągnęła głośno powietrze.

- On jej tak powiedział? Że jest we mnie zakochany? To bez sensu!

- No właśnie to ci próbuję powiedzieć. Czytałaś dzisiejszą gazetę?

- Dzisiejszą... Co? Nie.

- Jest w niej pewien artykuł... Podobno *ktoś* podarował

klubowi żeglarskiemu tysiąc pięćset dolarów by ufundować stypendium imienia Michaela. - Cassidy uniosła brwi w oczekiwaniu na odzew przyjaciółki.

- Ale kto?

- Anonimowy darczyńca. Może ktoś z twojej rodziny?

- Nie, na pewno nie. Powiedzieliby mi.

- Tysiąc pięćset. Czy to nie dokładnie tyle...

- ...wynosiła nasza nagroda. Ale miał przeznaczyć te pieniądze na rozkręcenie swojego biznesu.

To nie mógł być Beckett, prawda? To była kupa pieniędzy. Nie oddałby ich ot tak, po prostu. Prawda?

- A kto inny mógłby to zrobić? - Cassidy wzruszyła ramionami.

Myśli Madison pędziły jak szalone.

- Może zrobił to parę tygodni temu, gdy jeszcze obwiniał się o śmierć Michaela. W geście zadośćuczynienia.

Cassidy pokręciła głową i rozejrzała się po kawiarni. Wstała, wzięła leżącą na jednym z pustych stolików gazetę i podała ją Madison.

- Tutaj. Czytaj.

Wskazała jeden akapit, zakopany gdzieś pomiędzy innymi informacjami.

- Piszą, że w poniedziałek. Darowizna wpłynęła wczoraj. Złożyła gazetę i odłożyła na bok.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Sama widzisz. Powinnaś z nim pogadać. Powiedziałaś, że w piątek przyszedł na imprezę z Drew. Może Beckett wyszedł z Jessie, żebyś poczuła się zazdrosna? Siedział tam na widowni i patrzył na gorące sceny pomiędzy tobą i Doktorem Cudownym. Może z zazdrości postradał rozum.

- On taki nie jest. - Madison pokręciła głową. - Poza tym już wcześniej zaczął trzymać się ode mnie na dystans.

Ale skoro Jessie powiedziała, że wciąż jest w niej zakochany, to dlaczego...?

- A może... - Cassidy zrobiła zamyśloną minę.

- Może co?

- Nie mam pojęcia. Zielonego. Ale myślę, kochana, że koniecznie powinnaś to z nim wyjaśnić. Kochasz go, a on też najwyraźniej coś do ciebie czuje.

Przypomniała sobie, jak gwałtownie Beckett cofnął od niej swoją dłoń. I ten brak jakichkolwiek emocji w jego oczach.

- Nie wiadomo.

- Pamięta, co miałaś na sobie na jakiejś imprezie w liceum milion lat temu. Od zawsze mu się podobałaś. Jak myślisz, czemu czekał tak długo, żeby ci to okazać?

- Nie wiem. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

- Na pewno jest coś, o czym obie nie wiemy.

Może Cassidy miała rację. Madison zalała falą nadziei, z którą nie chciała walczyć.

- Pytanie tylko, czy wolisz siedzieć tu i użalać się nad swoim złamanym sercem, czy wstać i zacząć działać?

Serce waliło jej tak szybko, że zastanawiała się, czy aby na pewno podano jej kawę bezkofeinową. Ale to z nerwów. Powinna porozmawiać z Beckettem. Zachowywała się jak tchórz od tamtego wieczoru, kiedy powiedziała mu o prawdziwej przyczynie śmierci Michaela. Odsunął się od niej, a ona zbyt bała się odtrącenia, by spytać go, dlaczego tak się zachował.

A potem, na bankiecie i tak poczuła się odrzucona... Przypomniała sobie słowa mamy, które ta powiedziała jej kilka tygodni temu.

Zawsze bałaś się uczuć, Madison. Czasami negatywne emocje są tak silne, że nas przytłaczają i łatwiej jest po prostu nie stawiać im czoła.

Właśnie to robiła. Uciekała od rozmowy, odkąd Beckett cofnął się tak gwałtownie. Uczyla się stawiać czoła emocjom związanym ze śmiercią Michaela; powinna też znaleźć w sobie odwagę, by stanąć twarzą w twarz z Beckettem - nawet jeśli oznaczałoby to jeszcze większe cierpienie.

- Muszę iść. - Wstała i chwyciła torebkę.

- Powodzenia - zawołała za nią Cassidy.

Nogi Madison trzęsły się, kiedy wychodziła z kawiarni. Zmrużyła oczy oślepiona jasnym światłem popołudniowego słońca. Wsiadła do samochodu i pojechała do Becketta.

Pomóż mi, Boże. Nie wiem, co mam powiedzieć. Wiem tylko, że go kocham i muszę się dowiedzieć, czy on mnie też. Nie umiała ubrać w słowa nic więcej z tego, co krążyło jej po głowie. Ale Bóg znał jej serce. Odpowie na jej modlitwę w ten czy inny sposób.

Kilka minut później skręciła w jego ulicę. Serce zabiło jej szybciej, gdy zobaczyła, że jego pick-up stoi pod domem.

Dasz radę, Madison. Bądź dzielna.

Na dźwięk silnika auta, Rigsby szybko podbiegł do okna. Madison wysiadła, wbiegła po schodkach na werandę i zapukała do drzwi.

Strach wysuszył jej usta i wprawił jej dłonie w drzenie. Wepchnęła je do kieszeni spodni w kolorze khaki i powtórzyła w myślach raz jeszcze, że da sobie radę.

Gdy zapukała już trzeci raz i nie doczekała się odpowiedzi, odwróciła się i poszła na tył domu. Może Beckett był

w swoim warsztacie. Ale za zakrętem ujrzała, że budynek gospodarczy stoi zamknięty na cztery spusty.

Wróciła powoli w stronę samochodu z poczuciem pustki ogarniającym ją od wewnątrz. Gdzie on może być? Gdyby poszedł na spacer, zabrałby ze sobą Rigsbyego.

Myśl, Madison. Czy była środa? Krąg biblijny? Miała problem z prawidłowym określaniem dni tygodnia, kiedy nie chodziła do pracy. Nie, dziś wtorek. Gdzie on może być?

Przypomniała sobie nagle coś, co kiedyś jej powiedział i przyspieszyła kroku. Wpadła do samochodu, przejechała dwie przecznice i zaparkowała. Park był opustoszały, huśtawki kołysały się na wietrze. Przeszła obok boiska do koszykówki i skierowała się w stronę porośniętego drzewami wzgórza.

To tutaj Beckett lubił przychodzić, gdy potrzebował coś przemyśleć albo się pomodlić. Na skalną wieżę, z której mógł oglądać dolinę z niemalże Bożej perspektywy. Przeszła przez miękki trawnik, czując, jak źdźbła łaskoczą ją w czubki stóp wystające z sandałów.

Zrobi to, bez względu na to, ile sprawi jej to trudu i na to, jak krzywdząca okaże się prawda. Bała się, ale podda się uczuciom i zrobi to, po co przyszła.

Boże, daj mi odwagę.

Gdy dotarła do podnóża wzgórza, zdjęła sandały i zaczęła wspinaczkę. Ziemia była twarda. Patyki wbijały się w podeszwy jej stóp, a kamienie raniły delikatną skórę. Wciąż nie znosiła tego uczucia, to się nie zmieniło. Ale przecież życie najeżone było nieprzyjemnościami i cierpieniem, a ból nie prowadził do śmierci.

Mięśnie łydek dawały znać o sobie, gdy wspinała się po stromym zboczu. Ciemność ogarniała ją z każdej strony. Zaschło jej w ustach, oddech zrobił się płytki. Mimo to, pięła się coraz wyżej.

Zbliżyła się do szczytu i ujrzała skalną wieżę. Skierowała się tam. Przystanęła u jej podstawy, wciągając nosem zapach sosen i ziemi.

Usłyszała śpiew jakiegoś ptaka i ćwierkającą odpowiedź innego. Popatrzyła na skały i przypomniała sobie, jak trudno było jej się na nie wspiąć. Otworzyła usta, chcąc zawołać Becketta, ale zamknęła je szybko. Był tam. Nie widziała go, nie słyszała, ale była pewna, że siedzi na szczycie. Czowała to całą sobą, od czubka głowy, aż po bosc stopy.

Chciała zobaczyć wyraz jego twarzy, gdy usłyszy jej wołanie. Może wyczyta z niego wszystko, czego pragnęła się dowiedzieć.

Podjęła wspinaczkę, robiąc kilka trudnych, pierwszych kroków. Bez pomocy Becketta było jej ciężko, ale da radę. W połowie drogi wyciągnęła ręce i podciągnęła się, kuląc palce stóp na wąskiej skalnej krawędzi.

Wiatr zmierzwił jej włosy, wynagradzając wysiłek, ale zanim doszła do szczytu, jej kark zrosiły krople potu. Dotarła do wierzchołka i ujrzała rozciągający się przed nią zapierający dech widok.

Beckett leżał wyciągnięty na wznak na płaskiej skale z rękami pod głową i zamkniętymi oczami. Na jego brzuchu leżała otwarta Biblia. Kabel słuchawek, które miał w uszach zwisał aż do kieszeni jego dzinsów. Madison przystanęła na chwilę, by podziwiać widok.

Jego usta poruszały się bezgłośnie i Madison zastanawiała się, czy się modli, czy tylko powtarza słowa piosenki. Miał

kilkudniowy zarost, a jego ciemne rzęsy opadały na policzki. Tak bardzo tęskniła za tą twarzą, za tymi ustami.

Chyba wyczuł jej obecność, bo otworzył oczy i spojrzał na nią. W jego wzroku malowało się coś więcej niż zaskoczenie. Czy może ona tylko chciała, by tak było?

Zerwał się gwałtownie, wrywając słuchawki z uszu i łapiąc spadającą Biblię.

- Madison.

Patrzył jej prosto w oczy. Jej pierś unosiła się i opadała w miarę, jak próbowała wyrównać oddech.

- Cześć. Ja... eee... przechodziłam niedaleko i...

Może nie powinna była przychodzić i zakłócać jego prywatności. Ale teraz już na to za późno. Patrzył na nią z nieprzenikniętym wyrazem twarzy.

- Siadaj.

Skorzystała z zaproszenia i wyciągnęła nogi na skale.

- Gdzie masz buty?

- A, to długa historia.

Jej puls był szybki, a serce waliło o żebra. Teraz, gdy już siedziała przy nim, co miała mu powiedzieć? Nie przemyślała tego. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami. Słońce schowało się za zwiewnymi chmurami, malując niebo na różowo.

- Dlaczego tu przyszłaś, Madison?

Może powinna udawać, że nie wiedziała, że go tu zastanie. Powiedzieć, że chciała uciec od świata i przyszła jej na myśl jego tajna kryjówka. Ale to byłoby kłamstwo.

Zebrała w sobie całą odwagę.

- Beckett... Muszę wiedzieć, co się stało. Między nami.
-Spojrzała mu w oczy, próbując zignorować żar zalewający jej twarz.

W jego oczach coś błysnęło. Odwrócił wzrok, wstał i zrobił kilka kroków. Ale nie mógł odejść daleko, skała była na to za mała. Westchnął ciężko, aż opadły mu ramiona. Potarł dłonią kark.

- Powiedz mi prawdę. Nie rozkleję się. No... przynajmniej nie tutaj.

Odwrócił się. Tak bardzo chciałaby wiedzieć, co myśli, ale zawsze tak ciężko było to wyczytać z jego twarzy.

- Nie chcę cię skrzywdzić - powiedział.

Jej serce skurczyło się mniej więcej czterokrotnie.

- Za późno. - Uśmiechnęła się gorzko.

Wzdrygnął się, a ona momentalnie pożałowała swoich słów.

- Dobra. Słuchaj no, bo muszę ci coś powiedzieć, więc po prostu to powiem i tyle. Chciałam, żebyś wiedział, że... Gdzieś po drodze, pomiędzy lekcjami pływania i żeglarstwa i tymi nieziemskimi pocałunkami... - W jej gardle wyrosła jakaś gruda blokująca kolejne słowa. Poczowała pieczenie w kącikach oczu.

- Madison. - Jej imię zabrzmiało w jego ustach tak, jakby było wyryte w skale.

- Wiem, że moje życie jest niepokładane. Dobra, to koszmarnie bagno. Ale pracuję nad tym i jeśli trochę poczekaasz, to... Beckett, bo ja...

- Madison, nie.

- Ale dlaczego? Czemu nie chcesz usłyszeć prawdy?

- Między nami nie ma przyszłości, nie widzisz tego? Zacisnęła mocniej ramiona, próbując zdławić ból, ale na próżno.

- Ty mnie nie kochasz.

Odwrócił wzrok i westchnął. Po jego twarzy przemknął cień. Ciśnienie buzujące w nim było niemalże widoczne.

- Słuchaj - powiedział. - Ja nie jestem dla ciebie odpowiednim facetem. Musisz ułożyć sobie życie z kimś innym. Może z Drew albo...

- Z Drew?!

- To fajny gość, Madison. Może dasz mu...

- Odtrącasz mnie i pchasz w ramiona Drew?! Jego milczenie było bardzo wymowne. Zerwała się na równe nogi z obłędem w oczach.

- Ale ja nie Kocham Drew! Kocham ciebie, durniu! Jego oczy złagodniały. Czy to litość?

Nie sądziła, że może poczuć się jeszcze gorzej, a tu proszę...

- Myślałam, że ty też mnie kochasz, ale najwyraźniej się pomyliłam. - *I to bardzo*. Odwróciła się i chciała odejść. Oczy zaszły jej mgłą.

- Czekał, Madison.

- Dobra, Beckett. Dotarło do mnie.

Zrobiła krok do przodu i pośliznęła się. Podparła się i skalczyła przy tym dłoń.

- Zabijesz się. - Beckett doskoczył do niej, złapał ją za ramię i odwrócił tak, że stanęli twarzą w twarz.

Po jej policzku spłynęła łza. Otarła ją, ale w ślad za nią podążyła następna. Próbowwała go odepchnąć, ale on jej na to nie pozwolił. Złapał ją też za drugą rękę.

W jego oczach pojawiło się coś takiego... Nie litość, nie obojętność.

- Co ja mam z tobą zrobić? - powiedział miękko i westchnął głęboko. Popatrzył w niebo tak, jakby chciał wyczytać w chmurach odpowiedź.

- Nic z tego nie rozumiem. Nie rozumiem ciebie. Czego ode mnie chcesz? - Jej gardło zamknęło się. Nie umiała powiedzieć nic więcej. Z jej oczu pociekły kolejne łzy.

- Przestań już. Nie płacz. - Wziął ją w ramiona.

- Nie. - Resztkami silnej woli spróbowała go odepchnąć, kładąc mu rękę na piersi. Ale on przytrzymał ją, uniemożliwiając jej ucieczkę.

- Nie możesz na zmianę mnie odtrącać i przyciągać do siebie. Nie kochasz mnie. Zrozumiałam. A teraz już mnie puść.

- Kocham. - Ścisnął ją mocniej. Jego ton był przejmujący, a oczy płonęły. - Kocham cię, Madison. Tak bardzo.

Przestała się szamotać i zamrugła, by odgonić łzy. Czy na pewno dobrze usłyszała? Beckett rozluźnił uścisk i zaczął delikatnie poruszać kciukami.

- Posłuchaj, kochanie. To nie twoje życie jest jednym wielkim bagnem. Ty jesteś cudowna. Masz wspaniałą rodzinę, która dobrze cię wychowała. Będiesz kiedyś cudowną żoną, wspaniałą mamą, taką jak twoja. A co ja mam? Moja mama odeszła, ojciec jest na odwyku... Porzucenie, rozwód i alkoholizm: oto narzędzia, w które mnie wyposażono.

- Nie jesteś taki, jak twój ojciec. - Madison zmarszczyła brwi.

- Mam jego geny, Madison. I nie będę ryzykował twojej przyszłości dla nadziei, że...

- Ryzykował *mojej* przyszłości? Podejmowanie decyzji o *mojej* przyszłości zostaw mnie, Beckett.

- Próbuję tylko robić to, co dla ciebie najlepsze. Na tym polega prawdziwa miłość.

- Prawdziwa miłość to wybór. Ja wybrałam ciebie, Kocham cię bez względu na to, jacy są twoi rodzice i bez względu na to, co zrobili. Wybrałam wiarę i nadzieję, że dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych. Może na ziemi nie masz wzorowego ojca, ale masz jeszcze Ojca w Niebie, Beckett, a On może wszystko. Sama dopiero zaczynam to widzieć!

Patrzył na nią, rozważając jej słowa.

- Nie boisz się, że ja... - Chciał ją ostrzec, ale jego ton był łagodny.

- Zaryzykuję. - Uśmiechnęła się lekko.

Patrzyła, jak bije się z myślami i pękało jej serce. Wszystko przez to, skąd pochodził i przez co musiał w życiu przejść. Nosił w sobie wiele blizn i starych ran i dopiero teraz to widziała. Ale mimo wszystko wyrósł na odważnego i pobożnego mężczyznę. To prawdziwy cud. Był mężczyzną jej życia. Czowała to aż na wskroś. W najgłębszych zakamarkach serca, w którym co dzień Bóg zasiewał nowe ziarna.

- Oboje mamy problemy. Ale Bóg ma dla ciebie wielkie plany, Beckett. Już uczynił z tobą wielkie rzeczy. A ja chcę być przy tobie i patrzeć, co będzie dalej.

- Nawet nie wiesz, jak tego pragnę. - Głos załamał mu się w gardle.

Wiedziała. Widziała to w jego oczach, tak czystych, jak niebo w środku lata.

- To bierz. Daję to wszystko właśnie tobie.

Czas zatrzymał się, a ta chwila trwała tak długo, aż ciśnienie między nimi stało się nie do odparcia. Beckett chwycił jej twarz w dłonie i otarł jej łzy.

- Kocham cię, Maddy. Czy to wystarczy?

- W zupełności i z zapasem.

Pocałował ją delikatnie w taki sposób, że aż przyprawił ją o ból. Ale to był przyjemny ból, który wypełnił ją od środka i sprawił, że ugięły się pod nią kolana. Przyciągnął ją bliżej i pogłębił pocałunek. Madison dotknęła jego przyjemnie szorstkiej twarzy opuszkami palców. Do tego mogłaby się przyzwyczaić.

Gdy ich usta się rozłączyły, przytulił ją mocno.

Zacisnął ramiona, a ona wdychała jego zapach. Jego ciało było ciepłe i dawało jej oparcie, serce biło mu jak szalone. Czowała, że jest we właściwym miejscu, znajomym, idealnym jak rozgwieżdżone noce, jak tupot bosych stóp w środku lata.

Jak w domu. Właśnie tak się czuła. Beckett był jej domem.

Epilog

Słońce schowało się za dębami i rzucało cienie na boisko do koszykówki pod domem McKinleyow. Madison patrzyła, jak PJ przygotowuje się do decydującego rzutu za trzy punkty. Piłka przeleciała przez siatkę kosza i upadła na beton, stukając charakterystycznie.

Beckett przechwycił piłkę i udał groźne spojrzenie, kiwając Daniela i Ryana. Zarobił już literki O-S-I-O, więc z następnym niecelnym rzutem zostanie drugim przegranym. Madison siedziała za linią autu, smakując swoją porażkę.

- Dalej, kochanie! Uda ci się! - kibicowała mu. Beckett zajął pozycję, ugiął kolana, wykonał trzy kozły i rzucił piłkę. Poleciała po pięknym łuku i odbiła się od poręczy kosza, upadając na ziemię.

- O, tak! - PJ przeszła przez boisko, a jej włosy zaczesane w koński ogon bujały się na boki przy każdym kroku. -Dwoje z głowy.

- Jeszcze nie wygrałaś, parowo - drażnił się Ryan.

- To tylko kwestia czasu, Wielki Bracie.

- Zobaczymy.
- To ile już litererek uzbierałeś?
- Zamknij się i spudłuj wreszcie.

Beckett dosiadł się do stołu piknikowego obok Madison.

- Mogłaś mnie przed nią ostrzec.
- A co bym z tego miała? - Wzruszyła ramionami.

Za jego plecami rozległ się wrzask, gdy Daniel jednak trafił do kosza z arcytrudnego miejsca wyznaczonego mu przez PJ. Ryan się zaśmiał, a PJ odbiła piłkę od jego głowy.

-Hej!

- O rety - powiedział Beckett i zwrócił się do Madison:
-Rodzice musieli mieć z wami niezłe zamieszanie.

- Jak to, z nami? Byliśmy jak pięć małych aniołków. Beckett posłał jej wymowne spojrzenie, po czym złapał ją za rękę i podciągnął.

- Spacer?
- Chcesz się oddalić z tego przybytku szaleńców?
- Na parę minut.
- Zaraz wrócimy! - zawołała przez ramię.
- Nie ma pośpiechu! - odkrzyknęła mama siedząca obok taty

na ganku.

PJ znowu wrzasnęła, a gwizd Daniela rozdarł powietrze. Ryan rzucił w przyjaciela piłką, a Daniel aż się skulił, gdy ta walnęła go w brzuch.

- Stary!

Madison i Beckett poszli w dół przez podjazd, zostawiając za sobą chaos. Kilka minut później jedynym dźwiękiem, jaki słyszeli, był chrzęst żwiru pod stopami i pisk wiewiórek goniących się w koronie dębu. Nadszedł październik i omiół wszystkie drzewa w okolicy złotem, oranżem i czerwienią.

Madison wdychała zapachy wczesnej jesieni: ziemi, sosen, ogniska rozpalonego przez sąsiadów. Bardzo lubiła lato, ale to jesień uwielbiała najbardziej ze wszystkich pór roku. Kolorową, chłodną i ulotną. Pieczone w ognisku pianki i kiełbaski, ciepłe swetry, żniwa. W ostatnich dniach cieszyła się życiem. Cieszyła się pracą, rodziną i... o, tak: Beckettem.

W jej rodzinę wstąpiło coś nowego, odkąd tajemnica wokół śmierci Michaela została ujawniona. Z początku te wieści nimi wstrząsnęły, ale na dłuższą metę warto było to znieść. Wyniki testów wykazały, że żadne z nich nie cierpi na tę samą chorobę, co Michael. Szanse na to wynosiły jeden do czterech, a z całej piątki tylko Michael odziedziczył tę genetyczną przypadłość.

- Dzwonił mój tata. - Beckett wyrwał ją z zamyślenia.

- O! I co u niego słyhać?

- Brzmiał jakoś inaczej. Ta rozmowa dodała mi otuchy. Był skupiony i pozytywnie nastawiony. Mówił o zmianach, jakie chciałby wprowadzić po powrocie do domu. Chciałby kiedyś otworzyć bar i serwować dania z grilla.

- To świetnie!

Pan O'Reilly był na dziewięćdziesięciodniowym turnusie odwykowym. Pracownicy ośrodka mieli nadzieję, że dłuższy pobyt zwiększy szanse na to, by na długo pozostał trzeźwy.

- Bardzo dobrze postąpiłeś, zabierając go tam - powiedziała Madison.

- Nawet nie pamiętam, jaki był, zanim się rozpił. Będę musiał poznać go na nowo. Ale wiąże z nim spore nadzieje.

- A skoro już mówimy o naszych ojcach, to widziałam, jak rozmawiałeś dziś z moim. - Trąciła go w ramię. - Może nas śledzi? - Trzymali się za ręce.

- Nie można go winić, że chce chronić swoją córeczkę. Ostatnimi czasy czujność jej taty słabła za każdym razem,

gdy przychodziła do rodziców w odwiedzin z Beckettem. Dzisiaj zaczął z nim nawet uprzejmą rozmowę, gdy tylko weszli. Madison przeczuwała, że sporą część zasługi za zmięczenie jego twardego ojcowskiego nastawienia należy przypisywać mamie.

- Nasze rodziny bardzo się różnią - powiedział Beckett -ale powoli zaczynam się z tym godzić. To, w jakim domu się wychowywałem... Chciałbym zapewnić mojej własnej rodzinie coś o wiele lepszego.

- Na pewno tak będzie. Bóg wykorzystał to, żebyś stał się silniejszy. I żebyś dowiedział się, jakiej przyszłości nie chcesz sobie zafundować.

- I jaką *chciałbym* mieć. - Ścisnął ją za rękę. Wymienili uśmiechy. Beckett nie skąpił jej czułości. I bardzo go za to kochała.

- Nie gawędziłem z twoim tatą o byle czym, wiesz?

- Nie? - Madison kopnęła leżący na drodze orzeszek, który potoczył się po żwirze.

- Prosiłem go o zgodę.

Przeszła jeszcze trzy kroki, po czym stanęła jak wryta.

Lekki wiatr gnał po poboczu suche liście. Beckett patrzył na nią tym samym wzrokiem, w którym zakochała się podczas tamtego tańca wiele lat temu. Tym, który chwycił ją za serce za każdym razem, gdy brał ją w bezpieczny uścisk swych ramion.

- O zgodę?

Wziął jej dłonie w swoje i patrzył na nią. Nastąpiła złota godzina. Jego oczy błyszczwały, rysy wygładziły się.

- Miałem z tym poczekać - powiedział - ale nie mogę. Wiem, że spotykamy się właściwie od niedawna, ale nigdy w życiu niczego nie byłem taki pewny.

Jego pierś uniosła się w głębokim oddechu, a Madison zamarła, zapominając o tym, by samej oddychać.

- Chcę, żebyś została moją żoną, kochanie. Chcę wracać do ciebie co wieczór i słyszeć twój śmiech. Chcę zbudować z tobą życie ze wszystkich tych spraw, które są w nim najważniejsze. Chcę, żeby była w nim rodzina, kościół, żagle, praca, dzieci...

- Pięć małych aniołków? - Uśmiechnęła się drżącymi ustami. Beckett ścisnął mocniej jej dłonie.

- Myślę, że zaczniemy od jednego, a potem pogadamy, co dalej. Co ty na to, Maddy? Wyjdiesz za mnie?

Świat wokół nich przestał istnieć. Jego słowa otuliły wszystkie zakamarki jej umysłu, pieszcząc go czule. Jego dłonie obejmowały jej ręce. W jego ramionach wyczuwała napięcie, a w oczach widziała pytanie.

Ale przecież wiedział, prawda? Wiedział, jak bardzo go kochała, jak bardzo potrzebowała. Wiedział, że nie umiała sobie wyobrazić swojej przyszłości bez niego.

Wypuściła z płuc powietrze i na jej twarz wstąpił szeroki, promienny uśmiech.

- O, tak! Żebyś wiedział, że tak!

Wziął ją w ramiona i przycisnął do siebie tak mocno, że czuła przez skórę bicie jego serca, że mogła wdychać jego ciepły, ostry zapach, że słyszała, jak szepcze jej do ucha:

- Kocham cię, Madison.

I to wystarczyło. W zupełności i z zapasem.